

W serii ukazały się:

1. T. Kostecki Kaliber 6,35
2. T. Kostecki Smuga grozy
3. Z. Zeydler-Zborowski Szlafrok barona Boysta
4. Z. Zeydler-Zborowski Wernisaż

w przygotowaniu

5. T. Kostecki Cień na pokładzie

Zygmunt Zeydler-Zborowski

SZLAFROK BARONA BOYSTA

LTW

Łomianki 2009

Zygmunt Zeydler-Zborowski

Szlafrok barona Boysta

Redakcja Klara Leszczyńska Projekt okładki Mikołaj Jastrzębski

Edycję opracowano na podstawie maszynopisu autorskiego Pierwsza publikacja na łamach „Kuriera Polskiego” 1958-1959

Copyright by Zofia Bimali Zborowska, Warszawa 2009

Copyright for this edition by Wydawnictwo LTW

ISBN 978-83-7565-075-4

Wydawnictwo LTW

1

Właściwie nic konkretnego się nie stało, nic takiego, co by uzasadniało jakieś obawy. Ajednak... Ajednak z każdą godziną rósł niepokój, który przeradzał się w gwałtowną chęć ucieczki.

Początkowo usiłował to zbagatelizować. Nerwy, tylko nerwy. Nie było w tym zresztą nic dziwnego. Od szeregu dni żył w ciągłym napięciu, w ciągłym oczekiwaniu. Grał wysoko. Stawką w tej grze było życie.

Nie popełnił dotychczas żadnego błędu. Więc dlaczego? Dlaczego nagle...? Przypominał sobie ze szczegółami wszystkie sytuacje. Anijednego fałszywego kroku, ani jednej chwili słabości. Nie, nie, nic mu nie grozi. To tylko wyczerpanie nerwowe. Musi się opanować, musi wytrwać.

Rozumowa argumentacja nie zdołała jednak zagłuszyć przecucia zbliżającego się niebezpieczeństwa. Strach, strach przed czymś nieodwracalnym, przed czymś, co stać się musi, co stanie się może za chwilę.

Od brudnych, porysowanych ścian szedł wilgotny chłód. Mokra plama na suficie z poźółkłymi brzegami

wyglądała jak chmura na obrazie zatytułowanym Przed burzą.

Było cicho, tak bardzo cicho, że aż dzwoniło w uszach. To nie działało uspokajająco.

Otworzył oczy. Począł wodzić spojrzeniem po mrocznym, obskurnym pokoju, jakby chciał sobie utrwalić w pamięci szczegóły umeblowania. Trzy prycze przykryte dziurawymi kocami. Na jednej leżał Buldog. Zdawało się, że śpi. Dalej zniszczona szafa i kilka krzesel. Na środku masywny kwadratowy stół. Nad nim na długim sznurze żarówka ocieniona kawałkiem powyginanej blachy. W kręgu światła widać było wyraźnie ciemny kształt dużego bębnowego rewolweru i zwinne dłonie porośnięte rudawym

5

włosem. Twarz tonęła w półmroku. Na pozór nie było w tym nic niezwykłego, że Roman czyści rewolwer. Robił to dość często. W tej chwili jednak wydało się Stasiakowi, że czynność ta ma specjalną wymowę, że oznacza groźbę. Mimo woli dotknął kieszeni. Wyczuwszy pod palcami swojego visa, uspokoił się nieco. Nie tak łatwo sobie z nim poradzą. Nie da się zaskoczyć.

Roman wytarł zatłuszczone palce w brudną szmatę i wolno począł wsuwać naboje do bębna. Nie podnosząc głowy, spytał:

- Nie śpisz? -Nie.

- Nie możesz zasnąć, co?

W ciszy źle oświetlonego pokoju słowa te zabrzmiały jak wyzwanie. Stasiakowi wydało się, że postyszał w nich szyderstwo.

Przewrócił się na wznak i przez chwilę przyglądał się mokrej plamie na suficie, której brzegi poczynają żółknąć. Znowu ogarnęło go pragnienie ucieczki. Wyrwie z kieszeni pistolet i w kilku skokach dopadnie drzwi. Jeżeli się na progu na niego rzucą, zastrzelą ich. Był pewien, że nie chybi. Kula w lufie. Wystarczy odsunąć bezpiecznik. Obaj mają broń, ale on strzeli pierwszy. Zaraz jednak pojawiła się refleksja. A jeżeli to wszystko tylko mu się zdaje? Jeżeli to nerwy, rozgorączkowana wyobraźnia? Nie wolno mu poddawać się nastrojom. Przecież nie ma do czynienia z żadnymi konkretnymi faktami. Przelotne spojrzenie, błysk oczu, podejrzany tembr głosu. To wszystko niczego nie dowodzi, to może być wrażenie wywołane przemęczeniem nerwowym. Za kilka godzin nadejdzie decydujący moment. I właśnie teraz miałby wszystko popsuć, ulec jakimś urojeniom?

Wyciągnął rękę w kierunku krzesła, na którym leżały giewonty. W paczce był tylko jeden papieros. „A może to mój ostatni papieros - pomyślał. - Bzdura. To przecież brzmi jak tytuł sensacyjnego opowiadania: Ostatni papieros. Głupie, literackie efekciarstwo.”

Potań zapałkę i zaciągnął się głęboko dymem. Patrzył na Romana, który skończył nabijać rewolwer i siedział teraz nieruchomo, oparty łokcie o krawędź stołu. Twarz wyłaniająca się z zielonego półcienia była skupiona, jakby zastygła w oczekiwaniu.

Buldog poruszył się i stęknął.

-Jeszcze go nie ma? - spytał.

Nikt mu nie odpowiedział. Dźwignął się i usiadłszy na skrzypiącym posłaniu, począł się drapać po szerokim karku. Ogromny cień kołysał się na ścianie, przybierając dziwaczne, potworne kształty.

-Jeszcze go nie ma?

Roman wzruszył ramionami. Nie odezwał się jednak ani słowem. Opuścił prawą rękę i delikatnie bębnił palcami po lufie rewolweru.

Buldog przyjrzał mu się. Jego psia twarz [skurczyła się w uśmiechu.

- Znowu czyściłeś spluwę? Dzisiaj może ci się przydać - stanął rozkraczony na podłodze i podciągnął spodnie.

- Cholera, chciałem się trochę przekimać, ale nic z tego - przeciągnął się z rozmachem, aż trzasnęło w stawach.

- Nikt dzisiaj nie może spać - mruknął Roman. -Jeszcze go nie ma? - spytał Buldog i rzucił szybkie spojrzenie w kierunku Stasiaka. - Jeszcze go nie ma?

Podłoga trzeszczała pod ciężkimi krokami Buldoga. Cienie chwiały się na ścianach. Mokra plama na suficie pociemniała. Widocznie padał deszcz.

Stasiak dopalił papierosa i usiadł na łóżku. Roman błyskawicznie odwrócił twarz ku niemu. Położył dłoń na kolbie rewolweru. Buldog przestał chodzić. Stał, kołysząc się na rozkraczonych nogach. Jego ogromna postać zakrywała niemal całe drzwi. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

Stasiak ziewnął i znowu wyciągnął się na łóżku.

Buldog podszedł do niego i powiedział:

- No cóż, Jasiu? Jeszcze go nie ma.

- A nie ma - mruknął Stasiak. Kątem oka zobaczył, jak Roman wkłada rewolwer do kieszeni marynarki. Buldog przysunął sobie krzesło i usiadł na nim okrakiem.

- Wzięło cię, he? Masz cykorię? Ja bym na twoim miejscu także... - urwał i niespokojnie spojrzał w kierunku Romana.

- Dlaczego „na moim miejscu”? - podjął Stasiak. Buldog nie zaraz odpowiedział. Na jego ściętej twarzy widać było wysiłek myślowy. Patrzył przed siebie, poruszając nerwowo szczękami.

- Dlaczego „na moim miejscu”? — powtórzył Stasiak.

7

- No bo... no bo przecież ty nie tego... ty nigdy nie byłeś na takiej robocie.

Stasiak spojrzał na niego uważnie.

- A skąd wiesz, że ja nigdy nie byłem na takiej robocie?

- Nie wyglądasz na to.

- Nie wyglądam na to? - zaśmiał się Stasiak. - A skądże ty możesz wiedzieć, na co ja wyglądam?

- Właśnie - wtrącił się nagle Roman. - Nigdy nie wiadomo, kto na co wygląda.

Wiatr falą deszczu uderzył o szyby. Spojrzeli ku oknu.

- Leje jak jasna cholera. Dobra pogoda dla nas. Stasiak podniósł się. Wsparty na łokciu powiedział:

- Daj mi papierosa.

Buldog wyjął z kieszeni paczkę sportów i przytknął w nią wskazującym palcem.

- Masz, pal. Może to twój ostatni papieros.

Podniósł się. Znowu zaczął ciężkimi krokami przemierzać pokój.

-Jeszcze go nie ma. Cholera jasna, jeszcze go nie ma - powtarzał mrukliwie.

Za oknem coraz głośniej szumiał deszcz. Plama na suficie powiększyła się, zakrywając żółte ślady pozostawione przez wysychającą wilgoć.

Roman z hałasem wyciągnął szufladę. Przez dłuższą chwilę szperał w rupieciach, aż wreszcie znalazł zatłuszczoną talię kart i zabrał się do stawiania pasjansa.

Buldog zatrzymał się przy stole.

- Te, Romek, powróż mi.

Tamten parsknął krótkim, niewesołym śmiechem.

- Chcesz wiedzieć, kiedy cię diabli wezmą?

- Nie gadaj, powróż - upierał się Buldog.

„Teraz” - pomyślał Stasiak. Buldog stał odwrócony do niego plecami, zastaniając Romana. Trzaśnie go pistoletem w tył głowy. Nim Roman zdąży sięgnąć po rewolwer, skoczy mu do gardła. Wiedział, że jest silniejszy od tego chłopaka. Ostrożnie spuścił nogi z łóżka i włożył rękę do kieszeni.

W tej chwili szczęknął zatrask. Wszyscy spojrzeli w kierunku drzwi.

8

W progu stał Suchy i patrzył na Stasiaka. Ze szklanych, nieruchomych oczu nie można było nic wyczytać. Z gumowego płaszcza spływała strumieniami woda, rozlewając się szeroką kałużą po podłodze.

Buldog odetchnął z ulgą.

- Nareszcie jesteś - powiedział.

- Deszcz jak cholera, no nie?

Suchy, nie zdejmując płaszcza, podszedł do stołu. Wyjął z kieszeni pół litra, paczkę z wędliną i chleb. W świetle żarówki jego chuda, ascetyczna twarz wydawała się jeszcze bledsza.

Buldog wybił korek z butelki. Powiedział zadowolony:

- Gaz jest, zagrycha jest. Szeף w deseczkie. No, chłopaki, chodźcie. Romek, dawaj szkło. Jasiu, złaż z wyra.

Stasiak włożył buty i podszedł do stołu. Suchy znów zwrócił ku niemu martwe, niewyrażające żadnego

uczucia spojrzenie. Ciągle jeszcze nie zdejmował mokrego płaszcza.

Buldog napętnił stopki. Roman pokroił chleb i kiełbasę.

- Siadajcie - powiedział Suchy i wreszcie zdjął płaszcz. Głos miał ostry, wysoki, łatwo wpadający w falset. Przysunął sobie krzesło do stołu. Sięgnął po wódkę.

- Za pomyślność naszej dzisiejszej akcji i niech szlag trafi naszych wrogów.

- Niech szlag trafi naszych wrogów - powtórzył Stasiak. Wypili. Buldog nalał znowu.

Suchy odebrał Romanowi kieliszek.

- Dostyc. Nie będziesz więcej pił. Pamiętaj, że prowadzisz wóz.

Buldog zaśmiał się gardłowo.

- Szefuńciu, jak pragnę Boga. Żarty, czy co? Pół litra na czterech chłopów.

Suchy przełknął duży kawałek kiełbasy i powiedział:

- Ty możesz chlać, ale Roman nie. Prowadzi wóz. Musi być trzeźwy.

- Do dwunastej jeszcze dziesięć razy wytrzeźwieje.

- Powiedziałem, że nie będzie pił, i nie ma o czym gadać. Głos Suchego stał się piskliwy. Nie znosił sprzeciwu.

- Ale dobra, dobra. Na co te nerwy, szefie. Niech nie pije. Dla nas więcej zostanie.

9

Buldog nalał Stasiakowi.

- Pij, Jasiu. Ty już i tak nie masz nic do stracenia. Suchy rzucił mu szybkie, złe spojrzenie. Stasiak spytał:

- Dlaczegoż to ja nie mam nic do stracenia?

Pod wpływem wzroku Suchego Buldog zmieszał się. Wypił wódkę i sięgnął po kiełbasę.

- Bo nie prowadzisz wozu - powiedział wreszcie rad, że mu się jakoś udało wybrnąć z sytuacji. - Nie prowadzisz wozu, więc możesz chlać, ile wlezie. Pij.

Stasiak odsunął kieliszek.

- Wolę być trzeźwy — zaczął szukać po kieszeniach papierosów. Przypomniawszy sobie, że wypalił ostatniego giewonta. Wstał.

- Zaraz wracam - powiedział, siląc się na spokój. Suchy błyskawicznie wsunął rękę pod marynarkę.

- Dokąd?

- Skoczę na dół po papierosy. Zaraz wracam.

Buldog podniósł się ociężale. Jego ogromny cień znowu począł się chwiać na brudnej, pozaciekanej wilgocią ścianie.

- Nigdzie nie pójdziesz - pisnął, rozkazując, Suchy. - Nigdzie nie pójdziesz. Nikt stąd nie wyjdzie przed dwunastą.

Stasiak wzruszył ramionami i usiadł z powrotem.

- Chciałem tylko na dół do baru po papierosy.

Suchy wyjął paczkę wczasowych i cisnął mu ją przez stół.

- Masz. Pał.

Szum deszczu ustał. Tylko wiatr łomotał uporczywie kawałkiem oderwanej rynny. Dźwięczące stukanie blachy działało na nerwy.

Roman, który dotychczas jadł w milczeniu chleb z kielbasą, spojrzął na zegarek i zwrócił się do Suchego.

- Szeffie, a może by tak partyjkę? Mamy dwie godziny czasu.

- Dobrze - zgodził się Suchy. - Możemy zagrać. Dopiero później Stasiak zrozumiał, że to wszystko było wyreżyserowane.

Roman przeniósł resztki jedzenia na parapet okna, wytarł stół rękawem marynarki i wyjął z szuflady karty. Pociągnęli. Stasiak grał z Suchym. Posadzili go tyłem do drzwi.

10

Buldog sapnął, włożył sobie do ust kawałek gumy i zaczął rozdawać. Twarz mu poczerwieniała od wódki, oczy zaszyły krwią, wargi drgały nerwowo, odsłaniając co chwilę żółte, nierówne zęby. Wyglądał rzeczywiście jak ogromny, zły pies. Karty były stare, zatłuszczone, kleiły się w palcach.

Buldog powiedział dwa bez atutu, Suchy - trzy piki, Roman zaliczył szlemika w kiery, a Stasiak spasował.

Grali pośpiesznie w zupełnym milczeniu. Słyszeć było tylko nerwowe sapanie Buldoga i nieustanne stukanie szarpanej wiatrem rynny.

Roman zrobił szlemika. Suchy rozdał karty. Przez cały czas obserwował uważnie swego partnera.

Stasiak odzyskał zimną krew. Już teraz wiedział, że to nie były fantastyczne przywidzenia. Być może świadomość bliskiego niebezpieczeństwa wpłynęła na niego uspokajająco. Najgorsza przecież jest niepewność. Ale obecnie wszystkie wątpliwości rozwiały się i pozostała tylko walka, walka o życie. Jaki mają plan? Na co właściwie czekają? To przecież nie było takie trudne. Mogli kropnąć od razu. A może wywiozą go za miasto do jakichś glinianek. Spojrzął na swoich partnerów. Grali spokojnie, tak, jakby nic ich nie obchodziło poza kartami. Wszyscy mają broń. Marynarka Suchego wydyma się z lewej strony. W wewnętrznej kieszeni tkwi kolt, z którego Suchy strzela po mistrzowsku. Roman naoliwił swojego nagana. Buldog ma parabellum przy pasie. Nie było rzeczą prostą wydostać się stąd.

Stasiak już nieraz zaglądał śmierci w oczy, ale w tak beznadziejnej sytuacji nie znalazł się jeszcze nigdy. Psiakrew! Więc po to przetrwał całą wojnę, przemierzył z komandosami pół świata, żeby teraz... żeby teraz zginąć z rąk takich bandziorów. Sam przecież tego chciał. To był jego pomysł.

- No, rozdawaj. Na co czekasz? - powiedział Suchy. W jego głosie drżało hamowane zniecierpliwienie, a może niepokój.

Trudno sobie właściwie uświadomić, co się stało, ale jednak coś się stało. Twarze graczy znieruchomiały. Nad oświetlonym żarówką stołem zawisło pełne napięcia oczekiwanie. Stasiak wziął karty do ręki i nagle...

Wyczuł to zupełnie instynktownie. Nie posłyszał najlżejszego nawet szmeru. Jedynie ledwie uchwytny ruch powietrza

11

i dziwny blask oczu Buldoga. Trwało to ułamek sekundy, ale wiedział, że grozi mu niebezpieczeństwo. Miał szaloną ochotę odwrócić się i zobaczyć, co się dzieje za jego plecami. Opanował jednak ten odruch. Ani na chwilę nie mógł przecież spuścić ich z oczu. Dlaczego nie strzelają do niego wprost? Jest ich trzech, a teraz czterech. Widocznie chcą uniknąć hałasu. Zaraz tamten podkradnie się bliżej i trzaśnie go w tył głowy. Potem zakopią ciało w piwnicy. Pomyślał o pistolecie. Nie, w żaden sposób nie zdążyłby zrobić z niego użytku.

Skończył zapisywać i spojrzął na partnerów. Suchy tasował flegmatycznie karty, Roman palił papierosa, Buldog żuł gumę i od czasu do czasu spluwał pod stół. Wszyscy trzej robili wrażenie zupełnie spokojnych, a jednak... W tych pozornie obojętnych twarzach kryło się oczekiwanie. Trzeba działać natychmiast. Za chwilę będzie za późno.

Wyjął papierośnicę i zważył ją w dłoni. Była ciężka.

Skrzypnęła podłoga.

- Rozdawaj! - rzucił niecierpliwie Buldog.

Wtedy Stasiak cisnął papierośnicę w nisko nad stołem zawieszoną żarówkę, w ciemności przerzucił przez siebie atakującego go z tyłu draba i, nim zdążyli się zorientować, co się stało, dopadł drzwi. Rozległy się strzały.

W kilka sekund wydostał się na ulicę. Biegł ile sił w nogach.

Zatrzymał się dopiero za kioskiem Ruchu. Z pistoletem gotowym do strzału począł nadśłuchiwać. Cisza panowała zupełna. Nikt go nie gonił.

Postać chwilę, a następnie wsunął pistolet do kieszeni i szybkim krokiem ruszył w kierunku dworca.

- No cóż, na tamtym terenie jesteś spalony. Na razie musisz się wyłączyć. Widocznie popełniłeś jakąś nieostrożność.

Stasiak podniósł głowę i niechętnie spojrzął na przyjaciela. Był zły i zmęczony. Nie spał całą noc.

- Mówiłem ci przecież, że musiał mnie ktoś sypnąć.

Umilkli. Sytuacja była trudna. Zdemaskowanie Stasiaka bardzo krzyżowało ich plany. Tamci będą się teraz mieli na baczności. Drugi raz nie dadzą się podejść. Wszystko trzeba zaczynać od nowa.

Szymański wstał, zapalił papierosa i stukając protezą, przeszedł się po pokoju. Był wysoki, szczupły, lekko pochylony. Twarz miał pociągłą, rysy regularne. Duże ciemne oczy przestronięte melancholijną zadumą jakby z roztargnieniem patrzyły na świat i ludzi. Mimo iż dopiero przekroczył czterdziestkę, był już prawie zupełnie siwy. Pod każdym względem tak bardzo różnił się od Stasiaka, że chyba tylko na zasadzie les extremes se touchent zostali przyjaciółmi. Stasiak miał wygląd sportowca, boksera, zapaśnika. Szymański robił wrażenie poety albo kompozytora. Był romantykiem z usposobienia i estetą z zamiłowania. Nikt nie wiedział, dlaczego

właściwie wstąpił do milicji, a on sam zagadnięty na ten temat odpowiadał z pełnym zażenowania uśmiechem, że interesuje się psychologią przestępcy. Ceniono go w Komendzie, ponieważ rozpracował kilka bardzo trudnych spraw, i mówiono nawet o tym, że mają go przenieść na odpowiedzialną robotę do kontrwywiadu.

- Więc uparcie twierdzisz, że ktoś cię musiał sypanąć? Stasiak wzruszył ramionami.

- Tego, co się stało, nie potrafię sobie inaczej wytłumaczyć. Do wczoraj wszystko grało na sto dwa. Siedziałem przecież z ni-

13

mi blisko trzy tygodnie. Mieli do mnie całkowite zaufanie. Gdyby wcześniej coś wyniuchali, byłiby mnie z miejsca kropnęli. Zapewniam cię, że z tą ferajną nie ma żartów. Ubiegłej nocy mieliśmy ruszyć na robotę. Byłbym wiedział wreszcie co i jak. Aż tu od samego rana czuję, że coś nieklawo. Z początku myślałem, że mi się zdaje, że nerwy... Ale potem... Zresztą co ci będę drugi raz wszystko od początku opowiadał. Mało brakowało, a byłbyś dzisiaj na moim pogrzebie.

- Sam żeś tego chciał - mruknął Szymański. — Ja ci odradzałem.

-Wiem, wiem. Nie mam też do nikogo pretensji, tylko... Szymański usiadł za biurkiem i w zamyśleniu zaczął przerzucać jakiś tygodnik.

- No dobrze - powiedział po chwili. - Jeżeli twierdzisz, że w niczym się nie zdradziłeś, że nie popełniłeś żadnego błędu, to... Ale kogo można podejrzewać? Wiesz przecież, że o całej sprawie poza tobą wiedziałem tylko ja i Kazik Borecki. Nawet Annie nie powiedziałem ani słowa.

- Borecki był ostatnio jakiś dziwnie zdenerwowany. Słyszałem, że ma kłopoty finansowe, że znowu jakaś baba ciągnie z niego forszę.

Szymański podniósł głowę znad czasopisma i rzucił szybkie spojrzenie.

- Nie przypuszczasz chyba, że...

- Nic nie przypuszczam. Myślę tylko, że Kazik mógł się wygadać w czyjejś obecności.

- To na niego nie wygląda. Nie było wypadku, żeby Borecki zdradził tajemnicę służbową. Nie mam żadnych podstaw, żeby...

Stasiak pokiwał głową.

- Tak. Oczywiście, oczywiście. Wspomniałeś, zdaje się, że Kazik miał być dzisiaj u ciebie.

- Wezwałem go na naradę, jak tylko dostałem od ciebie telefon. Od pół godziny powinien już tu być.

- Widocznie jeszcze się nie wyspał.

Szymański wyjął z futerału okulary i starannie przetaił szkła.

- Dzwoniłem do niego. Nikt nie odpowiada. Albo mu tele-

14

fon nawalił, albo jest na mieście. Dziwi mnie to trochę, bo z samego rana miał przyjechać do mnie.



- Może wstąpił do komendy.

- Może.

Weszła Anna. Miała na sobie doskonale skrojoną, ciemno-popielatą sukienkę. Uczesana była gładko. Kasztanowe włosy spięta w mocny węzeł. Wyglądała ładnie i świeżo.

- Jak się masz, Janku. Kawał czasu cię nie widziałam. Co się z tobą działo?

- Byłem na krajoznawczej wycieczce - uśmiechnął się Stasiak.

- Góry? Morze?

- Góry nad morzem.

Roześmiała się. Miała białe, równe zęby.

- Widzę, że humor ci dopisuje. Chociaż wyglądasz na zmęczonego.

- Co robić. Turystyka człowieka wyczerpuje. Anna wsunęła do teczki jakieś papiery i spytała:

- Czy mógłbyś mnie podrzucić do redakcji? Zrobiło się późno. Szymański spojrzął na zegarek.

- Dobrze. Jadę z Jankiem do komendy, zabierzemy cię.

- Nie czekamy na Kazika? - spytał Stasiak.

- Nie. Może zastaniemy go w komendzie. Dłużej nie mogę czekać.

Wszyscy troje usiedli na tylnym siedzeniu. Anna, poprawiając płaszcz, dotknęła dłoni Stasiaka. Drgnął, ale nie spojrzął na nią. Zauważył, że od pewnego czasu jej stosunek do niego uległ jakiejś zmianie. Czyżby...? Nie, nie, nie wolno mu myśleć o takich rzeczach. Przecież to żona przyjaciela. Psiakrew! Już taki widać jego parszywy los. Zawsze mu się podobają żony przyjaciół.

Anna wysiadła na rogu Alei Jerozolimskich. Miała coś do załatwienia w aptece.

Stasiak z Szymańskim pojechali na Mokotów. W komendzie jednak nie zastali Boreckiego. Po półgodzinie oczekiwania Szymański powiedział:

- Co się z nim mogło stać, do wszystkich diabłów? Stasiak podniósł się z fotela.

15

- Spróbuję do niego jeszcze raz zadzwonić.

Wolno, jakby z wahaniem położył rękę na telefonie. Nakręcił numer. W słuchawce rozległ się długi sygnał. Nikt nie odpowiadał.

Szymański nerwowym ruchem zgasił papierosa w żelaznej popielnicze.

- Musimy do niego pojechać. Zaczynam być niespokojny. Borecki nigdy nie robi takich kawałów. Wiedział, że sprawajest ważna. - Zdjął płaszcz z wieszaka. - Chodź.

Za chwilę wsiadali do granatowej warszawy. Szymański spytał:

- Znacie adres kapitana Boreckiego?

- Znam.

- No to jazda.

Milczeli. Stasiak bezmyślnie patrzył na ruch uliczny. Czuł się dziwnie ociężały i zniechęcony. Dopiero w bramie ogarnęło go nagłe, niczym nieuzasadnione zdenerwowanie.

- Zdaje się, że Kazik mieszka na drugim piętrze? -Tak.

Szybko weszli po schodach. Szymański trochę się zasapał. Miał słabe serce, a poza tym proteza.

Dzwonek zadzwieczał ostro, hałaśliwie. Cisza. Stasiak nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte.

Borecki leżał na wznak koło tapczana. Miał podkurczone nogi. Pochylili się nad nim.

- Nie żyje! - Głos Szymańskiego był schrypnięty. Stasiak pochwycił telefon i nakręcił numer. Szymański uważnie obejrzał trupa.

- To stało się niedawno, parę godzin temu - powiedział. -Ktoś strzelił do niego z bardzo bliska. Kula przeszła na wylot. Powinna być w ścianie.

Stasiak skoczył do okna i szczyrykiem wydtubał z framugi kawałek ołowiu.

- Otóż i ona.

Przyklęknął i począł czegoś pilnie szukać na dywanie. -Jest - mruknął wreszcie.

Podniósł się, trzymając na wyprostowanej dłoni łuskę.

- Do licha, dziwne, bardzo dziwne.

- Co cię tak dziwi?

16

- No zobacz. Łuska jest z szóstki, a kula duży kaliber, chyba dwunastka.

- Prawda - powiedział Szymański. - Bardzo ciekawe. Albo ktoś strzelał z dwóch pistoletów, albo...

- Albo było dwóch morderców - uzupełnił Stasiak. - Ale w takim razie powinniśmy znaleźć jeszcze jedną łuskę i jeszcze jeden pocisk.

- Trzeba poszukać.

Tymczasem Szymański przyklęknął na dywanie, a Stasiak poszedł do łazienki. Na umywalce, koło mydła zauważył grzebyk, a na nim kilka długich kobiecych włosów. Zebrał je starannie, zawiąnął w kawałek gazety i wsunął do kieszeni. Nagle wzrok jego padł na mały, ciemny przedmiot rysujący się wyraźnie na tle białego kwadratu kamiennej posadzki. Schylił się szybko i podniósł zielony klips. Wjednej chwili twarz mu stężała. Nonsens. Przecież takich klipsów mogą być setki.

Rozległ się zupełnie już spokojny głos Szymańskiego:

- Czy znalazłeś coś?

Stasiak zapanował nad zdenerwowaniem i wolno odwrócił się do przyjaciela.

- Nie, właściwie nic ciekawego. Trzeba będzie dokładnie zdjąć odciski palców. A ty znalazłeś drugą łuskę?

-Nie.

Szymański zwilżył językiem spieczone wargi. W całej jego postaci wyczuwało się wahanie.

- Słuchaj - powiedział po chwili - ty przecież byłeś dość blisko z Boreckim. Przyjaźniliście się... Musisz wiedzieć... musisz wiedzieć coś o jego prywatnym życiu. Miał jakąś przyjaciółkę?

- Dlaczego o to pytasz?

- Znalazłem niedopałek papierosa ze śladami szminki. Nie jest wykluczone, że zastrzeliła go kobieta.

Stasiak wzruszył ramionami.

- No cóż, wszystko możliwe. Wiesz przecież, że Borecki był donżuanem.

- Dobrze, dobrze - powiedział niecierpliwie Szymański. -Ale nie odpowiedziałeś mi na pytanie. Czy Borecki miał ostatnio jakąś kochankę?

Stasiak spojrzał uważnie na przyjaciela. W jego głosie wyczuł

17

coś więcej aniżeli zwykłe zawodowe zainteresowanie. Wyjął papierosa i zapalił.

- Właściwie nic nie wiem na ten temat - powiedział wolno. - W ciągu ostatnich kilku miesięcy widywałem się z Kazikiem zupełnie przelotnie. Straciłem z nim kontakt.

Zadzwonił telefon. Obaj spojrzeli w kierunku pokoju, w którym leżało ciało Boreckiego. Szymański poruszył ręką.

- Odbierz.

Stasiak szybko podszedł do aparatu i podniósł słuchawkę.

- Halo?

- Czy to ty, Kaziu? - spytał niski kobiecy głos. -Tak.

- Bądź ostrożny. Błagam cię. Grozi ci niebezpieczeństwo.

- Ale co się stało?

Rozległ się trzask odkładanej słuchawki. Połączenie zostało przerwane.

- Kto dzwonił? - spytał Szymański.

-Jakaś babka. Ostrzegała Boreckiego przed grożącym mu niebezpieczeństwem.

- Trzeba by zaraz sprawdzić, z jakiego aparatu dzwoniła. Chociaż to nie ma sensu. Na pewno nie dzwoniła z prywatnego mieszkania, ciekawe, kto mógł wiedzieć, że Boreckiemu coś grozi.

Stasiak podszedł do stołu, na którym leżało kilka drobiazgów wyjętych z kieszeni Boreckiego.

- Nie dotykaj krzesła! - zawołał ostrzegawczo Szymański.

- Bo co?

- Spójrz na linię strzału. Kula uwięzła nisko w ramie okiennej. Borecki musiał siedzieć w chwili, gdy do niego strzelono. Spadł z krzesła, które morderca odstawił na bok. Na tym krześle znajdują się odciski palców człowieka, który zabił Boreckiego.

- Jeżeli oczywiście morderca nie był w rękawiczkach - zauważył Stasiak.

Szymański pokręcił głową.

- Nie sądzę. Borecki musiał dobrze znać tego kogoś. Gdyby jakiś nieznajomy osobnik wtargnął do mieszkania, byłby się zerwał z krzesła. Fakt, że został zastrzelony w pozycji siedzącej, świadczy o tym, że Borecki zupełnie nie przeczuwał niebezpie-

18

czeństwa. Być może, że strzał padł w czasie rozmowy. Nie rozmawia się w rękawiczkach.

- Zgoda - powiedział Stasiak. - Rozumowanie twoje jest słuszne, pod warunkiem oczywiście, że to właśnie ta kula, którą żeśmy znaleźli, zabiła go, a nie ta z szóstki, której nie możemy znaleźć. Zresztą sekcja zwłok wykaże kaliber broni.

Wziął portfel ze stołu, otworzył go i wyjął kilka banknotów stułotowych.

- W drugiej połowie miesiąca Kazik zwykle był bez grosza - mruknął. - Czyżby się nagle zrobił taki oszczędny? - Przejrzał banknoty i nagle drgnął. Pośpiesznie wyjął z kieszeni notes i zaczął czegoś w nim szukać gorączkowo.

Szymański patrzył na niego z zainteresowaniem.

- Co się stało?

- Wyobraź sobie! - zawołał podniecony Stasiak. - Wyobraź sobie, że znalazłem setkę, którą przegrałem w Szczecinie w pokera.

- Nieprawdopodobne! Jesteś pewien?

- Najzupełniej. Przed wyjazdem do Szczecina zapisałem numery wszystkich pieniędzy, które wziąłem ze sobą. No zobacz, sam zobacz.

Szymański wziął do ręki banknot i porównał go z numerem zanotowanym w notesie. Widać było, że jest zaskoczony.

- Zdumiewające. Czyżby Borecki...

- Nie wyciągajmy zbyt pochopnych wniosków - przerwał energicznie Stasiak. - Może to być zrobione celowo, żeby nas naprowadzić na fałszywy ślad. Znałem Kazika dziesięć lat, pracowałem z nim!...

Szymański w zamyśleniu obracał w palcach stułotówkę.

- Zobaczymy, zobaczymy. Na razie jedno jest pewne: ci sami ludzie, których ty rozpracowywałeś, sprzątnęli Boreckiego.

Stasiak wyjął papierosa i zapalił.

- To znaczy: prawie pewne, bo ostatecznie Kazik mógł zmieniać na przykład pięćsetkę i dostać gdzieś tę setkę zupełnie przypadkowo. Ale przynajmniej, że to mało prawdopodobne, żeby ze Szczecina...

- Kiedy grałeś w tego pokera?

- Kilka dni temu. W zeszłym tygodniu.

19

- Hm. No cóż. Byłby to rzeczywiście zdumiewający zbieg okoliczności.

W tej chwili drzwi się otworzyły i wtedy weszli lekarz, fotograf i dwóch milicjantów. Nie tracąc czasu, przystąpiono do oględzin zwłok.

Stasiak spojrział na zegarek i zwrócił się do Szymańskiego:

- Czy jestem ci tu jeszcze potrzebny?

- Na razie nie. Możesz jechać. Ale czekaj!... Mam do ciebie prośbę. Umówiłem się z Anną w Stylowej. Miała nocny dyżur w redakcji i widzieliśmy się dziś rano tylko zupełnie przelotnie. Powiedz jej, że teraz nie będę się mógł z nią zobaczyć. Nie wiem, jak długo to wszystko potrwa.

Stasiak zdziwił się. Szymański nie miał zwyczaju chadzać z żoną po kawiarniach i do tego w godzinach służbowych. Nie zdradził jednak swego zdziwienia i spytał tylko:

- Czy mam jej także powiedzieć o śmierci Kazika?

- Oczywiście. A zresztą jak chcesz. To się przecież i tak nie da ukryć.

Stasiak skinął głową i ujął za klamkę. Nagle zatrzymał się.

- Czy nie masz nic przeciwko temu, żebym zabrał stąd tę książkę telefoniczną? - spytał.

Szymański spojrział zdziwiony.

- Książkę telefoniczną? Jak chcesz, to bierz. Ale po co ci?

- Czasem to bywa bardzo pouczająca lektura - uśmiechnął się Stasiak i wsunął książkę do teczki.

W bramie przystanął. Miał ochotę pogadać z dozorcą, ale zaraz zrezygnował z tego. Byłoby to przecież dublowanie roboty Szymańskiego. Wyszedł więc szybko na ulicę i wsiadł do samochodu.

Jadąc w kierunku MDM-u, czuł rosnące zdenerwowanie, nad którym trudno mu było zapanować. Nagła śmierć Boreckiego wstrząsnęła nim do głębi, ale... Ta natrętna myśl, która od pół godziny nie dawała mu spokoju, była czymś o wiele gorszym. Nie miał odwagi dopuścić tego do swej świadomości. Bał się stanąć wobec takiej alternatywy, bał się jakichkolwiek rozważań na ten temat. Wiedział jednak, że chowanie głowy w piasek na nic się nie zda, że myśli te już go nie opuszczą i że musi wszystko wyjaśnić do końca.

20

- Gdzie mam stanąć?

- Stańcie na rogu Pięknej, pod światłem.

- Zaczekać?

- Nie. Wracajcie i zaczekajcie na majora.

Anna siedziała w końcu sali. Była blada. Przywitał się pospiesznie i nie patrząc na nią, przysunął sobie krzesło. Poczuł nagle, że mu straszliwie wyschło w gardle.

- Adam kazał cię przeprosić. Nie może przyjść. Jest bardzo zajęty.

Spojrzała na niego niespokojnie i spytała:

- Czy coś się stało?

- Tak. Zamordowano Boreckiego.

Poblądła jeszcze bardziej. Ręce tak jej poczęły drżeć, że nie mogła zapalić papierosa.

- Kiedy to się stało?

- Przypuszczalnie jakieś kilka godzin temu. Dzisiaj w nocy.

- To niemożliwe - powiedziała stanowczo. Przez chwilę w zamyśleniu bawił się zapałkami.

- Dlaczego niemożliwe? - Głos miał już spokojniejszy, bardziej opanowany.

- Wydaje mi się to zupełnie niemożliwe, żeby Kazik... żeby Borecki... Przecież tak niedawno go widziałam. Chyba w zeszłym tygodniu. - Wycofywała się wyraźnie.

- Kiedy ostatnio go widziałaś? - spytał szybko.

- No nie wiem dokładnie. Parę dni temu. Nie pamiętam. W każdym razie niedawno.

- Czy panu coś podać?

W roztargnieniu spojrzał na kelnerkę. Uśmiechała się do niego. Nie odpowiedział na ten uśmiech.

- Proszę dużą kawę.

Anna otworzyła torbę, wyjęła szminkę i pociągnęła nią po wargach.

- Przepraszam cię na chwilę - powiedziała. Wstała i wolnym, niepewnym krokiem poszła do szatni.

Stasiak wziął szminkę i począł rysować grube krechy na papierowej serwetce. Następnie złożył ją starannie i wsunął do kieszeni. W tej chwili podszedł do niego szatniarz.

- Ta pani zasłała.

21

Anna siedziała, a właściwie na wpół leżała w szatni, na krześle. Była trupioblada, ale oczy miała otwarte. Uśmiechnęła się z trudem.

- Nic, nic, to zaraz przejdzie.

Stasiak wybiegł na ulicę. O taksówce oczywiście nie można było marzyć. Zatrzymał więc jakiś prywatny wóz i pokazał swoją legitymację.

Lekarz pogotowia zbadał Annę, dał jej krople i powiedział:

- Proszę ją zawieźć do domu i położyć do łóżka. To nic poważnego. Powinna odpocząć.

Tym razem Stasiak złapał taksówkę na rogu Hożej i Marszałkowskiej. Anna już mogła o własnych siłach wsiąść do samochodu. Pojechali na Mokotów. Stasiak z niepokojem myślał o tym, że Szymańscy mieszkali na czwartym piętrze. Jeżeli winda jak zwykle popsuta... Zapłacił szoferowi i troskliwie ujął Annę pod rękę.

- Jak się czujesz? - spytał.

- Już zupełnie dobrze. Dziękuję ci.

Dziwnym zbiegiem okoliczności winda działała. Pojechali na czwarte piętro i Anna poszukała kluczy w torbie. Była jeszcze bardzo blada.

- Połóż się zaraz do łóżka, aja tymczasem nastawię wodę na herbatę.

Uśmiechnęła się z przymusem.

- Opiekujesz się mną tak, jakbym naprawdę była chora. Poszedł do kuchni i nalał wody do imbryka. Kiedy zapalał

gaz, posłyszał jej głos: -Janku...

- Słucham?

- Zostawiłam chusteczkę w płaszczu. Bądź tak dobry, przynieś mi ją.

Stasiak podszedł do wieszaka i wsunął rękę do kieszeni prochowca. Natrafił palcami na jakiś przedmiot. Zielony klips. Taki sam zielony klips.

Wszedł do pokoju. Anna leżała na tapczanie. Twarz jej już zaczynała nabierać normalnej barwy. Wyciągnęła rękę po chusteczkę.

- Znalazłem także i to w twojej kieszeni.

22

Położył klips na nocnym stoliczku i spojrzał na nią uważnie. Była zupełnie spokojna.

- Zgubiłam gdzieś drugi. Szkoda. Lubiłam te klipsy. Odwrócił głowę. Przez chwilę miał ochotę wyjąć drugi taki sam klips z kieszeni i powiedzieć, że znalazł go w mieszkaniu Boreckiego. Rozmyślił się jednak. Długoletnie doświadczenie nauczyło go cierpliwości. Wiedział, że nie wolno mu działać zbyt pochopnie. Ostatecznie takich zielonych klipsów mogły być setki.

- O czym tak myślisz?

- O tym, że woda już się pewnie gotuje. Zaraz dam ci mocnej herbaty.

Rozległ się dzwonek.

Anna poruszyła się niespokojnie.

- Otwórz.

W drzwiach stała młoda, bardzo piękna kobieta. Brunetka. Duże ciemne oczy, oliwkowa cera i czarne, lśniące włosy. Robiła wrażenie Włoszki lub Hiszpanki. Stasiak nigdy nie widział jej u Szymańskich.

Ujrawszy nieznanego mężczyznę, zawahała się.

- Przepraszam. Czy zastałam panią Szymańską?

- Tak. Ale nie wiem...

- Czy to Ewelina? - spytała Anna. W głosie jej wyczuwało się zdenerwowanie.

Piękna brunetka, nie spojrzawszy na Stasiaka, weszła do pokoju.

- Cóż to, chorujesz? Anna podniosła głowę.

- Nie, głupstwo. Nic mi nie jest. Pozwól, że ci przedstawię kapitana Stasiaka.

Uścisnęli sobie dłonie. Stasiak nie dosłyszał nazwiska pięknej brunetki.

- Anna zastąpiła trochę - wyjaśnił. - Właśnie ją pielęgnuję. Ale sądzę, że teraz pani mnie zastąpi?

- Tak, tak. Idź do swojej roboty. Ewelina się mną zajmie. Zresztą czuję się już zupełnie dobrze. Dziękuję ci, Janku.

Stasiakowi wydało się, że Anna zbyt skwapliwie pragnie się go pozbyć.

23

-W takim razie zostawiam panie same. Zawiadomię Adama o twojej przygodzie. Może będzie chciał wezwać lekarza.

Anna poruszyła się niecierpliwie:

- Niepotrzebny mi żaden lekarz. Nic mi nie jest.

- No to do widzenia.

- Do widzenia, Janku. Zgaś gaz po drodze.

- Nie chcesz herbaty?

- Nie, nie. Może później.

Na ulicy było parno. Gorący wiatr wzniecał tumany kurzu

i zasypywał piaskiem oczy. Zanosilo się na deszcz.

Stasiak zatrzymał jakąś starą, rozklekotaną taksówkę i kazał się zawieźć do redakcji „Expressu”.

Makowski był zupełnie łysy, natomiast miał gęste sterczące włosy. Widocznie w ten sposób chciał sobie powetować brak owłosienia na głowie. Entuzjastycznie powitał przyjaciela:

-Jak się masz, Jasiu. Masz coś dla mnie? Podobno zakatrupili jakiegoś oficera milicji. Gadaj, jak to się stało. Jesteśmy sami w pokoju. Nie pisnę nikomu ani słowa. - Patrzył wyczekująco. Nie wiadomo jakim sposobem, ale zawsze pierwszy miał wiadomości o wszystkich sensacyjnych wydarzeniach.



Stasiak wyjął paczkę giewontów i poczęstował dziennikarza.

- Cóżżeś ty taki mizerny? - spytał.

- Trochę jestem niewyspany. Miałem dziś nocny dyżur.

- Nocny dyżur? - zainteresował się Stasiak. - I sam tak dyżurowałeś?

- Był ze mną Banaś. Wiesz, ten z krzywym okiem. Znasz go chyba?

- Tak, poznałem go. Sympatyczny chłopak. A Ania Szymańska już z tobą nie pracuje?

- Pracuje. Nie przyszła tylko dzisiaj do redakcji. Nie wiem, co się z nią stało.

- I urzęduje zwykle w tym pokoju?

- Tak. Właśnie siedzisz przy jej biurku. Ale coś ty się nagle zainteresował Szymańską?

- Nie, nic. Ot tak sobie spytałem. Makowski przysunął się do Stasiaka.

- No więc co jest z tym morderstwem? Puść trochę farby. Stasiak uśmiechnął się i potrząsnął głową.

24

- Na razie nie możemy mówić na ten temat. Zadzwoń do ciebie, jak sprawa będzie się nadawała dla prasy. Ale radzę ci, nie licz na to i szukaj sobie innego materiału.

Dziennikarz poruszył wąsami i spojrzał zdziwiony.

- Nie rozumiem. Więc po co właściwie do mnie przyszedłeś? Nie podejrzewam cię o to, żeby nagle tak wezbrały w tobie przyjacielskie uczucia.

- A żebyś wiedział - zaśmiał się Stasiak. - Stęskniłem się za tobą. Może wyskoczmy gdzieś na kawę?

Makowski zrobił ponurą minę.

- Niestety nie mogę się stąd ruszyć. Ma do mnie przyjść jeden gość. Ale zaczekaj. Spróbuję skombinować kawę. Posiedź tu chwilę.

Wszedł i jego kroki rozległy się na korytarzu.

Stasiak rozejrzał się szybko i szarpnął biurko. Było otwarte. Pospieszenie począł przerzucać nagromadzone w szufladach papiery, maszynopisy, drobne notatki czynione pospiesznie ołówkiem. Nie znajdował jednakże nic takiego, co by go mogło zainteresować. Już miał zrezygnować z dalszych poszukiwań, gdy nagle w środkowej szufladzie spostrzegł zgniecioną kulkę papieru, którą widocznie ktoś miał zamiar wrzucić do kosza i w ostatniej chwili się rozmyślił. Rozwinął ją, pospiesznie schował do kieszeni i zatrzasnął szufladę. Właśnie w tej chwili wszedł Makowski.

- Zaraz będzie kawa.

- Niepotrzebnie robisz sobie kłopot.

- Żaden kłopot. Mnie też się przyda trochę kafeiny. Jestem zupełnie klapnięty.

Tęga woźna wniosła dwie dymiące szklanki.

-Już osłodzona - oznajmiła niskim, dudniącym głosem.

Makowski zaczął opowiadać jakieś kawały. Stasiak słuchał go z roztargnieniem. Co chwilę łąpał się na tym, że myśli o czym innym. Przez uprzejmość śmiał się w momentach, kiedy dziennikarz wybuchał hałaśliwym śmiechem. Nie bardzo rozumiał, o co chodziło w tych opowieściach. Nie mógł uwolnić się od natrętnych, uporczywych myśli, które go całkowicie absorbowwały. Wreszcie pożegnał przyjaciela i obiecawszy mu, że zawiadomi go o wynikach śledztwa, jak tylko to będzie możliwe, wyszedł z redakcji.

25

\* \* \*

Magister Wolniak skinął głową.

- Tak. Oczywiście. Cały dotychczasowy materiał w sprawie Boreckiego jest już właściwie gotów. Analiza szminki na papierosie także.

Stasiak wyjął papierową serwetkę.

- Chciałbym porównać z tą szminką - powiedział. Wolniak spojrzał na niego z zaciekawieniem.

- Wpadliście na jakiś trop?

- Nie wiem. Może. Czy odciski palców w mieszkaniu Boreckiego już zdjęte?

- Oczywiście.

To nie trwało długo. Szminka na serwetce ze Stylowej okazała się identyczna ze szminką znaną w mieszkaniu Boreckiego, na niedopałku.

- Czy jeszcze macie coś do mnie, kapitanie?

- Te włosy. Ale to już chyba sam sobie poradzę. Stasiak sięgnął do kieszeni.

Wolniak ostrożnie wziął do ręki maleńką paczuszkę i wyjął szkło powiększające.

- Bardzo ciemna brunetka - powiedział. - Włos mocny, gruby. Chyba młoda kobieta. Czy mam to dołączyć do sprawy Boreckiego?

- Tak. Znalazłem te włosy na grzebieniu w jego łazience. Stasiak podziękował Wolniakowi i wyszedł z zakładu. Nie

miał tu nic więcej do roboty.

Poszlaki, same mętne, nic nieznaczące poszlaki. Klips w łazience... ileż to kobiet może nosić takie klipsy? Szminka? Na pewno w Warszawie tego gatunku szminki używa kilka tysięcy kobiet. Że przejęła się śmiercią Boreckiego...? Cóż w tym dziwnego? Przecież przyjaźnili się. Kazik był częstym gościem u Szymańskich. Nie, nie, to wszystko nie ma najmniejszego sensu, to nie są żadne dowody. W ten sposób podejrzenie można rzucić na każdego. Włosy ciemnej brunetki na grzebieniu? Anna była szatynką. Za to ta jej znajoma to stuprocentowa brunetka. Mało to brunetek na świecie? Musiała koniecznie ona czesać się w mieszkaniu Boreckiego? Nonsens. Najbardziej konkretnym faktem

był ten telefon. Stasiak miał niezwykle wyrobiony słuch i mógłby przysiąc, że głos ostrzegający Boreckiego przed niebezpieczeństwem to był głos Anny. Kiedy jej powiedział, że Borecki został zamordowany w nocy,

była tym niezwykle zaskoczona, tak, jakby miała pewność, że niedawno rozmawiała z nim przez telefon. Ale jeżeli Anna ma coś wspólnego z morderstwem, to dlaczego ostrzegałaby Boreckiego? A może to nie był jej głos? Może tak mu się tylko zdawało? Może w ogóle coś sobie uroił? Czuł jednak, że nie wszystko jest tu w porządku. Dlaczego na przykład Anna skłamała? Dlaczego powiedziała, że ma nocny dyżur w redakcji? Co robiła całą noc? Gdzie była? A może ma kochankę?

To byłoby właściwie najprostsze i najlepsze w tej sytuacji. A kartka znaleziona w biurku? Parę słów napisanych prymitywnym szyfrem. Jeszcze w Anglii, w czasie wojny, specjalizował się w szyfrach. Odczytał więc to bez trudu: JUTRO O OSIEMNASTEJ STEFAN BĘDZIE U MECENASA. Jaki Stefan? Kto to jest ten mecenas? Dlaczego ktoś do Anny pisze szyfrem? A może to wcale nie była kartka pisana do Anny, może przypadkowo zawieruszyła się w jej szufladzie? Kto to jest ta piękna brunetka? Nigdy dotychczas nie spotykał jej u Szymańskich. Adam ostatnio był bardzo zdenerwowany. Czyżby podejrzewał o coś żonę? Umówił się z nią dzisiaj w Stylowej. Dlaczego? Nie miał zwyczaju spotykać się z Anną w kawiarni.

Nadjechał tramwaj. Stasiak wskoczył do drugiego wozu i stojąc na platformie, patrzył w zamyśleniu na szare od kurzu miasto. Był niezadowolony z siebie. Cała sprawa gmatwała się coraz bardziej, a on nie potrafił właściwie znaleźć żadnego konkretnego punktu zaczepienia. Wszystko to były tylko mętne poszlaki, niejasne domysły, mniej lub bardziej fantastyczne hipotezy.

W komendzie zastał Szymańskiego.

- Dobrze, że jesteś, chciałem z tobą pomówić. Stasiak usiadł i zapalił papierosa.

- Widziałeś się z Anną?

- Tak. Byłem w domu. Anna czuje się już dobrze. Męczą ją te dyżury w redakcji. Trzeba będzie to jakoś załatwić.

Stasiak obserwował przyjaciela. Wydało mu się, że Adam jakby przygaś.

- Zastałeś jeszcze u Anny tę piękną brunetkę?

27

- Nie. Nie było nikogo. Wspominała mi Anna, że odwiedzała ją jakaś przyjaciółka. Tyle ma tych przyjaciółek, że ja ich nawet połowy nie znam.

- Mówię ci, że babka pierwsza klasa - powiedział Stasiak. - Czarna jak Cyganka. Wygląda na jakąś gwiazdę filmową.

Szymański począł oglądać sobie paznokcie. Oznaczało to, że jest zakłopotany. Powiedział:

- Do tej pory pracowałeś ze mną lojalnie.

- Nie rozumiem.

- Dałeś do badania jakąś szminkę i włosy, które znalazłeś w mieszkaniu Boreckiego. Nic mi o tym nie wspominałeś.

Stasiak zmieszał się. Nie przypuszczał, że Wolniak od razu zawiadomi Adama.

- Właśnie miałem ci powiedzieć. Włosy jakiejś brunetki, a szminka taka sama jak na tym niedopałku.

- Gdzie znalazłeś ślady tej szminki?
- Także w łazience u Boreckiego.
- Mówił mi Wolniak, że szminka była na papierowej serwetce.
- Tak. Prawdopodobnie jakaś babka wypróbowała kolor. Szymański wstał i podszedł blisko do przyjaciela.
- Słuchaj, Janku... Nie chciałbym stracić do ciebie zaufania. Powinieneś być zawsze ze mną szczery. A teraz mam wrażenie, że tak nie jest.

Stasiak pomyślał, że w tej chwili niczego tak nie pragnął, jak właśnie szczerzej rozmowy z Adamem. Nie mógł z nim jednak mówić o tych wszystkich wątpliwościach, które mu się nasunęły w związku z zachowaniem się Anny. Dopóki nie zdobędzie jakichś konkretnych faktów, musi milczeć.

- Nie rozumiem, dlaczegoś się zrobił nagle taki podejrzliwy. Nie mam zamiaru nic przed tobą ukrywać. Nie przywiązywałem do tych drobiazgów większego znaczenia i dlatego ci nie powiedziałem. No cóż... włosy... szminka... To właściwie żadne ślady. Wiemy wszyscy, że Borecki był kobieciarzem.

Szymański siedział zamyślony i patrzył w okno. Zdawać by się mogło, że nie słucha. Twarz miał skupioną, poważną. Bruzdy wokół ust pogłębiły się jeszcze.

- Widzisz - powiedział cicho, a w głosie jego wyczuwało się hamowane wzruszenie - widzisz... w życiu przychodzi chwila,

28

w której człowiek uświadamia sobie, że jest zupełnie, ale to zupełnie sam. Jeszcze wczoraj byli przyjaciele, rodzina, żona, aż nagle... - umilkł i nerwowo zaczął szukać po kieszeniach papierosów.

Stasiak podał mu papierośnicę.

- Chyba wiesz, że masz we mnie oddanego przyjaciela.
- Chciałbym w to wierzyć - powiedział Szymański i uśmiechnął się niewyraźnie.
- O, widzę, że sobie sprawiłeś nową papierośnicę - dodał już innym tonem. - Tylko że ta jest trochę mniej wartościowa.
- Ja myślę - zaśmiał się Stasiak. - Tamta była złota. Prawie trzysta gramów czystego złota, nie licząc monogramu z rubinów.
- Co ci do głowy strzeliło zabierać ze sobą złotą papierośnicę na taką wyprawę?
- Ta papierośnica już drugi raz uratowała mi życie. Pierwszy raz to było w Aleksandrii.
- W Aleksandrii?
- Tak. Jakiś pijany Murzyn pchnął mnie nożem. Ostrze ześliznęło się po tym kawałku złota.
- A więc papierośnica-talizman.
- Można by ją tak określić. Ruth, dając mi ją, powiedziała, że przyniesie mi szczęście. Wspaniała dziewczyna. Chciała, żebym się z nią ożenił i został na stałe w Anglii.

- I nie zdecydowałeś się?

- Nie. Nie wierzę jakoś w te mieszane małżeństwa. Z cudzoziemką zawsze jest człowiek narażony na jakieś niespodzianki. Kochanka tak... ale żona...

Szymański uśmiechnął się.

- Myślę, mój drogi, że w ogóle w małżeństwie trzeba być przygotowanym na bardzo wiele niespodzianek.

Zadzwonił telefon. Szymański szybko podniósł słuchawkę.

- Halo? Jestem przy aparacie. Słucham, towarzyszu pułkowniku. Tak, tak, oczywiście. Stasiak? Właśnie jest u mnie w gabinecie. Zaraz przyjeżdżamy.

- Co się stało? - spytał Stasiak.

- Konarz nas wzywa. Ważna konferencja. Jedziemy.

- Na Rakowiecką?

29

-Tak.

Pospiesznie zeszli na dół i wsiadli do samochodu. Kiedy mijali Raławicką, Szymański powiedział:

- Zdaje mi się, że jeszcze raz będziesz musiał opowiadać o swoich przygodach w Szczecinie.

Pułkownik Konarz był niskiego wzrostu. Twarz miał energiczną, ruchliwą, zdradzającą bystrą inteligencję. Wąskie szare oczy patrzyły przenikliwie. Nie lubił dużo mówić. Każdą sprawę załatwiał szybko i bardzo rzeczowo. Znany był też ze swych błyskawicznych decyzji. Przywitał się pospiesznie z przybyłymi i ręką wskazał przystojnego mężczyznę stojącego pod oknem.

- Przedstawiam wam, towarzysze, kapitana Jasińskiego z kontrwywiadu.

Uścisnęli sobie dłonie i usiedli.

Konarz przez chwilę przeglądał jakieś papiery, coś pospiesznie odnotował na małej kartce, wreszcie podniósł głowę i powiódł spojrzeniem po obecnych.

- Proszę towarzyszy. Sytuacja jest poważna. Nie będę tracił czasu na dłuższe wstępy. Krótko i wężłowato: od pewnego czasu otrzymujemy z Niemiec Zachodnich raporty, że od nas przekazywane są regularnie informacje szpiegowskie, a ściślej mówiąc mikrofilmy ze zdjęciami fabryk, urządzeń technicznych, obiektów wojskowych, portów, a nawet dokumentacji technicznej maszyn. Dotychczas, mimo usilnych starań, nie udało nam się natrafić na trop organizacji szpiegowskiej, która musi być szeroko rozwinięta. Wiem, że kapitan Stasiak natknął się w Szczecinie na jakąś bandę, która być może ma jakieś powiązania z tą działalnością. Jak to wygląda kapitanie?

Stasiak odchrząknął.

- No cóż, towarzyszu pułkowniku, sprawa jest prosta. Pojechałem w teren, żeby rozpracować szajkę bandycką, grasującą na Wybrzeżu. Udało mi się do nich dostać, pozyskać ich zaufanie. Zrobiłem nawet z nimi parę skoków i już miałem ich przytknąć, gdy nagle zorientowałem się, że oni nie tylko napady kombinują, że prowadzą także inną, poważniejszą robotę. Właściwie wydaje mi się, że w tę inną robotę był wtajemniczony

ich szef, który ma przezwisko Suchy. Zrezygnowałem więc z zatrzymania ich i czekałem sposobności, żeby się czegoś bliższego

dowiedzieć. Nie udało mi się. Właśnie tego dnia, kiedy mieliśmy ruszyć w teren, zaczęli mnie podejrzewać. Robiło to zupełnie takie wrażenie, jakby mnie ktoś sypanął. Nie mogę tylko zrozumieć kto. Chcieli mnie kropnąć. Ledwo udało mi się ująć z życiem, towarzyszu pułkowniku.

- Kapitan Borecki wiedział o waszej akcji? - spytał Konarz.

- Tak.

- Czy uważacie, że zamordowanie Boreckiego ma jakiś związek z tą sprawą?

Stasiak zawahał się.

- Mów śmiało tak, jak myślisz - wtrącił się Szymański. - Tu nie ma co się bawić w sentymenty.

- No cóż... Przyznaję, że ten banknot znaleziony przy Boreckim daje dużo do myślenia. Ale jeżeli nawet założymy, że Borecki miał jakieś powiązania z bandą, to nie rozumiem, dlaczego tolerowali mnie między sobą blisko trzy tygodnie.

Konarz wyjął papierośnicę i poczęstował oficerów.

- Tak. To wszystko wygląda bardzo zagadkowo. A teraz posłuchajcie towarzysze, jaki jest mój plan działania.

Pochylili się nad blatem biurka. Pułkownik zniżył głos.

Po półgodzinie Szymański i Stasiak wracali do komendy. Obaj byli zamyśleni i nie zdradzali ochoty do rozmowy. Dopiero gdy podjeżdżali pod ogromny gmach otoczony żelaznymi sztachetami, Stasiak spytał:

- A kto poprowadzi śledztwo w sprawie Boreckiego? Szymański wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie wiem. Trzeba się będzie zastanowić. Może Downar.

W hallu otoczył ich przyjemny chłód. Grube mury chroniły przed upałem. Stasiak kupił w kiosku papierosy i poszli na górę.

Usiadłszy za biurkiem, Szymański natychmiast połączył się z wydziałem personalnym w sprawie udzielenia Stasiakowi natychmiastowego urlopu wypoczynkowego i wyrobienia mu miejsca w Continentalu w Krynicy.

- Przez jutrzejszy dzień wszystkim naokoło opowiadaj o tym, że wyjeżdżasz na urlop do Krynicy. Poślemy tam na twoje papiery Lipińskiego albo Kobiela. Ty kupisz sobie bilet w Orbisie, ulokujesz się w sypialnym wagonie, a następnie wysiądziesz

30

31

w Kielcach i pojedziesz w przeciwnym kierunku. Musisz tak załatwić, żeby nikt nie spostrzegł, że wysiadłeś.

- Dobra, dobra - powiedział Stasiak. - Dam sobie radę. - Ziewnął. Był bardzo zmęczony. - Czy masz jeszcze coś do mnie? - spytał.

- Nie. Na razie to byłoby wszystko. Możesz jechać do domu. Na ulicy Stasiak poczuł, że jest głodny. Właściwie

cały dzień

nic nie jadł. Spojrzał na zegarek. Dochodziła ósma.

Letni dzień wesołymi blaskami złocił się nad dachami domów, po przelotnym deszczu znowu się wypogodziło. Nadchodził wieczór, znacząc ciemniejszym błękitem niebo i łagodząc palące promienie słońca. Miasto było wyludnione. Zniknęły z ulic tłumy rozkrzyczanej młodzieży, „urlopowicze" wyruszyli nad morze, nad jeziora mazurskie lub w góry. Kto mógł, uciekał od rozprężonego słońcem asfaltu i od poszarzałych od kurzu ulic. Tylko półnaczy robotnicy wytrwale rozkopywali jezdnię, poprawiając tory tramwajowe, zmieniając szyny i podkłady.

Stasiak wysiadł z dziewiętnastki na placu Konstytucji i poszedł do Dziejzilli. O tej porze było tu dość pusto. Spocony kelner z miną pełną rezygnacji przyjął zamówienie. Na jego szerokiej, gładko wygolonej twarzy malowała się wyraźna niechęć do świata i ludzi.

Owocowa zupa była dziwnie wodnista, a rumszyk twardy jak podeszwa narciarskiego buta. Stasiak niezrażony jednak tymi mankamentami sztuki kulinarnej zjadł z apetytem obiad, wypił kufel piwa i przejrzał pozostawione przez kogoś „Życie Warszawy". Czuł ogarniającą go senność. Był naprawdę zmęczony. Całą noc spędził w pociągu, a następnie taki dzień... Wyjął z kieszeni portfel i skinął na kelnera.

Przeszedł na drugą stronę ulicy. Na rogu Pięknej czekał cierpliwie na piątkę. Mieszkał za placem Narutowicza, na Częstochowskiej. Pałac papierosa, przyglądał się ludziom siedzącym pod kolorowymi parasolami. Kelnerki roznosiły lody i fructovit.

Przed Stylową zatrzymał się wiśniowy wartburg. Wysiadł młody mężczyzna w eleganckim, świetnie skrojonym garniturze. A za nim... Stasiak drgnął. Tak, to ta sama piękna brunetka, którą spotkał u Anny.

32

Weszli do kawiarni. Stasiak zawahał się chwilę. Wzruszył ramionami. Co go właściwie mogła obchodzić jakaś przyjaciółka Anny? Zawodowa ciekawość jednak przemogła. Zrezygnował z nadziejądzającej właśnie piątki.

Z szatni zobaczył, jak siadają przy stoliku w głębi. Poszedł na górę i ulokowawszy się koło bariery, począł ich uważnie obserwować.

Jak to ona ma na imię - usiłował sobie przypomnieć. - Takie dziwne, niecodzienne imię. Aha, Ewelina. Wcale to do niej nie pasuje. Raczej Carmen czy Conchita. Wyglądałaby znakomicie z wysokim hiszpańskim grzebieniem i z koronkowym szalem. No i oczywiście pąsowa róża w zębach, która za chwilę znajdzie się u stóp zwycięskiego torreadora."

Jej towarzysz, postawny, przystojny blondyn, miał gęstą, falującą czuprynę i wspaniałe zęby błyskające bielą na tle śniadej, mocno opalonej twarzy. Robił wrażenie sportowca przebywającego dużo na świeżym powietrzu.

Rozmawiali z ożywieniem. Ona najwidoczniej go kokietowała. On, jak łatwo się było domyślić, prawił jej komplementy. Byli bardzo sobą zajęci.

Stasiak nie mógł oczywiście słyszeć ich rozmowy. Znudził się więc niebawem obserwowaniem zakochanej pary, zapłacił za kawę i zszedł na dół. Znowu musiał czekać na piątkę. Był zły na siebie. Właściwie niepotrzebnie stracił tyle czasu. Najoma Anny flirtuje z jakimś przystojnym blondynem... No to co z tego?

Wreszcie nadeszła piątka. Wsiadł do drugiego wozu. W tramwaju było zupełnie luźno. Jednakże przyjemnie

jest w lecie w Warszawie - pomyślał. - Nigdzie nie ma tłoku."

Dopiero w domu przypomniał sobie o książce telefonicznej, którą zabrał z mieszkania Boreckiego. Ulokował się wygodnie w fotelu i począł uważnie przewracać zniszczone, powalane kartki. Jedną z jego licznych maksym brzmiała: „Pokaż mi swoją książkę telefoniczną, a powiem ci, kim jesteś”. Tym razem jednak poszukiwania nie dawały pożądanego rezultatu. Zakreślone były numery Komendy Głównej MO, niektórych komisariatów, prokuratury, ministerstwa. Znalazł też znaczki przy swoim numerze i przy numerze Szymańskiego.

Kiedy doszedł do litery W, spostrzegł maleńką kreseczkę.

33

Waliszewski Karol, adwokat, Nowy Świat. A może to tylko przypadkowa plamka? Nie. Znaczek był zupełnie wyraźny, nakreślony celowo. Kto to może być adwokat Waliszewski? Co go łączyło z Boreckim?

Pomyślał chwilę, a następnie przysunął sobie telefon i nakręcił numer. W słuchawce postyszał dźwięczny, energiczny baryton.

- Halo? Kto mówi?

- Czy to pan mecenas Waliszewski? -Jestem przy aparacie. Kto mówi?

- Ja dzwonię z polecenia Kazia Boreckiego. Bardzo pilna sprawa. Gdzie mógłbym się zobaczyć z panem mecenasem?

- Ale kto mówi? - Głos w słuchawce zabrzmiał ostro, niecierpliwie.

- To nie ma znaczenia. Moje nazwisko i tak panu nic nie powie. Borecki prosił mnie, żebym się z panem skontaktował w bardzo ważnej sprawie.

- Nie znam żadnego Boreckiego i proszę nie zawracać mi głowy głupimi żartami. Chuligani, psiakrew!

Trzasnęła energicznie odłożona słuchawka.

Stasiak siedział zamyślony. Właściwie ta rozmowa telefoniczna nic mu nie dała, chociaż... Kiedy powiedział, że dzwoni z polecenia Boreckiego i że ma bardzo pilną sprawę, tamten spytał: „Ale kto mówi?”. Człowiek niemający z Boreckim nic wspólnego raczej od razu odpowiedziałby, że to pomyłka i że nie zna Boreckiego. A może jednak mecenas Waliszewski... Hm... Trzeba to będzie jeszcze zbadać.

A teraz dosyć już wszystkich spraw, śledztw, poszlak i dochodzeń. Spać, spać jak najprędzej.

Poszedł do łazienki i puścił wodę. Wykąpie się nareszcie, włoży czystą piżamę. Pościel kazał sobie zmienić przed wyjazdem. Ach, co za rozkosz wyciągnąć się na chłodnym, szorstkim prześcieradle. Zdjął krawat, wyjął z szuflady szeroki kosmaty ręcznik.

Nagle rozległ się dzwonek.

Stasiak zdziwiony spojrział w kierunku drzwi. O tej porze? Kto to może być? Zawahał się. A jeżeli... Nigdy nic nie wiadomo. Wziął ze stołu pistolet i szybko wsunął go do bocznej kieszeni marynarki.

34

Znowu zadźwięczał dzwonek. Tym razem dłużej, natarczywiej.



Stasiak poszedł do przedpokoju, odsunął zatrząsk, szarpnął drzwi i cofnął się o krok. W progu stała Anna.

- Dobry wieczór. Bardzo cię przepraszam za najście o tej porze. Już późno. Pewnie jesteś zmęczony. Chcesz się położyć. Przykro mi, że ci musiałam przeszkodzić, ale widzisz, tak się złożyło... Właściwie nie zajmę ci dużo czasu. Najwyżej pół godziny. Wiem, że jesteś mi życzliwy i dlatego... dlatego zdecydowałam się przyjść. To nie bardzo może wypada, żeby późnym wieczorem do kawalerskiego mieszkania... Ale... ale bywają takie sytuacje... Myślę, że mnie źle nie zrozumiesz, że...

Mówiła szybko, jakby dużą liczbą słów pragnęła pokryć zmieszanie. Zupełnie straciła swą zwykłą pewność siebie i tupet. Robiła wrażenie pensjonarki po raz pierwszy przestępującej próg garsoniery.

Stasiak w pierwszej chwili tak był zaskoczony tą dziwną wizytą, że nie wiedział, co powiedzieć. Machinalnie uścisnął wyciągniętą ku sobie dłoń i wykonał zapraszający ruch w kierunku pokoju.

- Proszę cię, wejdź. Rozejrzała się ciekawie.

- Ładnie tu u ciebie. Przyjemnie się urządziłeś.

Na jego twarzy pojawił się jakiś nieokreślony uśmiech.

- No cóż, robi się, co można, ale...

Nigdy w obecności Anny nie czuł się tak skrępowany.

Jeszcze kilka tygodni temu uważałby się za najszczęśliwszego człowieka na świecie, gdyby zechciała go odwiedzić. Nie ośmielał się o tym nawet marzyć. A teraz?... Teraz stał na środku pokoju i namyślał się nad tym, co ma powiedzieć, jak zacząć rozmowę. Patrzył na nią niespokojnie, wyczekująco. Doznawał tak sprzecznych uczuć, że doprawdy nie wiedział, jak się ma zachować. Czego chce od niego Anna? Po co przyszła? Bo przecież nie miał wątpliwości co do tego, że nie przysłała jako kochanka. W obecnej sytuacji ta wizyta wcale go nie ucieszyła. Podsunął jej krzesło.

- Proszę cię, siadaj - powiedział zakłopotany. Spojrzała w kierunku łazienki.

35

- Zdaje się, że puściłeś wodę na kąpiel. Uważaj, żeby się nie przelało...

- Zaraz zakręcę. Przepraszam cię na chwileczkę. Wyszedł, zabierając po drodze krawat.

W łazience zakręcił kran, obmył sobie twarz zimną wodą, zawiązał krawat i przyczesał czuprynę. Kiedy wrócił do pokoju, był już prawie zupełnie opanowany i spokojny. Wyjął papierosnicę i poczęstował Annę.

- Zapalisz?

- Chętnie. Dziękuję ci.

Podał ogień i z bliska spojrzał jej w oczy. Wyczytał w nich wahanie i niepokój. To nie była już ta Anna, którą znał dotychczas, energiczna, pewna siebie dziennikarka, traktująca go nieraz z ledwie dostrzegalną protekcyjną wyższością. W tej chwili robiła wrażenie przestraszonej, bezradnej dziewczyny. Palce trzymające papierosa drżały nerwowo.

Ponieważ milczenie trwało trochę za długo, Stasiak poruszył się niespokojnie i powiedział:

- Bardzo się cieszę, że przysłaś. Żałuję tylko, że mnie jakoś nie uprzedziłaś. Byłbym przygotował coś na

kolację. A tak... No cóż... Mogę ci chyba tylko zaproponować kieliszek jałow-cówki.

- Chętnie.

Podszedł do niskiej szafki. Wyjął z niej napoczętą butelkę i dwa kieliszki. Nalał.

Wypiła pospiesznie, prawie łąpczywie.

- Czy bardzo dziwi cię, że przyszedłam? Zrobił nieokreślony ruch ręką.

- Przyznaję, że nie spodziewałem się. Ale ogromnie się cieszę, że cię widzę - dodał pospiesznie. - Bardzo to miło z twojej strony, że mnie odwiedziłaś.

Zaczęła się śmiać.

- Błagam cię, Janku, nie bądź taki wytworny. Zupełnie ci z tym nie do twarzy. Recytujesz grzeczne słówka jak wyuczoną lekcję. Przecież to śmieszne. Ostatecznie nie znamy się przecież od dziś i nie jesteśmy na imieninach u cioci.

Patrzył na nią chmurnie. Był zły.

- Więc czemu mam przypisać, żeś mnie raczyła odwiedzić?

36

Znowu się zaśmiała.

- Wydaje mi się, że ciągle jeszcze wpadasz w zbyt ceremonialny ton. - Nagle spoważniała. - Słuchaj, muszę z tobą pomówić. Domyślasz się chyba, że nie przyszedłam tu po to, żeby sobie pożartować.

- Czy coś się stało? - spytał niespokojnie Stasiak.

- Jak dotychczas zamordowano Boreckiego. To chyba na razie wystarczy?

Patrzył na swój papieros. Nie chciał, żeby w jego oczach zobaczyła pełne napięcia oczekiwanie.

- Czy masz mi coś do zakomunikowania w związku z tym morderstwem?

Potrząsnęła głową. Wydawało mu się, że w tym ruchu było wahanie.

- Nie, nie, nie mam zamiaru mówić o Boreckim. Chodzi o mnie.

Zdziwiony podniósł brwi do góry.

- O ciebie?

- Tak. Obawiam się, że grozi mi niebezpieczeństwo i dlatego...

- Niebezpieczeństwo? Jakie niebezpieczeństwo?

Zgasiła papierosa i strzepnęła popiół z sukienki. Następnie otworzyła torebkę, wyjęła puderniczkę i poczęła się pudrować.

Przeciągnęła też szminką po wargach. Czekał cierpliwie, aż skończy te zabiegi kosmetyczne. Wiedział, że

zbiera myśli

i chce zyskać na czasie. Był coraz bardziej zaintrygowany tą całą historią. Zamknęła torbę.

- Jak wiesz, pisuję artykuły i reportaże o chuliganach. Ten temat mnie interesuje specjalnie, ale nie przypuszczałam, że... ()statnio otrzymuję listy z pogrózkami, a nawet parę razy telefonował ktoś do mnie, obrzucając mnie najordynarniejszymi przekleństwami i grożąc, że mnie pobije. Początkowo nie zwracałam na to uwagi, ale wreszcie postanowiłam prosić cię o pomoc. Może dasz mi jakąś ochronę.

Stasiak patrzył na nią w zamyśleniu. Nie potrafił sobie uświadomić dlaczego, ale w tym wszystkim, co mówiła, wyczuwał jakąś fałszywą nutę.

- Dlaczego nie powiedziałaś o tym Adamowi? - spytał.

37

Najwidoczniej była przygotowana na to pytanie, bo odpowiedziała bez wahania:

- Wiesz, Adam jest ostatnio taki jakiś przedenerwowany, że nie chciałam mu tym zawracać głowy. Ma biedak tyle zmartwień, kłopotów, a teraz jeszcze zamordowanie Boreckiego...

- Hm. Czy masz przy sobie te listy z pogrózkami?

- Nie. Zniszczyłam je.

- Źle zrobiłaś.

- Wiem o tym. Ale w pierwszej chwili tak mnie złość porwała, że podarłam i wrzuciłam do kosza.

Obracał w palcach papierośnicę.

- No cóż... Mogę poprosić któregoś z kolegów, żeby dyskretnie zajął się tą sprawą. Ja niestety wyjeżdżam...

- Wyjeżdżasz? Dokąd?

- Do Krynicy. Dostałem urlop.

- Och, jak ja bym chętnie wyjechała. Takajestem zmęczona. Patrzył na nią zakłopotany. Robiła wrażenie małej, bezradnej

dziewczynki. Z całego serca pragnął jej pomóc, ale... Czuł, że nie jest z nim szczerą, że poza jej słowami kryje się coś zupełnie innego, coś, czego nie ma odwagi mu powiedzieć. Przynął bliżej krzesło i wziął ją za rękę.

- Co ci jest, Anno? Co się z tobą dzieje? Powiedz mi naprawdę, o co chodzi. Czuję, że od dłuższego czasu coś cię dręczy. Jesteś zdenerwowana, niespokojna. Bardzo chcę ci pomóc, ale musisz być ze mną zupełnie szczerą. Rozumiesz chyba, że...

Patrzył na nią badawczo, natarczywie. Zatrzepotała powiekami i pośpiesznie spuściła oczy.

- Powiedziałaś ci przecież, że grożą mi jacyś chuligani. - Głos miała cichy, niepewny.

Wstał i pochylił się nad nią. Owionął go zapach jej włosów. Przybliżył usta do jej twarzy.

- Anno...

Spojrzała na niego. Bezgłośnie poruszyła wargami. I nagle wybuchnęła gwałtownym, spazmatycznym płaczem.

-Ja już nie mogę, ja już nie mogę... - powtarzała wśród łkań.

Stał nad nią zaskoczony, zmieszany. Zrobiło mu się wstyd. Przyszła do niego po pomoc, a on...

38

- Anno, błagam cię nie płacz. Anno, przebacz mi... Ja nie chciałem, ja naprawdę nie chciałem zrobić ci przykrości.

Wstała i podeszła do okna. Przez chwilę w milczeniu patrzyła na źle oświetloną ulicę. Kiedy się odwróciła była już zupełnie spokojna.

- Czy ty będziesz prowadził śledztwo w sprawie zamordowania Boreckiego?

Był zaskoczony zarówno nagłą zmianą jej nastroju, jak i tym pytaniem.

- Mówiłem ci przecież, że wyjeżdżam na urlop do Krynicy. Wzruszyła ramionami.

- Mówi się dużo różnych rzeczy.

- Nie wierzysz mi?

- A ty mnie?

Zapalił papierosa i spojrzał na nią ze źle ukrywaną niechęcią.

- Przyznam ci się, że nie bardzo rozumiem...

- Czego nie bardzo rozumiesz?

- Tego wszystkiego.

Podeszła do stołu i poczęła się bawić pustym kieliszkiem. Na jej wargach pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiezek.

- Nalej jeszcze wódki.

Napełnił kieliszki. Coraz bardziej poczynął utwierdzać się w tym przekonaniu, że Anna przyszła do niego w jakimś ściśle określonym celu. Ale w jakim? Co się kryje poza tymi wszystkimi słowami? Dotychczas jedynym szczerym odruchem to był chyba ten nagły wybuch płaczu. Wolnym ruchem podniósł swój kieliszek i spojrzał pod światło na jego zawartość. Spytał:

-Jak się nazywa ta pani, którą dziś u ciebie spotkałem?

Anna wypita wódkę. Przyglądała mu się z uśmiechem.

- Podobała ci się, co? Fajna babka? - Słowa te zadźwięczały fałszywie. Ten łobuzerski ton, który nagle przybrała, dziwnie nie pasował do sytuacji. Najwidoczniej usiłowała rozbić początkowy nastrój ich rozmowy.

- Przyznaję, że to bardzo przystojna kobieta - powiedział Stasiak. - Egzotyczna uroda. Wyobrażam sobie, że wspaniale by wyglądała w stroju hiszpańskim, z wysokim grzebieniem i z ogromnymi kolczykami w uszach. A propos, czy znalazł się lwój zielony klips?

Była zdziwiona.

- Zielony klips? Nie, nie znalazł się. Dlaczego o to pytasz?

- I nie pamiętasz, gdzie go zgubiłaś? Zmrużyła oczy.

- Cóż to? Śledztwo?

- Skądże znowu. To tylko taka zawodowa rutyna.

- Przykra w prywatnej rozmowie. Ruchem pełnym rezygnacji rozłożył ręce.

- Cóż robić, przyzwyczajenie staje się drugą naturą.

- A ty stajesz się nudny. Mam dość obcowania z milicjantami. Bez przerwy człowiek się czuje jak na przesłuchaniu. Najpierw Adam, teraz znowu ty. Oszaleć można.

Usiadła przy stole i zakryła twarz dłońmi. Znowu wyglądała jak małe, nieszczęśliwe dziecko.

Jestem bydlę - pomyślał Stasiak. -Jestem skończone bydlę."

- Anno - powiedział czule. - Anno... czy musimy mówić sobie nawzajem tyle przykrych rzeczy. Przecież ja tego nie chcę. Przecież... - urwał. Bał się, że znowu powie coś takiego, co by ją mogło dotknąć.

Wyciągnęła do niego rękę.

-Ja wiem. Janku... ja wiem. Ja... - głos jej się załamał. Gwałtownymi pocałunkami okrył drobną, gorącą dłoń.

- Anno... Aniu... Przebacz mi. Jestem podły, podły. Bij mnie, bij. Nie jestem wart niczego innego. Zrozum, że ja... Czyż potrzebuję cię o tym zapewniać. Zrobię dla ciebie wszystko, tylko bądź taka jak dawniej, uśmiechnięta, wesoła, naprawdę wesoła, szczęśliwa. Powiedz, co cię dręczy, powiedz, jak mogę ci pomóc.

Ukląkł przy niej, mocno trzymając jej obie ręce.

- Ty przecież wiesz... ty wiesz... - powtarzał podniecony. Uwolniła dłoń z uścisku i delikatnym, czułym ruchem odgarnęła kosmyk włosów spadający mu na czoło.

- Wszystko, co możesz dla mnie w tej chwili zrobić, to dać mi jakąś ochronę, zapewnić mi bezpieczeństwo. Na razie nic więcej, nic więcej.

Podniósł się i począł nerwowo chodzić po pokoju. Dopiero teraz, w czasie tej rozmowy uświadomił sobie, jak bardzo kochał Annę, jak bardzo jej pragnął. Dotychczas całą siłą woli głu-

szył w sobie to uczucie. Przecież Adam był jego przyjacielem. Adam był jego najserdeczniejszym przyjacielem. Nie mógł, nie byłby w stanie prowadzić wobec niego podwójnej gry.

Więc co pozostaje? Powiedzieć prawdę? Czyż miałby odwagę pójść do Adama i powiedzieć, że kocha jego żonę? Wiedział, kim Anna jest dla Adama. Nie, nie, raczej rzucić wszystko, uciec z Warszawy, zapomnieć... nie widzieć jej ani jego. A zresztą skąd ta pewność, że Anna... Jeżeli naprawdę była kochanką Boreckiego... Zatrzymał się przy stole i sięgnął po butelkę z wódką.

- Nie pij już więcej.

- Cóż mi innego pozostaje - mruknął jakby do siebie. - Cóż mi innego pozostaje?

- Proszę cię, nie pij. Dostyć.

Odstawił butelkę i spojrzał na nią chmurnie.

- Dobrze. Jak chcesz.

Podeszła do niego blisko i położyła mu ręce na ramionach. Przez chwilę w milczeniu patrzyła mu w oczy.

- Nie mam nikogo, nikogo - powiedziała cicho. - Tak bym chciała, żebyś ty zawsze we mnie wierzył. Zawsze. Bez względu na to, co się stanie. Gdyby nawet wszyscy byli przeciwko mnie, ty jeden... Potrzebna mi jest świadomość, że istnieje ktoś taki, kto wierzy we mnie zawsze i bez względu na wszystko. Czy możesz mi to przyrzec?

-Tak.

Mocno pocałowała go w usta. Trochę zdyszana powiedziała:

- Muszę już iść. Jest bardzo późno.

- Odwiozę cię do domu.

Niedaleko bramy po drugiej stronie ulicy stała wolna taksówka. Stasiak zdziwił się. O tej porze taksówka na Częstochowskiej?

- Chodź prędzej, bo nam kto zajmie. To niebywała okazja. Zupełnie jakby specjalnie po nas przyjechał.

Wsiadli i pojechali na Mokotów. Kiedy mijali Rakowiecką, Anna powiedziała cicho:

- Lepiej, żeby Adam nie wiedział, że byłam u ciebie.

- To zrozumiałe.

- Chciałabym się jeszcze z tobą jutro zobaczyć.

- Dobrze. Zadzwoń do ciebie do redakcji.

Szofer zahamował. Pożegnali się pospiesznie. Stasiak zaczekał chwilę, aż Anna zniknęła w bramie. Następnie kazał zawrócić na Częstochowską.

Tak był pogrążony w swych myślach, iż nie zauważył, że taksówkarz wiezie go okrężną drogą. Dopiero na rogu Skalmie-rzyckiej i Tunelowej zorientował się, że coś jest nie w porządku.

- Którędy pan u diabła jedzie na Częstochowską?!

- Dojedziem, gdzie trzeba.

W tej chwili samochód, gwałtownie zahamowany, stanął i zanim Stasiak zdołał się zorientować, co się dzieje, dwóch uzbrojonych mężczyzn wsiadło do wozu. Szarpnął się i chciał sięgnąć do kieszeni. Poczuł, jak lufy pistoletów właczają mu się między żebra.

- Tylko spokojnie, panie kapitanie.

Stasiak zdążył tylko zauważyć, że obaj byli w maskach. W następnej bowiem chwili drab z lewej zarzucił mu

na głowę koc, a ten z prawej fachowym ruchem wyłuskał mu z kieszeni visa.

O oporze nie można było nawet marzyć.

Wóz ruszył ze zwiększoną szybkością. Na bezludnych, źle oświetlonych ulicach napastnicy czuli się zupełnie bezpieczni.

Stasiak, przyduszony ciężkim, chropowatym kocem, oddychał z trudem. Gorączkowe myśli przebiegały mu przez głowę błyskawicą. Kto go porwał? Co to znaczy? Gdzie go wiozą? Czego od niego chcą? Zemsta Suchego? Jeżeli tak, to niedługo już będzie się cieszył życiem. Ale dlaczego nie kropnęli go od razu? Przecież właściwie nic nie ryzykowali. Mogli mu rozwalić głowę kawałkiem żelaza i zostawić trupa gdzieś pod płotem.

Kto by ich znalazł? Ale Suchy to nie zwykły bandzior, lubi czystą robotę. Tak go załatwią, że milicja dopiero po miesiącach znajdzie zwłoki. Jeżeli w ogóle znajdzie. Psiakrew... że też się nie zorientował, że ta taksówka... Przecież znalezienie od razu wolnej taksówki zawsze jest w Warszawie trochę podejrzane. I to jeszcze do tego na Częstochowskiej. Śledzili go. Szofer specjalnie na niego czekał. Musieli też wiedzieć, że Anna jest u niego i że będzie ją odwoził do domu. Tak dać się podejść. Cholera jasna!

Po półgodzinie jazdy samochód zwolnił. Szofer coś powiedział i wtedy tamci wykręcili Stasiakowi ręce do tyłu i związali je mocno rzemieniem. Działali bardzo sprawnie. Znać było fachowców.

Zgrzytnęły hamulce. Wyciągnęli Stasiaka z wozu i nie zdejmując mu z głowy koca, poprowadzili po jakichś wybojach.

Dwóch trzymało go pod ręce, szofer szedł z tyłu, opierając mu na kręgosłupie lufę rewolweru. Po wyślizganych schodach ze-

43

szli w dół. „Kropną mnie w piwnicy - pomyślał Stasiak. - Sam diabeł nie znajdzie tu trupa.”

Skrzypnęły otwierane drzwi. Pchnęli go do środka i zdjęli mu koc z głowy. Rozejrzał się.

Niewielka piwniczna izba oświetlona słabą żarówką. Na środku prosty drewniany stół i parę krzesel. To całe umeblowanie. Okna nie było.

Posadzili Stasiaka na krześle i mocnym sznurem przywiązali go do poręczy. Najwidoczniej postanowili nie zaniedbać żadnych środków ostrożności.

Było ich czterech. Wszyscy zamaskowani. Najniższy miał na sobie jasnopopielaty garnitur i jaskrawy, czerwony krawat. Pozostali byli w zielonych płaszczach od deszczu.

Ten w jasnym garniturze powiedział:

- Przykro mi, że trudziliśmy pana kapitana tak po nocy, ale musieliśmy z panem porozmawiać.

Stasiak milczał.

- Sprawa jest niezbyt miła, jednak mam nadzieję, że dojdziemy do porozumienia. Nie chcielibyśmy doprowadzić do ostateczności. Sądzę, że pan jest na tyle rozsądnym człowiekiem... Będę się streszczał. Musimy mieć z powrotem ten materiał, i to zaraz.

Stasiak wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, o czym mówicie.

- Po co ta gadka? - odezwał się drab z boku. - Dobrze wiesz, o co się rozchodzi. Oddawaj to, co żeś zabrał w Szczecinie. A nie, to dostaniesz w czapę. - Wyjął z kieszeni płaszcz duży pistolet i zarepetował. - Nie mamy czasu na pogaduszki.

- Zostaw - warknął facet w jasnym garniturze. - Nie wtrącaj się. Teraz ja rozmawiam z panem kapitanem. - Więc... - zwrócił się do Stasiaka. - Czy odda pan dobrowolnie ten materiał, który pan zabrał z meliny w Szczecinie?

- Nie wiem, o co chodzi - powtórzył Stasiak.

Tamten pochylił się, zajął mu z bliska w oczy i począł mówić zgrzytliwym szeptem, w którym drżała hamowana wściekłość:

- Słuchaj no, panie Stasiak, ja bardzo nie lubię, jak ktoś ze mnie robi wariata. Wiemy, żeś tego materiału nikomu nie przekazał. Masz go u siebie. Nic mnie to nie obchodzi, dla kogo pra-

cujesz, i nie będę się do tego wtrącał. Ale ten materiał musimy mieć z powrotem za wszelką cenę. Zrozumiano? Za wszelką cenę. Jeżeli więc masz ochotę jeszcze trochę pożyć, to radzę polubownie sprawę załatwić.

Stasiak już się zorientował, że podejrzewają go o podwójną grę. Najwidoczniej byli przekonani, że on dla jakichś swych celów ukradł im w Szczecinie ważne dokumenty, plany czy zdjęcia. Nie miał pojęcia, jak to się mogło stać, że właśnie na niego padło podejrzenie. Nic im nie zabrał w Szczecinie i rzeczywiście nie wiedział, o co chodzi. Uspokoił się jednak trochę. Rozumując logicznie, doszedł do wniosku, że nie zaraz go zamordują. Będą najpierw usiłovali odebrać od niego te jakieś materiały. Zyskiwał na czasie, a to już było bardzo dużo w jego obecnej sytuacji. Postanowił grać na zwłokę. Wzruszył więc pogardliwie ramionami i powiedział:

- Nie wiem, o czym mówicie. I w ogóle mam tego wszystkiego dosyć. - Głos miał spokojny, pewny siebie. Niczym nie zdradzał jakiegokolwiek zdenerwowania.

Mężczyzna w jasnym garniturze skinął na stojących pod ścianą drabów:

- Zrewidować go!

Dwóch rzuciło się na Stasiaka. Błyskawicznie odwiązali go od krzesła i rozebrali do naga. Dwaj pozostali stali przy drzwiach z pistoletami gotowymi do strzału.

Poczuwszy, że ma wolne ręce, Stasiak natychmiast zastanowił się nad tym, jaki z nich można by zrobić użytek. Doszedł jednak do przekonania, że nie ma żadnych szans. Zastrzeliliby go natychmiast. Nie było sensu wdawać się w beznadziejną walkę. Tamci dwaj przy drzwiach od razu zaczęliby strzelać. A poza tym był kompletnie rozebrany. Nagi mężczyzna nie czuje się zbyt pewny siebie. Spojrzał na żarówkę.

Nie, tym razem już ten numer nie przejdzie.

Ten w popielatym garniturze pochwycił jego spojrzenie i zaśmiał się:

- Tu nie Szczecin, panie Stasiak, tu Warszawa. Radzę panu uważać z elektrycznym oświetleniem.

Dokładnie przeprowadzili rewizję. Zauważył, że szukają jakiegoś małego przedmiotu, zapewne rolki ze



zdjęciami.

Skończyli i kazali mu się ubierać. Pospiesznie wciągnął na siebie bieliznę i pomięty garnitur. W piwnicy panował wilgotny, przejmujący chłód.

Znowu go przywiązali mocno do krzesła. Właściciel jaskrawego krawata usiadł po drugiej stronie stołu, poprawił sobie maskę i zapalił papierosa. Przez chwilę patrzył w milczeniu na Stasiaka, jakby się zastanawiając, od czego zacząć. Wreszcie powiedział:

-Ja myślę, panie Stasiak, że przecież my powinniśmy dojść do porozumienia. Pan jest człowiekiem inteligentnym, doświadczonym... Pan wie, że to nie są żarty. Byłaby szkoda. Taki mężczyzna w sile wieku, zdrowy, krzepki, przystojny. Jeszcze dużo może pan w życiu użyć. Po co się spieszyć do piachu. Na to zawsze będzie czas. Ale jak się pan uprze, to nie będzie innej rady. Mam jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie. Dlaczegoż byśmy się nie mieli porozumieć? Każdy chce żyć. Wiadomo. Nie skrzywdzimy pana. Interes jest interesem. Przecież można jakoś się dogadać. Czyżby się to źle nam razem pracowało? Czy nie mógłby pan do nas wejść do sitwy? No, niech się pan chwileczkę zastanowi. Wszystko można obgadać.

- Za głupi jesteś, przyjacielu, żebym ja z tobą na takie tematy rozmawiał - powiedział Stasiak. - Jeszcze do takich spraw nie dorósł.

Opryszek cisnął na ziemię niedopałek papierosa i podniósł się z krzesła.

- Widzę, że z panem po dobroci nie można. No to pogadamy inaczej. - Zwinięta pięścią trzasnął Stasiaka w usta.

Stasiak splunął krwią i spojrzał na niego pogardliwie.

- No sam przecież widzisz, że jesteś za głupi. Zwyczaj z ciebie bandzior, i to ostatniego sortu. Nie sztuka bić związanego. Każ mnie rozwiązać, a wtedy zobaczymy, jak ci pójdzie. A w ogóle to się dziwię twoim szefom, że takich gówniarzy jak ty biorą do roboty. Ty się nadajesz do straszenia starych dziadów pod mostem Poniatowskiego, a nie do takiej roboty.

Ci w zielonych płaszczach zaczęli się śmiać.

- A niech go cholera! Ale cię zrobił.

Mężczyzna w jasnym garniturze odwrócił się na pięcie. Był wściekły.

46

- Idziemy - warknął i ruszył ku drzwiom, zabierając leżące na stole klucze. Stasiak pozostał sam. Usłyszał jeszcze stuk ryglowanych od zewnątrz drzwi, a potem wszystko ucichło. „Pojechali do mojego mieszkania - pomyślał. - Ładnego mi tam narobią porządku.”

Osowiałym wzrokiem począł wodzić po chropowatych piwnicznych ścianach. Sytuacja nie należała do najmiłszych. Rzemień wrzynał mu się boleśnie w przeguby rąk, nogi przywiązane do krzesła zdrętwiały, całe ciało przenikał przykry, wilgotny chłód. Pomyślał o swym wygodnym tapczanie i czystej pościeli. Psiakrew! Potrzebne mu było to wszystko?

Począł się zastanawiać nad sposobem wydostania się z tej dziury. Naprężył mięśnie. Był bardzo silny, ale przecież nie mógł nawet marzyć o tym, żeby się uwolnić z więzów. Uważnie przyjrzał się ścianom. Żadnego haka, gwoźdźcia czy ostrego kamienia. Gdyby nawet udało mu się przewrócić wraz z krzesłem i jakoś

podczołgać, to i tak nic z tego. O cóż mógłby przepiłować sznury i rzemień? A choćby jakimś cudem zdołał tego dokonać, to co dalej? Drzwi były masywne, okute żelazem i otwierały się do wewnątrz. Nie było sensu w ogóle myśleć o jakiejś próbie ucieczki. Pozostawało tylko czekać na dalszy rozwój wypadków. Tamci przeszukają jego mieszkanie i oczywiście nie znajdą tego jakiegoś materiału. Następnie wrócą i znowu zaczną się nad nim znęcać. A może będą chcieli go zlikwidować. No cóż, w tej piwnicy to nie takie trudne. Jeden strzał i po wszystkim. Stasiak nieraz zaglądał śmierci w oczy, ale nigdy nie czuł się tak beznadziejnie bezbronny i bezsilny. Zginąć w akcji, w walce, to zupełnie co innego. Świadomość, że w każdej chwili mogą go zarznąć jak barana, była dla niego trudna do zniesienia. Żeby miał chociaż jedną szansę na tysiąc, żeby mógł działać, bronić się, walczyć... Był całkowicie zdany na łaskę tych opryszków, którzy wreszcie zniecierpliwia się jego uporem I... O czym oni, u diabła, mówią? O jakie materiały im chodzi i dlaczego sądzą, że to właśnie on zabrał im te materiały? Musieli mieć jakieś konkretne powody, żeby go o to podejrzewać. Ale jakie? Choćby dla ratowania życia chciał wykonać wszystko, czego od niego żądają, to nie może tego zrobić. Nie wie, o co im chodzi, a oni nigdy mu nie uwierzą. Są przekonani, że to wła-

47

śnie on ukradł im jakieś ważne dokumenty. Jak ich przekonać, że tak nie jest? Jakiej użyć argumentacji? Próbować ich przekupić? Obiecać im dużą sumę pieniędzy? Gdyby to byli zwykli bandyci, to można by pertraktować z nimi na ten temat, ale jeżeli ci ludzie należą do siatki szpiegowskiej...

Nie, tutaj nie pomoże obietnica okupu. Nie ma co się łudzić. Tak marnie skończyć... Zginąć w jakichś warszawskich ruinach. Psiakrew!

Poruszył się, usiłując choć trochę wyprostować zdrętwiałe nogi. Im dłużej zastanawiał się nad swą sytuacją, tym bardziej umacniał się w przekonaniu, iż jego pełne przygód życie dobiega końca. „No cóż - myślał nie bez pewnej melancholii - prędzej czy później każdego to czeka. Czyż warto dożyć zgrzybiałej starości? Człowiek staje się niedołączny, dziecienniasty.” Rozumowanie to jednak nie było zbyt przekonujące, ponieważ Stasiak skończył dopiero trzydzieści osiem lat i miał jeszcze przed sobą dość długą drogę prowadzącą do tego zniedołączniatego starca. Każdy jednak człowiek znajdujący się w beznadziejnej sytuacji usiłuje naprędce stworzyć sobie jakąś postawę filozoficzną, która by mu pozwoliła możliwie jak najspokojniej stawić czoło śmierci. A Stasiak wiedział, że z tej przygody nie wyjdzie żywy.

Czas płynął leniwie i długie minuty układały się równymi rzędami na piwnicznych ścianach. Chybotliwe światło żarówki padało na blat stołu i na pochyloną głowę jeńca. Nadchodziła rezygnacja. Bliskość nieuniknionej śmierci sprawia, że wszystkie problemy tego świata stają się nagle ogromnie dalekie, obce i nieważne. „A może nie wrócą wcale - pomyślał Stasiak - może zlikwidują mnie gazem?” Wzruszył ramionami. Było mu właściwie wszystko jedno. Oczywiście wołał kulę, bo uczucie duszenia się gazem jest bardzo przykre, ale... Gdyby był człowiekiem religijnym, zapewne zaczęłby się modlić żarliwie. Nigdy jednak nie zdołał uwierzyć w istnienie Boga. Przebiegał więc tylko myślą minione lata, jak gdyby pragnął uświadomić sobie, jaką drogę przebył i jakim człowiekiem umiera.

Za drzwiami rozległy się kroki. Stuknęły odsuwane rygle, zgrzytnął klucz w zamku. Weszli i zatrzymali się w progu, jakby badając sytuację. Widocznie przypisywali swemu jeńcowi jakieś nadprzyrodzone właściwości. Tym razem było ich trzech.

48

Dwóch w zielonych płaszczach i ten w jasnym garniturze. Wszyscy, tak jak poprzednio, mieli maski na twarzach.

Milczeli. Stasiak patrzył na nich obojętnie. „Zastanawiają się nad tym, w jaki sposób mnie wykończyć” - pomyślał.

Zbliżyli się, rozwiązali sznury i kazali mu wstać. Podniósł się z trudem. Chwiał się na zdrętwiałych nogach. Pchnęli go ku drzwiom, zarzucając mu jednocześnie koc na głowę. Poczuł na plecach lufę pistoletu. Wyszli po schodach z piwnicy i wsiedli do samochodu. Kiedy zawarczał motor, Stasiakowi wydało się, że to nie była warszawa. „Gdzie oni mnie wiozą, do wszystkich diabłów? - myślał zdumiony. - Co to wszystko znaczy? Czy postanowili znaleźć jakieś odpowiedniejsze miejsce? Ale po co tyle ceremonii?” W każdym razie poczuł się trochę pokrzepiony na duchu. Najwidoczniej nie mieli zamiaru zastrzelić go od razu.

Wóz rozwinął dużą szybkość. Musieli wydostać się z miasta i gnali teraz jakąś szosą. Ale gdzie i po co? Koc znowu tamował mu oddech, tamci dwaj znowu wpychali mu pod żebra lufy rewolwerów. Durnie, przecież nic im nie może zrobić. Ma związane ręce rzemieniem.

Jak długo jechali, nie wiedział. Na wpół uduszony pod ciężkim kocem stracił rachubę czasu. Może to trwało pół godziny, może godzinę, a może dłużej.

Wreszcie zatrzymali się i opony zachrzęściły na żwirze. Wypchnęli go z wozu. Skrzypnęła furka. Poczuł pod nogami miękki grunt. „Jakaś podmiejska willa” - pomyślał.

Tym razem poprowadzili go po schodach w górę. Według ustalonej metody dwóch prowadziło go pod ręce, trzeci zaś szturchał go w krzyż lufą pistoletu.

Sądząc z liczby stopni, zatrzymali się przypuszczalnie na pierwszym piętrze. Rozległo się stukanie. Błyskawicznie rozwiązano mu ręce, zdjęto koc z głowy i wepchnięto do jasno oświetlonego pokoju. Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

W pierwszej chwili Stasiak mrugał powiekami oślepiony silnym blaskiem padającym z dużego, kryształowego żyrandola. Następnie zaś przyczesał zmierzwioną czuprynę i rozejrzał się ciekawie.

Pokój był duży. W głębi ciężka, ciemnowiśniowa kotara zakrywała okno. Na prawej ścianie wisiła tego samego koloru

49

portiera, za którą zapewne znajdowały się drugie drzwi. Pod oknem stało piękne biurko w stylu empire. Na nim wytworne przyrządy do pisania i duża lampa z brązu. Na lewo, bliżej drzwi, przez które wepchnięto Stasiaka, były dwa kryte barwnym adamaszkiem fotele i nieduży mahoniowy stolik. Za fotelami wysoka lampa z szerokim, malowanym w chińskie wzory abażurem. Nieomal całą powierzchnię podłogi pokrywał ogromny dywan. Umieblowania dopełniała druga rzeźbiona szafa biblioteczna oraz nowoczesny bar stojący niedaleko biurka. Na ścianach wisiła parę cennych obrazów z epoki wczesnego odrodzenia.

Stasiak stał bez ruchu i pocierając obolałe przeguby rąk, czekał, co będzie dalej. Był zupełnie zdezorientowany i nie mógł zrozumieć, co to wszystko znaczy.

Nie czekał długo. Ciemnowiśniowa portiera poruszyła się i wszedł mężczyzna, który niczym nie przypominał opryszków z piwnicy.

Był średniego wzrostu, szczupły, dobrze zbudowany. Ruchy miał zręczne, elastyczne. Twarz śniada, pociągła, o regularnych, nieomal pięknych rysach. Nos orli, ostro zarysowany podbródek i podłużne, szare oczy zdradzające nieprzeciętną inteligencję. Pomiędzy brwiami ledwie dostrzegalna blizna. Miał na sobie świetnie

skrojony ciemny garnitur, białą koszulę z półsztywnym gorssem i kolorową kamizelkę. W krawacie mieniła się brylantowa spinka.

Przyglądał mocno szpakowatą czuprynę i ze swobodą cechującą wyrobionego światowca podszedł do Stasiaka.

- Witam pana, panie kapitanie. - Głos miał miękki, aksamitny, o przyjemnej barytonowej barwie. - Niezmiernie się cieszę, że pan raczył mnie odwiedzić.

„Dom wariatów” - pomyślał Stasiak i spojrzał wyczekująco na wytwornego mężczyznę.

- Ach, prawda, przepraszam bardzo, zapomniałem się przedstawić. Nazywam się Boyst, baron Rudolf Boyst. Podaję panu moje nazwisko nie dlatego, żeby pan musiał wierzyć w jego autentyczność, ale dlatego, że jest to forma wymagana przez nasz europejski konwenans. - Mówił doskonale po polsku z ledwie dostrzegalnym cudzoziemskim akcentem.

Stasiak skłonił się i powiedział:

50

- Mam wrażenie, że pan dość dobrze zna moje nazwisko. Żeby jednak zadośćuczynić konwenansowi mogę pana jeszcze utwierdzić w tym przekonaniu, że nazywam się Stasiak, Jan Stasiak.

Pan baron uśmiechnął się i zapraszającym ruchem wskazał fotel stojący pod lampą.

- Proszę, może zechce pan spocząć, mister Stasiak. Powiedziałem: „mister Stasiak”, ponieważ sądzę, że ma pan miłe wspomnienia ze swego pobytu w Anglii.

„Do licha - pomyślał Stasiak. - Ten facet ma o mnie niezłe informacje.”

Siadając, rzucił szybkie spojrzenie w kierunku okna.

Baron znowu się uśmiechnął, tym razem jednak trochę inaczej. Wyjął z biurka cygara i tureckie papierosy i obydwa pudełka postawił na mahoniowym stolczku obok porcelanowej popielniczki.

- Proszę, może pan zapali, panie kapitanie. - Rozsiadł się wygodnie w fotelu, obciął cygaro i przez chwilę przyglądał się w milczeniu Stasiakowi, jakby chciał się zorientować, z jakim człowiekiem ma do czynienia. Wreszcie zapalił cygaro, wypuścił kłąb niebieskawego dymu i powiedział: - Zanim przystąpię do właściwego tematu naszej dzisiejszej rozmowy, chciałbym wyjaśnić pewne sprawy. Chodzi mi o to, żebyśmy mogli rozmawiać na płaszczyźnie wzajemnego zrozumienia i żeby żadne uboczne elementy nie mąciły toku naszych myśli. A więc przede wszystkim chciałbym pana najuprzejmiej przeprosić za wysoce niewłaściwe zachowanie się moich ludzi. Niestety, zaszło pożałowania godne nieporozumienie. Źle zrozumiano moje polecenia. Pragnąłbym, żeby pan nie chował urazy w sercu za to, co się stało. Zaręczam panu, że nie miałem najmniejszego zamiaru traktować pana w ten sposób. Raz jeszcze proszę więc, panie kapitanie, o wybaczenie i uważajmy ten przykry incydent za niebyły.

Stasiak milczał. Nie miał zamiaru wysilać się na bezsensowne uprzejmości. Nie wiedział, do czego zmierza ten wytworny gentleman. Przypuszczał, że po prostu kpi sobie z niego. Ale dlaczego zadawał sobie tyle trudu? Co kryło się pod całą tą niesamowitą historią? Palił spokojnie papierosa i czekał.

Po krótkiej pauzie pan baron począł mówić dalej:

- Następnie chciałbym zwrócić panu pańską własność. Przez zapomnienie zostawił pan w Szczecinie cenną pamiątkę. - Niedbałym ruchem sięgnął do kieszeni i wyjął złotą papierośnicę wysadzaną rubinami. - Piękna rzecz i dość kosztowna, a przede wszystkim droga sercu pamiątka. Miss Ruth Knighton, od której otrzymał pan ten piękny drobiazg, to moja dobra znajoma. Mieszka obecnie w Berlinie Zachodnim i wróciła do swego właściwego nazwiska: Muller, Berta Muller. To bardzo zdolna i miła osoba. Niestety angielski kontrwywiad rozszyfrował ją i musiała wyjechać z terenu Wielkiej Brytanii. No cóż, takie rzeczy się zdarzają w naszym zawodzie. Prawda, panie kapitanie? - Spojrzał wyczekująco na Stasiaka, a nie otrzymawszy odpowiedzi, uprzejmym ruchem podał mu papierośnicę.

- Proszę. Niech pan zatrzyma tę pamiątkę i niech to będzie pierwszym dowodem moich przyjacielskich intencji względem pana. Mówiąc nawiasem, pozwoliłem sobie dla porządku wykonać parę zdjęć tej papierośnicy, ale to nie ma przecież żadnego znaczenia. Jestem pewien, że się porozumiemy.

Stasiak spojrział uważniej na mówiącego. Czuł, że się zaczyna jakaś wielka gra. A więc Ruth, ta słodka, złotowłosa Ruth, była szpiegiem niemieckim i przez szereg lat wyciągała z niego wiadomości. Na pożegnanie zaś podarowała mu złotą papierośnicę z wyrytym wewnątrz napisem: Janowi Stasiakowi od kochającej Ruth".

Do wszystkich diabłów, że też tak się dał podejść. Był przekonany, że ona pracuje dla angielskiego kontrwywiadu. Ale czego właściwie ten jakiś baron chce od niego w tej chwili? Najwyraźniej jest świetnie o wszystkim poinformowany. Musiał przeprowadzić dokładny wywiad odnośnie jego osoby. Co się za tym kryje?

- Nie cieszy się pan z odzyskanej pamiątki? — spytał Boyst.

- Owszem, bardzo. Dziękuję panu. - Stasiak wziął papierośnicę i otworzył ją. Była pusta.

- Czy pan pozwoli, że do tej pamiątkowej papierośnicy włożę na pamiątkę parę pańskich znakomitych papierosów?

- Ależ oczywiście. Proszę pana uprzejmie. - Pan baron podsunął pudełko z papierosami.

„Trzasnę go w łeb papierośnicą i będę się próbował wydostać jakoś z tego bajzlu" - pomyślał Stasiak. Zdrętwienie rąk i nóg już mu przeszło i znowu czuł się krzepko.

Baron, jakby czytając w jego myślach, pochylił się uprzejmie i powiedział:

- Żeby uniknąć wszelkich możliwych nieporozumień, chciałbym wyjaśnić, że bez mojej zgody nie zdoła pan opuścić tego pokoju. Jestem uzbrojony i doskonale strzelam z pistoletu. Drzwi są zamknięte na klucz, a okno, na które pan z takim zainteresowaniem spoglądał, zaopatrzone jest w okiennicę zaryglowaną od zewnątrz. Poza tym na terenie znajdują się moi ludzie, którzy również umieją się znakomicie obchodzić z bronią palną. Mówię to wszystko oczywiście tylko na marginesie. Chodzi mi po prostu o to, żeby naszej przyjacielskiej pogawędki nie mąciły jakieś niepotrzebne myśli. Pragnę jeszcze dodać, że może pan nie przeciążać swej pamięci obrazem tego pokoju oraz mojej skromnej osoby. Zapewniam pana, że ani tego pokoju, ani tych mebli, ani mnie już pan nigdy w życiu nie zobaczy. Papierosy, które pan był łaskaw wsunąć do swej papierośnicy, również się panu na nic nie przydadzą. Wszyscy wasi urzędnicy w Ankarze palą ten gatunek i przywożą go do kraju.

- Zapewniam pana - powiedział Stasiak - że w danym wypadku nie miałem żadnej arriere-pensée. Po prostu nie lubię mieć przy sobie pustej papierošnicy.

Baron z przyjaznym ušmiechem skinął głową.

- Rozumiem, doskonale to rozumiem. Pan dobrze mówi po francusku. O ile wiem, włada pan poza tym biegle angielskim i włoskim. Niemiecki zna pan słabiej, ale to nie ma większego znaczenia.

- Jest pan, jak widzę, świetnie poinformowany.

- Gdybym nie był poinformowany, to bym dzisiaj nie zaprosił do siebie pana na tę rozmowę - powiedział Boyst. - Chyba pan rozumie, że nie traciłbym czasu niepotrzebnie.

Stasiak sennym spojrzeniem powiódł po obrazach wiszących na przeciwległej ścianie.

- Jeśli mam być szczery, to w ogóle niewiele rozumiem z tego wszystkiego. Najchętniej skończyłbym tę pogawędkę. Jestem śpiący.

Pan baron Boyst podniósł się ze swego fotela i podszedł do baru. Wyjął parę butelek i kieliszki.

53

- Whisky? Koniak? Wermut? Co panu najbardziej odpowiada?

- Wszystko jedno. Może być koniak.

W tej chwili poruszyła się portiera. Z sąsiedniego pokoju ktoś wsunął stolik na kółkach, na którym były filiżanki i maszynka z kawą.

- O, jest kawa! - ucieszył się baron. - To nam dobrze zrobi. - Pchnął stoliczek i ustawił go przed Stasiakiem. Grał rolę gościnnego gospodarza. Nalał koniaku i napełnił kawą duże filiżanki z chińskiej porcelany. Następnie usadowił się z powrotem w fotelu i z pogodnym ušmiechem spojrzał na swego „gošcia”.

- Pańskie zdrowie, panie kapitanie. - Wypił koniak i sięgnął po kawę. - No, a teraz możemy sobie spokojnie porozmawiać na interesujące nas obu tematy. Pragnę być z panem zupełnie szczery.

- Nie mam takich wymagań - powiedział Stasiak.

- A jednak tylko zupełnie szczerą rozmowę może nas doprowadzić do jakiegoš porozumienia. Zdołał się pan już zapewne zorientować, że jestem dość dobrze poinformowany o pańskim życiorysie. Jak pan sądzi, dlaczego zadałem sobie trud, aby zdobyć te wszystkie dane?

- Nie mam pojęcia.

- Hm, nie sądzę, żeby pan się nie domyślił, o co chodzi. Jest pan na to zbyt bystrym człowiekiem. Zresztą Anglicy nie zatrudniają w swym wywiadzie ludzi nieinteligentnych. Ale jeśli pan sobie życzy, to oczywiście jestem gotów wszystko dokładnie wyjašnić.

Stasiak słuchał z miną zupełnie obojętną, a nawet znudzoną, niczym nie zdradzając rosnącego zainteresowania.

Herr baron napełnił opróżnione kieliszki, wypił łyk kawy i mówił dalej swym miłym, melodyjnym głosem:

- Nie muszę panu chyba wyjašniać, że ja pracuję dla wywiadu niemieckiego. Dałem to już panu

niedwuznacznie do zrozumienia. Interesowałem się pańską osobą jeszcze w czasie wojny. Wiem, że pan służył w komandosach, w lotnictwie i wreszcie w kontrwywiadzie. Przed samą wojną wyjechał pan na studia do Londynu, gdzie zapisał się pan na wydział mechaniczny tamtejszej politechniki. Niestety, wybuchła wojna i o nauce nie mogło być mowy. Zaprzyjaźnił się pan z Ruth, czyli z Bertą, której oczywiście nie podejrzewał pan o to, że pozostaje na usługach

54

naszego wywiadu. Otrzymał pan od niej na pamiątkę piękny prezent. Przyzna pan jednak, że ta złota papierośnica mogłaby być nieco kompromitującym przedmiotem w oczach władz angielskich. Takich prezentów nie daje się na ogół za nic, a Anglicy już obecnie wiedzą, że miss Ruth Knighton była na usługach obcego wywiadu. Poza tym Ruth posiada wykaz wiadomości, uzyskanych w rozmowach z panem. Nie jestem pewien, czy taki wykazik zachwyciłby pańskich mocodawców. Jak pan sądzi, panie kapitanie?

Stasiak sięgnął po papierosa i zapalił. Już mu się nie chciało spać. To, co słyszał w tej chwili, było dla niego rewelacją. Baron dołał kawy do filiżanek i spytał z uprzejmym uśmiechem:

- Czy pozostajemy nadal przy koniaku, czy też woli pan jakiś inny trunk? Mogę panu zaproponować Martini Dry, whisky, Cinzano, Gold Gin albo kieliszek rumu. Nie wiem, co pan lubi.

- Ten koniak jest zupełnie niezły - powiedział Stasiak. - Nie widzę potrzeby zmiany trunku.

- Al right. A więc jedźmy dalej. Po wojnie z ramienia wywiadu angielskiego wraca pan do kraju i wstępuje w szeregi waszej milicji. Sprytne, bardzo sprytne. Muszę przyznać, że posunięcie wręcz znakomite. Staje się pan zasłużonym oficerem śledczym, przeprowadza pan szereg trudnych spraw, zdobywa pan sobie zaufanie i uznanie swych przełożonych, staje się pan asem służby śledczej. Brawo. Trzeba przyznać, że pan jest niezwykle zdolnym człowiekiem. Pracuje pan spokojnie dla wywiadu angielskiego, nie wzbudzając niczyjego podejrzenia. I wszystko byłoby all right, gdyby nie ta fatalna impreza szczecińska. Zdobył pan sobie zaufanie Suchego i zaczął pan z nim współpracować. To był świetny numer, nie można zaprzeczyć. Wątpię, czy znalazłby się drugi taki człowiek, który by potrafił Suchego wywieść w pole. Mam jednak dość dobrze zorganizowaną informację i w porę dowiedziałem się o pańskim przedsięwzięciu. Zdążył pan, mimo to, wejść w posiadanie bardzo cennego dla nas materiału, który chciałbym odzyskać. Wiem, że pan tego materiału nie przekazał ani swym angielskim mocodawcom, ani władzom polskim. Rewizja przeprowadzona w pańskim mieszkaniu nie dała żadnych rezultatów. Musiał więc pan ukryć ten materiał. Mam nadzieję, że dojdziemy do porozumienia-

55

mienia. Będąc tak rozumnym człowiekiem, zdaje sobie pan chyba sprawę z tego, w jakiej się pan znalazł obecnie sytuacji.

- Znalazłem się jednocześnie w paru różnych sytuacjach - powiedział Stasiak. - Nie wiem, którą pan ma na myśli.

Boyst zaczął się śmiać.

- Dobrze, bardzo dobrze, świetne określenie. Cha, cha, cha, pan jest bardzo dowcipny, panie Stasiak. To prawda, znalazł się pan w „paru różnych sytuacjach” i trzeba przyznać, że w sytuacjach niezbyt miłych. W oczach Anglików może pan być bardzo łatwo skompromitowany, a jeśli chodzi o polskie władze, to przyzna pan, że nieoddanie tak ważnego materiału może budzić pewne zastrzeżenia w stosunku do pańskiej osoby. Do tego jeszcze ten romans z panią Anną Szymańską.

-Ja nie mam z Anną romansu - zachnął się Stasiak.

Pan baron uśmiechnął się nieznacznie i zapalił nowe cygaro.

- No cóż, oczywiście można przyjąć, że około dwunastej w nocy graliście państwo w szachy w pańskim kawalerskim mieszkaniu. Zresztą to nie ma większego znaczenia. Faktem jest, że dalsze przebywanie na terenie Polski mogłoby być dla pana nieco kłopotliwe. Dlatego też zaprosiłem dzisiaj pana do siebie, aby zrobić panu pewną korzystną propozycję.

- Propozycję? - zdziwił się Stasiak. - Nie bardzo rozumiem.

- Chwileczkę, zaraz pan zrozumie. My potrzebujemy ludzi pańskiego pokroju i pańskich uzdolnień. Krótko mówiąc, proponuję panu współpracę z nami. Być może, że przerwujemy pana na zupełnie inny teren. Świat stanie przed panem otworem. Pozostawanie na terenie Polski nie stwarza dla pana właściwie żadnych możliwości rozwojowych. A sądzę, że do Anglii nie ma pan po co jechać. O stronę materialną mojej propozycji niech pan się nie niepokoi. Dolary to waluta nie gorsza od funtów szterlingów. Przypuszczam również, że będziemy mogli lepiej ocenić pańskie zasługi, aniżeli robili to dotychczas Anglicy. Zapewne w którymś z londyńskich banków posiada pan pewną sumkę. Pieniądze te oczywiście zostałyby zablokowane, gdyby pan ustosunkował się negatywnie do mojej propozycji. Pański romans z naszą agentką i pańska współpraca z nią nie znalazłaby, jak sądzę, uznania u gentlemanów z Intelligence Sendce. Wydaje mi się, panie kapitanie, że, doprawdy, w tej sytuacji mo-

56

ja propozycja jest nie do pogardzenia. Przecież pan zna świat. Niech się pan chwilę zastanowi. Paryż, Berlin Zachodni, Rzym to nie ta ciemna i ponura Warszawa, w której pan nie znajdzie nawet jednego przyzwoitego nocnego lokalu. A może pana interesuje życie na Bliskim Wschodzie? Bardzo prawdopodobne, że i na ten temat można będzie porozmawiać z czasem. Gdybyśmy doszli do porozumienia, to oczywiście zwróciłby nam pan łaskawie posiadany materiał, który zdobyliśmy z niemałym trudem i na którym nam niezmiernie zależy.

Baron umilkł i drobnymi łykami począł popijać kawę. Wyglądał jak stateczny, zamożny człowiek prowadzący beztroską pogawędkę ze swym serdecznym przyjacielem. Na jego twarzy nie widać było najmniejszego wzruszenia czy zdenerwowania. Skończył swą kawę, nalał koniaku i zwracając się do Stasiaka, spytał:

- No więc jakżeż, panie kapitanie? Jak się panu podoba moja propozycja?

Stasiak zgasił papierosa, obejrzał sobie uważnie końce butów i bez pośpiechu odpowiedział:

- Przyznaję, że jestem nieco zaskoczony pańską propozycją. Nie byłem przygotowany na tę rozmowę. Rozumie pan, że muszę się zastanowić. To nie są rzeczy zbyt proste.

- Oczywiście, oczywiście - przytaknął z ożywieniem pan baron. - Bynajmniej nie wymagam od pana natychmiastowej decyzji. Chciałem się tylko ogólnie zorientować, jak by się pan zapatrywał na taką koncepcję.

Stasiak wypił koniak, sięgnął po nowego papierosa i powiedział:

- No cóż, musiałbym tę sprawę rozważyć. Nie mogę zbyt pochopnie powziąć jakiejś wiążącej decyzji. Sądzę, że i pan w danym momencie nie jest w stanie uczynić mi zupełnie konkretnej propozycji. Przyznaję, że sprawy finansowe nie są dla mnie obojętne.



Boyst poprawił się w fotelu. Widać było, że jest zadowolony z rozmowy.

- Wobec tego, panie kapitanie, może umówimy się w ten sposób: obecnie, o ile mi wiadomo, wyjeżdża pan na wypoczynek w góry czy nad morze, to zresztą nie ma znaczenia. Spokojnie zastanowi się pan nad wszystkim tym, co powiedziałem, i oznajmi mi pan swoją decyzję. Bez pośpiechu, oczywiście. Powiedzmy

57

w ciągu dwóch tygodni. Niestety, nie będę miał przyjemności już z panem rozmawiać, ponieważ za parę godzin wyjeżdżam do Berlina.

- W jaki sposób będę się mógł z wami skontaktować? - spytał obojętnie Stasiak.

- Ach, o to niech się pan nie martwi. Będziemy z panem w stałym kontakcie. Niech pan nie zapomina o tym, iż niezależnie od pańskiej decyzji musimy odzyskać utracony materiał, który znajduje się w pańskim posiadaniu. Nie wątpię oczywiście, że nastąpi to na drodze wzajemnego, przyjacielskiego porozumienia i że nie będziemy zmuszani uciekać się do jakichś przykrych i drastycznych środków. Byłbym doprawdy niepokieszony. Z naszej rozmowy odniosłem jak najlepsze wrażenie, raz jeszcze utwierdziłem się w przekonaniu, że jest pan człowiekiem na wysokim poziomie, i nie mam właściwie wątpliwości co do tego, że zostaniemy dobrymi przyjaciółmi. Czy ma pan jeszcze ochotę na kieliszek koniaku?

Stasiak wykonał przeczący ruch ręką.

- Nie, dziękuję bardzo. Może mnie pan łaskawie poinformuje, panie baronie, jakie są pańskie zamiary w stosunku do mojej skromnej osoby na najbliższą przyszłość. Czy chciałby mnie pan odesłać z powrotem do tej zacisznej piwniczki? Jest tam dość miło, tylko trochę wilgotno. Obawiam się, że zreuma-tyzowany współpracownik nie na wiele by się panu przydał.

- Ależ skądże znowu - zaśmiał się Boyst. - Powiedziałem panu przecież na początku rozmowy, że to było pożałowania godne nieporozumienie. Nie ma o tym mowy. Zaraz każę pana odwieźć do domu. Mam wrażenie, żeśmy sobie już wszystko dokładnie wyjaśnili.

Stasiak wstał.

- Wobec tego pozwoli pan, panie baronie, że pana pożegnam.

- Chwileczkę, panie kapitanie. Bardzo mi przykro, ale zmu-szony jestem zachować pewne środki ostrożności i zawiązać panu oczy. Nie weźmie mi pan tego za złe, prawda?

Stasiak uśmiechnął się.

-Jestem do tego już przyzwyczajony. Wolałbym tylko, jeżeli można, żeby mnie nie duszono tym śmierdzącym kocem. To źle wpływa na moje drogi oddechowe.

58

- Ależ to wykluczone! - zawołał z ożywieniem pan baron. -Zaraz panu służę czymś odpowiednim. - Zniknął na chwilę za kotarą i wrócił, niosąc piękny jedwabny szalik o ciemnowiśniowym odcieniu. Najwidoczniej specjalnie lubił ten kolor.

Starannie zawiązał Stasiakowi oczy i zadzwonił. Rozległy się kroki i trzask otwieranych z klucza drzwi.

- Żegnam pana, panie kapitanie - powiedział Boyst. - Do zobaczenia, a raczej do usłyszenia.

Dwóch ludzi wyprowadziło ostrożnie Stasiaka. Tym razem jednak nikt mu nie wpychał pod żebra lufy pistoletu. Związano mu tylko ręce i sprowadzono do oczekującego samochodu, który natychmiast ruszył.

Od razu rozwinęli dużą szybkość. „Ciągnie około setki - pomyślał Stasiak. - Szosa niezła. Gdzie, u diabła, może się znajdować willa pana barona Boysta?” Próbował coś zobaczyć, ale szalik szczelnie zakrywał mu oczy. Usiadł więc głębiej i ostrożnie począł w jednym miejscu rysować paznokciem pokryte skórą oparcie. Nie zauważyli. Siedzieli milczący i nieruchomi. Nie zamienili między sobą ani słowa. Nie zapalili nawet papierosa.

Jechali tak zapewne pół godziny, a może dłużej. W mieście musieli zwolnić. W pewnym momencie maszyna wzięła gwałtowny zakręt. Zgrzytnęły hamulce. Błyskawicznie rozwiązali Stasiakowi ręce i wypchnęli go na ulicę.

Zerwał z głowy szalik. Wóz zniknął na rogu Częstochowskiej i Szczęśliwickiej. Wydało mu się, że to wartburg, ale nie był pewien. Postać chwilę, rozcierając obolałe przeguby rąk, a następnie wsunął szalik pana barona do kieszeni i wolnym krokiem wszedł do bramy.

Jakie było jego zdziwienie, gdy zastał swoje mieszkanie we wzorowym porządku. Jedyne jakieś drobne szczegóły świadczyły o tym, że podczas jego nieobecności odwiedzali je nieproszeni goście. Najwidoczniej rewizję przeprowadzali doskonali fachowcy.

Pogwizdując cicho, Stasiak rozebrał się, poszedł do łazienki i wziął letni prysznic. Ziewnął szeroko. Nareszcie mógł się wyciągnąć na chłodnym, szorstkim prześcieradle. Co za rozkosz!

Za oknami budził się nowy dzień.

59

Zadzwonił telefon.

Stasiak przewrócił się niechętnie na drugi bok i leniwym ruchem wyciągnął rękę w kierunku aparatu.

- Halo?

- Cóż ty masz taki zaspany głos? - spytał Szymański. - Jeszcze żeś się nie wyspał?

- A która to godzina?

- Dziesiąta. Od półtorej godziny czekam na ciebie. Co ty wyprawiasz?

- Zaraz przyjeżdżam - powiedział Stasiak i odłożył słuchawkę. Wstał, ogolił się, wykonał kilka gimnastycznych ćwiczeń

i wziął zimny prysznic. To go trochę doprowadziło do przytomności. Ubrał się pospiesznie i nie jedząc śniadania, wybiegł na ulicę.

Dzień był upalny. Na bezchmurnym niebie złociło się ogromne, gorejące słońce. Miasto przesłaniała mgła kurzu wznoszącego się z nigdy niepolewanych ulic. Ludzie szarzy i zmęczeni. Stojący na przystanku ocierali spocone twarze lub wachlowali się gazetami. Przy budkach z napojami było tłoczno.

Akurat nadeszła czternastka. Stasiak wskoczył do drugiego wozu i zapłacił za bilet. „Mam szczęście -

pomyślał. - Wczoraj przed domem wolna taksówka. Dzisiaj znowu jak na zawołanie tramwaj. Ciekawe, gdzie mnie zawiezie ta czternastka." Motornicy jednakże nie należał najwidoczniej do żadnej bandy, gdyż przepisowo pojechał na Mokotów.

Szymański czekał już w swoim gabinecie. Był wyraźnie zniecierpliwiony.

- Co się z tobą dzieje, u diabła? Masz dzisiaj jechać, kupa spraw do załatwienia, a ty się wysypiasz do dziesiątej.

Stasiak usiadł i zapalił papierosa. Zmieszał się, gdyż o mały

60

włos nie wyjął przez pomyłkę złotej papierošnicy. Przysunął sobie popielniczkę i powiedział:

— No wiesz, z tym wysypianiem się to znowu nie tak bardzo. Opowiem ci historyjkę, która cię zapewne zainteresuje. Posłuchaj.

W miarę jak Stasiak mówił, twarz Szymańskiego stawała się coraz bardziej skupiona. Patrzył na przyjaciela na przemian z niepokojem i z niedowierzaniem. Kiedy opowieść dobiegła końca, połączył się z ministerstwem. Rozmowa trwała krótko.

— No chodź. Pułkownik na nas czeka. Jedziemy. Stasiak podniósł się z fotela.

— Tak na mnie patrzysz, jakbyś nie wierzył w to, co mówię.

— Musisz przyznać, że to wszystko brzmi dosyć fantastycznie. Zupełnie jak sensacyjna powieść.

— Czasami życie jest bardziej sensacyjne niż wszystkie powieści razem wzięte - uśmiechnął się Stasiak.

Konarz czekał na nich. Od razu weszli do jego gabinetu.

— Siadajcie, towarzysze, siadajcie. Cóż to za nowa sensacja, kapitanie?

Stasiak opowiedział wszystko od początku, nie wspomniał jednak ani słowem o rozmowie z baronem i o uczynionej mu propozycji. Może bał się, że straci zaufanie, a może kierowały nim w tej chwili inne pobudki.

Konarz słuchał uważnie, nie przerywając mu ani słowem. Powiedział:

— Z tego wszystkiego wynika, że ci ludzie są przeświadczeni o tym, że zabraliście im jakieś niezmiernie cenne materiały. Prawdopodobnie chodzi o komplet trudno powtarzalnych zdjęć. Podejrzewają was o to, że pracujecie na swoją rękę dla obcego wywiadu, że po prostu jesteście ich konkurencją.

— Nie rozumiem tylko jednej rzeczy - powiedział Stasiak. - Skąd oni u licha mogą wiedzieć, że ja, zabrawszy im ten materiał, nie przekazałem go moim władzom? Przecież...

— To zupełnie proste - przerwał mu Konarz. - Jeżeli te zdjęcia dotyczą jakiejś ważnej tajemnicy państwowej, to musiał dokonać ich człowiek doskonale wprowadzony na terenie danego zakładu przemysłowego, instytutu badawczego czy laboratorium. Gdyby taki materiał dostał się w nasze ręce, to nasi eks-

61

perci w przeciągu godziny ustaliliby, o jaki zakład chodzi i natychmiast wszczęto by dochodzenie na terenie tego zakładu. W podobnych wypadkach działa się błyskawicznie i oni o tym wiedzą. Jeżeli dotychczas nic się

nie dzieje, to znaczy, że zdjęcia te nie zostały ujawnione i znajdują się w waszym posiadaniu. Tok rozumowania jest zupełnie logiczny. Nie chodzi tu niewątpliwie o jakieś ogólne fotografie portów, urządzeń portowych czy fabrycznych. Sprawa musi być o wiele poważniejsza. Inaczej nie ryzykowaliby takiej imprezy. Porwanie oficera milicji nie jest, bądź co bądź, zbyt prostą rzeczą.

- Tak - przytaknął Stasiak. - Takie musi być ich rozumowanie. Czy nasz plan, towarzyszu pułkowniku, nie ulegnie żadnej zmianie?

Konarz pomyślał chwilę.

- Właściwie to nam jest bardzo na rękę, że oni was uważają za agenta obcego wywiadu. Co do naszego planu działania, to proponowałbym na razie tylko jedną niewielką modyfikację. Nie będziemy udawać, że jedziecie do Krynicy. Pojedziecie od razu oficjalnie na Wybrzeże. Urlop wypoczynkowy, oczywiście. Sopot, Gdynia, Gdańsk, jakaś chata rybacka. Zresztą to już sami będziecie sobie regulować te sprawy. Dostaniecie na razie pięćdziesiąt tysięcy złotych i trochę obcej waluty. Musicie mieć pieniądze. Możecie sobie pograć w karty, w jakąś zakonspirowaną ruletę. Jeżeli jesteście na przykład szpiegiem angielskim, to nic dziwnego, że macie pieniądze. Dziewczynki, dansingi, jednym słowem powinniście się wesoło bawić. Czy pamiętacie, jak wygląda kapitan Jasiński?

- Oczywiście.

- I poznalibyście go w niewielkiej charakteryzacji?

- Sądzę, że chyba na pewno. Mam doskonałą pamięć do twarzy.

- To dobrze. Ale, ale, chciałem wam zadać jeszcze jedno pytanie, towarzyszu.

- Słucham.

- Gdzie wsiedliście wczoraj w tę taksówkę?

- Na Nowym Świecie, niedaleko Wareckiej - skłamał Stasiak.

- O której to było godzinie?

- Około dwunastej. Nie patrzyłem na zegarek.

62

- Zamiast się wyspać po podróży, włączyliście się w nocy po mieście?

- Jakoś nie chciało mi się spać. Piękny wieczór. Łaziłem trochę.

Konarz spojrział na niego z ukosa.

- No dobrze. Na razie to byłoby chyba wszystko. Pieniądze dostaniecie od majora Szymańskiego. A prawda... trzeba wam dać nowy pistolet.

Gdy wyszli od pułkownika, Szymański spytał:

- Kiedy chcesz jechać?

- Jak najprędzej. Chyba dzisiaj na noc.

- Chciałbym, żebyś się zaraz skomunikował z Downarem.
- Z Downarem? Po co?
- Będzie prowadził śledztwo w sprawie zamordowania Boreckiego.
- Widzę, że z tego Downara chcecie zrobić asa - uśmiechnął się Stasiak.
- To bardzo zdolny chłopak. Czy masz coś przeciw niemu?
- Nie, skądże. Sądzę tylko, że do tej sprawy powinien być przydzielony ktoś poważniejszy. Downar to młody człowiek. Brak mu doświadczenia.
- Niezupełnie się z tobą zgadzam - powiedział Szymański. - zresztą nasza rozmowa na ten temat jest bezprzedmiotowa. To zostało już zdecydowane.

W komendzie nie zastali Downara. Powiedziano im jednak, że niedługo powinien wrócić. Szymański poszedł do majora Leśniewskiego, Stasiak zaś usiadł u siebie za biurkiem i kazał sobie przynieść coś do jedzenia. Żując cierpliwie czerstwą bułkę z kiełbasą, próbował uporządkować trochę chaotyczne myśli. Musiał przyznać, że na brak wrażeń w ostatnich dniach nie mógł się uskarżać. Impreza szczecińska, ucieczka z meliny Suchego, zabójstwo Boreckiego, Anna, nocne porwanie, pobyt w piwnicy, rozmowa z panem baronem. Było nad czym podumać.

Skończył jeść, wypił herbatę i zapalił papierosa. No tak, dzisiaj postawił pierwszy krok na śliskiej drodze, bardzo śliskiej. Nie powiedział pułkownikowi o rozmowie z baronem i o propozycji współpracy. Zdawał sobie sprawę z tego, że było to poważne nadużycie. A może rozmowa z baronem Boystem stanowiła właśnie

63

element, którego brakowało Konarzowi do ułożenia trudnej łamigłówki? Może zatajenie tego faktu na dłuższy czas sparaliżuje dochodzenie? Zgaślił papierosa i zaraz zapalił nowego. Był zdenerwowany. Dlaczego tak postąpił? Co nim powodowało? Czy rzeczywiście bał się, że straci zaufanie swych władz, że go odsuną od roboty? Kiedy wrócił do kraju, zgłosił się natychmiast do pracy w kontrwywiadzie. Miał za sobą dobry staż w Anglii, nieźle znał się na rzeczy. Nie przyjęto go wtedy, nie miano do niego zaufania. Wstąpił więc do milicji, otrzymał stopień kapitana i tak już zostało. Dopiero teraz, kiedy wpadł na trop szpiegowskiej działalności Suchego, pojawiła się szansa przejścia do roboty w kontrwywiadzie, a może i w wywiadzie? Czyż nie odsunęliby go, gdyby się dowiedzieli, że baron zrobił mu tego rodzaju propozycję? Czy powierzyliby mu taką robotę, wiedząc, na jakie pokusy jest nieustannie narażony, jakie ma możliwości? A jednak... jednak chyba nie tylko ta obawa wpłynęła na jego decyzję. Gdzieś głęboko na samym dnie świadomości czaiła się myśl, której Stasiak nie chciał, której się bał. Berlin, Paryż, Rzym, Bliski i Daleki Wschód, może Ameryka - cały ogromny świat. Barwne, pełne przygód życie, dużo pieniędzy... Nie, nie, nigdy by nie poszedł na to, żeby pracować dla wywiadu niemieckiego na terenie Polski. Ale Arabia, Palestyna, Jordania, Włochy, Francja... Otwierały się przed nim kolosalne możliwości. Wiedział, że rozmowę z baronem Boystem można traktować poważnie. Będzie miał pieniądze, użyje świata i życia. A poza tym skończy nareszcie z Anną. Przystanie ją widywać, zapomni. Miłość do żony przyjaciela męczyła go i wyczerpywała nerwowo. Ucieczka w daleki świat byłaby dla niego prawdziwym ratunkiem. Przeciągnął dłonią po czole. Było wilgotne od potu. A jeżeli... jeżeli straci zaufanie wszystkich? Przecież baron wyraźnie dał do zrozumienia, że warunkiem ich współpracy jest oddanie tego jakiegoś materiału, którego on nie posiada i nigdy nie posiadał. Czy mu uwierzą? Czy w rezultacie nie postanowią go sprzątnąć? To przecież nie było trudne. Jeden strzał gdzieś na plaży w Gdyni czy w Sopocie i po wszystkim. Baron nie będzie miał do niego zaufania, bo nie otrzyma tych jakichś cennych

zdjęć, a pułkownik Konarz straci do niego całkowicie zaufanie, bo dowie się o jego rozmowie z baronem. Sam Boyst przez swoich agentów może go o tym poinformować. Zwol-

64

nią go wtedy z milicji i jeżeli nawet nie wsadzą go do kryminału, to w najlepszym wypadku dostanie jakąś trzeciorzędą posadzinę na poczcie czy w powiatowej radzie narodowej. I tak skończą się marzenia o sławie asa kontrwywiadu. Zgasił papierosa i począł nerwowo chodzić po pokoju. Myśli, że nie powiedział pułkownikowi prawdy, dręczyła go coraz bardziej. Ale teraz już za późno, teraz nie mógł pójść do Konarza i przyznać się, że zataił rozmowę z baronem. Nie, nie, nie ma nawet o czym myśleć.

Machinalnie wsunął rękę do kieszeni marynarki i dotknął palcami szalika pana barona. Na jakiej podstawie ten facet jest przekonany o tym, że ja pracuję dla wywiadu angielskiego? Było to bardzo prawdopodobne, ale Boyst nie mógł tego opierać na swym prawdopodobieństwie. Można to sobie było tylko w ten sposób wytłumaczyć, że Anglicy wprowadzili w błąd agentów niemieckich, wpajając w nich przekonanie, że Stasiak pojechał do Polski na ich polecenie. Takie rzeczy się zdarzały, ale wtedy i wywiad polski prawdopodobnie wiedziałby o tym. A może po prostu władze polskie nie uwierzyły w tę wersję? O jaki materiał chodzi baronowi? Konarz ma rację, że to musi być jakiś dokument niezwyklej wagi. Ale co to takiego? I co się stało z tym materiałem? Sami go gdzieś zgubili? Nieprawdopodobne. Ukradł im ktoś? Ale kto i po co? Czyżby wśród towarzyszy Suchego znajdował się rzeczywiście agent obcego wywiadu, który im sprzątnął zdobycz sprzed nosa? W takim razie byli dobrze obstawieni, mieli dwie wtyczki, z jednej strony on, a z drugiej ten jakiś obcy agent. No cóż... wszystko jest możliwe.

Wszedł Downar.

- Czołem, Jasiu. Podobno chciałeś czegoś ode mnie. Uścisnęli sobie dłonie. Stasiak wskazał krzesło i wyjął papierosy.

- Tak. Musimy chwilę pogadać. Słyszałem, że obejmujesz śledztwo w sprawie Boreckiego.

- Dobrze słyszałeś. Wsadzili mi to na siłę.

- Nie jesteś zadowolony?

Downar wziął papierosa i stuknął nim o biurko.

- Nie lubię takich śmierdzących spraw. No, ale trudno. Trzeba robić, co każą. Ty, zdaje się, wyjeżdżasz?

65

- Tak. Dostałem urlop. Muszę trochę odpocząć. Szarpnąłem sobie ostatnio nerwy.

- Na długo jedziesz?

- Na parę tygodni. Może na miesiąc. Zobaczą, jak się będę czuł.

- O ile się orientuję, to wy obaj z Szymańskim znaleźliście trupa Boreckiego?

-Tak.

- To było wczoraj?

- Tak, wczoraj rano.

- No to może mi opowiesz wszystko, co wiesz o tej sprawie.

Stasiak w krótkich słowach streścił przebieg wypadków i wyniki dotychczasowego dochodzenia. Nie wspomniał oczywiście o zielonym klipsie, o zidentyfikowaniu szminki ze szminką Anny i o swych podejrzeniach dotyczących głosu kobiety ostrzegającej Boreckiego.

Gdy skończył, Downar przez chwilę palił w milczeniu papierosa. Wreszcie spytał:

- Czy zabójstwo Boreckiego kojarzysz jakoś ze swoją szczecińską akcją?

- W pewnym sensie tak. Nie mam oczywiście żadnych konkretnych dowodów na to, ale... Widzisz, śmierć Boreckiego dziwnie się zbiegła z tą całą sprawą. Poza tym o moim przedsięwzięciu wiedziało tylko dwóch ludzi poza mną: Szymański i Borecki. Ktoś mnie wyraźnie sypnął. Na drugi dzień po mojej ucieczce z meliny znajdujemy trupa Boreckiego, a w jego portfelu stuzłotówkę, którą ja przegrałem w karty z tymi bandziorami. To jednak daje do myślenia.

- Niewątpliwie - przyznał Downar. - Czy ci ludzie w Szczecinie, których rozpracowywałeś, to włamywacze?

- Banda rabunkowa.

- Niezlikwidowana?

- Nie. Właśnie przerwali mi całą robotę. Jeszcze trochę, a byłbym wszystkich miał pod kluczem.

Downar wyjął z kieszeni kalendarzyk i zaczął w nim szukać jakichś notatek.

- Powiedz mi, Jasiu, ale tak zupełnie szczerze, co ty myślisz o Annie Szymańskiej?

66

Stasiak, zaskoczony pytaniem, podniósł brwi do góry.

- O Annie? Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Ponieważ ty z nimi bliżej żyjesz, chciałem się po prostu dowiedzieć, jak się w ostatnich czasach układa małżeństwo Szymańskich.

- Wiesz, że się nad tym nie zastanawiałem - powiedział Stasiak. - Ale wydaje mi się, że wszystko jest w porządku. Dlaczego pytasz?

- Nic specjalnego. Jakieś dwa czy trzy miesiące temu widziałem w Krakowie Szymańską z Boreckim. Wydawało mi się, że... Ale oczywiście mogło to być tylko złudzenie.

Stasiak spojrzał na niego uważnie.

- Borecki był zaprzyjaźniony z Szymańskimi, więc nic dziwnego, że kiedy się przypadkowo spotkali w Krakowie...

- Oczywiście, oczywiście - przytaknął Downar. - Zresztą to nie ma przecież większego znaczenia. Czy możesz jeszcze coś dorzucić do sprawy Boreckiego?

- Właściwie chyba nic. Chociaż, nie... zaczekaj... Powinieneś zainteresować się osobą mecenasa Waliszewskiego. Podejrzewam, że on miał jakiś kontakt z Boreckim. Zdaje się, że mieszka na Nowym Świecie. Zresztą znajdziesz go w książce telefonicznej.

- Czy to byłoby już wszystko?

- Wydaje mi się, że nic więcej już nie mam ci do powiedzenia w tej sprawie. Właściwie przecież nie zacząłem nawet prowadzić śledztwa. Pierwsze pobieżne oględziny pokoju Boreckiego - to wszystko. Aha, prawda... byłbym zupełnie zapomniał. Mam do ciebie prośbę. Zwróciła się do mnie Anna Szymańska, żebym dał jej ochronę. Wyjeżdżam i nie będę się mógł tym zająć. Dlatego...

- Szymańska prosiła cię o ochronę? - zdziwił się Downar.

- Tak. Wiesz, że Anna pisuje artykuły i reportaże o chuliganach. Otóż podobno w ostatnich czasach otrzymała szereg listów i telefonów z pogrózkami.

- I nie powiedziała o tym mężowi, tylko prosiła ciebie o ochronę?

Stasiak począł starannie czyścić szklaną cygarniczkę.

- Widzisz, sam nie bardzo wiem dlaczego, ale Anna nie

67

chce mówić o tej sprawie Adamowi. Twierdzi, że za bardzo by się zdenerwował. Adam w ogóle jest przeciwny tej jej dziennikarskiej robocie. Więc może i dlatego... Zresztą to nie ma przecież znaczenia. Prywatnie cię proszę, żebyś się zajął tą sprawą i liczę naturalnie na twoją dyskrecję.

- Możesz być spokojny. Jeżeli uważasz, że tak będzie lepiej, nie piszę Szymańskiemu ani słowa.

- Dziękuję ci, Stefku. Downar wstał.

- No to życzę ci szczęśliwej podróży i wesołego wypoczynku. A uważaj na siebie i nie daj się zawojować jakiejś babce. Teraz takie urlopowe nastroje...

- Nie ma obawy - uśmiechnął się Stasiak. - Nie w głowie mi żadne romantyczne przygody. Chcę odpocząć.

- No, no, nie zarzekaj się. Nigdy nic nie wiadomo. Pożegnali się serdecznie.

Zostawszy sam, Stasiak siedział przez dłuższą chwilę bez ruchu i patrzył w okno. Coraz głębiej grzął w bagno kłamstw, niedomówień i kręctw. Coraz bardziej czuł się sam. Nie było w tej chwili na świecie człowieka, z którym mógłby szczerze porozmawiać, nie było przyjaciela, któremu mógłby się zwierzyć. Tak samotny jest każdy agent obcego wywiadu, każdy szpieg działający na obcym terenie. Szpieg? Czyż nie jest szpiegiem? Zaśmiał się cicho. Nie, nie. Co za głupstwa. Co za idiotyzmy chodzą mu po głowie? A jednak... A jednak o krok... o jeden tylko krok znalazł się od tego, żeby go nazwać szpiegiem. Wprowadził w błąd pułkownika, Adama, Downara. Nikomu z tych ludzi nie powiedział całej prawdy. Szpiegiem nie jest, ale pośrednio działa na ich korzyść. Czy mógł jednak powiedzieć Adamowi, że jego żona...? A jeżeli... jeżeli Anna...?

Energicznym ruchem przysunął sobie telefon i połączył się z redakcją „Expressu”.

- Czy mogę prosić panią Szymańską?

Po chwili rozległ się w słuchawce matowy, jakby zgaszony głos Anny.

- Halo?

- Dzień dobry. Mówiłaś mi wczoraj, że chciałabyś się ze mną jeszcze zobaczyć przed moim odjazdem.



Powiedziała apatycznie:

- Tak. Chciałabym.
- To gdzie się spotkamy? I kiedy?
- W Krokodylu, na Starówce. Dobrze?
- Niech będzie w Krokodylu.
- O szóstej.
- Dobrze.

Przerwała połączenie. Stasiak przez chwilę siedział ze słuchawką przy uchu. Myślał, że jeszcze się odezwie. Chciał jej rzucić jakieś słowo otuchy. Wyczuł, że jest bardzo przygnębiona. Zrobiło mu się żal. A może naprawdę Anna kochała Boreckiego? Może to nie był tylko jakiś przelotny flirt. Zamknął starannie biurko i rozejrzał się po pokoju, w którym pracował przez tyle lat. Kto wie, może już tu nigdy nie wróci. Może zaczyna się jego wielka przygoda?

Zadzwonił telefon. Kobięcy głos zawiadomił go, że major czeka.

Szymański siedział milczący i ponury. Wręczył Stasiakowi pięćdziesiąt tysięcy złotych, dolary i funty szterlingi, ale nie zdradzał najmniejszej ochoty do przyjacielskiej pogawędki.

- Co ci jest? - spytał Stasiak. - Czegoś taki kwaśny? Szymański wzruszył ramionami.
- Nie, nic. Po prostu może jestem trochę zmęczony. Jakoś ostatnio źle znoszę te upały.
- Może powinieneś pójść do lekarza i wziąć urlop?
- Daj spokój, Janku. Po śmierci będę się leczył. Stasiak popatrzył na niego niespokojnie.
- Przyznać trzeba, że humor niezbyt ci dzisiaj dopisuje. Wiesz co? Umówiłem się po południu z Anną. Może byś i ty przyszedł. Pogadamy sobie trochę. - Wiedział, że Anna chciała z nim pomówić w cztery oczy, ale czuł, że musi to powiedzieć.

Adam uśmiechnął się blado.

- Dziękuję ci za zaproszenie, mój drogi. Niestety, nie będę mógł skorzystać. Jestem zajęty. A poza tym... - urwał i począł się bawić wypaloną zapałką.
- Co poza tym? - spytał Stasiak.
- Poza tym mam wrażenie, że obejdziesz się beze mnie. Stasiak wzruszył lekko ramionami.

-Jak chcesz. No to cześć. Trzymaj się, stary, i nie wpadaj w taką melancholię.

Pożegnali się. Szymański przytrzymał dłoń Stasiaka.

-Janku...

-Co?

-Jesteś moim przyjacielem, prawda?

- Chyba nie potrzebujesz o to pytać.

- Powiedz mi... ale powiedz całą prawdę.

- Co ci mam powiedzieć?

- Powiedz, czy Anna była kochanką Boreckiego?

- Oszalałeś, Adam?! - zawołał z oburzeniem Stasiak. - Co ci do głowy przychodzi? Mam wrażenie, że rzeczywiście gorąco ci szkodzi.

Szymański położył mu rękę na ramieniu.

- Daj spokój. Nie żartuj. Ja mówię poważnie.

-Ja także mówię zupełnie poważnie i obawiam się, że zwariowałeś. Co to w ogóle za pomysły? Borecki i Anna? Nonsens!

- A więc uważasz, że między nimi rzeczywiście nic nie było?

- Ależ oczywiście, że nic nie było. Nie ma o czym gadać. Nie nabijaj sobie głowy głupstwami.

- Bo widzisz, ja ją bardzo kocham - szepnął Szymański i gwałtownie odwrócił się do okna.

Stasiak serdecznie poklepał go po plecach.

- Dajże spokój, stary. Nie stwarzaj sobie urojonych zmartwień. Powinieneś koniecznie odpocząć. Poproś o urlop. Komu jak komu, ale tobie nie odmówię.

Szymański uściśnął przyjaciela.

- Dziękuję ci, Janku. Jesteś porządny chłop. Życzę ci powodzenia.

Kiedy Stasiak wyszedł z komendy, czuł w ustach smak ołowiu. Pomyślał, że może niepotrzebnie zjadł na śniadanie tę kiełbasę.

Upał był trudny do wytrzymania. Szorstki kurz wdierał się do ust i nosa, przenikał do płuc. Rozgrzany asfalt ugiął się pod nogami.

Stasiak zatrzymał przejeżdżającą taksówkę i pojechał do PKO. Nie mógł przecież spacerować po mieście z pięćdziesięcioma tysiącami w kieszeni. Kazał stanąć szoferowi na rogu Wil-

70

lowej. Na szczęście kolejka nie była zbyt duża. Wpłacił czterdzieści pięć tysięcy na książeczkę, resztę zaś pieniędzy schował do portfela. Musiał mieć przy sobie większą sumę. Nie mógł przewidzieć, jak potoczą się wypadki w najbliższej przyszłości.

Przy Rakowieckiej wsiadł do czternastki. Poznał konduktora, z którym rano przyjechał do komendy. Miał rzeczywiście znakomitą pamięć wzrokową. Nieraz po paru latach przypominał sobie twarz człowieka, z którym przypadkowo spotkał się w pociągu.

Pakowanie walizki nie jest rzeczą prostą, szczególnie jeśli ktoś nie wie, na jak długo jedzie i jaką porą roku przyjdzie mu się spotkać. Stasiak wybrał największą ze swych waliz i bezradnie rozglądał się po pokoju. Wszystko wydawało mu się potrzebne, a przecież nie mógł zabierać ze sobą kufra. Wyjeżdżał i właściwie zupełnie nie orientował się, kiedy wróci i czy w ogóle wróci. W ir wypadków, w który został wciągnięty, porywał go z coraz większą siłą. Powstawały sytuacje, z których nie było odwrotu. Nie sposób też było przewidzieć, co przyniesie najbliższa przyszłość.

Garnitury, bielizna, piżamy, buty, swetry, krawaty, przybory do golenia, wszystko to poczęto wypełniać pakowną walizę. Z żalem jednakże Stasiak stwierdził, że nie może zabrać ze sobą wszystkiego, co by chciał. A papierośnica? Wyjął z kieszeni złotą papierośnicę i przyglądał jej się przez chwilę w zamyśleniu. A więc to tak? Więc ta słodka, złotowłosa, uroczą Angielka była szpiegiem niemieckim. Podarowała mu na pamiątkę piękną złotą papierośnicę. Zakpiła sobie z niego. Kto wie, czy takich papierośnic nie rozdała więcej w czasie swojej szpiegowskiej kariery. Zabrać ze sobą czy zostawić? Po namyśle wsunął papierośnicę do tylnej kieszeni spodni. Zostawić było niezbyt bezpiecznie. Przecież Adam wiedział, że on stracił tę papierośnicę w Szczecinie. Przypomniał mu się zielony klips. Gdzie on może być? Aha, włożył go do szufladki nocnego stolika. Otworzył szufladkę. Była pusta. Począł nerwowo przeszukiwać całe mieszkanie. Ani śladu. Klips zniknął. Co to mogło znaczyć? Czyżby...? Czyżby ludzie barona? Zdenerwowany spojrzął na zegarek. Dochodziła trzecia. Trzeba pójść na obiad, a następnie czekało go spotkanie z Anną. Sypialne miejsce już dla niego zarezerwowano. Właściwie nie miał nic więcej do załatwienia.

71

Około czwartej Stasiak uporał się wreszcie z pakowaniem i wyszedł na miasto. Postanowił zjeść obiad w skromnej restauracji znajdującej się w pobliżu placu Narutowicza. Czekając cierpliwie na sznycel cielęcy, począł się znowu zastanawiać nad swą sytuacją. Wybrnąć z tego wszystkiego było trudno, diabelnie trudno. Żałował teraz, że jednak nie powiedział prawdy Konarzowi. Powinien był to zrobić. Ale kiedy się zastanawiał nad tym, jak by postąpił, gdyby wszystko raz jeszcze powtórzyło się od początku, wcale nie był pewny swej decyzji, nie mógł zaręczyć, że drugi raz nie zrobiłby tak samo. Nużyła go już monotonia pracy w milicji. No cóż... Jakieś tam nadużycia, łapownictwo, od czasu do czasu prymitywnie działająca banda rabunkowa. Nic takiego, co by mogło zaspokoić jego ambicje, jego chęć wyżycia się w wielkiej przygodzie. Mimo bowiem iż nie był już młodzieniaszkiem, ciągle jeszcze pragnął mocnych wrażeń. Czas wojny pozostawił na nim swe piętno. Przywykły do niebezpieczeństw, walki, podróży po dalekich morzach i lądach, nie znajdował teraz ujścia dla swej bujnej natury. Nudził się, po prostu się nudził. Praca w milicji nie dawała mu satysfakcji. Czuł, że jego możliwości nie są dostatecznie wykorzystane. Mówił biegle po angielsku, po francusku i po włosku. Poznał w Anglii tajniki pracy w kontrwywiadzie, był dobrym psychologiem i miał fenomenalną pamięć. Uprawiał sporty, jeździł na nartach, doskonale pływał, wiosłował, znał boks i walkę japońską, był atletycznej siły. Lubił ryzyko. Posiadał szybką orientację. Do licha! Czyż z takimi kwalifikacjami do końca życia ma prowadzić dochodzenia w sprawach nadużyć w MHD i przesłuchiwać łapowników? Nie poznali się na nim, nie chcieli go w kontrwywiadzie. A więc dobrze, zagra teraz na własną rękę. Sam zadecyduje o swym losie. Jesteś Polakiem - odezwał się nieśmiało gdzieś głęboko ukryty głos. - Czy chcesz pracować dla Niemców, dla spadkobierców Hitlera?" Ale natychmiast inny głos krzyknął o wiele głośniej: „Przecież nie będziesz działał przeciwko Polsce? Nie będziesz zdrajcą. Co cię obchodzą Włosi, Francuzi czy Arabowie? Pamiętaj, że otwiera się przed tobą olbrzymia szansa, że taka okazja nie powtórzy się już nigdy w życiu. Nie bądź idiotą, nie baw się w bezsensowne skrupuły. Co ci przyjdzie z tego siedzenia w Polsce? Co cię tu

72

czeka? Jakie tu masz możliwości. Jakie szanse życiowe?" „Aże-li po jakimś czasie zmuszą cię do tego, żebyś wrócił na teren Polski jako ich agent? - szepnął pierwszy głos. - Pamiętaj, że z chwilą, kiedy się im raz

zaprzedasz, jesteś skończony, nie będziesz miał już swej woli. Takiej roboty nie można rzucić, od takiej roboty nie można uciec. Znajdą cię wszędzie. Świat stoi przed tobą otworem, ale jednocześnie przyjdzie chwila, że będzie ci za ciasno na tym ogromnym świecie. Uważaj, żebyś nie zaprzepaścił życia i honoru. Tyle lat walczyłeś przeciwko hitleryzmowi, a teraz..." Drugi głos ryknął niecierpliwie: „Głupcze, po stokroć głupcze! Nad czym się zastanawiasz, dlaczego się wahasz? Zataiłeś ważne szczegóły w rozmowie z pułkownikiem, oszukałeś Szymańskiego. Jeśli się o tym dowiedzą, to kto ci zaufa, kto ci powierzy jakąś odpowiedzialną robotę? Będziesz dogorywał, zarabiając osiemset złotych miesięcznie na jakiejś nędznej posiadzinie. A tam? Tam czekają cię pieniądze, duże pieniądze. Zbijesz majątek, kupisz sobie piękną willę na Florydzie, będziesz żył jak król. Ajak ci zbrzydnie już ta robota i jak będziesz miał zapewniony byt do końca życia, to coś wymyślisz, wykręcisz się przecież jakoś. Powiesz, że jesteś chory, że już ci nerwy nie dopisują. Ostatecznie nie mogą cię zmusić. Udasz nieudolność do tego rodzaju zajęcia." „Zdrajca" - odezwał się bardzo cicho pierwszy głos i zaraz zamilkł.

Stasiak poczuł nagłą potrzebę ruchu. Zapłacił i wybiegł z restauracji tak szybko, jakby go kto gonił.

Szedł Filtrową. Nie zauważył nawet, jak znalazł się na placu koło Politechniki. Zawahał się. Wsiąść w tramwaj? Było jeszcze wcześniej. Postanowił piechotą pójść na Stare Miasto.

Po drodze kupił „Kurier", paczkę zapalek i papierosy. Czuł, jak mu ciąży w kieszeni złota papierośnica. A może sprzedać ją w którymś sklepie jubilerskim? Do diabła z takimi pamiątkami. Nie, nie wolno mu tego zrobić. Mógłby wprowadzić na fałszywy trop milicję.

W Krokodylu było pustawo. Stasiak wybrał na górze zaciszny stolik i przeglądając gazetę, czekał cierpliwie. Sympatyczna blondynka w długiej stylowej spódnicy spytała z nieco zalotnym uśmiechem, co mu podać. Zamówił dużą kawę i szarlotkę z kremem.

73

Cisza pustej, mrocznej sali działała na niego uspokajająco. „Mój Boże - pomyślał - żebym to ja tak naprawdę jechał na wypoczynek." Rozsiadł się wygodnie, wyciągnął nogi przed siebie i zapalił papierosa. Jakże przyjemnie byłoby spędzić nad morzem beztrudnie parę tygodni.

Kelnerka przyniosła kawę i ciastko. Stawiając filiżankę na stoliku, powiedziała:

-Jeden pan prosił, żeby panu dać tę kartkę.

\_ Kartkę? Jaką kartkę? - zdziwił się Stasiak. Wziął do ręki zmięty kawałek papieru i rozwinął go. Na maszynie było napisane: „Bardzo się cieszę, że pan jedzie nad morze. Życzę wesołej zabawy i przypominam o naszej rozmowie - B."

\_ Gdzie jest ten pan? - spytał Stasiak.

\_ Przed chwilą wyszedł.

-Jak on wyglądał?

Dziewczyna uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

\_ Bo ja wiem. No tak zwyczajnie. Bardzo przystojny, elegancki- Bardzo miły. - Odeszła, szumiąc szeroką spódnicą.

Stasiak podarł kartkę na drobne kawałki, ułożył ją na popielniczce i przytknął zapaloną zapalniczkę.

\_ Cóż tak starannie zacierasz ślady?

Szybko podniósł głowę. Przy stoliku stała Anna. Zerwał się pospiesznie i wyciągnął rękę na powitanie.

\_ Nie zauważyłem, jak przyszłaś. Przepraszam. - Nagle drgnął- Anna miała w uszach zielone klipsy. Nie zdradził się ani jednym drgnieniem powieki, jakie to na nim zrobiło wrażenie. Zawołał kelnerkę i zamówił jeszcze jedną kawę i ciastko.

-Więc rzeczywiście dzisiaj jedziesz? - spytała Anna.

\_ Tak, ale zmieniłem zamiar. Jadę nad morze. Taka cudna pogoda.

-Wiem, że jedziesz nad morze. Adam mi mówił. Obserwował jej profil. Wydawała się bledsza niż zwykle i jakby zmęczona.

-Widzę, że znalazłaś swoją zgubę - powiedział, częstując ją papierosami.

- Zgubę? Jaką zgubę?

\_ Mówię o klipsach. Podobno zgubiłaś jeden.

\_ Ach, tak - odruchowo dotknęła ucha. - Nie znalazłam.

74

Kupiłam po prostu drugie. Lubię ten kolor, a poza tym doskonale pasują mi do sukienki.

- Ale że udało ci się dostać zupełnie takie same.

- To chyba nic trudnego. Ale cóż ty się nagle zainteresował moimi klipsami?

- Nie, skądże. Tak sobie powiedziałem. Zaciągnęła się głęboko dymem i spytała:

- Czy pamiętałeś o tym, o co cię wczoraj prosiłam?

- Oczywiście. Prosiłem Downara, żeby się zajął tą sprawą. Obiecał mi to.

- Ale mówiłeś mu, żeby na ten temat nie rozmawiał z Adamem?

- Tak. Downar to dyskretny i przyzwoity facet. Można na nim polegać. Znasz go chyba?

- Bardzo mało. Przedstawił mi go kiedyś Adam.

- Żałuję, że Adam z tobą teraz nie przyszedł - powiedział Stasiak. - Proponowałem mu...

Skinęła głową.

- Wiem. Nie mógł przyjść. Mają jakiś konferencję czy odprawę.

- Zauważyłaś, że Adam jest ostatnio jakiś przygnębiony? Wydaje mi się, że coś mu dolega. Radziłem mu nawet, żeby poszedł do lekarza.

Spojrzała na niego z trochę drwiącym uśmiechem.

- Czy spotkaliście się po to, żeby rozmawiać o Adamie? Stasiak wzruszył nieznacznie ramionami.

- Chciałaś się ze mną zobaczyć przed moim wyjazdem. Nie wiem, o czym chcesz mówić. Proszę cię, słucham.

Milczała. Zgasiła papierosa i bawiła się teraz kawałkiem papierowej serwetki. Robiła wrażenie, jakby zastanawiała się nad tym, co ma powiedzieć. Nie przynaglał jej. Czekał cierpliwie. Wreszcie przerwała milczenie.

-Janku - powiedziała bardzo cicho. -Ja... ja się boję... bardzo się boję.

- Tych chuliganów?

- Ależ nie, nie chodzi o chuliganów. Boję się o ciebie. -O mnie? Dlaczego? Co się stało?

Delikatnie dotknęła palcami jego dłoni. Głos jej brzmiał miękko, serdecznie, zupełnie inaczej niż na początku ich rozmowy.

75

- Widzisz... boję się o ciebie, bo... bo może ci grozić niebezpieczeństwo, straszne niebezpieczeństwo. Błagam cię, Janku, uważaj, miej się na baczności. Błagam cię!

Poczuł, że jej paznokcie wbijają mu się w ciało.

- Uspokój się, Aniu. Co ci jest? Zapewniam cię, że nic mi nie grozi i nic mi się nie stanie. Jadę opalać się nad morze. Zobaczysz, jaki wrócę czarny. Nie poznasz mnie.

- Nie udawaj, nie udawaj - prosiła. - Ja wiem, ja przecież wiem, że ty nie jedziesz na urlop, że masz jakieś zadanie do spełnienia. Boję się o ciebie, bardzo się boję. To straszni ludzie.

-Jacy ludzie? O kim ty mówisz?

Zmieszała się. Rzuciła mu szybkie, przestraszone spojrzenie.

- O kim ty mówisz? - powtórzył Stasiak.

- No o tych... o tych, których masz śledzić, których...

- Nic nie rozumiem. Kto ci powiedział, że ja jadę kogoś śledzić? Jadę po prostu na urlop. Jestem przemęczony. Należy mi się wypoczynek.

- Nie udawaj, chociaż raz nie udawaj. No po co? Po co? Przecież ja wiem. Miej się na baczności, Janku. Miej się na baczności.

Pocałował ją w rękę.

- Kochanie, uspokój się. Jesteś strasznie zdenerwowana. To ty powinnaś pojechać odpocząć. Zaręczam ci, że nie ma podstaw do żadnych obaw. Nic mi nie grozi, chyba tylko to, że na plaży zakocha się we mnie miss Sopot.

- Ty ciągle żartujesz, a ja... a ja naprawdę boję się o ciebie.

Mocno uściśnął jej rękę. Przysunęła się do niego takim ruchem, jakby szukała pomocy. Czuł jakiś niepokojący fluid idący od całej jej postaci.

- Anno - powiedział serdecznie. - Nie trzeba się poddawać pesymistycznym nastrojom. Wszystko będzie

dobrze. Zobaczysz.

- Zapłać - powiedziała niespodziewanie. - Nie chcę tu już dłużej siedzieć.

Trochę zdziwiony, skinął na kelnerkę.

Wyszli w milczeniu. Kiedy znaleźli się na rynku, Anna pociągnęła go w kierunku stojącej niedaleko taksówki. Kazała szoferowi jechać na Częstochowską. Spojrzał na nią zaskoczony. Uśmiechnęła się, wyraźnie ubawiona jego zmieszaniem.

- Cóż tak na mnie patrzysz? Nie wolno mi się zaprosić do ciebie?

76

- Ależ oczywiście. Bardzo się cieszę - powiedział bez większego przekonania.

Pokazała swą dużą torbę z plastyku.

- Mam tu butelkę dobrego francuskiego wina. Chciałam wypić za twój „urlop”. Nie mogłam przecież w Krokodylu kazać sobie podać kieliszków i korkociągu. Dlatego wpadłam na pomysł, żeby pojechać do ciebie. Ale widzę, że jakoś nie jesteś zbyt zachwycony tym projektem.

Stasiak uśmiechnął się niewyraźnie. Nie bardzo wiedział, co ma myśleć o tym wszystkim. Bliskość Anny zaczynała na niego działać.

- Miałaś świetny pomysł. Naprawdę bardzo się cieszę.

Była dziwnie podniecona. Opierała się o niego całym ciałem, unikając jednocześnie jego wzroku. Nie mógł zrozumieć, co jej się stało. Dlaczego właśnie dziś...

Zatrzymali się na Częstochowskiej. Zapłacił pospiesznie i nie czekając na resztę, pomógł wysiąść Annie. Szybko wbiegła po schodach.

- Otwórz - powiedziała niecierpliwie.

Wpuścił ją do przedpokoju i zatrzasnął drzwi. Stali naprzeciwko siebie niezdecydowani, wyczekujący. To puste mieszkanie, w którym zostali zamknięci, było dla nich zaskoczeniem. Czuli się zakłopotani. Może dlatego, że wszystko już teraz było proste, łatwo osiągalne, że cały zewnętrzny świat przestał istnieć, że zostali sami. I chociaż wczoraj wieczorem znajdowali się pozornie w podobnej sytuacji, to jednakże dzisiaj sytuacja ta była zupełnie inna.

Pierwsza odezwała się Anna.

- Otwórz wino. - Wyjęła z torby butelkę. Ciągle unikała jego wzroku.

Przyniósł kieliszki i korkociąg.

- Może jeszcze raz wypijemy brudersaft? - próbował zażartować. Chciał jakoś rozbić ten jej nastrój, który poczynał mu się udzielać z narastającą siłą.

Nie odpowiedziała. Wypiła wino i pocałowała go mocno w usta. Dopiero teraz zobaczył jej oczy. Były prawie czarne.

- Chodź, chodź... - Nerwowym ruchem szarpnęła błyskawiczny zatrask i zrzuciła sukienkę. - No chodź...

Stasiak odzyskał już panowanie nad sobą. Ten natarczywy, obcy głos przywrócił mu zimną krew. Wiedział, że nie wolno mu poddawać się nastrojowi chwili.

Patrzyła na niego zdziwiona, zaskoczona.

- Nie chcesz mnie? Powiedział cicho:

- Nie teraz, Anno, nie dzisiaj. Ubrała się pośpiesznie.

- Czy wiesz, dlaczego to zrobiłam? Potrząsnął głową.

- Bo cię kocham. Bo tylko ciebie naprawdę kochałam. Bo wiem, że wyjeżdżasz, i wiem, że może już nigdy nie wrócisz.

Milczał. Nie znajdował słów. Wiedział, że wszystko, co powie w tej chwili, będzie głupie i banalne. Wyszła. Nie zatrzymał jej.

Rzucił się na tapczan i podłożywszy ręce pod głowę, patrzył w sufit. Nie zauważył, jak biała płaszczyzna poczęła się pokrywać grubą warstwą mroku.

Było już zupełnie ciemno. Zapalił światło i spojrzął na zegarek. Dochodziła jedenasta. Jeszcze trochę, a byłby się spóźnił na pociąg.

Ktoś zastukał. „Może Anna? Może wróciła?” Skoczył do przedpokoju i pośpiesznie otworzył drzwi. W progu stał Szymański.

Stasiak zaniemówił. Wydało mu się, że śni. W tej chwili prędejm by się spodziewał trzęsienia ziemi aniżeli Adama. Ogarnął go lęk. A jeżeli ich śledził?... Jeżeli wie, że Anna była u niego?

- Cóż ty mi się tak przyglądasz, jakbyś mnie pierwszy raz widział? - powiedział Szymański.

Stasiak począł mówić szybko, nerwowo:

- Sen mnie zmorzył. Dopiero się obudziłem. Jestem jeszcze na wpół przytomny. Wiesz, ostatnio prawie dwie noce nie spałem. Mało brakowało, a byłbym się spóźnił na pociąg.

Szymański usiadł, wyjął pistolet i zarepetował.

- Zapomniałem ci dać visa. Nie możesz przecież jechać bez broni. Masz tu także trochę amunicji. Powinno ci wystarczyć.

- Dziękuję ci, stary. Przykro mi, żeś się fatygował.

- Żadna fatyga. Byłem w tych stronach. Mam wóz. Zawio-

zę cię na dworzec. Ale ruszaj się, bo rzeczywiście w końcu się spóźnisz.

Stasiak zawiązał krawat, przyczesał włosy, zamknął walizkę i stanął gotowy do drogi.

- Skąd masz taki ładny szalik? - spytał Szymański. - Nie widziałem go.



- Kupiłem w Szczecinie, w jakimś komisie - mruknął Stasiak i wsunął szalik barona do kieszeni płaszcza.
- Czy klucze od mieszkania zabierasz ze sobą?
- Chyba tak. A właściwie to niepotrzebne. Będą mi tylko zawadzać. Zostawię u ciebie. Dobrze?

Szymański skinął głową.

- Oczywiście. Tak będzie lepiej.

Zeszli na dół i wsiedli do oczekującej opodal warszawy. Kiedy mijali Marszałkowską, Szymański powiedział:

- Życzę ci powodzenia, Janku. Nie zrób jakiegoś głupstwa. A przede wszystkim uważaj na piękne syreny.
- Bądź spokojny - zaśmiał się Stasiak. - Nie dam sobie zrobić krzywdy.

Zatrzymali się na rogu Targowej i alei Zielenieckiej. Niedaleko stacji benzynowej Stasiak pożegnał się z przyjacielem i poszedł do przystanku tramwajowego.

Na dworzec przyjechał dosłownie w ostatniej chwili. Pociąg odchodził za pięć minut.

Ustawivszy walizkę na siatce, odetchnął z ulgą. W przedziale jechał sam. Adam kazał wykupić obydwa miejsca.

Podszedł konduktor.

- Przepraszam, ale pan szanowny dał mi bilety na dwa łóżka. Czyjeszcze ktoś przyjdzie? Zaraz ruszamy.
- Nie, nikt nie przyjdzie - odparł Stasiak. - Jestem wyczerpany nerwowo i muszę mieć całkowity spokój. Jadę na kurację.
- Ach, tak. Rozumiem.

Konduktor zasalutował uprzejmie i wycofał się do swojego przedziału.

Pociąg drgnął. Koła poczęły się wolno poruszać. Budynki stacyjne zostawały w tyle. Oddalały się i niknęły światła. Za oknami wagonu pozostawała noc.

Stasiak stał w korytarzu i paląc papierosa, patrzył na ginące

79

w mroku miasto. Może tu już nigdy nie wróci. Może to początek jego wyprawy w świat? Koła rytmicznie wystukiwały kilometry, które z każdą minutą coraz bardziej oddziały go od dotychczasowego życia. Kto wie, może niedługo wyjedzie nie tylko z Warszawy, ale i z Polski? Bo właściwie cóż mu pozostaje? Wyjechać, uciec. Ale czy zdoła uciec od tej miłości? Czy zdoła zapomnieć? Nowi ludzie, nowe kraje, nowe wrażenia, przygody, niebezpieczeństwa. Tak, to chyba jedyne lekarstwo. Reszty dokona czas. Napotykał na swej drodze dużo kobiet. Nieraz zdawało mu się, że jest zakochany, że bez tej dziewczyny żyć nie może. A jednak żył i teraz nie bardzo nawet pamiętał, jak one wszystkie wyglądały. Ale takich uczuć nie wzbudziła w nim dotychczas żadna kobieta.

- Czy pan się nie kładzie? Już pierwsza.

Z roztargnieniem spojrzął na konduktora.

- Ach, tak, dziękuję.

Rozebrał się. Leżał wsłuchany w pospieszny rytm pociągu. -Anna... Anna... Anna... Anna...

5

Rozprażony słońcem piasek parzy bosc stopy. Morze, mieniące się blaskami upalnego dnia, szumi łagodnie i wyrzyna na brzeg kawały piany, bielejącej wzdłuż plaży jak porcje śmietanowego kremu. Jest niebieskie, ale chwilami, w zetknięciu ze złotawą łuską słonecznych iskier, nabiera jasnoturkusowej barwy. Lecutki wiatr delikatnym, ledwie wyczuwalnym podmuchem marszczy gładką powierzchnię wody, wzbogacając kolorowy krajobraz.

Stasiak już od kilku dni wylegiwał się na plaży, pływał w morzu i nie myślał o niczym. Ogarnęło go jakieś straszliwe rozleniwienie. Nic mu się nie chciało robić. Nie czytał gazet, z nikim nie rozmawiał, niczym się nie interesował. Nie przejmował się jednak swym stanem. Wiedział, że to reakcja po ostatnich przeżyciach i że to przejdzie. Spał, jadł i całymi godzinami leżał na piasku, patrząc na zielonawą wodę i słuchając łagodnego szumu fal. Nie był zdolny do wysiłku myślowego i zresztą nie chciał myśleć. Postanowił odpocząć i nabrać nowych sił. Czasami brał łódź i wyjeżdżał daleko w morze. Wysiętek fizyczny dobrze mu robił. Opalił się na ciemny brąz, a słońce i słona Woda wyciągnęły zbędny tłuszcz. Ciemna skóra podkreślała jeszcze bardziej jego wspaniałą muskulaturę. Mężczyźni przyglądali mu się z podziwem i zazdrością. Kobiety obdarzały go pełnymi zachwyty spojrzeciami. Metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, szerokie ramiona, potężne, świetnie wyrobione mięśnie, długie, muskularne nogi. Wyglądał jak rzymski gladiator. Nikt by nie przypuszczał, że już zbliżył się do czterdziestki. Jedynie siwiejące skronie i głębokie bruzdy wokół ust świadczyły o przeżytych latach.

I nie wiadomo, jak długo trwałoby jeszcze to dolce farniente, gdyby nie wypadki, które wyrwały Stasiaka ze stanu słodkiej beczynności.

81

Pewnego wieczora poczuł, że zaczyna mu dokuczać samotność. Postanowił pójść gdzieś pomiędzy ludzi, posłuchać muzyki, trochę się rozerwać. Po dalekim spacerze zjadł z apetytem kolację, a następnie pojechał na drugie piętro do swojego pokoju, aby trochę odpocząć i przebrać się w ciemny garnitur.

Parę minut po dziesiątej zszedł do sali dansingowej. Było tu już dość tłoczno. Uprzejmy maitre d'hôtel znalazł jednak dla niego niewielki stolik niedaleko orkiestry i przyjął zamówienie.

Ciągnąc przez słomkę Cinzano z sokiem cytrynowym, ciekawie rozglądał się po sali. Towarzystwo było tu bardzo barwne i różnorodne.

Zażywni starsi panowie, z dobrze wypchanymi portfelami, odgrywali rolę „pocziwych wujaszków” w stosunku do młodych „kociaczków”, pragnących się zabawić i użyć życia. Końskie ogony rywalizowały z koafurami „a la Simona”, „na Tytusa” czy „na kretynka”. Sztuczna biżuteria mieniła się obok bransolet i pierścieni z prawdziwego złota. Czasami błysnęła szlachetną barwą rubin czy szmaragd, czasami światło reflektorów zapaliło blaski w brylantowej kolii. Młodzi ludzie pozujący na złotą młodzież zachowywali się hałaśliwie i nonszalancko. Usiłowali nadać sobie styl i trzymać fason. Nie brakowało również naprawdę eleganckich gentlemanów, robiących nieraz wrażenie niebieskich ptaków i międzynarodowych aferzystów. Często posłyszec było można rozmowę w obcym języku. Nie liczono się tu z pieniędzmi. Gładko wygoleni kelnerzy w białych smokingach roznosili w wiaderkach z lodem zagraniczne trunki i w srebrnych kielichach imponujące porcje lodów. Orkiestra przestała właśnie grać hałaśliwego rock and rolla i nad salą zapanował

gwar rozmów.

Stasiak, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą, zastanawiał się nad tym, który z tych ludzi mógł go interesować i którego z nich z kolei mógł on interesować. Nie miał złudzeń co do tego, że agenci barona Boysta bezustannie mają go na oku. Jeżeli dotychczas nie dawali znać o sobie, to widocznie takie postępowanie należało do ich planu.

Przy sąsiednim stoliku siedział przystojny brunet z zabójczym wąsikiem a la Adolf Menjou. Towarzyszyła mu rudowłosa piękność w bardzo wydekoltowanej sukni koloru świeżej rezedy.

82

Nieco dalej trzy roześmiane młode dziewczyny oblegały podtusiatego donzuana, który nie omijał żadnej okazji, żeby którąś z nich podszczypnąć. W loży dwóch młodych ludzi w wieczorowych strojach zajętych było bardzo ożywioną rozmową. Widocznie mówili sobie rzeczy poufne, ponieważ pochylili się ku sobie. Nie zwracali też najmniejszej uwagi na towarzyszącą im okazałych kształtów blondynę rozglądającą się dokoła znudzonym wzrokiem. W głębi wesole towarzystwo, zsunawszy razem dwa stoliki, oblewało hucznie jakieś historyczne wydarzenie.

Stasiak, bardziej z zawodowej rutyny aniżeli z prawdziwej ciekawości, przyjrzał się otaczającym go ludziom i zatrzymał spojrzenie na samotnej kobiecie.

Nie była piękna, ale uroda jej miała w sobie coś bardzo interesującego, a nawet niepokojącego. Regularny owal twarzy, ciemne, trochę skośne oczy, śniada cera i pełne, zmysłowe usta. Uczesana była oryginalnie i przypominała nieco Chinkę czy Japonkę. Wrażenie to potęgowała jeszcze suknia z barwnego zagranicznego jedwabiu. Stasiak jednak wiedział, że nie jest to przedstawicielka Dalekiego Wschodu. Zastanowiło go, dlaczego siedzi sama. Nie wyglądała na osobę szukającą łatwej przygody. Nie, to nie była ani kokota, ani fordanserka. Może czekała na kogoś? Czas jednak mijał, a nikt się nie pojawiał przy jej stoliku.

Stasiaka zaczęło to intrygować. Spostrzegł w pobliżu białą marynarkę i ruchem pełnym wymowy wskazał swą pustą szklankę. Gdy kelner pochylił się, by przyrządzić nową porcję napoju, spytał cicho:

- Czy nie wie pan przypadkiem, kto jest ta pani, która siedzi

samotnie przy stoliku?

Pracownik Grand Hotelu był najwidoczniej człowiekiem doświadczonym, gdyż, nie spojrzawszy nawet w tamtą stronę, odpowiedział pytaniem:

- Ta w jedwabnej sukni, skośnooka? -Tak.

- Nie wiem, proszę pana. Zdaje się, że to jakaś cudzoziemka. Mieszka u nas, często przychodzi na dansing.

- Zawsze sama? -Tak.

83

- Dziękuję, wystarczy - odpowiedział Stasiak, widząc, że kelner ma zamiar włożyć mu do szklanki drugi kawałek lodu. -Może mi pan tylko przyniesie jeszcze drugą słomkę i drugą szklankę, no i jeszcze może trochę tego soku cytrynowego.

Znowu spojrzął w kierunku wschodniej piękności. Nie, nie mogła to być żadna tajna agentka. Za bardzo

zwracała na siebie uwagę zarówno swą egzotyczną urodą, jak i sposobem zachowania się.

Na pewno nie tylko on już się zdążył nią zainteresować. Ale jeżeli to jest rzeczywiście cudzoziemka, to mogła mieć jakieś ciekawe powiązania. A poza tym, a to nie było bez znaczenia, podobała mu się. Przecież sam pułkownik polecił mu się wesoło bawić i nie unikać poci pięknej.

Uśmiechnął się do swych myśli, które może w tej chwili nie licowały z powagą asa kontrwywiadu, i znowu skierował ku niej wzrok. Widocznie wyczuła, że wzbudza zainteresowanie, gdyż poruszyła się niespokojnie i zapaliła papierosa. Kobiety, jeszcze częściej aniżeli mężczyźni, w ten sposób usiłują dodać sobie animuszu. W oczach Stasiaka zabłysnął uśmiech. Pochwyciła to spojrzenie, ale nie zrobiła żadnego zachęcającego gestu. Wiedział przecież, że jest bardzo przystojny, że podoba się kobietom.

Tymczasem kelner przyniósł sok i szklankę ze słomką, a orkiestra zaczęła grać jakieś sentymentalne tango, którego melodia miała w sobie coś z muzyki Wschodu. Postanowił zaryzykować.

Wstał i przedostawszy się zręcznie przez tańczące pary, podszedł do jej stolika. Pokazał w uśmiechu lśniące, białe zęby i ukłonił się z wyszukaną elegancją.

- Pani pozwoli?

Spojrzała na niego jakby trochę zdziwiona i zawahała się.

- Voulez vous danser, madame? - spytał po francusku.

- O, oui.

Wstała i podała mu rękę. Przedstawił się niewyraźnie.

Miała zwyczaj mocno przytulać się do tancerza. Stasiak był trochę zaskoczony tym niespodziewanym dowodem czułości. Poprzez cieniutką tkaninę czuł jej gorące, pulsujące młodością ciało.

- Czy pani podoba się w Sopocie.

- O, tak, bardzo.

84

- Jest tu pani po raz pierwszy?

- Nie. Już tu byłam ze dwa razy.

- Z daleka pani przyjechała?

Poruszyła wargami, jakby powstrzymywała się od śmiechu.

- Tak mnie pan wypytuje jak ksiądz albo policjant. Roześmiał się.

- Skądże znowu. Chyba nie wyglądam ani na jednego, ani na drugiego.

- Wygląda pan na sportowca.

- Zgadła pani. Sport to moja pasja.

Mówiła doskonale po francusku, ale Stasiak poznał po akcencie, że nie była rodowitą Francuzką. Tuliła się do niego coraz mocniej. Był nawet trochę skrępowany jej natarczywością, chociaż nie mógł zaprzeczyć, że było

to przyjemne. W czasie tych dni kompletnego lenistwa nie myślał o kobietach, nie szukał żadnej przygody. Był więc wypoczęty i pełen energii.

Spojrzała mu prosto w oczy i spytała:

- Podobam się panu?

- Bardzo. Chyba pani o tym wie.

- Nie jestem zupełnie pewna. Taki jakiś pan oficjalny. Orkiestra przestała grać. zaproponował:

- Czy mogę panią zaprosić do mojego stolika na szklaneczkę doskonałego napoju?

- Cóż to za napój?

- Cinzano z sokiem cytrynowym i kawałkiem lodu. Znakomicie orzeźwia.

Zawahała się przez ułamek sekundy.

- No dobrze. Spróbuję się trochę orzeźwić przy pańskim stoliku. - Wyczuł w jej głosie leciutką nutę ironii.

Usiedli i Stasiak zajął się przyrządzaniem napoju. Podając jej pełną szklankę, spytał:

- Czy pani na nikogo nie czeka?

- Nie. Przyszłam tu sama i na nikogo nie czekam. Dziwi to pana?

- Przyznaję, że trochę. Taka urocza kobieta - samotna?

- Przecież nie zawsze kobieta pragnie męskiego towarzystwa. Czasem pociągają samotność.

- Jakże się cieszę, że pani zrezygnowała z samotności.

85

- Zapewne dlatego, że spotkałam uroczego mężczyznę.

- Bardzo pani na mnie łaskawa.

- Czy wszyscy Polacy są tacy zimni, bez temperamentu? - spytała.

Stasiak nie bardzo wiedział, czego właściwie ona chciała od niego. Przecież nie mógł ścisnąć jej i całować na sali dancingowej.

- Widzę, że pani jest przyzwyczajona do południowców. Orkiestra zaczęła grać.

Wstała i pociągnęła go na parkiet.

- Chcę dzisiaj dużo tańczyć - szepnęła. - Chcę dzisiaj dużo tańczyć z panem.

Znowu tuliła się do niego całym ciałem, znowu drażniła jego twarz pachnącymi włosami i znowu wargami dotykała jego szyi i ucha. Był coraz bardziej podniecony.

Kiedy wrócili do stolika, nalęła wermutu do szklanek i powiedziała:

- Piję za pańskie sportowe sukcesy. Za pańskie powodzenie. Uśmiechnął się.

- Teraz już nie jestem zawodnikiem. Minęły te lata.

- Och, co też pan mówi?! - zaprzeczyła energicznie. - Jest pan młodym człowiekiem. No, pijemy, czyn, czyn.

Tańczyli rzeczywiście dużo. Nie opuścili ani jednej melodii. Rzucano w ich kierunku ukradkowe spojrzenia. Stanowili piękną parę.

Kiedy skończyli wermut z sokiem cytrynowym, powiedziała, że już późno, że jest zmęczona i że chce pójść do siebie do pokoju. Skinął na kelnera i poprosił o rachunek. Nie pozwoliła zapłacić za siebie. Spierali się przez dłuższą chwilę. Wreszcie stanęło na tym, że Stasiak zapłacił za Cinzano i za sok cytrynowy, a ona za wszystko to, co zjadła i wypła przy swoim stoliku.

- Czy pani mieszka tutaj, w Grand Hotelu? - spytał Stasiak. Skinęła głową.

- Tak. Na pierwszym piętrze.

- Czy można panią odprowadzić?

- Bardzo proszę.

Winda była zajęta. Poszli schodami na pierwsze piętro. Pokój jej znajdował się w końcu korytarza. W tej chwili było tu zupełnie pusto.

Ujął ją mocno pod rękę.

- Ma petite chérie- szepnął. Był przekonany, że zaprosi go do siebie. Zdziwił się więc, kiedy przystanęła przy drzwiach i wyciągnęła dłoń na pożegnanie.

- Bonne nuit - powiedziała z czarującym uśmiechem. - Et merci. Spojrzał na nią zaskoczony.

- Nie zaprosi mnie pani na chwilę? Zaśmiała się.

- O la, la. Wizyty o tej porze? Co za wymagania. Zobaczymy się jutro, mon ami. Au revoir.

Zniknęła w swym pokoju. Słyszał, jak zamyka drzwi na klucz. Był wściekły. Zadrwiła z niego, paskudnie zadrwiła. Przez cały wieczór uwodziła go, a kiedy nie miał wątpliwości co do epilogu tego spotkania, zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Jeszcze mu się nie zdarzyło, żeby jakaś kobieta w ten sposób wystrychnęła go na dudka. Zaklął przez zęby i wolno począł iść w kierunku schodów. Przystanął i obejrzał się. Może jednak?... Ale nie, nie wyszła, nie dała mu znaku. W tej chwili spostrzegł jakiś maleńki przedmiot leżący na chodniku niedaleko jej drzwi. Wrócił szybko i podniósł guzik, zwykły guzik od spodni. Przez chwilę przyglądał mu się uważnie. Znał te guziki, używała ich pewna znana londyńska firma produkująca gotową męską konfekcję. Na każdym guziku był ledwie dostrzegalny gołym okiem napis. Niczego to nie dowodziło. Guzik na korytarzu hotelowym mógł zgubić każdy. Stasiakjednak miał wielką ochotę odnaleźć tego angielskiego gentlemana i oddać mu jego zgubę.

Idąc wolno po schodach na drugie piętro, usiłował ochłonąć z podniecenia wywołanego wypitym alkoholem, a przede wszystkim pieścizotami nieznanym. Nie wiedział, kim była, nie znał nawet jej imienia. Nie chciała mu powiedzieć. Najego pytania odpowiadała ze śmiechem, że za wiele chce wiedzieć jak na pierwszy raz, że muszą się lepiej poznać. Droczyła się z nim, chciała go widocznie jak najbardziej zaintrygować.

Wszedł do swego pokoju, zapalił światło i rzucił klucz na stół. Łóżko było przygotowane do snu. Kolorowa

piżama leżała starannie ułożona na poduszce.

Rozebrał się do naga, włożył pantofle, wziął piżamę i poszedł do łazienki. Myjąc się pod prysznicem, rozmyślał o dzi-

siejszym spotkaniu. Nie miał wątpliwości co do tego, że tajemnicza nieznajoma z jakiegoś powodu interesowała się jego osobą. Na pewno nie powodowały nią wyłącznie romantyczne względy. Z tego, co mówił kelner, wynikało, iż od szeregu dni, a raczej wieczorów, przychodziła samotnie na dancing.

Bardzo możliwe, że go obserwowała i doszła do przekonania, że w końcu będzie miał dość plaży i pójdzie potańczyć. A nietrudno było się domyślić, że mieszkając w Grand Hotelu, wybierze się na dancing do tegoż Grand Hotelu. To było przecież najwygodniejsze, a i lokal był bardzo przyzwoity.

Umył się starannie, postać dłuższą chwilę pod prysznicem, a następnie wytarł się kosmatym ręcznikiem i włożył piżamę. Wycierając sobie jeszcze twarz i uszy, wrócił do pokoju.

Nagle stanął jak wryty. Nie wierzył własnym oczom. W jego łóżku leżała młoda, śliczna dziewczyna. Zdawało się, że śpi. Oczy miała zamknięte i oddychała równo, spokojnie. Jasne, złociste włosy rozrzucone były w nieładzie na poduszce.

Stasiak przez dłuższą chwilę stał nieruchomo i zupełnie nie wiedział, jak się ma zachować. Z trudem przetykał ślinę, wpatrując się w niemym zdumieniu w niezwykłą zjawę. Przetarł oczy, ale to nic nie pomogło. Dziewczyna nie zniknęła. Trzeba było w końcu coś przedsięwziąć. Nie mógł przecież przestać tak w piżamie całą noc. Chrząknął cicho, a potem głośniej. Spała dalej. Była bardzo młodzieńka, więc widocznie i sen miała dość mocny. Podszedł ostrożnie do łóżka i pochylił się nad nią.

- Proszę, pani... Pro... pro... proszę pani. - Dotknął jej ramienia i szybko cofnął rękę, jakby się sparzył. - Proszę pani... no, proszę pani.

Ziewnęła i przeciągnęła się, odstawiając nagie piersi.

- Aaaa... Co się stało?... Stasiak cofnął się w popłochu.

Otworzyła oczy i szybko zamrugła powiekami.

- Co pan tu robi? Kto pan jest? - Nie robiła wrażenia speszonej czy przestraszonej.

-Ja tutaj mieszkam - powiedział niepewnie Stasiak. - To jest mój pokój.

Dziewczyna uczyniła niecierpliwy ruch głową.

-Proszę stąd wyjść, chcę spać.

Przewróciła się na drugi bok i zamknęła oczy-.

- Chcę spać - powtórzyła sennie. Stasiak przeraził się, że ona znowu zaśnie.

-Ależ, proszę pani - powiedział już bardziej zdecydowanym głosem. - Przecież to nie ma sensu

Usiadła na łóżku i okrywając kołdrą nagie piersi, spojrzała na niego złym okiem.

- Niech mi pan nie zawraca głowy, dobrze? Proszę zostawić mnie w spokoju. Już panu przecież mówiłam.

-Ależ kiedy właśnie chodzi o to... - wtrącił Stasiak.

- Wiem doskonale, o co chodzi. Każdemu mężczyźnie o to chodzi. Niechże pan nie będzie nudny. Ja naprawdę chcę spać. Dobranoc. - Położyła się i naciągnęła kołdrę na głowę.

Stasiak stał, drapiąc się w ucho. Był zupełnie bezradny.

- Upiła się, czy co u diabła? - mruknął, podszedł do łóżka i dotknął jej pleców. - proszę pani, może by jednak pani...

Wyjrzała spod kołdry.

- Oszaleć można! - krzyknęła. - Da mi pan wreszcie spokój czy nie?

- Może jednak zechce mnie pani wysłuchać - powiedział pojednawczo Stasiak. - To jest naprawdę mój pokój i pani położyła się do mojego łóżka

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Skąd pan wie?

- Co skąd wiem?

- Skąd pan wie, że to pański pokój?

- No bo... no bo... nóżkam w nim.

-Ja też mieszkam - powiedziała stanowczo. - - Niech pan już stąd idzie, bo w końcu wyniknie skandal. Poskarżę się mamusi, że mnie pan napastuje.

Stasiak zadrżał.

- Mamusi?

- No tak. Jutro przyjeżdża moja mama. Powiem jej, że pan się wdarł w nocy do mego pokoju. W ogóle nie wiem, jak pan się tu dostał. Drzwi zamknęłam na klucz. Chyba oknem. Ale żeby wdrapywać się na trzecie piętro.

- To pani mieszka na trzecim piętrze?

- No tak.

-Widzi pani. Musiała się pani pomylić. To jest drugie piętro.

\_ Oszukuje mnie pan. Już ja się znam na mężczyznach. Ale tłumaczę panu, że dzisiaj nic z tego. Żeby się pan nawet wdrapał na wieżę Eiffla, nic z tego. Jestem strasznie śpiąca. Może innym razem.

Stasiak zrozumiał, iż musi użyć jakiejś bardziej przekonującej argumentacji. Podszedł do szafy, w której wisiały jego ubrania, i otworzył ją.

- Niechże pani spojrzy. Widzi pani, że tu wiszą moje rzeczy. Niech się pani przyjrzy, garnitury, bielizna, płaszcz. Wszystko to do mnie należy i to jest mój pokój.

Patrzyła zaskoczona, speszona.

\_ I co teraz będzie?



\_ No, nie ma tragedii - uśmiechnął się Stasiak. - Ubierze się pani i pójdzie pani na trzecie piętro, do swego pokoju. \_ To niemożliwe. \_ Dlaczego niemożliwe? \_ Bo nie trafię. -Jak to pani nie trafi?

Wargi jej zaczęły drgać i ułożyły się w podkówkę. \_ Nie trafię. Nie wiem, który to mój pokój. Wszystkie takie jednakowe.

\_ Chyba pani zna numer swego pokoju. Zaczęła rzewnie płakać. \_ Nie pamiętam.

Stasiak począł przestępować z nogi na nogę. Zupełnie nie wiedział co robić.

\_ Niechże pani nie płacze. To nie ma sensu. Ile pani ma lat? \_ Dwadzieścia skończę w listopadzie - odpowiedziała przez

łzy.

\_ No, no, niechże się pani uspokoi. Nic pani nie grozi. \_ Naprawdę? \_ Naprawdę.

\_ I nie zgwałci mnie pan? \_ Nie mam zamiaru.

Zaczęła znowu płakać. Nie wiedział, czy mimo wszystko nie dowierza mu, czy też martwującego stateczność.

90

- Niechże się pani uspokoi. Ostatecznie nic takiego strasznego się nie stało.

- Czy pan ma chusteczkę? Wyjął z szafy czystą chustkę. Wytarła głośno nos.

- Co pan teraz zrobi? - spytała. Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia.

- Wyrzuci mnie pan na korytarz?

- Nie... no... nie... chyba nie.

Ziewnęła. Znowu zobaczył jej nagie piersi. Pospiesznie podciągnęła kołdrę.

- Co mi się pan tak przygląda?

- Cóż mam robić? Doprawdy, nie wiem, co mam robić. Przyzna pani, że... Ale czy to możliwe, żeby pani nie pamiętała numeru swego pokoju?

- Nie pamiętam. Słowo daję, nie pamiętam. - Głos jej znowu zabrzmiał płacząco.

- Niechże pani nie zaczyna płakać - prosił Stasiak.

- Kiedy... kiedy mi się strasznie spać chce. A poza tym trochę mi niedobrze.

- Niedobrze?

- Tak. Za dużo piłam. To wszystko przez tego Zbyszka. Stasiak ze zrozumieniem pokiwał głową. Myślał chwilę,

wreszcie powiedział:

- A może by zadzwonić do portiera i zapytać, w którym pokoju pani mieszka?

Przeraziła się.

- Na miłość boską, niech pan tego nie robi. Wyobraża pan sobie, jaki to byłby skandal?

- Hm, rzeczywiście. No to nie ma innej rady. Niech pani się kładzie i śpi.

- A pan?

- Pójdę się trochę przejść. Piękna noc. Spacer dobrze mi zrobi.

- Ależ to straszne, że przeze mnie pan się nie wyśpi.

- Niech się pani nie martwi. Zdarzają się straszniejsze rzeczy. Jak pani na imię?

91

-Jola. Jola Nowicka.

- Dobranoc, panno Jolu. Mam nadzieję, że rano znajdzie pani jakoś swój pokój.

Wziął ubranie i poszedł do łazienki. Kiedy wrócił, pogrążona była w głębokim śnie.

Włożył płaszcz, wsunął klucze do kieszeni, zgasił światło i wyszedł na palcach, zamykając cicho drzwi za sobą.

Schodząc po schodach, podziwiał własną rycerskość. Znalazł u siebie w łóżku śliczną, młodziutką, nagą dziewczynę i... I poszedł na nocny spacer. Ale jeżeli mówiła prawdę, to nie mógł inaczej postąpić, nie mógł wykorzystać sytuacji. Była stanowczo za młoda, zupełna smarkuła. A poza tym, pomijając już stronę etyczną zagadnienia, trudno było przewidzieć, jakie ta przygoda mogłaby pociągnąć za sobą konsekwencje. W obecnej sytuacji nie mógł sobie pozwolić na żadne komplikacje.

Portier z pewnym zdziwieniem spojrział na amatora nocnych przechadzek. Ziewnął i pogrążył się w przerwanej drzemce. Noc była cicha, błyszcząca gwiazdami.

Stasiak zszedł w dół, ku morzu. Chwilę postał, zapatrzony w gładką, nieruchomą powierzchnię wody, jakby szukał czegoś spojrzeniem na ciemnym horyzoncie. Wreszcie ocknął się z zadumy i wolno ruszył brzegiem piaszczystej plaży.

Analizując na zimno wydarzenia ostatnich godzin, doszedł do przekonania, że jedna z tych kobiet była agentką barona Boysta. Ale która? Wschodnia piękność czy młodziutka, głupiutka Jola? Z doświadczenia wiedział, że nie można ufać pozornie niewinnym i naiwnym dziewczątkom, które często oddawały wywiadowi nieocenione usługi. Właśnie ten naiwny, dziecinny wygląd był ich bronią, i to nie była jaką bronią. Skośnooka brunetka bardziej oczywiście wyglądała na szpiega aniżeli ta smarkuła, ale... Nigdy nie wolno sugerować się pozorami, ulegać wrażeniom. To było przecież dosyć nieprawdopodobne. Wyglądało na legendę. Zabłądziła w hotelu? Nie mogła znaleźć swego pokoju? Trochę trudno było w to uwierzyć.

Stasiak przyspieszył kroku. Jedno tylko było pewne - to, że obydwa te spotkania wyrwały go ze stanu leniwej beczynności. Mózg poczynał żywiej pracować, mięśnie prężyły się pod skórą.

92

Zrodziło się pragnienie działania. Dość już miał beczynnego wylegiwania się na plaży.

Usiadł na płaskim kamieniu i zapatrzony się w morze. Tutaj otwierały się szerokie wrota prowadzące w świat. Tutaj zacznie się jego wielka przygoda. Przed oczami stanęła mu gładko wygolona, arystokratyczna twarz

barona Boysta. Ogarnął go niepokój. Czy rzeczywiście miał iść na służbę do tego człowieka? A jakież ma właściwie inne wyjście z sytuacji? Co innego może zrobić? Ogarnęły go wątpliwości. Nie, to wszystko stanowczo nie było takie proste.

Wstał i znów począł iść przed siebie. Nogi grzęzły w piasku. A jeżeli baron zażąda od niego w najbliższych dniach tego materiału, to co wtedy? Jak ich przekona, że on nic im nie zabrał z meliny w Szczecinie? Gdyby mógł się jakoś skontaktować z Suchym. Ale jak? Diabli wiedzą, gdzie go teraz szukać. Po tej historii w Szczecinie na pewno zupełnie zlikwidował się z tamtejszego terenu. Może przerzucili go na jakiś czas do Niemiec Zachodnich?

Godziny mijały, a Stasiak niestrudzenie chodził nad brzegiem morza. Tak był zamyślony, że nawet nie bardzo zdawał sobie sprawę z upływającego czasu. Przystawał, żeby wysypać piasek z butów, lub siadał, żeby trochę odpocząć.

Dopiero o siódmej zawrócił do hotelu. Chyba się już wyspała? Był zły i zmęczony. Żałował teraz, że po prostu nie zapytał portiera, gdzie mieszka panna Nowicka, i że nie zaprowadził jej do pokoju. Przecież to właściwie nie miało sensu.

Joli już nie było. Zamknął więc starannie drzwi na klucz, zrzucił ubranie i wsunął się pod kołdrę. Pościel pachniała ciałem młodej dziewczyny. Zasnął od razu.

Obudził się około drugiej. Dzień był znowu piękny i upalny. Rzadko nad polskim morzem zdarza się tak wspaniała pogoda. Ubrał się i szedł na dół. Postanowił dowiedzieć się czegoś o nieznajomej z dansingu. Wdał się więc w beztróską pogawędkę z portierem. Musiał bardzo uważać, żeby nie wzbudzić jakichś niepotrzebnych podejrzeń. Udał, że piękna cudzoziemka wpadła mu w oko i że chciałby się jakoś z nią zapoznać. Okazało się, że jest to malarka z Wenecji, że nazywa się Silvana Garrett. Stasiak był trochę zaskoczony tą wiadomością. Włoszka? Malarka? Czego ona mogła od niego chcieć? Czyżby rzeczywiście tylko sprawy ero-

93

tyczne wchodziły tu w grę? Ale w takim razie dlaczego go tak splotała? Należało to wyjaśnić. Poszedł na plażę w nadziei, że może ją tam spotka.

Leżąc na piasku, patrzył na mieniące się w słońcu morze i na białe mewy krążące nad falami. Myślał o Annie. Ileż dałby za to, żeby być teraz razem z nią. Wiedział, że żadna miłosna przygoda nie pozwoli mu zapomnieć o Annie. Chwilowe podniecenie zmysłów, po którym musi nieuchronnie nastąpić niesmak i zniechęcenie. Porwać Annę, uciec z nią w świat, skryć się w jakimś dalekim kraju i żyć miłością, miłością, której drugi raz na swojej drodze nie napotka. Dotychczas przez wzgląd na przyjaźń z Adamem nie dopuszczał tego do swojej świadomości.

A teraz... kiedy myślał o tym, żeby zerwać wszystkie więzy łączące go z dotychczasowym życiem...

- Dzień dobry.

Obrócił się i podniósł głowę.

Tuż przy nim stała Jola. Miała na sobie mocno wycięty elastyczny kostium koloru pogodnego nieba. Błękit tkaniny doskonale harmonizował z zaledwie muśniętymi promieniami słońca złotawym ciałem. Lśniły na niej jeszcze krople wody. Widocznie niedawno wyszła z morza.

- Ach, to pani. Dzień dobry.

Uśmiechnęła się niewyraźnie i przysiadła koło niego na piasku.

-Ja... ja bardzo chciałam pana przeprosić. Ja naprawdę zachowałam się jak idiotka. Przez mnie nie spał pan całą noc. Proszę się na mnie nie gniewać.

- Ależ ja się wcale nie gniewam. To głupstwo. Nie ma o czym mówić.

- Naprawdę się pan nie gniewa?

- Naprawdę.

-Aleja... ale ja przecież muszę panu jakoś wytłumaczyć, jak to się stało...

-Jeżeli pani ma ochotę...

- Bo... widzi pan, to było tak... Poszliśmy całą paczką na dansing. A ja dopiero przedwczoraj przyjechałam, więc...

- Sama pani przyjechała?

94

- Z koleżanką. Ale ona spotkała znajomych z Gdyni, którzy ją do siebie zaprosili, więc ja zostałam zupełnie sama. Mamusia ma przyjechać za kilka dni. Właśnie dostałam depezę, że nie może się ruszyć z Warszawy.

- I mieszka pani w Grand Hotelu?

- Tak. Więc właśnie wczoraj poszliśmy całą paczką na dansing. Poznałam ich już tutaj. No i ten Zbyszek, taki wysoki, czarny. Może go pan widział?

- Nie, nie widziałem go.

- To zresztą nie ma znaczenia. Chodzi o to, że zaczął mi dolewać i namawiał do picia. W końcu zaczęło mi się trochę kręcić w głowie, poczułam się bardzo senna i poszłam do swojego pokoju. Ale zapomniałam się z nimi umówić na drugi dzień, więc zeszłam jeszcze na dół. Nie było już ich. Wróciłam na górę, położyłam się do łóżka i od razu zasnęłam. Kiedy się obudziłam, pan stał nade mną. Resztę już pan wie.

-A jak pani rano odnalazła swój pokój?

- Spytałam portiera, gdzie klucz od mojego pokoju. Sięgnął w kierunku pustego gwoźdźca i wtedy zobaczyłam, jaki to numer. Klucz był oczywiście w drzwiach.

- Wydaje mi się, że pani musi być trochę roztrzępana -uśmiechnął się Stasiak. - I chyba niezbyt często mieszka pani w hotelu.

- Pierwszy raz wyjechałam sama tak daleko.

- Tak też przypuszczałem. Trzeba zawsze dobrze zapamiętać numer swego pokoju. Taka przygoda mogła się dla pani smutno skończyć.

- Och, tak, wiem - powiedziała cicho i zaraz dodała. -Chciałabym... chciałabym z panem porozmawiać.

Stasiak spojrział na nią zdziwiony.

- Przecież rozmawiamy.
- No tak, oczywiście. Ale... ale... ja bym chciała z panem porozmawiać o takich rzeczach. No, pan rozumie? Nie o wszystkim można mówić na plaży. To tak jakoś...
- Więc gdzież pani chce ze mną porozmawiać?
- Nie wiem. W każdym razie nie tutaj. Może w kawiarni? Stasiak był ubawiony tą całą historią.
- Dobrze. Możemy się spotkać w kawiarni.

95

- Chciałby pan?
- Oczywiście. Dlaczegoż by nie?
- Dzisiaj?
- Nawet i dzisiaj.
- O szóstej?
- Może być o szóstej.

Przyglądała mu się z dużym zainteresowaniem. W jej spojrzeniu widać było podziw.

- Pan musi być bardzo silny - powiedziała.
- Owszem. Jestem dosyć silny. -Wygląda pan jak atleta.
- Uprawiam sporty.
- To pewnie dobrze pan pływa?
- Nieźle.

Zajrzała mu zalotnie w oczy.

- To może pójdziemy razem popływać?
- Chętnie.

Chwyliła go za rękę i pociągnęła ku morzu. Zdziwił się, skąd w tej wiotkiej dziewczynie było tyle siły.

Pływała jak ryba. Wyruszyli daleko w morze. Stasiak począł się nawet obawiać, czy nie przeceniła swych sił. Ale nie, śmiała się i poruszała się zupełnie swobodnie. Nie znać było po niej zmęczenia. Kiedy wrócili na brzeg, położyli się obok siebie na piasku. Żartowali i gawędzili wesoło. Jola była inteligentna, wesoła, dowcipna i bardzo miła.

Popołudniowe słońce nie grzało już tak mocno. Wysychali wolno. Ani się spostrzegli, jak letni dzień począł tracić swą jaskrawą barwę. Ledwie dostrzegalna przezroczysta mgiełka, niby niezwykle delikatna, muślinowa zasłona, była zapowiedzią zbliżającego się wieczoru.

Stasiak spojrział na zegarek.

- Czy pani wie, że to już wpół do szóstej?

- Niemożliwe.

- Tak. Na miłej pogawędce czas nam szybko minął. Zrobiła zmartwioną minę.

- No dobrze... ale co będzie z naszym spotkaniem? Umówiliśmy się przecież na kawę o szóstej.

Uśmiechnął się.

96

- Nie widzę innego wyjścia, tylko nie będziemy się spotykać, a pójdziemy razem.

- To świetny pomysł.

Kiedy usiedli przy kawiarnianym stoliku, Jola zamówiła dla siebie cztery ciastka.

- Ogromnie lubię słodczyce - powiedziała usprawiedliwiająco. - A zresztą nawet lekarz polecił mi jeść dużo słodkich rzeczy, żeby wzmocnić serce.

Stasiak pomyślał, że, sądząc po wyczynach pływackich, to serce nie wymaga chyba tak intensywnego wzmocnienia, ale nic nie powiedział.

Jola, skonsumowawszy pokaźną porcję glukozy, dopiła swą kawę i wyjęła z torebki papierosy. Robiła wrażenie zdenerwowanej. Znikł gdzieś bez śladu jej beztroski humor. Stasiak przyglądał jej się z zainteresowaniem.

Zapaliła papierosa, pociągnęła dwa czy trzy razy i odłożyła giewonta na popielniczkę. Nie wyglądała na rutynowaną pa-laczkę. Raczej chciała dodać sobie odwagi.

- Wie pan, że ja jestem jednak skończona świnią - powiedziała nagle.

Stasiak pytająco podniósł brwi do góry.

- Dlaczegoż to pani obdarza się takim niepocholebnym epitetem?

- Bo... bo... - jąkała się - Bo jestem świnią i już.

- To nie jest zbyt przekonująca argumentacja. -Ja pana oszukałam! - wybuchnęła.

- Oszukała mnie pani? Nie rozumiem.

-Ja wcale nie byłam wczoraj na dansingu i wcale nie piłam, i wcale nie byłam pijana, i wcale nie zapomniałam numeru swego pokoju.

- Tak przypuszczałem — uśmiechnął się Stasiak. - Opowiadanie pani na plaży nie było zbyt przekonujące.

- Więc pan mi nie uwierzył?

- Nie bardzo. Ale mimo to nie rozumiem dotychczas, dlaczego pani położyła się do mojego łóżka. Zrobiła to pani zupełnie świadomie, tak?

-Tak.

- Czy może mi pani powiedzieć w jakim celu?

97

- Bo... bo... Bo widzi pan... - jąkała się, nie umiała znaleźć odpowiednich słów.

Czekał cierpliwie, uśmiechając się zachęcająco.

- No już trudno - zdecydowała się. - Powiem panu.

- Słucham.

- Bo gdyby się pan tak szlachetnie nie zachował, gdyby pan nie postąpił jak prawdziwy gentleman, to bym panu nie powiedziała. Ale przecież nie mogę być taka świnia, żeby pana okłamywać, nie mogę... Nie było żadnego Zbyszka, nie piłam wódki i w ogóle to wszystko bujda. Ja po prostu... no ja po prostu chciałam się panu oddać. - Wyrzuciła te słowa jednym tchem i trochę zdyszana urwała. Widać było, że jej to przyniosło ulgę.

Stasiak patrzył na nią osłupiały. Nie wiedział, co powiedzieć, nie wiedział, co ma o tym myśleć.

- Dziwi się pan?

- Przynajmniej, że trochę. Doprawdy...

- Zaraz panu wszystko wytłumaczę. Otóż niech pan sobie wyobrazi, że ja... że ja, chociaż już mam dwadzieścia lat, jeszcze nigdy... No tak... jeszcze nie miałam nic z mężczyzną. Jestem dziewicą. Czy to nie okropne?!

Milczał, zaskoczony tym niezwykłym wyznaniem.

Jola zaczerpnęła głęboko w płuca powietrza i mówiła dalej:

- Wszystkie moje koleżanki już mają kochanków. A ja...? A ja ciągle nic. Czy pan to sobie może wyobrazić?

- Jest pani jeszcze bardzo młodziotka - wtrącił nieśmiało Stasiak. Był oszołomiony tą dziwną rozmową. Jeszcze nigdy w życiu coś takiego mu się nie zdarzyło.

- Młoda, młoda. A kiedyż kobieta ma mieć kochanków? Jak będzie stara? Właśnie trzeba korzystać z młodości. A zresztą mnie wstyd przed koleżankami. Śmieją się ze mnie. A czy pan wie, dlaczego ja się do tej pory nie zdecydowałam?

- Nie, nie wiem.

- Bo wszyscy ci chłopcy, których znam, to straszni smarkacze i poza tym jacyś tacy nie bardzo. No, nie mam do nich za grosz zaufania. Więc jak zostało zdecydowane, że ja sama mam jechać do Sopotu i czekać tu na mamę, to postanowiłam sobie, że już dosyć tego, że tutaj to się musi stać. Chodziłam na plażę i obserwowałam mężczyzn. Zwróciłam uwagę na pana. Pan jest

98

stuprocentowym mężczyzną, właśnie takim w moim typie. zdecydowałam, że właśnie z panem i tylko z panem się prześpię i niech się to już raz skończy. Nie wiedziałam tylko, jak się do tego zabrać, jak się z panem zapoznać, jak pana uwieść. Postanowiłam prosto z mostu. Położyłam się do łóżka w pana pokoju, wiedząc, że pan jest w łazience. Ale... -Ale...? - podjął zaniepokojony Stasiak.

- Ale w ostatniej chwili straciłam całą odwagę, przestraszyłam się pana. Czy to nie idiotyczne? No niech pan sam po\wie?

Stasiak ujął ją serdecznie za rękę.

- Wcale nie idiotyczne, Jolu. Bardzo dobrze pani postąpiła. Świetnie zrobił mi ten nocny spacer.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Pan sobie ze mnie żartuje?

- Ale skądże. Mówię zupełnie poważnie. Spuściła oczy i poczęła skubać papierową serwetkę.

- Nie podobam się panu? - spytała cicho.

- Ależ tak. Bardzo mi się pani podoba. Jest pani niezwykle sympatyczną dziewczyną. Zachwycony jestem pani szczerością, Wie pani co, panno Jolu? Coś pani zaproponuję. Zostańmy dobrymi przyjaciółmi. Zgoda?

Nadąsała się.

- Ja nie chcę, żebyśmy zostali przyjaciółmi. Ja chcę, żeby pan był moim kochankiem. No, co to panu szkodzi? Nie rozumiem. Przecież nie jestem taka strasznie brzydka, żeby się pan musiał przezwyciężyć.

Stasiak przygryzł wargę. Bał się, że za chwilę parsknie śmiechem.

- Takich spraw nie można tak załatwiać naprędce - powiedział zupełnie poważnie. - Trzeba wszystko rozważyć, zastanowić się

- Nie ma czasu na żadne rozważania. Za parę dni przyjedzie moja mama i wtedy wszystko przepadło. A zresztą ja pana kocham

- Czy to nie za szybkie tempo?

- Wcale nie, ja wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia. Stasiak skinął na kelnerkę i zapłacił.

- Chodźmy już stąd. Tu jest strasznie duszno. Nie ma sensu siedzieć w zamkniętym lokalu. Przejdziemy się trochę, jeśli pani ma ochotę.

99

- Oczywiście, że mam ochotę. A później pójdziemy razem na kolację, potańczymy trochę i zabierze mnie pan do swego pokoju. Już dzisiaj nie będę się bała, bo... bo już się do pana przyzwyczaiłam.

Wieczór był piękny, kolorowy. W promieniach zachodzącego słońca krajobraz nabierał głębszych, spokojniejszych barw. Morze nie było już tak turkusowe, a niebo tak olśniewająco niebieskie. Cienie odchodzącego dnia coraz wyraźniej mówiły o zbliżającej się nocy.

Stasiak zorganizował dalszą wycieczkę. Miał nadzieję, że długotrwały ruch na świeżym powietrzu dobrze zrobi tej postrzelonej dziewczynie.

Mówił o sporcie, o podróżach i o życiu marynarza. Starał się ją zabawić, rozweselić, skierować jej myśl w inną stronę. Polubił tę dziewczynę i sam nie wiedział, dlaczego czuł się w pewien sposób za nią odpowiedzialny. Była tak straszliwie młoda, tak rozbrajająca w swej naiwnej szczerości.



Śmiała się i zdawała się być zainteresowana tym, co mówił, ale chwilami popadała w zadumę. Wtedy na jej wesołej, rumianej twarzączce pojawiał się cień smutku i słuchała z roztargnieniem jego słów.

Po dziesięciokilometrowym spacerze wrócili do hotelu. Zjedli razem kolację. Stasiak starał się być miły i dowcipny, ale Jola straciła humor. Siedziała milcząca i osowiała. Wyglądała na zmęczoną.

Odprowadził ją do jej pokoju. Kiedy się pożegnali, powiedziała:

- Pan to zrobił naumyślnie, prawda?

- Co zrobiłem naumyślnie?

- No, pogał mnie pan na taki daleki spacer, żebym się zmęczyła i była śpiąca. Widzę, że pan nie chce, żebym została pańską kochanką. Nie przypuszczałam... nigdy nie przypuszczałam... - głos jej się załamał, była bliska płaczu.

- Niech się pani porządnie wyśpi - powiedział wesoło Stasiak. - Jutro spotkamy się na plaży, to sobie o wszystkim spokojnie pogawędzimy. Dobranoc.

Nie spotkali się jednak ani nazajutrz, ani przez następnych parę dni. Zaszły bowiem wypadki, które zwróciły uwagę Stasiaka w zupełnie innym kierunku.

100

Odprowadziwszy Jolę do jej pokoju, Stasiak zszedł na dół i zajrzał do sali dansingowej.

Siedziała przy tym samym stoliku co wczoraj. Piła kawę i leniwym, jakby sennym spojrzeniem wodziła po sali. Może jego szukała.

Podszedł do niej i uklonił się z najbardziej czarującym uśmiechem, na jaki go było stać.

- Buona sera, signora. Spojrzała na niego zdziwiona.

- Buona sera. Ma come? Lei parła italiano?

- Czy panią to dziwi?

- Skąd pan się dowiedział, że ja jestem Włoszką?

- Mam swoje sposoby.

- Ach, tak. Rozumiem. Portier. Widzę, że bawi się pan w detektywa.

- Po prostu interesuję się panią. Czy pani pozwoli dotrzymać sobie towarzystwa?

- Będzie mi bardzo miło. Niech pan siada. Przysunął sobie krzesło i skinął na kelnera.

Znowu pili Cinzano z sokiem cytrynowym, znowu tańczyli dużo i znowu ona go uwodziła. Ale Stasiak tym razem już się trzymał w ryzach i nie pozwolił ponieść się temperamentowi. Rozpoczął grę i od tej chwili każde jego pełne zachwyty spojrzenie, każdy uśmiech, każde czułe słówko było precyzyjnie wyreżyserowane. Coraz bardziej nabierał pewności, że signora Garetti zastawia na niego sidła, że ma co do jego osoby jakieś konkretne plany. Czyżby była agentką barona Boy-sta? Wydawało się to mało prawdopodobne. Nazbyt zwracała na siebie uwagę. Ale i w tym mógł być pewien system.

Rozmawiali z ożywieniem, śmiali się i flirtowali. Silvana była w doskonałym humorze. W pewnym momencie pochyliła się ku niemu i zbliżając twarz do jego twarzy, powiedziała:

- Pan jest przemiłym kompanem. Wspaniale czuję się w pańskim towarzystwie.
- Dziękuję za słowa uznania - uśmiechnął się Stasiak.
- Szkoda, że niedługo będziemy się musieli rozstać.
- Wyjeżdża pani?
- Tak. Wracam do Wenecji. Mój pobyt w Polsce dobiega końca. A pan nie wybrałby się ze mną do Italii?
- Na razie chyba nie.
- Nie nęcą pana podróże po szerokim świecie? Stasiak czujnie nadstawił ucha.
- Bardzo lubię podróże, ale to nie takie proste.
- Och, nie ma w życiu nic trudnego. Trzeba tylko chcieć. Czyby to nie było cudowne, gdybyśmy tak we dwoje odbyli daleką podróż. Był pan na Capri?
- Nie. Znam raczej północne Włochy.
- No widzi pan. Pokazałabym panu Capri, Sorrento. Może wybralibyśmy się do Palermo. Wydaje mi się, że czulibyśmy się razem bardzo dobrze. Jak pan sądzi?
- Na pewno. To byłaby zachwycająca wycieczka.
- No więc?... Zaśmiał się.
- Mogę tylko marzyć o takich rzeczach.
- A jeśli bym panu powiedziała, że marzenia mogą się ziścić?
- Uwierzyłbym w to, że istnieją na świecie dobre wróżki.
- Czy chciałby pan, żebym była jego dobrą wróżką?
- Bardzo. Chyba pani w to nie wątpi? -Jakie piękne tango. Chodźmy tańczyć.

W nastrojowym świetle kolorowych reflektorów tuliła się do niego mocno, agresywnie, szeptała czułe, namiętne słowa. Musiał użyć całej siły woli, aby nie ulec całkowicie nastrojowi chwili. Był jednak czujny i kontrolował się bardzo starannie. Po ostatniej rozmowie był właściwie pewien, że piękna Włoszka jest agentką barona Boysta. I ona także zaczęła kusić go perspektywą szerokiego świata.

Tak jak i zeszłej nocy około pierwszej powiedziała, że jest zmęczona, i poszła na górę. Odprowadził ją i chciał się zaprosić do jej pokoju, ale i tym razem spotkała go grzeczna, ale stanowcza odmowa. Obróciła wszystko w żart i życząc mu dobrej nocy, zamknęła starannie drzwi na klucz. Nie pozostawało nic innego, jak pójść spać.

Wszedłszy do pokoju, zatrzymał się i wciągnął głęboko nozdrzami powietrze. Miał bardzo czuły węch i od razu poczuł niezwykle słaby zapach perfum. Tak, nie ulegało wątpliwości, to były perfumy używane przez panią Garetti. Cały wieczór przecież oddychał tym zapachem. Nie mógł się mylić.

Bardzo uważnie obejrzał swe rzeczy. Zrobiono to z dużą precyzją, ale jednak ktoś w jego pokoju przeprowadzał dokładną rewizję. Magnetofon leżał na swoim miejscu w walizce, ale pozycja jego była nieznacznie zmieniona. Również jeden z garniturów wisiał w szafie trochę dalej, bardziej na prawo niż poprzednio.

Stasiak przekręcił klucz w drzwiach i począł się rozbierać. Był zamyślony. Sytuacja wyjaśniała się powoli. Ta Włoszka, czy nie-Włoszka, jest agentką barona i ma na niego oko. Musi być fachową siłą, jeśli zdołała się włamać do jego pokoju i przeprowadzić tak dokładną, a jednocześnie nierzucającą się w oczy rewizję. Normalnie nikt by tego nie zauważył. Trzeba było być specjalnie na to nastawionym. Najwidoczniej szukają ciągle u niego tego jakiegoś materiału szpiegowskiego. Niedługo przyjdzie chwila, że sprawę postawią zdecydowanie: albo... albo. Jak z tego wybrnąć?

Przez następne dwa dni Stasiak dotrzymywał towarzystwa włoskiej malarce. Chodził z nią na plażę, nosił za nią farby i sztalugi, jadł razem z nią obiad, a wieczorem tańczył w Grand Hotelu. Wyglądał na coraz bardziej zakochanego.

Piękna Silvana trzymała się niezmiennie swej taktyki. Uwodziła go systematycznie, tuliła się namiętnie do niego w tańcu, patrzyła mu miłośniczo w oczy, całowała ukradkiem, gdy sala dansingowa pogrążona była w półmroku. Ale scena wieczornego pożegnania wyglądała zawsze tak samo: zatrząskiwano mu drzwi przed nosem.

„Chce mnie wyprowadzić z równowagi” - myślał Stasiak i czekał cierpliwie na dalszy rozwój wypadków.

103

Coraz częściej mówili teraz o „szerokim świecie”, o podróżach i o możliwościach, jakie otwiera Zachód przed przedsiębiorczym człowiekiem. Stasiak chciwie słuchał opowieści o życiu w Paryżu, w Rzymie, w Londynie czy Nowym Jorku. Zdawał się być zafascynowany mirażem odległych krajów. Robił wrażenie człowieka ogarniętego tęsknotą za innym, lepszym, weselszym życiem.

Pewnego upalnego popołudnia, kiedy przytuleni do siebie leżeli na piasku, dotknęła wargami jego ucha i powiedziała:

- Ti amo.

Podniósł się i spojrzał jej w oczy. Płonęły namiętnością. Może w tej chwili nie kłamała.

- Chodź, chodź stąd. Dostanę ci plażę na dzisiaj.

Ubrali się i poszli do hotelu. Skierowała się od razu do swego pokoju. Nie zamienili ze sobą ani słowa.

Kiedy przekręciła klucz w drzwiach, zadzwonił telefon.

- Zaczekaj - powiedziała. Posłusznie został w korytarzu. Zaraz wróciła, ale jej nastrój już zniknął.

- Przepraszam cię, mio caro. Muszę załatwić ważny telefon. Zobaczymy się na kolacji. Ciao.

Postać chwilę i słyszał, jak rozmawiała przez telefon. Słów jednak nie mógł zrozumieć.

Tego wieczoru nie spotkał jej na sali dansingowej. A przez cały następny dzień na próżno szukał jej na plaży i we wszystkich znanych mu lokalach. Silvana zniknęła. Nie mógł tego pojąć. Był zaskoczony i zaniepokojony jednocześnie. Nie rozumiał, co to miało znaczyć. Nie chciał się o nią wypytywać. Wreszcie jednak zdecydował się spytać portiera, który mu powiedział, że pani Garetti pojechała na wycieczkę do Gdańska i że zabrała ze sobą sztalugi. Któż mógł wiedzieć, ile było w tym prawdy.

Stasiak w żaden sposób nie umiał sobie wytłumaczyć tajemniczego zniknięcia pięknej Włoszki. Był zły i zdenerwowany. Przeczuwał, że ta historia mogła mieć jakiś związek z jego osobą. Ale jaki?

Późnym popołudniem poszedł na plażę. Nie kąpał się jednak. Usiadł na brzegu i w zadumie patrzył na morze. Tak niedawno gładka i nieruchoma powierzchnia wód spiętrzyła się nagle grzebieniastymi falami, które północno-zachodni wiatr pędził ku piaszczystym wydmom. Pogoda była niezbyt pewna.

104

- Dobry wieczór.

Jola, w spodniach i w sportowym sweterku, stała tuż przy nim.

- Dobry wieczór, panno Jolanto. Dawno pani nie widziałem. Spojrzała na niego z wyraźną niechęcią.

- Zbyt był pan zajęty tą zagraniczną wydrą, żeby na mnie zwracać uwagę. Żeby chociaż była naprawdę ładna. Ale te skośne oczy. Nie rozumiem, co pan w niej widzi.

- Czyżby scena zazdrości? - uśmiechnął się Stasiak. Wzruszyła ramionami.

- Nie mam żadnych podstaw do tego, żeby urządzać panu sceny zazdrości. Ale bardzo się panu dziwię. Przecież ta babka ma już dobrze po trzydziestce. Chyba pan nie widział, jakie ma piersi. Aż przykro patrzeć. Doprawdy, trudno zrozumieć mężczyzn.

Stasiak począł się śmiać.

- Pani jest wspaniała, panno Jolanto. Odwróciła się do niego plecami.

- Do widzenia panu.

- Ależ chwileczkę, niechże się pani tak od razu nie obraża. To tylko żarty.

- Naśmiewa się pan ze mnie. Ujął ją łagodnie za rękę.

- No, już nie będę. Proszę się nie gniewać.

Popatrzyła na niego chmurnie, ale widać było, że bez większych trudności da się namówić do zgody.

- I pan pewnie przypuszcza, że ona jest panu wierna? -Kto?

- No, ta flądra z krzywymi ślepiami. Niech się pan nawet nie łudzi. Na własne oczy widziałam.

- Co pani widziała?

- Widziałam, jak sobie gruchała czule. Ale ona też ma gust... Znalazła sobie takiego faceta, że strach patrzeć. Olbrzym, a wygląda jak pies. Wie pan, jak taki buldog. Zupełnie ścięta twarz. No powiadam panu, że się można przestraszyć.

Stasiak spojrział na dziewczynę z żywym zainteresowaniem.

- Gdzie go pani widziała?

- Niedaleko Gdyni. Ale zresztą... co ja panu będę opowiadać.

105

- Ależ proszę, niech pani mówi. To mnie bardzo interesuje. -Jest pan zazdrosny o nią?

- Może trochę.

- A więc dobrze. Powiem panu, żeby się pan przekonał, jaka ona jest naprawdę. Najpierw z panem flirtuje, a potem...

- Gdzie ich pani widziała razem?

- Mówię przecież, że niedaleko Gdyni, nad morzem. Bo to było tak: zezłościłam się na pana i postanowiłam pójść gdzieś daleko, żeby pana wcale nie widzieć. Chciałam pójść piechotą nawet na Hel czy do Jastrzębiej Góry. Zaraz za Orłowem zobaczyłam ją w krzakach. Myślałam, że może czeka na pana. Zaczaiłam się. Powiem panu prawdę - chciałam zobaczyć, co wy będziecie robić w tych krzakach.

-Hm.

- Tak, tak, wiem, że to nie bardzo ładnie z mojej strony. Ale trudno. Coś mnie podkusiło. Siedzę więc zaczajona i widzę, że od strony Gdyni płynie łódka. Siedział w niej ten facet o psiej twarzy. Ona dała mu znak szalikiem. Przybił do brzegu, wyciągnął łódkę i usiadł koło niej. Wyglądał jak rybak albo marynarz. Rozmawiali po angielsku.

- Po angielsku?

- Tak. Dlatego z początku nie bardzo zrozumiałam, o czym mówią. Znam trochę angielski. Już trzeci rok uczę się u metodystów. Wie pan, tam na placu Zbawiciela.

- Wiem. No i co dalej?

-Jak się trochę przyzwyczaiłam, to zaczęłam rozumieć. Mówili także o panu.

- O mnie?

- Tak. On jej coś tam zaszwargotał, a ona na to mu odpowiedziała: „Chwała Bogu, już nie będę musiała uwodzić tego Stasiaka”. Nie bardzo rozumiem, co to miało znaczyć. A pan?

-Ja też nie. I co było dalej?

- Dalej już nic nie słyszałam, bo zaczęli szeptać. A potem zaraz się pożegnali i on odpłynął swoją łódką.

Stasiak zaczął się uważnie przyglądać Joli. Wiedział, że umie ona dobrze kłamać, ale teraz chyba mówiła prawdę. A zresztą, skąd by sobie wymyśliła tego człowieka o twarzy buldoga. To by się zgadzało. Jeżeli Silvana była agentką barona, to Buldog

106

mógł być z nią w kontakcie. Ale dlaczego miałyby tak o nim powiedzieć? Był tak pogrążony w swych

rozmyślaniach, że zapomniał o Joli.

- Czy pan się na mnie gniewa?

- Gniewam? Za cóż miałbym się na panią gniewać?

- No za to... za to, że... że chciałam pana podpatrywać w tych krzakach.

- Nie bardzo to było ładnie z pani strony, ale się nie gniewam.

- No, to już się pogódźmy.

- Nie przypominam sobie co prawda, żebyśmy byli poróżnieni, ale pogodzić się na wszelki wypadek możemy.

Odzyskała dobry humor i z rozjaśnioną twarzą usiadła koło niego na kamieniu.

-Wie pan... coś panu zaproponuję. Dobrze?

- Słucham.

- Bo mnie się zdaje, że to nie ma sensu, żeby pan sobie zawracał głowę tą cudzoziemką. Przecież ona i tak niedługo wyjedzie za granicę i tyle ją pan będzie widział. Czy to warto? Pan mi się tak szalenie podoba. Nie mógłby pan ze mną sobie po-flirtować? Ja zostaję w Polsce, nigdzie nie wyjeżdżam. Spotkalibyśmy się potem w Warszawie. Byłoby bardzo fajnie... No nie?

Stasiak z trudnością powstrzymywał się od śmiechu. Pogłaskał Jolę po drobnej, opalanej dłoni.

- Pani jest bardzo miła. Ogromnie panią lubię.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Urocza z pani dziewczyna.

- No więc...?

- Co więc?

- Wybije pan sobie z głowy tamtą wydrę?

- To bardzo prawdopodobne. Na razie chodźmy na kolację.

- Zaprasza mnie pan?

- Oczywiście.

Kiedy usiedli przy stoliku restauracyjnym, Jola wpadła w doskonały humor. Śmiała się, żartowała i opowiadała najzróżnorodniejsze swoje przygody. W pewnym momencie spojrzała uważniej na Stasiaka i spytała:

- Właściwie czym pan się zajmuje?

107

- A jak się pani zdaje?

- Bo ja wiem? Wygląda pan na boksera, szczególnie w kostiumie kąpielowym.

-Jestem dziennikarzem.

- To musi być bycza praca. No nie? W jakich gazetach pan pisuje?

- Przeważnie w prasie sportowej. „Przegląd Sportowy”, „Sportowiec”. Czasami w „Kurierze”. A pani co studiuje?

-Jestem na drugim roku dentystyki. Jak się trochę wprawię, to będę panu plombować zęby.

- Może mi się do tego czasu zęby popsują - uśmiechnął się Stasiak. - W każdym razie dziękuję za dobre chęci.

Po kolacji Jola zaczęła dyskretnie ziewać.

- Wie pan, że się porządnie zmachałam tym łożeniem. Pójdę chyba zaraz spać. Zobaczymy się jutro na plaży. Dobrze?

- Doskonale. Popływamy trochę, jeżeli oczywiście będzie pogoda.

Odprowadził ją do jej pokoju i zszedł na dół. Pomimo wczesnej pory na parkiecie kręciło się już kilkanaście par. Stolik si-gnory Garetti był niezajęty. Stasiak natomiast spostrzegł kogoś, z kim nie miałby ochoty się spotkać.

Niedaleko orkiestry siedziała ta piękna brunetka, którą wtedy spotkał u Anny. Rozmawiała z ożywieniem z przystojnym blondynem ze Stylowej.

Stasiak cofnął się pospiesznie. Był rad, że go nie zauważyła. Poszedł do portiera i zapytał o panią Garetti. Jeszcze nie wróciła. To było mu nawet na rękę.

Pobiegł do siebie na górę. Szybko wyjął z walizki aparat podsłuchowy, nie większy od pudełka papierosów, oraz pęk wytrychów. Był zupełnie niezłym włamywaczem.

Ostrożnie zszedł na pierwsze piętro. Korytarz był pusty. Przystanął przed drzwiami pani Garetti i przez chwilę słuchał uważnie. Cisza. Żadnych kroków. Błyskawicznie wyjął z kieszeni wytrychy i jeden z nich wsunął w dziurkę od klucza. Drzwi ustąpiły bez trudu.

W pokoju panował nieład. Różne części damskiej garderoby porozrzucone były po meblach. Pudło z farbami i duży szkicownik leżały na podłodze. Stolik zarzucony był ołówkami i pędzlami.

108

Stasiak nie tracił czasu. Szybkim spojrzeniem ogarnął cały pokój, następnie przyklęknął przy nocnej szafce i kawałkiem drutu przymocował pod nią aparat nadawczy. Dokonawszy tego, wstał i skoczył do drzwi. Nagle znieruchomiał. W zamku zgrzytnął klucz. Odruchowo przyłgnął do ściany i czekał. Znalazł się w potrzasku.

Weszła Silvana. Westchnęła z ulgą i rzuciła na krzesło płaszcz i dużą torbę z plastyku. Wtedy spostrzegła nieproszonego gościa. Cofnęła się zaskoczona i wydała cichy okrzyk. W tej samej chwili Stasiak porwał ją w ramiona.

- Nareszcie, nareszcie - szeptał namiętnie. - Już teraz nie wymkniesz mi się. Już cię nie puszcę. Już mi nie zatrzaśniesz drzwi przed nosem. Kocham cię, kocham. Pożądaję cię tak, jak jeszcze nigdy żadnej kobiety nie pożądałem. Silvano! Silvano! - Całował ją do utraty tchu.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Była tak zaskoczona tą nagłą napaścią, że nie potrafiła się

bronić.

- Oszalałeś. Oszalałeś - powtarzała tylko.

Pochwyił ją na ręce i zaniósł na łóżko. Nie broniła się. Może bała się skandalu, a może po prostu nie chciała się bronić.

Powiewna jedwabna suknia ześliznęła się łatwo po opalonym ciele. Przez Jolę przemawiała zazdrość. Silvana nie miała sflaczałych piersi.

Stasiak dopiero nad ranem wrócił do swego pokoju. W całym ciele czuł przyjemne zmęczenie. Wziął letni prysznic i od razu położył się do łóżka. Zanim zasnął, pomyślał, że to poświęcenie dla dobra sprawy nie było znowu takie wielkie.

Obudził się około południa. Zaraz pochylał się nad odbiornikiem. Nie postyszał jednak żadnych dźwięków. Widocznie Silvana wyszła już ze swego pokoju. Ubrał się więc i poszedł na plażę. Pomimo wczorajszych obaw pogoda znowu była piękna, bezchmurna. Silwany nigdzie nie mógł dostrzec. Spotkał natomiast Jolę.

- Cóż tak późno?

- Zasnęłam trochę. Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Co pan robił w nocy?

- Nie mogłem spać. Czytałem książkę.

109

- I ta lektura tak pana zmęczyła. Wygląda pan dziwnie blado.

- Muszę trochę popływać. To mnie orzeźwi.

Weszli w morze. Stasiak jednak nie odpływał zbyt daleko. Szukał wzrokiem Silwany. Nie rozumiał, dlaczego nie przyszła. Przecież się umówili.

Jola wyczuła jego roztargnienie.

- Co pan dzisiaj taki jakiś dziwny?

- Dziwny?

- No tak. Robi pan takie wrażenie, jakby się pan jeszcze nie obudził albo jakby pan ciągle myślał o czymś innym.

-Jestem może po prostu trochę zmęczony. Źle spałem. Zjedli razem obiad, a potem Stasiak poszedł się trochę położyć.

Wieczorem spotkał Silvanę na dansingu. Siedziała przy swym ulubionym stoliku. Przywitała się z nim uprzejmie i rozpoczęła obojętną rozmowę. Zachowywała się tak, jakby nic między nimi nie zaszło. Podjął jej styl i ani słowem nie zrobił aluzji do minionej nocy.

Pili Cinzano z sokiem cytrynowym i tańczyli przytuleni do siebie. Z tą tylko różnicą, że Silvana już go tak agresywnie nie uwodziła. Była spokojniejsza, nieomal zupełnie obojętna. To go dziwiło, a nawet trochę irytowało. Był urażony w swej męskiej ambicji. Po takiej szalonej nocy powinna się przecież inaczej do niego



odnosić.

Tak jak zwykle około pierwszej poszła do swego pokoju. Nie zaprosiła go jednak do siebie. Nie nalegał. Pobiegł do siebie i usadowiwszy się wygodnie w fotelu, słuchał. Nic jednak ciekawego nie postyszał w odbiorniku. Nie tracił jednak nadziei, że coś postyszy. Na razie cieszył go fakt, że ani Silvana, ani pokojówka nie zauważyły zainstalowanego podsłuchu.

Korzystał z każdej nadarzającej się okazji, aby słuchać, co się dzieje w pokoju Silwany. Tak zawsze kombinował, żeby być u siebie wtedy, kiedy i ona była w swoim pokoju. Rozkład dnia miał mniej więcej ustalony. Rano szedł na plażę, gdzie zazwyczaj spotykał się z Jolą, po obiedzie parę godzin spędzał w swym pokoju, a wieczorem tańczył z Silvaną, która nie zdradzała żadnej ochoty do kontynuowania rozpoczętego romansu. W ogóle nie mówili na ten temat.

110

Pewnego wieczora już około jedenastej poszła do siebie. Zdziwił się trochę i począł podejrzewać, że coś się kryje pod tym zmęczeniem. Nie omylił się. Wreszcie aparat podsłuchowy przydał się na coś.

Przed samą północą w pokoju signory Garetti zadzwieczał telefon. Mówiła po angielsku, rozmowa trwała bardzo krótko. Głos Silwany drżał nerwowo. Wyczuwało się, że się bardzo spieszy.

- Jutro pomiędzy pierwszą a drugą w nocy. Na zachód od Jastrzębiej Góry. Nie dojeżdżając do Karwi. Drewniana opuszczona chata rybacka. Na drzwiach wycięte trzy trójkąty. Nie dzwoń do mnie.

Odłożyła słuchawkę. Stasiak z zadowoleniem zatarł ręce. Nareszcie coś konkretnego, nareszcie jakiś punkt zaczepienia. Nie miał wątpliwości co do tego, że w podsłuchanej rozmowie nie chodziło o miłosną schadzki. Ale dlaczego mówili po angielsku? Widocznie Silvana nie umiała ani po polsku, ani po niemiecku. Prawdopodobnie umówiła się z Buldogiem. Coś knują. Ale co? Wszystko to wydawało mu się trochę dziwne i nie znajdował właściwie żadnego sensownego wytłumaczenia zarówno dla gry Silwany, jak i dla jej tajemniczych konszachtów z Buldogiem.

Bo przecież chyba nie można było wątpić w to, że Jola widziała właśnie Buldoga. Nie przyszłoby jej do głowy zmyślać opisu jego psiej twarzy i olbrzymiej postaci. Gdyby chciała wzbudzić w nim zazdrość, to by raczej opowiedziała, że widziała Silvanę w towarzystwie jakiegoś pięknego młodzieńca. Zasnął, rozmyślając o jutrzejszej wyprawie.

Nazajutrz pogoda się popsowała. Szare chmury zasnuły niebo. Morze pociemniało i szumiąc, wyrzucało na piaszczysty brzeg coraz nowe kawały piany. Chłodny wiatr rozkołysał powierzchnię wody, wydobywając z jej głębi pomrukiujące groźnie fale. Patrząc na ten smutny, melancholijny krajobraz, trudno było sobie wyobrazić, że nie dalej jak wczoraj wszystko tonęło tu w złocistym blasku słońca i grało tysiącem jaskrawych barw.

Na plaży trwało na posterunku zaledwie parę bohaterskich osób. Nie każdy miał ochotę narażać się na ryzykowną kąpiel. Od razu zrobiło się chłodno.

Silvana nie wyszła ze swego pokoju. Stasiak nad brzegiem

111

morza spotkał zapatrzoną w grzywiaste fale Jolę. Była w minorowym nastroju.

- Czy myśli pan, że to koniec lata?

- Ale skądże. Jeszcze prawie cały sierpień przed nami.

- Wszystko się kończy - powiedziała cicho. - Kończy się lato, kończy się moja swoboda. Czy pan wie, że jutro przyjeżdża mama?

- Powinna się pani cieszyć.

- Wiem, że powinnam, ale wcale się nie cieszę. Nawet mi przykro, że się nie cieszę. To chyba pierwszy raz.

Przyjacielskim ruchem położył jej rękę na ramieniu.

- Cóż taki pesymistyczny nastrój, panno Jolu? Nie trzeba. Jutro może znowu będzie słońce.

Odwrociła głowę, jakby chcąc ukryć przed nim napływające jej do oczu łzy.

- To wszystko przez pana. To wszystko przez pana.

- Nie poczuwam się do żadnej winy.

- Aleja pana kocham. A pan... a pan...

Chciał ją zatrzymać. Wyrwała się i uciekła. Zrobiło mu się jej żal. Bardzo polubił tę dziewczynę. Wolnym krokiem wrócił do hotelu.

Aparat odbiorczy poinformował go, że Silvana jest u siebie w pokoju. Kaszłała. Widocznie była wrażliwa na zmianę temperatury. Bał się, żeby nie spostrzegła aparatu podsłuchowego. Jeśli będzie cały dzień leżała w łóżku, co było prawdopodobne, wtedy zawiadomi Buldoga i nie dojdzie do ich spotkania. Dlaczego umówiła się z nim aż pod Jastrzębią Górą? Przecież to kawał drogi. Jak ma zamiar się tam dostać? Wozem? Pociągiem? Zresztą to nie ma znaczenia. Samotna chata rybacka. Na drzwiach trzy trójkąty. Musi tam się dostać przed północą. Otworzył walizkę i zaczął się przygotowywać do drogi. Wyjął dużą skórzaną teczkę i włożył do niej magnetofon, aparat fotograficzny, ciepły sweter, ręcznik, mydło i przybory do golenia. Następnie obejrzał starannie pistolet, zarepetował go i wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki, z lewej strony, którą miał specjalnie wszytą trochę na ukos. Pozwalało to na szybkie wydobycie broni. Jeszcze tylko płaszcz, beret i właściwie już wszystko. Zapalił papierosa i stojąc na środku pokoju, począł się zastanawiać. Jego nagłe zniknięcie mogłoby zastanowić Silvanę i wzbudzić w niej czujność. Wstanie

112

na obiad i zacznie go szukać. Portier jest zawsze najlepszym środkiem informacji. Ona zapewne będzie miała wóz na miejscu. On zaś musi jechać najpierw do Gdyni, żeby tam dostać jakiś środek lokomocji. Musi więc wyjechać dużo wcześniej. Należało to jakoś upozorować. Ale jak? Jola.

Pobiegł na trzecie piętro i zastukał do jej pokoju.

Leżała na łóżku i gryząc cukierki, czytała książkę. Spojrzała na niego zdziwiona.

- To pan?

Przysunął sobie krzesło i usiadł.

- Panno Jolu, czy zechciałaby mi pani pomóc? Podkurczyła nogi i odsunęła książkę. Była widocznie zaskoczona.

- Pomóc? Ja panu?

- Tak. Ale musi mi pani przyrzec, że dotrzyma pani tajemnicy. Oczy jej zapłonęły ciekawością.
  - Ależ oczywiście. Przyrzekam panu. Co mam zrobić?
  - Wszystko to, co pani powiem. Na razie pojedziemy na obiad do Gdyni.
- Rozczarowanie odmalowało się na jej twarzy.
- Eee... Myślałam, że rzeczywiście coś tajemniczego.
  - A później pójdziemy do kina.
  - Widzę, że mnie pan nabiera.
  - Nic podobnego. Bardzo panią o to proszę. Wzruszyła ramionami.
  - Chętnie pójdę z panem do kina. Ale nie rozumiem, dlaczego mam robić z tego jakąś tajemnicę?
  - To tak, żeby było ciekawiej.
  - Uważa pan, że jestem taka strasznie dziecinna?
  - Uważam, że oboje możemy jeszcze doskonale zabawić się w Indian.
  - Chce mnie pan rozweselić.
  - Oczywiście. I panią, i siebie. No, więc co? Jedziemy?
  - Doskonale. Zaraz będę gotowa.
  - Niech się pani tylko ciepło ubierze, bo dzisiaj się bardzo ochłodziło.
  - Dobrze, dobrze. Niech pan nie udaje troskliwego tatusia.
  - Czekam na panią w hallu.

113

Po upływie dwudziestu minut spotkali się na dole. Jola miała, na sobie gabardynowe spodnie i brązową wiatrówkę. Jasne włosy związała z tyłu szeroką wstążką. Wyglądała ślicznie.

Stasiak wziął ją serdecznie pod rękę i podszedł do portiera, żeby oddać klucz.

-Jakby ktoś" o mnie pytał, to proszę powiedzieć, że pojechaliśmy do Gdyni. Taka podła pogoda, że trzeba pójść do kina.

- Miejmy nadzieję, że to niedługo potrwa - uśmiechnął się portier i odebrał od nich klucz. \_ Życzę państwu wesołej zabawy.

- Dziękujemy.

Poszli na stację. Stasiak był w doskonałym humorze, który powoli poczynął się udzielać { joli.

Kiedy wysiedli w Gdyni z pociągu, Stasiak powiedział:

- A teraz pójdziemy do hotelu. Spojrzała na niego Spłoszona.

- Do hotelu?
- Niech się pani nie boi - zaśmiał się Stasiak. - Nie mam w stosunku do pani żadnych złych zamiarów.
- Szkoda. Więc po co w takim razie mamy iść do hotelu?
- Troszkę się umyć, odświeżyć. Potem pójdziemy coś zjeść. Była zdziwiona, ale nie protestowała.

Stasiak wziął dwa pokoje i od razu zapłacił za jedną dobę. Podczas gdy Jola myła ręce pobiegł do telefonu i połączył się z komisariatem MO.

- Mówi kapitan Stasiak z Komendy Głównej. Potrzebuję dziś wieczór wóz do Jastrzębiej Góry. Będę u was za półtorej godziny- Sprawa poufna.

" Czekamy na was, towarzyszu. Jola już była gotowa -No, jak tam z apetytem?

- Świetnie. Głodna jestem jak wilk.

W Inter Clubie było gwarno. Kelnerzy mijali się po sali, roznosząc dymiące półmiski. Słychać było rozmowy w obcych językach. Marynarze z całego świata opowiadali przy kieliszku swe przygody.

Znaleźli wolny stolik przy oknie, usiedli i cierpliwie czekali

na kelnera. Jola rozglądała

się ciekawie.

, Ilu tu cudzoziemców! Nigdy tu nie byłam. Czy myśli pan, że dostaniemy coś dobrego do jedzenia?

114

- Na pewno. To reprezentacyjny lokal.

Wreszcie doczekali się kelnera. Stasiak zamówił przekąski i bryzole z pieczarkami.

-Jaką można podać wódeczkę? - spytał kelner.

- Dziękuję. Nie będziemy pili. Jola spojrzała zdziwiona.

- Nie napijemy się?

- Alkohol nie jest wskazany dla pływaków - uśmiechnął się Stasiak.

- Pewnie pan uważa, że jestem za młoda na picie wódki. A właśnie że nie. Mogę pić i mam mocną głowę.

- Nie wątpię w to. Ale nie mam dzisiaj ochoty na wódkę. Przecież sama nie będzie pani piła.

- No pewnie że nie. Dziwny z pana człowiek.

- Dziwny? Dlaczego?

- Straszny abstynent. Nie wygląda pan na to. Żeby mężczyzna nie miał żadnych nałogów... Dziwne.

- Palę papierosy.

- Bardzo miło. Nie pije pan wódki, nie interesuje się pan młodymi dziewczętami.

- No, to może przesada.
- Przecież sama się przekonałam o tym. Oboje zaczęli się śmiać.
- Dokuczasz mi, moja mała - powiedział Stasiak.
- Przede wszystkim nie jestem mała, a poza tym dlaczego nagle zaczyna się pan posługiwać w stosunku do mnie zaimkiem dzierżawczym „moja”? Nie widzę żadnego uzasadnienia.
- Podziwiam pani znajomość gramatyki. Jak na dentystkę to zupełnie niezwykle.

Tak gawędząc i przekomarzając się, zjedli obiad. Na deser Jola skonsumowała dwie imponujące porcje kremu truskawkowego, po czym szybko poprosiła o czarną kawę.

Kiedy znaleźli się na ulicy, Stasiak powiedział:

- Myślę, że po dobrym obiadku należy się zasłużony wypoczynek.
- Oj, tak.

Ułożywszy do snu Jolę, Stasiak wyszedł z hotelu i pojechał do komisariatu. Przyjął go kapitan Woźniak, starszy, szpakowa-

115

ty mężczyzna. Wylegitymowawszy swego kolegę z Komendy Głównej, Woźniak spytał:

- Więc potrzebujecie wozu?
- Tak. Około północy muszę być za Jastrzębią Górą. Nie jest wykluczone, że jestem śledzony, dlatego muszę zachować jak najdalej posuniętą ostrożność. Rozumiecie mnie, prawda?

Woźniak pomyślał chwilę i spojrzał na zegarek.

- Tak wam zaproponuję - powiedział - teraz jeszcze nie ma czwartej. Dużo czasu. Wystarczy, jak wyjedziecie stąd około dziewiątej. - Wyjął z szuflady plan miasta, rozłożył go na biurku i wskazał ołówkiem jakiś punkt. - O tutaj, niedaleko portu, o wpół do dziewiątej będzie stała wolna taksówka. Wsiądźcie do niej. To nie powinno zwrócić niczyjej uwagi. Jeżelibyście jednak spostrzegli, że jedzie za wami jakiś wóz, to wysiądźcie przed pierwszą lepszą kawiarnią i wróćcie do mnie albo lepiej porozumiecie się ze mną telefonicznie. Dam wam wtedy motorówkę. Co wy na to?
- Uważam, że plan jest doskonały. Dziękuję wam, towarzyszu. Czy dacie mi numer tej taksówki?
- Oczywiście. - Woźniak wyrwał kartkę z bloku i zanotował numer. - Przy kierownicy będzie siedział pewny człowiek. Możecie mu zaufać. Będzie miał broń przy sobie na wszelki wypadek.
- To zbyteczne. Sam sobie muszę poradzić.

Po wyjściu z komisariatu Stasiak wrócił do hotelu. Postanowił trochę odpocząć przed nocną wyprawą. Przed hotelem zauważył wiśniowego wartburga. W drzwiach zaś zderzył się z przystojnym blondynem, którego już dwa razy spotkał w towarzystwie pięknej przyjaciółki Anny. Nie zdradzając specjalnego zainteresowania, zwrócił się do portiera.

- Czy może mi pan powiedzieć, kim jest ten elegancki mężczyzna?

- Który?
- Ten, który przed chwilą wyszedł z hotelu i odjeżdża teraz ciemnowiśniowym wartburgiem.
- Ach, tak. To inżynier Czarnowski z Warszawy. Nasz stały klient. Wytworny, prawda?
- Bardzo.
- Ten człowiek ma powodzenie. Nie wyobraża pan sobie, jak się za nim kobity rozbijają.

116

- Wyobrażam sobie - powiedział Stasiak i poszedł na górę. Położył się, ale nie mógł zasnąć. Myślał o nocnej wyprawie. Nerwy już miał napięte. Co knuje Silvana w porozumieniu z Buldogiem? Dlaczego spotykają się tak daleko? Przecież to około stu kilometrów. Czy to ich spotkanie ma jakiś związek z nim?

Dlaczego do tej pory ludzie barona nie dali o sobie znaku życia? Czego się dowie w opuszczonej chacie rybackiej? Jak będzie wyglądała najbliższa przyszłość? Co go czeka? Parę minut po piątej zastukała do niego Jola.

- Może już dosyć tego wypoczynku? Czy przywiózł mnie pan do Gdyni po to, żeby cały dzień spać?

Wstał i przeczesał sobie włosy.

- Zaraz idziemy do kina - powiedział.

Podeszła do niego blisko. Przez chwilę stała nieruchoma i milcząca. Podniosła ręce i poprawiła mu krawat. Unikwała jego wzroku. Szepnęła:

- Dlaczego pan jest dla mnie taki niedobry?

- Niedobry?

- Przecież pan wie, że... że... ja pana kocham. A pan... Wziął ją pod brodę i zajął jej w oczy. Były pełne łez.

- Mówiłem przecież, że bardzo panią lubię, panno Jolu, naprawdę bardzo.

- I nawet mnie pan nie pocałuje?

- Niechżeż pani będzie rozsądna. Potrząsnęła energicznie głową.

-Ja nie chcę być rozsądna. Rozumie pan? Nie chcę. Jutro przyjeżdża mama i wszystko przepadnie. To przez pana... przez pana...

- No, chodźmy, bo się spóźnimy do kina - powiedział Stasiak. Żałował, że zdecydował się na tę wyprawę z Jolą. Romantyczne nastroje tej dziewczyny zaczęły mu już trochę ciążyć. Miał teraz co innego na głowie.

Francuska komedia rozproszyła nieco melancholię Joli. Siedziała przytulona do swego towarzysza i gryząc dropsy, wpatrywała się w ekran. Akcja filmu porywała ją. Zapomniała o swej nieszczęśliwej miłości.

Po kinie zjedli kolację, a następnie poszli do hotelu.

- Chyba wrócimy do Sopotu - powiedziała Jola. - Nie ma sensu nocować w Gdyni.

117

Stasiak począł ją przekonywać, że są zmęczeni, że sobie dobrze wypoczną i że dopiero jutro wrócą do Grand Hotelu.

- Zresztą z samego rana chciałbym być w porcie - zakończył swe wywody. - Może uda mi się naszkicować jakiś ciekawy reportaż.

- No dobrze, a co zrobimy z resztą wieczoru? Jest jeszcze bardzo wcześnie. Nie mam zamiaru iść spać.

- Chciałbym skorzystać z okazji i odwiedzić mego kolegę, który stale mieszka w Gdyni. Mam do niego parę spraw. Proponuję, żeby pani położyła się grzecznie do łóżeczka i poczytała sobie jakąś książkę. Wziąłem ze sobą Dzikie palmy Faulknera. Mam nadzieję, że się pani nie obrazi na taką propozycję?

Wzruszyła ramionami.

- Dlaczego miałabym się obrazić? Przyzwyczaiałam się już do tego, że traktuje mnie pan jak małe dziecko. Trochę sobie inaczej wyobrażałam tę wycieczkę do Gdyni. Niech mi pan da tego Faulknera i przyjemnej zabawy.

Pozbywszy się Joli, Stasiak wziął teczkę i ruszył w kierunku portu. Po drodze wyciągnął pasek z płaszczu i przewiesił sobie teczkę przez ramię. Chciał mieć wolne obydwie ręce. Dotknął pistoletu, sprawdził latarkę i przyspieszył kroku. Zaczynało się robić późno. Kilkakrotnie obejrzał się bacznie za siebie. Nie spostrzegł jednak nic podejrzanego.

W porcie, w umówionym miejscu stała granatowa warszawa zaopatrzona w taksometr i numer rejestracyjny. Szofer czekał cierpliwie, paląc papierosa.

- Zajęta - mruknął.

Stasiak pokazał mu swoją legitymację służbową.

- Dokąd jedziemy, towarzyszu kapitanie?

- Do Jastrzębiej Góry. Staniecie w Jastrzębiej Górze tak, żeby możliwie nie zwracać niczyjej uwagi. Rozumiecie?

- Doskonale rozumiem, towarzyszu kapitanie. Nikt was nie zauważy.

Była noc ciemna. Północny wiatr dął od morza, pokrywając niebo gęstymi chmurami. Dotkliwy chłód zacierał wspomnienie słonecznego, upalnego lata.

Stasiak włożył sweter, zapiął szczelnie płaszcz i wtuliwszy się w kąt samochodu, patrzył na oświeconą reflektorami szosę.

Myślał o swojej wyprawie. Czy odnajdzie tę chatę? Czy uda mu się niepostrzeżenie podsłuchać rozmowy Buldoga z Silvaną? Po co się spotykają? Dlaczego umówili się aż za Jastrzębią Górą? A może mają zamiar wspólnie likwidować się z terenu? Może poczuli się niepewnie? Czy Buldog przyjdzie sam, czy w towarzystwie Suchego? A może cała banda ucieka do Niemiec?

- Śpicie, towarzyszu kapitanie?

- Nie, nie śpię. Rozmyślam. A bo co?...

- Nie moja sprawa, ale tak mi przyszło do głowy, że może trzeba było wziąć paru ludzi do pomocy. Tak sami

jedziecie. A czuję pismo nosem, że się na jakąś grubszą rozróbę zapowiada.

- Dziękuję wam za troskliwość - uśmiechnął się Stasiak - ale jakoś sobie sam dam radę. Nieraz lepiej w pojedynkę. Większa grupa może popsuć robotę.

- No, jak uważacie. Moglibyście może w Jastrzębiej Górze znaleźć jakiegoś milicjanta do rzeczy i zabrać go ze sobą.

- Nie, nie, nie trzeba.

Rozwinęli dużą szybkość. Kierowca był doświadczony. Świetnie prowadził wóz i dociskał gaz. Z przydrożnego rowu wyskoczył zając i dostawszy się w światło reflektorów, gnał oślepiony i przerażony, dopóki nie zginął.

- Może miniemy Jastrzębią Górę i dopiero wtedy wysiądziecie?

- Dobrze. Później pójde piechotą. Daleko do Karwi?

- Będzie jakie pięć, sześć kilometrów od Jastrzębiej Góry. Czy mam zaczekać na was, towarzyszu kapitanie?

- Tak. Zczekacie w tym miejscu, w którym mnie wysadzicie z wozu. Przykro mi, ale nie wyśpicie się przeze mnie.

- Nie szkodzi. Jestem przyzwyczajony.

Wreszcie dojrzeli światła Jastrzębiej Góry. Zwolnili. Jeszcze tylko kilka kilometrów i wóz stanął.

- Życzę powodzenia, towarzyszu kapitanie. Czekam tu na was pod tym drzewem.

- Dobra. Dziękuję.

Mocny powiew wiatru szarpnął Stasiaka za płaszcz. Powietrze było nasiąknięte wilgocią i miało smak soli. Głuchy szum morza powiększał ponury nastrój nocnego krajobrazu.

Stasiak szedł początkowo brzegiem szosy, ale zaraz skręcił w las. Zdawał sobie sprawę z tego, że znaleźć po ciemku ową

118

119

opuszczoną chatę nie będzie rzeczą łatwą. Miał jeszcze na szczęście sporo czasu. Począł więc dokładnie badać teren.

Za lasem ciągnęły się wzdłuż wybrzeża wydmy piaszczyste, odcinając się jasną plamą od ciemnej linii drzew. Dalej były torfowiska i mokradła porośnięte trzciną i gęstymi krzakami. Idealny teren dla tajemnych spotkań.

Stasiak wrócił do lasu i posługując się kompasem, szedł na zachód. Dotarł wreszcie do Karwi, ale umówionej chaty nie napotkał. Zawrócił więc i przedostawszy się na drugą stronę wydm, ruszył szybkim krokiem z powrotem. Poczynał się denerwować. Spojrzał na zegarek. Nafosforyzowane wskazówki stały na dwunastej. Za godzinę ma nastąpić spotkanie. Jeżeli do tej pory nie odnajdzie chaty, to cała wyprawa pójdzie na marne.

Pomimo chłodnego wiatru był spocony. Spieszył się. Rozgarniał gęste chaszczki, które raniły mu ręce i twarz. W pewnym momencie przyszło mu na myśl, że może Silvana spostrzegła aparat podsłuchowy i zdrwiła sobie z niego. Może wcale nie umówiła się z Buldogiem i nie ma tu żadnej opuszczonej chaty. Do diabła, to



byłby niezły kawał. Piękna Włoszka siedzi teraz najspokojniej w Grand Hotelu na dansingu, a on tu się przedziera przez krzaki w poszukiwaniu jakiejś widmowej chaty rybackiej.

Począł ogarniać go zwątpienie. Nie wierzył już w powodzenie swej nocnej wyprawy. Parę razy zapadł się po kolana w błoto. Grunt był grząski, niepewny. Dalej w to grzęzawisko bał się zapuszczać.

Jak to się często zdarza, właśnie wtedy, gdy całkowicie stracił nadzieję, dostrzegł ciemny zarys budynku. Dopomógł mu wiatr, który popędził chmury w głąb łądu. Poprzez postrzępioną szarą zastonę przebiło się nagle światło księżyca, wydobywając z mroków kształt opuszczonej chaty. Była bardzo stara, wpadnięta w ziemię. Od dawna nikt w niej nie mieszkał. Poczerniałe, spróchniałe belki groziły zawaleniem. Pozabijane grubym deskami okna porastał wilgotny mech. Ani śladu życia.

Stasiak przystanął i ostrożnie zaczął obchodzić tę zabytkową budowlę. Zastanawiał się nad tym, jak dostać się do wnętrza. Podszedł do drzwi i przy świetle latarki zobaczył trzy maleńkie trójkąty wyrżnięte nożem. Nacisnął dużą, przeżartą

rdzą klamkę. Drzwi nie ustąpiły. Mógł oczywiście próbować je wyważyć lub oderwać deski w którymś oknie. Nie było to jednak wskazane. Jeżeli bowiem już ktoś był wewnątrz, to niewątpliwie powita strzałami nieproszonego gościa. Jeżeli natomiast ani Buldog, ani Silvanajeszcze się tu nie zjawili, to zauważą ślady włamania i zrezygnują z tego rendez-vous. Należało możliwie niepostrzeżenie dostać się do chaty.

Nadciągnęły nowe chmury i zastoniły księżyc. Znowu zrobiło się zupełnie ciemno. Wiatr przybrał na sile, szarpał krzakami i zawodził w wysokiej trawie.

Stasiak po wystających belkach u węgła chaty wydostał się na dach. Następnie wyjął z kieszeni duży składany nóż i zabrał się do roboty. Przegnięte gonty ustąpiły łatwo. Jeszcze chwila i znalazł się na ciemnym, małym stryszku. Ostry zapach kurzu i przegniłej słomy uderzył go w nozdrza. Przez chwilę stał nieruchomo i nasłuchiwał. W chacie panowały zupełna cisza i ciemność. Zapalił latarkę i przesłaniając ją dłonią, zaczął się rozglądać. Wyjście ze strychu było zavalone pustymi skrzyniami. Odwalił je i otworzył masywną klapę, wzniecając tuman dławiącego pyłu. Zgasił latarkę, przyklęknął i znowu nadśluchiwał. Nikt się nie poruszył. Cisza. Ostrożnie, bardzo ostrożnie zszedł na dół po resztkach drabiny. Przystanął i z ręką na pistolecie czekał. I tym razem nie posłyszał żadnego podejrzanego szmeru. Zdecydował się więc zwiedzić całe wnętrze chaty.

Niewielka sionka i dwie izby, z których jedna była zavalona deskami i starym zardzewiałym żelastwem. W drugiej stał stół, trzy połamane krzesła i wysokie wyrko zbite z nieheblowanych desek. Tylko tutaj mogło się odbyć to spotkanie.

Stasiak spojrzął na zegarek i szybko wrócił na strych. Nie było chwili do stracenia. Z powrotem zawalił wejście skrzyniami, odgarnął słomę i zaczął energicznie czegoś szukać. Wreszcie znalazł dużą szparę w belkowaniu. Wyjął nóż. Przez dłuższą chwilę pracował z zapałem, tnąc zbutwiałe drzewo. Raz i drugi musiał się opędzać przed atakującymi go szczurami. Kiedy już otwór był dostatecznie duży, oczyścił dokładnie wokół niego strych, a następnie wydobył z teczki magnetofon i aparat fotograficzny. Nie zapalał już latarki. Siedział cicho w ciemności i czekał.

Każde oczekiwanie jest przykre, ale oczekiwanie na śmier-

120

121

dzącym, ciemnym strychu, wśród popiskujących szczurów jest bardzo przykre. Czas płynął, a nic nie

wskazywało na to, że ktoś się pojawi na tym odludziu. Cisza panowała zupełna. Słychać było tylko szum wiatru i piski gryzących się szczurów.

„Dałem się nabrać - myślał Stasiak. - Psiakrew! Dałem się paskudnie nabrać. Musiała zauważyć mój podsłuch i zrobiła mi kawał. Wyobrażam sobie, jak się teraz ze mnie śmieje. - Spojrzał na zegarek. Było piętnaście po pierwszej. - Zaczekam do drugiej i wracam. Nie ma sensu siedzieć w tej dziurze." Szczur skoczył mu na ramię i przesunął po twarzy zimnym, lepkiem ogonem. Uderzył go latarką.

I nagle... nagle posłyszał jakiś nowy dźwięk. To zgrzytnął klucz w zardzewiałym zamku. Rozległy się ciężkie kroki.

Położył się na brzuchu i przez szparę patrzył w ciemność. Trzasnęła zapałka: jedna, druga, trzecia. Ktoś zaklął półgłosem. Wreszcie zabłyśnięcie światła. W białawym blasku karbidówki kwadratowa twarz Buldoga wyglądała niesamowicie. Stasiak przygotował aparat i magnetofon. Teraz już wiedział, że nie na próżno tu przyszedł.

Buldog usiadł na krześle i z tylnej kieszeni spodni wyjął płaską butelkę. Pociągnął tyk, sapnął głośno i zapalił papierosa. Po chwili spojrzął na zegarek. Widać było, że się niecierpliwi.

Po upływie kilkunastu minut rozległo się trzykrotne stukanie do drzwi. Buldog wyjął z kieszeni pistolet i przekręcił klucz w zamku.

To nie była signora Garetti. Do chaty wszedł mężczyzna. Wyglądał na marynarza. Szerokie spodnie, ciemna bluza, kolorowy, brudny sweter. Pociągłą, opaloną twarz okalała czarna broda.

Stasiak drgnął. W sylwetce i w twarzy tego człowieka było coś znajomego. Tylko ta broda... Gdyby ją zgolić... Ależ tak!

Nie było wątpliwości. Ten brodaty marynarz to kapitan Jasiński, którego poznał w gabinecie Konarza. Podniecony przysunął do szpary magnetofon i uruchomił taśmę. Z aparatem w ręku czekał stosownej chwili, żeby sfotografować Buldoga, nie demaskując Jasińskiego.

Mówili po angielsku. Buldog wyjął z kieszeni małą paczkę owiniętą w gazetę i podał ją Jasińskiemu.

- Powiedz pułkownikowi, że w żaden sposób nie mogłem

122

wcześniej przekazać tego materiału. Suchy cały czas trzymał mnie przy sobie. Nie mogłem się wyrwać. Ale udało mi się fantastycznie.

- Nie podejrzewają cię? - spytał Jasiński.

- Absolutnie nie. Są przekonani, że to ten milicjant, Stasiak. Akurat tak się szczęśliwie zbiegło, że kiedy ja wszedłem w posiadanie taśmy, Stasiak uciekł z naszej meliny. Suchy jest pewien, że to on. A ty kiedy będziesz w Londynie?

-Jutro odpływamy.

- Na jakim statku pracujesz?

- Na szwedzkim.

- Dobrze pomyślane. Jak zobaczysz Robertsona, to powiedz mu, że już mam dosyć. Chcę wracać. Nie trzeba

przeciągać struny. W końcu Suchy może się zorientować. Zrobiłem dobrą robotę. Powinni mnie już wycofać. Za gorąco mi tu trochę. Z jednej strony wywiad niemiecki, z drugiej polskie władze. To nie są żarty.

- Dobrze, powiem Robertsonowi - zgodził się Jasiński. -W każdym razie będziemy z tobą w kontakcie. Chodźmy już z tej budy. Muszę wracać do Gdyni.

Wyszli, zamykając starannie drzwi za sobą. Znowu było cicho i ciemno.

Stasiak posiedział jeszcze dłuższą chwilę na Strychu, wsłuchując się w szum wiatru. To, co postyszał, było dla niego prawdziwą rewelacją. A więc Buldog pracował dla wywiadu angielskiego. Fantastycznie wyprowadził w pole Suchego i jego ludzi. Znakomita robota. Sprzątnął im sprzed nosa ten film i korzystając z jego ucieczki, zapewnił sobie bezpieczeństwo. Ale okazało się, że Jasiński zrobił go na szaro. Buldog dobrowolnie oddał mu zdjęcia, będąc przekonany, że ma do czynienia z agentem wywiadu angielskiego. Do licha, ten Jasiński ma łeb. Wcale na to nie wygląda. Stasiak znał pracę w wywiadzie angielskim i wiedział dobrze, że nie jest rzeczą łatwą oszukać flegmatycznych Brytyjczyków. Jasiński zasłużył sobie na wysokie odznaczenie. Odebrał cenny materiał, o który walczyły dwa obce wywiady. Co to mogło być takiego? Jakież to fotografie miały tak wielką wartość? Daremnie Stasiak łamał sobie nad tym głowę.

Doszedłszy do przekonania, że już może bezpiecznie opu-

123

ścić chatę, wsunął do teczki magnetofon, wyjął z aparatu rolkę z dokonanymi przed chwilą zdjęciami i wydostał się na dach. Tutaj przywarł do wilgotnych gontów i nasłuchiwał uważnie. Nie miał przecież pewności, że Buldog nie wróci po coś. Wiedział z doświadczenia, że w takich wypadkach wskazana jest nawet przesadna ostrożność.

Począł rosić drobny deszcz. Pod uderzeniami kropel krzaki szeleściły cicho. Coraz nowe chmury nadpływały z północy. Ciemności panowały zupełne.

Stasiak zszedł ostrożnie z dachu i otrzepawszy trochę płaszcz i ubranie, ruszył w kierunku szosy. Był bardzo zadowolony z tego deszczu. Miał przynajmniej pewność, że światło księżycy nie zdradzi jego obecności. Na jasnych, piaszczystych wydmach sylwetka idącego człowieka była łatwo widoczna.

Przeszło pół godziny forsownego marszu odnalazł miejsce, w którym zostawił wóz milicyjny. Kierowca spał w najlepsze otulony płaszczem. Stasiak przyjrzał mu się uważnie, a skonstatowawszy, że to ta sama twarz, potrząsnął milicjanta za ramię.

- Ej, towarzyszu, towarzyszu.

Tamten ocknął się i odruchowo sięgnął do kieszeni.

- Ach, to wy, towarzyszu kapitanie. Zdrzemnąłem się chwilę. Właśnie mi się śniło, że ganiamy jakichś bandziorów. Jak tam wam poszło?

- Doskonale - powiedział wesoło Stasiak. - Wracamy do Gdyni. Naciskajcie gaz, jak tylko możecie.

- Dobra. Już się robi.

Warszawa ciągnęła znakomicie. W godzinę i kwadrans byli na miejscu. Stasiak kazał jechać do komisariatu. Musiał trochę doprowadzić się do porządku. Nie mógł przecież taki ubłocony wrócić do hotelu.

Dyżurny podoficer poczęstował go gorącą kawą.

- To wam dobrze zrobi, towarzyszu kapitanie.

Stasiak z prawdziwym entuzjazmem przyjął poczęstunek. Był przemoczony i zmarznięty.

W pokoju hotelowym znalazł się około piątej rano. Dopiero teraz poczuł, jak był potwornie zmęczony. Trzeba było przyznać, że pracowicie spędził tę noc. Położył się bez zwłoki do łóżka i natychmiast zasnął.

124

Nie dane mu było jednak korzystać z dłuższego wypoczynku. O dziewiątej zastukała do niego Jola.

- Może by pan już wstał, śpiochu! Ile czasu ma pan się zamiar wylegiwać? Wracamy do Sopotu. Dosyć mam już tego siedzenia w Gdyni. Dzisiaj przyjeżdża moja mama. Słyszysz pan?

- Słyszysz... słyszysz... słyszysz... - ziewnął Stasiak i przetarłszy zaspane oczy, spojrzął w okno. Lało jak z cebra. Wiedział, że ta mała nie pozwoli mu spać. Machnął ręką zrezygnowany i począł się ubierać.

Zobaczywszy go, Jola pokręciła głową.

- No, no... ale też się pan musiał zalać z tym przyjacielem.

- Dlaczego tak pani sądzi? - spytał schrypniętym głosem Stasiak.

- Jak to dlaczego tak sądzę? Przecież widzę. Wygląda pan tak, jakby pana przez wyżymaczkę kto przepuścił. Ubranie zmięte, zabłocone. Głosu pan nie może wydobyć z gardła. No, wie pan... nigdy nie przypuszczałam, że z pana taki paskudny moczymorda.

- Myli się pani - próbował bronić się Stasiak. - A zresztą... - machnął ręką. - No, jak mamy jechać, to jedźmy.

W pociągu Jola podejrzliwie przyglądała się swemu towarzyszowi i krzywiła się z dezaprobatą. Nie lubiła pijaków. Stasiak nie próbował jej nawet przekonywać o swej niewinności, nie miał na to ani sił, ani ochoty.

Kiedy znaleźli się wreszcie w Grand Hotelu, Jola poszła do siebie na górę, Stasiak zaś usiadł w hallu i zapalił papierosa. Zmrużonymi oczami patrzył na wychodzących i wchodzących ludzi. Po pewnym czasie wstał, podszedł do portiera i spytał:

- Czy pani Garetti jest teraz w swym numerze? Portier spojrzął na niego zdziwiony.

- Pani Garetti? Pani Garetti wyjechała wczoraj wieczorem.

- Wyjechała?

- Tak. Otrzymała jakąś depezę i musiała skrócić swój pobyt.

- Nie wie pan dokąd wyjechała?

- Do Gdyni. Dziś rano miała odpłynąć. W tej chwili jest już zapewne na pełnym morzu.

- I już ktoś mieszka w pokoju pani Garetti?

- Jeszcze nikt. Dlaczego pan pyta?

125

- Bo chciałem zarezerwować ten pokój dla mego przyjaciela, który ma jutro przyjechać. A raczej zrobimy inaczej. Ja się przeniosę na pierwsze piętro, a mego przyjaciela umieścimy w moim pokoju. Wolę mieszkać niżej. Mam trochę słabe serce.

- Słabe serce? - zdziwił się portier, obrzucając spojrzeniem atletyczną postać Stasiaka.

- Tak, trochę.

- Czy pan sobie życzy zaraz się przenieść do pokoju na pierwszym piętrze?

- Może być zaraz.

- Poprosiłbym wobec tego o nazwisko tego pana, który ma przyjechać.

-Adam Szymański. Proszę, zostawię panu trzysta złotych zaliczki.

Przeprowadzka nie trwała długo. Kiedy Stasiak pozostał sam w pokoju signory Garetti, natychmiast przyklął przy łóżku i włożył rękę pod nocną szafeczkę. Aparat podsłuchowy zniknął.

Znowu było słońce. Znowu rozgrzany piasek parzył stopy i znowu morze mieniło się złocistą łuską, a mewy dotykały skrzydłami gładkiej powierzchni wody.

Ale beztrioskie dni minęły. Stasiak żył teraz w nerwowym oczekiwaniu. Dopóki uważał Silvanę za agentkę barona, wszystko było dla niego jasne. Z chwilą jednak kiedy przekonał się, że piękna Włoszka pozostawała na usługach wywiadu angielskiego, stracił od razu kontakt z całą sprawą, zawisł w próżni, znalazł się bez żadnego punktu zaczepienia. Nikt się z nim dotychczas nie kontaktował. Boyst nie dawał znaku życia. Zupełnie tak, jakby w ogóle nigdy nie istniał. „A jeżeli zrezygnowali z tego wszystkiego?” - myślał Stasiak. Jeżeli zostawią go w spokoju i nie nawiążą z nim żadnego kontaktu? To co? Co wtedy? Siedział na Wybrzeżu już blisko dwa tygodnie i jakie miał rezultaty, co zdziałał? Z czym wróci do Warszawy?

Zaczął więc energicznie poruszać się po terenie. Przede wszystkim pojechał do Gdańska i skontaktował się z tamtejszą placówką kontrwywiadu. Opowiedział im o Silvanie Garetti i o jej nagłym zniknięciu. Nie byli zaskoczeni. Wiedzieli o niej, ale mieli dyrektywy, żeby zostawić piękną Włoszkę w spokoju. Więc nawet tej sprawy nie mógł zapisać na swoje konto. Wrócił więc do Sopotu i stąd robił wypadki do Gdyni, Gdańska, Jastarni i na Hel. Nawiązywał znajomości z rybakami i marynarzami, kręcił się po portowych tawernach, dostawał się do złodziejskich melin, odwiedzał prostytutki, pił w najgorszych spelunkach z różnymi podejrzanymi typami, to znowu pojawiał się na wytwornych dansingach. Rozglądał się za inżynierem Czarnowskim i jego przyjaciółką. Nigdzie już ich jednak nie mógł spotkać. Wszystkie te wysiłki nie dawały żadnego rezultatu. Stasiak

127

był zniechęcony i niezadowolony z siebie. Postanowił parę dni spokojnie przesiedzieć w Sopocie. Wrócił na plażę.

Z Jolą widywał się teraz rzadko. Był w ciągłym ruchu, a poza tym przyjechała jej matka.

Pani Nowicka była energiczną czterdziestoletnią kobietą. Dobrze zbudowana, tęgawa, miała ciemnoblonde włosy i niebieskie wesole oczy. Prowadziła w Warszawie spółdzielnię tkacko--trykotarską, zarabiała zupełnie nieźle i była zadowolona z życia. Jola była dla niej wszystkim. Po śmierci męża poświęciła się całkowicie

wychowaniu córki, odrzucając propozycje małżeńskie, których miała sporo. Bała się, że mężczyzna mógłby stanąć pomiędzy nią a dzieckiem. Nie chciała ryzykować.

Jola zaraz pierwszego dnia przedstawiła matce Stasiaka, który następnie zniknął na czas dłuższy.

Dopiero po kilku dniach spotkali się w słoneczne popołudnie na plaży. Jola pływała w morzu. Pani Nowicka przyjrzała się uważnie Stasiakowi i powiedziała:

- Mam do pana żal. Zdziwił się.

- Żal? Do mnie? Ale dlaczego?

- Zawrócił pan Joli głowę. -Ależ...

- No tak. Dziewczyna usycha. Jest w panu zakochana. Stasiak zmieszał się.

- Daję pani słowo honoru, że to nie moja wina. Nic takiego nie zrobiłem, naprawdę nic.

Nowicka bawiła się piaskiem.

- Wiem, że pan Joli nie uwiódł, ale pan z nią flirtował. Młoda dziewczyna. Straciła głowę.

Stasiak miał ochotę powiedzieć, że ta młoda dziewczyna położyła się do jego łóżka, ale się pohamował.

- Zaręczam pani, że ja ani nie uwodziłem panny Joli, ani z nią nie flirtowałem. Po prostu poznaliśmy się na plaży, pływaliliśmy trochę razem, byliśmy raz czy dwa na spacerze i to wszystko. Nie miałem absolutnie żadnych złych zamiarów.

- Tak, tak - powiedziała pani Nowicka. - Źle się stało, bardzo źle się stało. Będę miała kłopot. Nie powinnam była puszczać dziewczyny samej. Czy pan długo jeszcze tu zostaje?

128

- Nie sądzę. Może parę dni.

- Chyba będzie lepiej, jeśli zabiorę Jolę i wyjadę z nią gdzieś indziej. Może do Jastarni albo do Jastrzębiej Góry. Sama nie wiem.

Stasiak milczał. Nie czuł się w tej chwili na siłach, aby zajmować się sercowymi perypetiami Joli. Miał co innego na głowie.

Na drugi dzień po tej rozmowie wynajął łódź i wypłynął daleko na morze.

Pogoda była wspaniała, słoneczna. Niebo bezchmurne, a powierzchnia wody tak gładka i nieruchoma, że wyglądała jak ogromny kolorowy blok marmuru.

Stasiak wiosłował pracowicie, aż wreszcie piaszczysty brzeg zniknął mu z oczu. Chciał się trochę zmęczyć i uspokoić nerwowo. Właściwie nie wiedział, co dalej robić. Inżynier Czarnowski? Może należało go poszukać, wrócić do Warszawy? Ale właściwie na jakiej podstawie podejrzewa o coś tego człowieka? Że widział go w towarzystwie przyjaciółki czy znajomej Anny? To nie jest nawet poszlaka. Czegóż to dowodzi? Pokładał dużo nadziei w tej znajomości z Silvaną, a teraz... A może przejechać się do Szczecina? Może tam wpadnie gdzieś na ślad Suchego? To niezły pomysł. Warto było się nad nim zastanowić.

Na horyzoncie pojawił się biały kajak i płynął w jego kierunku. Podobny był do dużej mewy, która przysiadła

na falach. Jeszcze chwila, a można już było rozróżnić słaby warkot motoru. „Chyba zwariował - pomyślał Stasiak. - Wali wprost na mnie. Nie widzi, czy co?” Uderzył mocno wiosłami o wodę i skręcił w przeciwnym kierunku.

Motorowy kajak podpłynął bardzo blisko i ocierając się nieomal o burtę łodzi, stanął.

- Czy pan oszalał?! - krzyknął Stasiak. - Za mało ma pan miejsca na morzu?

Przystojny, opalony chłopak uśmiechnął się szeroko.

- Dzień dobry, panie kapitanie. Proszę mi wybaczyć mą śmiałość, ale chciałem panu przekazać pozdrowienia od barona Boysta.

Stasiak był zaskoczony. Przyjrzał się uważnie młodemu człowiekowi i spytał, nie zdradzając specjalnego zainteresowania.

- Od barona Boysta?

129

- Tak. Podobno pan ma zamiar odbyć podróż do Berlina Zachodniego?

- To jakieś nieporozumienie - powiedział Stasiak. - Nie wiem, o czym pan mówi.

Przystojny brunet jeszcze bliżej przysunął swój kajak do łodzi.

- Rozumiem pańską ostrożność, panie kapitanie, ale ze mną może pan zupełnie śmiało mówić. Mam panu przekazać od barona pozdrowienia oraz następującą wiadomość: jutro na noc wyjedzie pan do Szczecina, a stamtąd do Godkowa. W piątek będzie na pana czekał w Godkowie pewien sympatyczny mężczyzna, który pana zaprowadzi, gdzie należy. Wszystko jest omówione i przygotowane. Może pan być zupełnie spokojny. Przerzucą pana najlepsi fachowcy. Aha, pan baron prosił, żeby pan nie zapomniał zabrać ze sobą wiadomego materiału. I jeszcze jedno - radziłbym panu pojechać do Godkowa. Mogę pana zapewnić, że wszelka zmiana projektów wpłynęłaby fatalnie na pańskie zdrowie. Do widzenia, panie kapitanie.

Zapalił motor i odjechał tak szybko, jak się pojawił. Pozostała tylko po nim długa smuga na wodzie.

- A więc jednak... - mruknął Stasiak i zawrócił do brzegu. Więc jednak baron dał znak życia. Nie zapomniał o ich rozmowie, nie zrezygnował ze swych planów.

Pomimo panującego upału, poczuł nagle dziwny chłód w okolicy kręgosłupa. Świadomość tego, że nadeszła chwila, w której musiał powziąć decyzję, zrobiła na nim pewne wrażenie. A przecież przez cały czas czekał na wiadomość od barona i był na to przygotowany.

Wróciwszy do hotelu otworzył szafę i przez chwilę przyglądał się wiszącym w niej garniturom. Zastanawiał się nad tym, co zrobić z rzeczami. Zdawał sobie przecież sprawę z tego, że nie może zabrać ze sobą ogromnej i ciężkiej walizy. Mógł ruszyć w drogę, mając co najwyżej teczkę. A może zapakować walizkę i wysłać ją do Warszawy na adres Adama? Zaraz jednak zrezygnował z tego projektu. Po namyśle postanowił zostawić wszystko w Grand Hotelu. To było najprostsze i najlepsze rozwiązanie. Do teczki mógł zapakować zmianę bielizny, piżamę, sweter, ręcznik i przybory do golenia. Taśmę magnetofonową oraz rolkę z filmem zawinął w celofan i wsunął do kieszeni marynarki.

Wieczorem zaprosił panie Nowickie na kolację. Mówił dużo o swych projektach na najbliższą przyszłość.

Powiedział, że się wybiera jutro do Gdańska, a następnie prawdopodobnie pojedzie na jeden dzień do Olsztyna, w celu zdobycia interesującego go materiału dziennikarskiego. Starał się być miły, rozmowny, dowcipny.

Pani Nowicka, która początkowo była trochę sztywna, rozruszała się po paru kieliszkach i w końcu wpadła w doskonały humor. Śmiała się szczerze z kawałów Stasiaka, prowokując go do coraz nowych opowieści. Jola siedziała chmurna i zamyślona. Poprosił ją do tańca. Kiedy stanęli na parkiecie, spytał:

- Cóż to dzisiaj pani taka nie w sosie? Oparła drżącą brodę na jego piersi.

- Bardzo mi smutno.

- A to czemu?

- Bo... bo... bo może już nigdy pana nie zobaczę. Mama chce wyjeżdżać z Sopotu, i to przez pana. Mówi, że jak wyjedziemy stąd, to mi prędeż wywietrzeje. A mnie pan nigdy nie wywietrzeje... nigdy. - Pociągnęła gwałtownie nosem. - Bo przecież ja pana naprawdę kocham.

- Błagam panią. Niech się pani nie rozpłacz - powiedział zaniepokojony Stasiak.

- Niech się pan nie boi. Będę płakała, ale potem, w nocy, w łóżku, jak nikt nie będzie widział.

Mocniej przytulił ją do siebie. Żał mu było tej małej.

- Panno Jolu! Nie trzeba wszystkiego brać tak tragicznie. Bardzo panią proszę, żeby pani zawsze była w dobrym humorze. Życie jest takie piękne. Doprawdy, nie ma sensu się martwić. Znowu się kiedyś spotkamy.

- Naprawdę? - W głosie jej zadrgała nadzieja. - Naprawdę chciałby się pan ze mną spotkać w Warszawie?

- Oczywiście. Dlaczegoż by nie? Może nie zaraz, ale na pewno kiedyś się zobaczymy. A teraz proszę się rozchmurzyć i mieć wesołą minkę. Nie trzeba martwić mamusi takim pogrzebowym nastrojem...

Orkiestra umilkła i wrócili do stolika. Po chwili pani Nowicka dała sygnał do odwrotu. Projektowała jutro dalszą wycieczkę i chciała się wyspać.

130

131

Stasiak odprowadził matkę i córkę do ich pokoju, pożegnał się z nimi serdecznie i zszedł na pierwsze piętro. Zaraz położył się do łóżka, ale bardzo długo przewracał się z boku na bok. Wreszcie zapadł w gorączkowy, niespokojny sen. Śniła mu się blada, przerażona twarz Anny i baron Boyst, który tańczył z Jolą rock and rolla.

Rano obudził się wcześniej. Czuł się zmęczony i bolała go głowa. Ubrał się pospiesznie, spakował teczkę, wziął płaszcz, beret i stanął gotowy do drogi. Pożegnalnym spojrzeniem obrzucił hotelowy pokój. Żał mu było trochę prawie nowych garniturów, które zostawiał w szafie.

Na dole oddał portierowi klucz. Powiedział, że wyjeżdża do Gdańska i że wróci zapewne dopiero jutro. Wyjął portfel i zapłacił za tydzień naprzód, nie zapominając o sowitym napiwku.

Idąc na dworzec, myślał o Joli. Było mu przykro, że mimo woli skomplikował życie tej miłej dziewczynie. Pocieszał się tylko myślą, że jest bardzo młoda i że prędko zapomni o swej wakacyjnej miłości.

W Gdańsku kupił bilet do Olsztyna, przy czym wszczął scysję z kasjerem, twierdząc, że za dużo zapłacił. Po



dłuższej wymianie zdań przeprosił wreszcie sympatycznego staruszka za swą pomyłkę i odszedł, mając nadzieję, że kasjer nie zapomni go prędko.

Zjadł śniadanie w barze mlecznym i ruszył w drogę. Po paru godzinach marszu przeczytał: ŻUKOWO. Stąd pojechał do Koszalina, gdzie przesiadł się na szczeciński pociąg. W Szczecinie zjadł coś w podrzędnej restauracji i na noc pojechał do Godkowa.

W przedziale drugiej klasy rozlegało się rytmiczne pochrapywanie podróżnych. Koła monotonicznie dudniły po szynach. Noc za oknem była jak czarna tablica, na której iskry buchające z lokomotywy pisały czerwone litery.

Nie mógł zasnąć. Okrył się płaszczem i zamknął oczy, ale nie spał. Myślał o tym, dokąd go wiezie ten pociąg. Doznawał takiego uczucia jak człowiek, który wyskoczył z samolotu i nie jest pewien, czy spadochron się otworzy.

Czy to wszystko miało sens? Czy to nie szaleństwo? Przecież już nie był młodzieńcem chłopaczkiem. Trzeba mu się wdawać

w taką awanturę? Czyż nie lepiej osiąść na jakiejś skromnej, spokojnej posadzie, ożenić się, ustabilizować? Takie imprezy to dobre dla dwudziestolatków. Wsunął rękę do kieszeni. Dotknął odruchowo taśmy magnetofonowej i rolki, którą wyjął z aparatu. Te dwie niewielkie paczuszki stanowiły teraz o jego losie, a może nawet i o życiu.

Mijały godziny. Przebyte kilometry pozostawały daleko w tyle. Chrapanie i stukot kół akompaniowały wytrwale niespokojnym myślom. W przedziale było duszno.

Letnia noc szybko się kończy. Otwór okienny poszarzał. Powoli z ciemności poczęły się wyłaniać zarysy krajobrazu. Chrapanie podróżnych straciło swą rytmiczną regularność. Ktoś odetchnął głębiej, ktoś mruknął przez sen i poruszył się niespokojnie.

Na stacji w Godkowie ruch był niewielki. Stasiak wysiadł z pociągu, ziewnął i przeciągnął się. Był zmięty i niewyspany. Osowiałym wzrokiem rozejrzał się wokoło i ruszył w kierunku zabudowań stacyjnych.

Stary, zrudziały pies obwąchał go obojętnie. Na pobliskich drzewach ptaki rozpoczęły swe hałaśliwe narady. Słońce gorliwie pięło się w górę, zapowiadając pogodny, upalny dzień.

Do Stasiaka podszedł jakiś człowiek z papierosem w ręku i poprosił o ogień.

- Za stacją na lewo jakie trzysta metrów stoi furmanka. Minie ją pan, a potem my pana dogonimy.

Stasiak nic nie powiedział i ruszył we wskazanym kierunku. Zgadzało się. Po przejściu pół kilometra napotkał wóz zaprzężony w karego konia. Szedł dalej, przyspieszając kroku. Po pewnym czasie posłyszał za sobą turkot. Zszedł na brzeg drogi, ale się nie odwracał. Kiedy wóz miał go minąć, chłop trzymający lejce spytał:

- Pan daleko?

- Nie, niedaleko - odparł Stasiak.

- Niech pan siada. Podwieziemy.

- Dziękuję.

Stasiak skoczył na wóz i dopiero teraz przyjrzał się uważniej swym nowym znajomym.

Ten, który go prosił na stacji o ogień, był to chłop już starszy,

suchy, zgarbiony. Miał na sobie zniszczoną flanelową koszulę i wypłowiałą kurtkę, która kiedyś była zapewne granatowego koloru. Trochę za ciasny, zakurzony kaszkiet zsunął na tył głowy i chłop od czasu do czasu przeciągłym cmoknięciem zachęcał flegmatycznego wałacha do biegu. Towarzyszył mu młody, może osiemnastoletni chłopak o szerokiej, czerwonej jak piwonia twarzy i czarnych żywych oczach błyszczących sprytem i inteligencją. Ani jeden, ani drugi nie zdradzali najmniejszej ochoty do rozmowy. Stasiak też nic nie mówił i o nic nie pytał. Nagle poczuł, że serce zaczyna mu bić niespokojnie. Szosa była pusta. Naprzeciw nich jechał na rowerze milicjant. Takie spotkanie było mu wcale nie na rękę. W razie czego mógł pokazać swoją służbową legitymację, ale wołał uniknąć jakiegokolwiek zetknięcia ze swymi kolegami po fachu. Ułożył się więc na słomie i okrywszy się płaszczem, zamknął oczy. Gdy mijali rowerzystę, chłop zdjął czapkę:

- Dzień dobry, panie sierżancie!

- Dzień dobry, Szypura - powiedział milicjant i pojechał dalej. Najwidoczniej nie zdziwił go specjalnie widok pasażera, który wyglądał na pijanego.

Stasiak odetchnął z ulgą. Wprawdzie nie miał powodu bać się rozmowy z sierżantem, ale...

Szypura odwrócił się po chwili, popatrzył na Stasiaka z uznaniem i mruknął:

- Pan cwany. - Zaciął konia. Ruszyli ostrym klusem.

Z wyschniętej szosy podnosił się biały tuman kurzu. Słońce zaczynało już porządnie przypiekać.

Za krzyżem skręcili w lewo w polną drogę. Koła grzęzły w głębokim piasku. Zeskoczyli z wozu, żeby ulżyć koniowi, i szli gęśiego pod złocącym się w słońcu łanem pszenicy. Dojrzałe kłosy, potrząsane ledwie wyczuwalnym powiewem wiatru, szumiały cicho.

Potem wjechali w las i znowu wsiedli na wóz. Ogarnął ich przyjemny cień. Od rozgrzanych sosen szedł ostry zapach żywicy.

Świsnął bat i koń poderwał się do biegu. Ścieżka porośnięta była trawą, która tłumiła stuk kopyt. Las stawał się coraz gęstszy, coraz bardziej dziki. Słońce z trudem przedostawało się przez splątane konary drzew.

134

Szypura ściągnął lejce i powiedział:

- Teraz niech pan złazi z wozu. Dalej Heniek pana poprowadzi.

- Daleko to jeszcze?

- Będzie z piętnaście kilometrów, a może lepiej.

Stasiak pożegnał mrukliwego chłopca i ruszył za Heńkiem, który prowadził go w głąb lasu. Tak samo jak i stary Szypura nie wdawał się w żadne rozmowy. Widocznie miał przykazane, żeby nic nie gadać.

Szli bardzo szybko. Mimo iż Stasiak był niezłym piechurem, z trudem mógł nadążyć za chłopakiem. Spocił się i zadyszał. Sportowa ambicja nie pozwalała mu jednak przyznać się do tego, że tempo jest dla niego trochę za ostre.

Poczuł wilgoć w powietrzu, a i wysoka trawa świadczyła

o tym, że zbliżali się do jakichś mokradeł. Drzewa się w tym miejscu przerzedziły i niebawem znaleźli się nad brzegiem jeziora porośniętego gęstymi szuwarami. Stasiak, patrząc na lśniąca w słońcu wodę, pomyślał tęsknie o plaży, o morzu

i o Grand Hotelu. Przyjemnie by się było teraz wykąpać. Jego przewodnik jednak naglił. Popatrywał na słońce i spieszył się, nie pozwalając Stasiakowi odetchnąć.

Po trzech godzinach wytrwałego marszu Heniek zatrzymał się.

- Dalej już nie idę. Sam pan trafi. Pójdzie pan prosto jak te graby, ominie pan na lewo bajoro i zaraz za polanką będzie gajówka.

Odwrócił się i odszedł bez słowa pożegnania. Stasiak stał i patrzył, aż chłopak zniknął mu z oczu w gęstwinie. Następnie ruszył trasą wyznaczoną mu przez nieuprzejmego przewodnika.

Heniek mówił prawdę. Graby były, bajoro było, polanka była i gajówka była.

Schrypnięty kundel począł namiętnie ujadać. Z chaty wyszła kobieta w niebieskim fartuchu i przystłoniwszy oczy ręką, spytała:

- A kto tam?

- Podróżny - odpowiedział Stasiak. - Podróżny znad morza. Kobieta zniknęła w drzwiach i po chwili ukazał się barczysty

mężczyzna w brudnej, rozchełstanej koszuli. Wąsy miał tak czarne jakby posmarowane szuwaksem, spod wielkich, krzacza-

135

stych brwi patrzyły wąskie, czujne oczy. Kofyszającym się krokiem podszedł do Stasiaka i spytał:

- Kto pana tu przyprowadził?

- Był ktoś taki, kto mi pokazał drogę do gajówki - odparł Stasiak. - Pić mi się chce. A pan baron mi powiedział, że można u was dostać koziego mleka.

Wyraz niepewności zniknął z twarzy wąsacza. Pchnął furtkę i wpuścił gościa do małego ogródka.

- Proszę. Niech pan wejdzie. Czekaemy na pana.

Izba była mroczna. Wino, pnące się po ścianie chaty, zakryło prawie pół okna.

-Ja się nazywam Wasilczuk, a to moja żona.

Stasiak, nie wymieniając swego nazwiska, uściśnął wyciągnięte dłonie. Przez chwilę stali naprzeciw siebie, mierząc się wzajemnie spojrzeniem. Wreszcie Wasilczuk powiedział:

- Bardzo przepraszam. Ja wiem, że wszystko w porządku, ale chciałbym spojrzeć na pański dowód. To tylko tak, zwykła formalność.

Stasiak pokazał legitymację służbową. Wasilczuk uśmiechnął się z zadowoleniem. Pozbył się resztek nieufności. Przynął krzesło.

- Proszę, niech pan siada, panie kapitanie. Zaraz będzie przekąska. - Z jasnego kredensu wyjął chleb, kiełbasę i karafkę z wódką.

- Matka, a gdzie to kieliszki? -Już niese. Musiałam wytrzeć.

Weszła i postawiła na stole stopki z grubego szkła.

- Bardzo dziękuję - powiedział Stasiak. - Ale nie będę pił.

- Nie? - zdumiał się Wasilczuk. - A to czemu? Wyborna nalewka swojej roboty.

- Wierzę, ale mimo to nie będę pił. Za gorąco, a poza tym nie piję nigdy w podróży.

Gospodyni miała strapioną minę.

- To czymże ja pana poczęstuję?

- Chętnie napiję się trochę mleka. Spociłem się na tym upale.

- Zsiadłego czy surowego?

- Może być zsiadłe.

Po chwili Wasilczukowa postawiła przed Stasiakiem gliniany

136

garnek wypełniony po brzegi zsiadłym mlekiem. Widocznie stało w piwnicy, bo było chłodne i znakomite-

Na dworze zaskrzypiał żwir pod czyimiś krokami. Stasiak podniósł głowę i począł czujnie nasłuchiwać.

- Nic, nic - uspokoił go Wasilczuk. - To Tania, moja córka. .. Wraca z lasu.

Weszła młoda, tęga dziewczyna. Twarz miała szczerą, rumianą, oczy niebieskie, patrzące wesoło. Podobna była do matki. Spostrzegłszy nieznanego, cofnęła się spłoszona. Stary kiwnął na nią ręką.

- Chodź, chodź. Nie bój się. Przywitaj się z panem kapitanem.

—Jedynaczka? - zapytał Stasiak.

-Ale gdzie tam. Mam jeszcze dwóch synów- Chłopy jak dęby. Kola pracuje w Szczecinie, w porcie, # Sasza siedzi z nami. Pomaga mi. Ale teraz go nie ma. Pojechał do Wrocławia za interesami.

- To wy z za Buga?

- My mieszkali w Rzeszowskim, za Jarosławiem. Gospodarkę mieli.

Stasiak poczęstował starego papierosem.

- No i zawędrowaliście aż tutaj?

- Co było robić? Musowo. Po wojnie nie mogłem tam siedzieć. Byliby mnie sąsiedzi wydali. Czorty nie sąsiedzi, taka ich mać. - Splunął pod stół, wypił jeszcze jeden kieliszek wódki i zapalił papierosa. - No to człowiek siedzi tu w tym lesie jak jaki borsuk. Ale już niedługo...

- Co niedługo?

- Ano niedługo tych polskich rządów, przyjdą Niemcy, to na swoje wrócę. Znowu będzie porządek. To się musi skończyć. Niech tylko Niemcy ruszą, to już my z Polakami poigramy po naszymu. Zresztą nie potrzebuję panu tłumaczyć. Pan wie naj-lePiej jak będzie.

Stasiak patrzył nieruchomo w garnek z mlekiem i nic się nie odzywał. Zapalił nowego papierosa. Po chwili spytał:

- No więc jak robimy?

-Ano zwyczajnie. Przesiedzi pan u mnie do wieczora, a jak się ściemni, pójdziemy.

137

- Daleko stąd?

- Nie, nie tak daleko. Będzie jakie kilka kilometrów. Tylko źle iść, bo przez las. I trzeba ostrożnie. Czasem się można na patrol natknąć. Ale i to nie takie straszne. Znają mnie.

- Wy tu jesteście gajowym?

- Ano niby tak. Wezmę strzelbę. W razie czego powiem, że mi dziki ryją kartofle i że się za jaką maciorą trochę za daleko zapędziłem.

- A tutaj mogę siedzieć bezpiecznie? Nikt tu do was nie przychodzi?

- Rzadko, bardzo rzadko. W razie czego zejdzie pan na chwilę do piwnicy. A zresztą ma pan milicyjną bumagę. Pana prawo chodzić i jeździć, gdzie się panu podoba.

- Oczywiście. Wolałbym jednak uniknąć wszelkich niepotrzebnych rozmów.

- To tyż żadnych rozmów nie będzie. Może pan być spokojny. Ale pewnie pan niewywczasowany. Całą noc pan musiał jechać. Może by się pan chwilę przespał?

- Niezła myśl - powiedział Stasiak. - Warto by trochę wypocząć.

- No właśnie. Dam panu koc, poduszkę i zaprowadzę pana do stodoły. Na sianie się pan wyśpi pierwsza klasa. Mógłbym pana do łóżka położyć, ale faktycznie jeszcze kogo diabli przynie-są. Po co ryzykować?

- Ale oczywiście. Wolę na sianie.

- No to idziemy.

Niebawem Stasiak wyciągnął się z rozkoszą na miękkim, pachnącym sianie, dotknął jeszcze tylko pistoletu i zaraz spał. Był rzeczywiście porządnie zmęczony.

Kiedy otworzył oczy, był już wieczór. Wasilczuk stał nad nim.

- Trzeba się pomału zbierać, panie kapitanie. Myślę, że się pan niezgorzej wyspał.

Stasiak przeciągnął się i ziewnął.

- Doskonale wypocząłem. Dziękuję.

- Tak pan smacznie spał, że nie chciałem pana budzić na obiad. Teraz pan coś przekąsi i za jaką godzinkę będziemy ruszać.

W izbie gospodyni krzątała się koło stołu.

138

- Zje pan jajecznicę z kiełbasą?

- Dlaczego nie? Może być jajecznica. Nabrałem apetytu. Po chwili rozszedł się smakowity zapach przysmażanej słoniny.

- Ale do jajecznicy to się pan chyba napije jednego? - zaproponował Wasilczuk.

- Nie, dziękuję. Ani pół się nie napiję.

- Taki pan twardy. Ha, może to i lepiej. Wódka niejednego zgubiła.

Stasiak zjadł z apetytem jajecznicę z sześciu jaj, pół bochenka chleba i popił to wszystko gorącym mlekiem. Następnie zapalił papierosa i wyjął z portfela pięćset złotych.

- Dziękuję, ale wszystko już zapłacone. Nic się nie należy.

- No to co z tego? Ode mnie może pan wziąć ekstra, na drobne wydatki.

- Chyba że zostanie między nami.

- Oczywiście, a komuż miałbym mówić?

Chłop zgarnął pośpiesznie pięćsetkę ze stołu i schował ją do kieszeni.

- No to jak? Idziemy? - spytał Stasiak.

- Jeszcze chwilę. Niech się dobrze ściemni. Chce pan iść w tym jasnym płaszczu?

- Nie mam innego.

- Niedobrze. Bardzo znać będzie między drzewami.

- Spróbuję, może wejdzie do teczki. Garnitur mam ciemny.

- To lepiej zapakować płaszcz. Ostrożność nie zawadzi. Gawędzili jeszcze z godzinę, aż wreszcie Wasilczuk podniósł

się ze swego stołka i przeciągnął kości.

- No, czas w drogę.

- Chciałbym się pożegnać z waszą żoną. -Już śpi.

Wyszli przed dom. Wasilczuk pogłaskał szarpiącego się na łańcuchu psa.

- Cicho, Filut, a cicho! Czujna bestia, tylko że już stary. Ale obcego od razu zwęszy.

Ogarnął ich las. Ogromne drzewa zdawały się zagradać drogę intruzom. Wieczorne powietrze przesycone było chłodną wilgocią i mocnym zapachem płynącym od nagranych upalnym dniem roślin. Szli cicho.

Czasem tylko trzasnęła su-

139

cha gałązka pod nogami, czasem otarli się z szelestem o jakiś krzak.

- Chwała Bogu. Księżyc na nowiu - szepnął Wasilczuk. - Ale i tak widać. Niebo gwiazdziste. Musimy iść ostrożnie. Najgorzej przez polany przechodzić. Niech pan zadzieje beret. Mniej się głowa odznacza.

Stasiak wykonał polecenie i szerokimi krokami szedł za starym. Oczy już mu przywykły trochę do ciemności i poruszał się teraz o wiele pewniej. Czuł wzrastające zdenerwowanie. Przede wszystkim nie znoślić być tak całkowicie zależnym od kogoś. Był teraz na łasce tego Ukraińca. Gdyby tak Wasilczuk skoczył nagle w bok, w krzaki i uciekł, znalazłby się w sytuacji bez wyjścia. Nie miał pojęcia, gdzie się znajdują i w którą stronę musiałby iść. A poza tym... poza tym bał się spotkania z wopistami, którzy niewątpliwie w nocy patrolują granicę i zwykle mają psy. Z takiego spotkania mogłyby wyniknąć nieprzewidziane komplikacje. W razie czego nie mógł przecież użyć broni, a i Wasilczukowi nie pozwoliliby strzelać. Pozostawało tylko legitymować się dowodem oficera milicji i wymyślić naprędce jakąś legendę, ale w każdym razie to byłoby ryzykowne. Mogliby go zatrzymać do wyjaśnienia i stelefonować się z Warszawą. Nie, za wszelką cenę musiał uniknąć podobnych historii.

Zbudzony ptak zaskrzeczał nieprzyjemnie w pobliskich zaroślach i zaraz umilkł jakby przestraszony własnym głosem.

Szli już przeszło godzinę, często zmieniając kierunek i klucząc wśród krzaków. W pewnej chwili Wasilczuk zatrzymał się raptownie koło wysokiego jałowca i błyskawicznie położył się na trawie. Stasiak poszedł za jego przykładem.

Posłyszeli odgłos kroków i przyciszoną rozmowę.

- Spać się chce, a tu człowieku objaj się po lesie. Niepotrzebnie przełazimy całą noc.

- Raz potrzebnie, a drugi raz niepotrzebnie - odezwał się drugi głos. - Żeby to tak można było z góry wiedzieć, kiedy się co zdarzy, to pewnie, żebyśmy mogli spać, a wyjść na pewniaka.

- Masz papierosa?

- Wiesz przecież, że w czasie obchodu nie wolno palić.

- A do cholery... nie mogę się przyzwyczaić do tej służby. Żeby chociaż ten Reks był z nami. Pewniej by się człowiek czuł.

140

- Mówił weterynarz, że za trzy, cztery dni będzie go już można wziąć w teren.

Rozmowa ucichła, kroki oddaliły się wolno.

- Biegiem - skomenderował Wasilczuk.

Przebiegli szeroką polanę i wpadli w gęste krzaki leszczyny. Przykłąkli, nadstuchując. Stary się zasapał. Oddychał głośno.

- Mamy szczęście. Gdyby byli z psem, mogło być źle. No, idziemy. Nie ma co tu dłużej kołędować. Za jakie piętnaście, dwadzieścia minut będą wracać.

Ruszyli szybko, omijając podmokły grunt porośnięty wysoką, pierzastą trawą. Wasilczuk przyspieszał kroku. Co jakiś czas przystawał, nadstuchiwał, rozglądał się i szedł dalej.

- To tu - powiedział wreszcie i ruchem ręki zatrzymał Stasiaka.

Betonowy bunkier porośnięty był trawą i mchem. Zapewne przed kilkunastu laty oddziały SS miały zamiar stawić tu opór ofensywie radzieckiej.

Z trudem odwalili ciężką, kamienną płytę i weszli do środka.

- Ma pan latarkę?

- Mam.

Ostre, oślepiające światło przecięło ciemności. Wasilczuk wyciągnął spod słomy gumową, pontonową łódź i pompkę.

- Trzeba nadmuchać. Na tym przepłynie pan na drugą stronę. '

- A po drugiej stronie? - spytał Stasiak.

- Tam już na pana czeka Hans.

- Znajdzie mnie?

- Od zmroku obserwuje rzekę na tym odcinku. Zaraz spostrzeże ponton. Niech pan będzie spokojny, przecie to nie pierwszy raz.

- Daleko stąd do rzeki?

- Niecały kilometr.

- No to idziemy.

- A może panu dać rewolwer? - zaproponował Wasilczuk.

- Nie trzeba. Mam swój. Tutaj napompujemy łódź czy nad samym brzegiem?

- Napompuje pan nad brzegiem, w tych krzakach mógłby pan przebić gdzie gumę.

141

Wyszli z bunkra i zasłonili otwór kamieniem. Wasilczuk obciągnął na sobie kurtkę i przewiesił strzelbę przez ramię.

- Życzę powodzenia, panie kapitanie. -Jak to, pan nie idzie ze mną nad rzekę?

- Nie. Dalej nie idę. Sam pan trafi. Tą ścieżką prosto dojdzie pan do samej rzeki. Ostrożnie z wiosłem. Niech pan nie robi dużego szumu. W nocy plusk wody daleko słychać.

- A co mam zrobić z pompką?

- Niech pan ciśnie do wody. Pompka nieważna. Będzie druga. Powodzenia...

Wasilczuk dotknął palcami daszka czapki i odszedł szybkim, nierównym krokiem. Po chwili zniknął w ciemnościach.

Stasiak pozostał sam. Jeszcze chyba nigdy w życiu samotność nie wydała mu się tak przykra. Znajdował się



na zupełnie nieznanym sobie terenie, tuż przy granicy, której czujnie pilnowali żołnierze WOP-u. Gdyby go tak teraz nakryli z tą gumową łodzią, to nie pomogłyby żadne tłumaczenia. Nikt by nie uwierzył w to, że przyszedł tu na grzybobranie.

Ostrożnie zaczął posuwać się ścieżką, którą mu wskazał stary Ukrainiec. Czuł pod nogami miękką, wilgotną ziemię. Gałęzie chwytały go za ubranie i uderzały po twarzy. Był zmęczony, spocony, zdenerwowany. Świadomość, że w każdej chwili mogą zza drzew wyskoczyć żołnierze, działała na wyobraźnię. Był przy tym zupełnie bezbronny. Przecież w razie czego nie mógł strzelać do tych chłopaków pilnujących granicy. Rozumiał teraz sytuację zbrodniarza. O ileż łatwiej tropić, niż być tropionym.

Wreszcie posłyszał cichy szum wody. Rzeka. Gwiazdy złotymi cętkami pokryły szeroką, gładką powierzchnię odcinającą się równą linią od lesistego brzegu.

Przeszedł jeszcze kilkadziesiąt kroków, a następnie przykucnął w krzakach i słuchał. Cisza. Nic nie zdradzało obecności ludzi. Woda szumiła monotonnie. Wiatr szeleścił w nadbrzeżnych krzakach.

Ostrożnie, bardzo ostrożnie zabrał się do pompowania łodzi. Co jakiś czas przerywał swą pracę i nasłuchiwał. Cicho było tak bardzo, że aż go to poczynało denerwować. Marzył o tym, żeby już było po wszystkim.

Gumowa powłoka pęczniała szybko, nabierając kształtów ł-

142

dzi. W końcu Stasiak pomału spuścił swój statek na wodę i zmoczywszy się powyżej kolan, skoczył do środka. Mocno ujął wiosło. Kilkanaście minut gwałtownej walki z prądem i wydostał się na spokojniejszą wodę niosącą go łagodnie ku przeciwległemu brzegowi. Jeszcze chwila a łódź otarła się z szelestem o przybrzeżne szuwary.

- Ich bin hier- rozległ się w pobliżu niski, schrypnięty głos.

Stasiak wyskoczył na brzeg. Kości zostały rzucone.

8

Downar zabrał się energicznie do prowadzenia śledztwa. Wiedział, że sprawa jest poważna, i postanowił dołożyć wszelkich starań, aby rzucić snop światła na tajemnicze morderstwo Boreckiego. Zaraz jednak na wstępie przekonał się, że nie będzie to łatwe zadanie. Dotychczasowy materiał był nikły i właściwie nie dawał nic konkretnego. Kula we framudze okna, łuska innego kalibru znaleziona w dywanie, ślady szminki, włosy jakiejś brunetki i najrozmaitsze odciski palców. Mało, diabło mało. Było rzeczą powszechnie znaną, że Borecki miał ogromne powodzenie u kobiet. Postawny, bardzo przystojny, czarujący w obcowaniu z ludźmi lubił romantyczne awanturki i nie omijał żadnej okazji. Nigdy nie traktował jednak tych spraw zbyt poważnie, często zmieniał przyjaciółki, twierdząc, że długotrwały stosunek z jedną kobietą przyspiesza proces starzenia się u mężczyzny. Nie można więc było wykluczyć ewentualności, że któraś z porzuconych kochanek dokonała zemsty. Z drugiej jednak strony banknot stułotowy znaleziony przy zamordowanym wskazywał na możliwość jakichś powiązań Boreckiego z bandą Suchego. Obaj ze Stasiakiem prowadzili śledztwo w tej sprawie. Borecki zaczął, a następnie po jakimś czasie przydzielono mu do pomocy Stasiaka, który zdecydował się na tę ryzykowną imprezę w Szczecinie. Czy jednak na podstawie tej stułotówki można było mieć pewność, że Borecki kombinował z bandziorami? Absolutnie nie. Po pierwsze Stasiak mógł się pomylić, zapisując numer swego banknotu, a po drugie pieniądze krążą po całym kraju. Mógł to więc być zwykły przypadek, że Borecki, rozmieniając pięćset złotych, dostał gdzieś akurat tę setkę. A choćby nawet założyć, że Borecki miał jakieś kontakty z Suchym, to co z tego? Dlaczego mieliby likwidować tak cennego współnika?

Wydawało się to mało prawdopodobne.

144

Przecież jeżeli Borecki w jakiś sposób z nimi współdziałał, to mieli go całkowicie w ręku. Nie potrzebowali go zabijać i tracić tak znakomite źródło informacji. Postanowił zerwać z bandą, skończyć z tym wszystkim? Ale w tym wypadku nie przyjąłby już od nich pieniędzy. Więc co? Kobieta? Zawiedziona miłość? Zazdrość? Możliwe, ale fakt, że kula, od której zginął Borecki, i znaleziona łuska pochodziły z różnych broni, wskazywał na to, że morderstwa dokonał ktoś z zimnym wyrachowaniem, ktoś, kto chciał utrudnić śledztwo. Bardzo wątpliwe, żeby kobieta działająca w afekcie wpadła na taki pomysł. Wszystko to się zupełnie kupy nie trzymało i Downar na próżno wysilał umysł, żeby stworzyć sobie jakąś rozsądną hipotezę. Zaczął swą działalność od rozmowy z dozorcą domu, w którym mieszkał Borecki.

- Znaliście kapitana Boreckiego?

Wójcik głośno pociągnął nosem i odpowiedział bez pośpiechu:

- No pewnie. Jakżebym mógł go nie znać? Moja żona u niego sprzątała. Miły był człowiek. Panie, świeć nad jego duszą.

- Dużo ludzi przychodziło do kapitana Boreckiego?

- A różnie. Raz dużo, raz mało.

- Poznalibyście kogoś z tych, którzy przychodzili? Dozorca wzruszył ramionami.

- Eee, ja się tam nikomu nie lubię przyglądać. Nie moja rzecz.

- A kobiety odwiedzały kapitana Boreckiego? -Jakżeby nie. Różne się tu lafiryndy kręciły.

- Poznalibyście którąś z nich?

- Może bym i poznał. Nie wiem.

- A wtedy, trzeciego lipca, nie słyszeliście strzału?

- Ale skąd, panie poruczniku. Nikt nic nie słyszał. Musieli go w nocy kropnąć.

- Z waszych zeznań wynika, że w nocy z trzeciego na czwarty lipca nikomu nie otwieraliście bramy.

- Bo i tak faktycznie było. U nas, proszę pana, spokojne ludzie mieszkają. Mało kto się bradziaży nocą po mieście. Czasem się trafi, ale rzadko.

- Hm. A strych u was zawsze zamknięty?

- Zawsze.

- Z domu można się wydostać tylko przez bramę?

145

- Tylko.

- I innego wyjścia nie ma? -Nie.

- A w czwartek trzeciego lipca kto miał klucz od strychu? Wójcik poskrobał się za uchem.

- A bo ja wiem. Pewnie któryś z lokatorów. Nie pamiętam. Muszę zapytać żony. Co do strychu, to już ona sprawy pilnuje.

Wójcikowa była tęgą, zażywną kobietą. Z jej tłustej, czerwonej twarzy można się było łatwo domyślić, że nie uznaje postnego pożywienia. Czy wie, kto miał trzeciego lipca klucz od strychu? Ależ oczywiście.

Wróblewska robiła duże pranie. Wysyłała

chłopaków na obóz.

Poszli więc do pani Wróblewskiej. Była niska, szczupła i miała okrągłe, czarne oczka, które jej twarzy nadawały wyraz nieustającego zdziwienia. Ujrzawszy dozorcę w towarzystwie nieznanego mężczyzny, zmieszana się i powiedziała prędko:

- Mąż już w zeszłym tygodniu zapłacił ten podatek.

- To nie o podatek się rozchodzi, pani Wróblewska - wyjaśnił Wójcik. - Ten pan z milicji.

- Z milicji? - Kobieta przeraziła się nie na żarty. - Co się

stało?

Downar uśmiechnął się uspokajająco.

- Ależ nic się nie stało. Chciałem tylko zapytać, czy pani trzeciego lipca urządzała u siebie wielkie pranie i czy miała pani klucz od strychu?

- Trzeciego lipca? Zaraz... zaraz... No tak, prałam wtedy.

Ale to chyba nic złego?

- Absolutnie nic złego. Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy nie wtedy, w związku z bielizną na strychu, nie zwróciło pani uwagi?

Pani Wróblewska zmieszana się trochę.

- Nie, nie, właściwie nic... to znaczy...

- Niech pani mówi śmiało.

- Ale przecie to takie głupstwo. Nie ma o czym gadać. Ktoś mi podarł koszulę męża.

- Ktoś podarł koszulę męża?

- Ano tak. Oberwał prawie cały rękaw.

- Można zobaczyć tę koszulę?

- Jeszcze ją mam. Zrobię z niej chustki do nosa. Prawdę mó-

146

więc, już była stara, rozłaziła się. Wie pan, jakie to teraz te materiały.

- Tak, tak, wiem. Niech pani pokaże.

Pani Wróblewska podeszła do szafy i wyjęła z niej białą po-pelinową koszulę. Rzeczywiście lewy rękaw był urwany.

- Tak - mruknął Downar. - I co jeszcze pani zauważyła? Nic pani nie zginęło z bielizny wiszącej na strychu?

- Nie, nie. To znaczy szukałam chusteczki, ale znalazłam... Tylko że...

- Tylko że co?

- Tylko że była cała powalana.

- Czym była powalana?

- Krwią.

- I co pani zrobiła z tą chusteczką?

- Wyrzuciłam do śmieci. Brzydziłam się toto prać.

- Wiedziała pani, że właśnie tego dnia zamordowano kapitana Boreckiego?

- Oczywiście. Wszyscy wiedzieli.

- I nie zawiadomiła pani milicji, że znalazła pani na strychu zakrwawioną chustkę.

Wróblewska zmieszana się bardzo, spuściła oczy i przygryzła dolną wargę. Przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć. Wreszcie odezwała się cichym, zalęknionym głosem:

- Bałam się.

- Czego się pani bała?

- Bałam się, że mnie wmieszają w to wszystko. Mój mąż i tak ma dosyć zmartwień z urzędem skarbowym, jakbyjeszcze do tego wszystkiego milicja...

- A czy pani wie, że to mogło pomóc do znalezienia mordercy kapitana Boreckiego?

Podniosła na niego zdziwione, szeroko otwarte oczy.

- Nie rozumiem pana. Cóż moja chustka może mieć wspólnego...?

Downar zwrócił się do dozorczy.

- Chciałbym zajrzeć na strych.

- Proszę bardzo. Zejdę tylko do żony po klucz.

Kiedy znaleźli się na górze, Downar odebrał od Wójcika klucz i sam otworzył drzwi.

147

- No tak, te drzwi można otworzyć właściwie każdym kluczem - powiedział.

Wójcik skinął głową.

- Ano właśnie. Już kilka razy mówiłem w administracji, że trzeba zmienić zamek. Ale bo to oni się z czym spieszą?

Downar obejrzał dokładnie strych, nie znalazł tu jednak nic godnego uwagi. Wracając, zaszedł jeszcze do pani Wróblewskiej i spytał, czy nie mogłaby mu ofiarować zniszczonej koszuli. Zgodziła się niezbyt chętnie. Żał jej było projektowanych chustek do nosa. Następnie zaszedł jeszcze do mieszkania dozorczy i wypytał Wójcika o szereg drobnych szczegółów, które jednak nic specjalnego do sprawy nie wniosły.

W dalszym ciągu swej działalności Downar stracił blisko dwa tygodnie na wytropienie sympatii Boreckiego z ostatniego okresu. Znalazł sześć kobiet w różnym wieku, z którymi przeprowadził wyczerpujące rozmowy. Wszystkie one jednak miały niebudzące wątpliwości alibi i nic nie wskazywało na to, aby któraś z nich była zamieszana w tę zbrodnię. Prowadził śledztwo bardzo skrupulatnie, dokładnie, niczego nie zaniedbywał, ale... ale czuł instynktownie, że jego poszukiwania idą ciągle w niewłaściwym kierunku, że wszystko to nic mu nie da, nie naprowadzi na ślad morderców. Przez cały czas myślał o Annie Szymańskiej. Ta kobieta nie dawała mu spokoju, spędzała sen z powiek. Starał się to sobie wyperswadować. Żona zasłużonego oficera... majora... Nie, nie, to chyba niemożliwe, z dnia na dzień odkładał tę sprawę, mając nadzieję, że w toku śledztwa wpadnie jednak na coś zupełnie innego, że jego podejrzenia, obawy okażą się bezpodstawne. Im dłużej jednak prowadził tę sprawę, tym częściej poczyniała go prześladować uporczywa myśl, od której nie mógł się uwolnić. Wreszcie nadeszła chwila, że postanowił działać, bez względu na to, jakie to mogłoby pociągnąć za sobą konsekwencje. Ciągle miał przed oczami ten obraz: wczesna wiosna, Kraków, Planty, Borecki i Anna Szymańska. Nie, stanowczo nie robili wrażenia starych dobrych przyjaciół, kolegów... To była para kochanków. A jeżeli Anna i Borecki... A Stasiak...? Jaką rolę Stasiak gra w tej całej sprawie? Podczas ich ostatniej rozmowy nie był szczery, stanowczo nie był szczery. Coś ukrywał. Ale co i dlaczego? On pierwszy za-

148

czął prowadzić dochodzenie w sprawie zabójstwa Boreckiego i chyba wiedział coś więcej o tej całej historii, ale nie chciał powiedzieć. Dlaczego?

Stosownie do obietnicy danej Stasiakowi Downar roztoczył dyskretną opiekę nad Anną. Pomagali mu w tym dwaj wywiadowcy, zaufani i zupełnie pewni ludzie. Nic się jednak nie działo. Owi legendarni chuligani nie dawali znaku życia. Zresztą Downar nie bardzo wierzył w ich istnienie. Wszystko to wydawało mu się dziwne i niezbyt prawdopodobne. Pamiętał, że i Stasiak także mówił bez większego przekonania o tej sprawie.

Wreszcie nadeszła chwila, kiedy Downar postanowił pomówić z Anną.

Spotkali się w Europie. O dziesiątej rano było tu prawie pusto. Idealne warunki do poufnej rozmowy.

Anna przyszła punktualnie. Miała na sobie jasnopopielaty kostium z cieniutkiej zagranicznej wełenki i brązowe zamszowe pantofle na wysokim obcasie. Wyglądała bardzo elegancko. Zwracała na siebie uwagę.

Downar zamówił kawę i wyjął papierosy. Patrzyła na niego wyczekująco.

- Chciał pan ze mną pomówić? -Tak.

- O cóż to chodzi?

- Stasiak, wyjeżdżając na urlop, prosił mnie, abym czuwał nad pani bezpieczeństwem.

-Wiem o tym. I... i dziękuję.

Downar wrzucił cukier do filiżanki i powoli mieszał kawę łyżeczką.

- Czy mogłaby mi pani powiedzieć, ale tak zupełnie szczerze, czego się właściwie pani obawia?

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Przypuszczam, że Janek pana poinformował. Pisuję reportaże o chuliganach i...

- Wiem, wiem - przerwał Downar. - Znam tę oficjalną wersję. Chodzi mi w tej chwili o prawdziwą przyczynę pani lęku.

Wyglądała na zaskoczoną. Zmarszczyła lekko brwi.

- Nie rozumiem.

- Och, to chyba nie tak trudno zrozumieć. Wystarczy odrobi-

149

na dobrej woli. Bo widzi pani... jeżeli mam rzeczywiście zapewnić pani bezpieczeństwo, to muszę wiedzieć, o co naprawdę chodzi.

- O chuliganów, którzy mi grożą.

- Wybacz pani, ale ja w tę historię nie uwierzyłem i w dalszym ciągu nie wierzę.

Anna wzruszyła ramionami.

- No cóż... Nic na to nie mogę poradzić. Mogę tylko stwierdzić, że jest pan człowiekiem niesłychanie podejrzliwym.

- Taki to już nasz zawód - uśmiechnął się Downar. - Gdybyśmy wierzyli we wszystko, co słyszymy, to...

- Więc o co panu właściwie chodzi? - zniecierpliwiła się Anna. - Jeżeli pan nie chce się zajmować moją osobą, to trudno. Sama sobie poradzę.

Downar zawołał kelnerkę i poprosił o fructovit.

- Napije się pani? - spytał.

- Proszę.

Nalał zielonkawego płynu do szklanek.

- Chciałbym panią o coś zapytać - powiedział wolno.

- Słucham.

- Czy pani sobie przypomina, co pani robiła w nocy z dnia trzeciego na czwarty lipca, to znaczy tej nocy, kiedy został zamordowany Borecki?

Obserwował ją uważnie. Nie zdradzała najmniejszego zdenerwowania.

- Oczywiście, że sobie przypominam. Już mnie o to zresztą pytał Stasiak. Miałam wtedy dyżur w redakcji.

Downar wypił fructovit i począł się bawić pustą szklanką.

- Doprawdy, dziwię się, że pani jako żona wyższego oficera milicji posiada tak mało doświadczenia w tych

sprawach.

- Nie rozumiem.

- Przecież pani nie była wtedy w redakcji. Sprawdziałem to. Patrzyła w filiżankę, bawiąc się papierosem.

- Czy to ma być przesłuchanie, panie poruczniku?

- W pewnym sensie tak. Przez wzgląd na pani męża nie chciałem przeprowadzać tej rozmowy oficjalnie w komendzie.

Uśmiechnęła się z przymusem.

- Jestem panu wdzięczna za ten dowód delikatności. Więc...?

150

- Więc chciałbym wiedzieć, co pani robiła owej fatalnej dla Boreckiego nocy?

- A jeżeli odmówię odpowiedzi na to pytanie?

- Będę na własną rękę szukał tej odpowiedzi i sądzę, że ją znajdę.

- Bywają sprawy, o których się nie mówi. Skinął głową.

- Wiem o tym, ale bywają sytuacje, w których trzeba wszystko powiedzieć, bo...

- Bo co...?

- Bo nie mając alibi, można być podejrzanym.

- Podejrzanym?

- Tak. Podejrzanym albo podejrzaną... Na przykład o morderstwo.

- Myśli pan, że zabiłam Boreckiego?

- Nie, nie myślę. Chciałbym jednak wiedzieć, co pani robiła tamtej nocy.

- Koniecznie chce pan wiedzieć?

- Koniecznie.

- No więc dobrze. Powiem panu. Byłam u mojego kochanka. Downar nie wydawał się być zaskoczony tym wyznaniem. Poczęstował Annę papierosami, nalał sobie fructovitu i spytał:

- Czy zamówić dla pani jeszcze jedną kawę?

- Nie, dziękuję. Pewnie pan jest bardzo zgorzony tym, co panu powiedziałam?

- To są pani osobiste sprawy. Jeśli się nimi interesuję, to tylko i wyłącznie z punktu widzenia śledztwa, które prowadzę.

- Czy z punktu widzenia śledztwa, które pan prowadzi, jest pan zadowolony z otrzymanej informacji?

- Niezupełnie.

- To znaczy?
- To znaczy, że chciałbym wiedzieć, kim jest ten człowiek albo kim był ten człowiek, u którego pani spędziła noc z trzeciego na czwarty lipca.
- Czy nie sądzi pan, że pańskie wymagania są nieco wygórowane?
- Nie, nie sądzę. Proszę pamiętać o tym, że należę do kategorii ludzi, którzy nie wierzą na słowo.

151

- I żąda pan, żebym zdradziła nazwisko mego kochanka?
- Nie żądam. Uprzejmie proszę.
- A jeżeli nie powiem?
- Będę usiłował sam się dowiedzieć. I mogę panią zapewnić, że znajdę go żywego albo umarłego. Gdyby mi pani powiedziała, ułatwiłoby mi to oczywiście pracę.
- Mam nadzieję, że umie pan być dyskretny.
- Chyba pani w to nie wątpi. Dyskrecja to także jeden z nieodzownych warunków mojego zawodu.
- No więc dobrze. Powiem panu. Noc z trzeciego na czwarty lipca spędziłam u mecenasa Waliszewskiego.
- U Karola Waliszewskiego? Tego, który mieszka na Nowym Świecie?

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Zna go pan?
- Osobiście jeszcze nie. Znam go raczej ze słyszenia. To zdolny prawnik. Znany w sferach sądowo-prokuratorskich. Nieraz obito mi się o uszy to nazwisko.

Anna rzuciła okiem na zegarek.

- Bardzo pana przepraszam, ale spieszę się do redakcji. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania w związku ze śledztwem?

Na ostatnich słowach położyła specjalny nacisk. Udał, że tego nie wyczuł.

- Przyznaję, że bardzo chciałbym wiedzieć, jakie jest prawdziwe źródło tych pani niepokojów. Czego się pani naprawdę obawia?
- Chuliganów. Nic panu innego nie powiem, bo to jest prawda. Rozłożył bezradnie ręce.
- Trudno. Niech i tak będzie. Przynajmniej na razie. Wstała i naciągnęła rękawiczki.
- Czy pan także wychodzi?
- Nie. Zaczekam tu jeszcze chwilę na kogoś.
- W takim razie do widzenia.
- Do widzenia i bardzo dziękuję za rozmowę i informacje. Odeszła szybkim, sprężystym krokiem. Przez chwilę



patrzył

w ślad za nią. Następnie wyjął chustkę, zawinął szklanekę, z której Anna piła fructovit, i ostrożnie wsunął ją do bocznej kieszeni marynarki. Przywołał kelnerkę.

- Chciałbym zapłacić. I niech pani doliczy do rachunku jedną szklanekę. Obiłem przez nieuwagę.

Rozejrzała się.

- Nigdzie nie widzę szkła - powiedziała zdziwiona.

-Już sam sprzątnąłem. Nie chciałem pani fatygować.

Zapłacił i wyszedł. Mgła kurzu unosiła się nad placem Wareckim, który od lat nie mógł doczekać się uporządkowania i w nimie przeistaczał się w jedno olbrzymie bajoro, w lecie zaś krył w sobie uroki pustynnego krajobrazu. Przed telewizją stał niebieski transmisyjny wóz, koło którego kręciło się kilku zaaferowanych ludzi.

Downar minął hotel i skręcił w Świętokrzyską. Pograżony był w głębokiej zadumie. Rozmowa z Anną dała mu bardzo dużo do myślenia.

Była bardzo sprytna, to nie ulegało wątpliwości. Ale gdzie szukać prawdy w tym wszystkim? Jak się do tego zabrać? Wali-szewski? Stasiak wymienił to nazwisko, twierdząc, że należało zwrócić uwagę na mecenasa. Czy był on rzeczywiście kochankiem Anny? Czy mówiła prawdę? Chyba tak. Przecież nietrudno to było sprawdzić. Czego właściwie Anna się boi? Przecież z tymi chuliganami to zupełna bujda. Więc dlaczego prosiła Stasiaka o ochronę? Co się za tym kryje? Czy rzeczywiście czegoś się obawia, czy też jest to jakaś gra?

Wsiadł na rogu Marszałkowskiej do czwórki i pojechał na Mokotów. W Zakładzie Kryminalistyki oddał do zbadania szklanekę oraz kazał sobie pokazać komplet odcisków palców znalezionych w mieszkaniu Boreckiego. Niebawem otrzymał odciski zdjęte ze szklanki. Nie ulegało wątpliwości - Anna była w mieszkaniu Boreckiego, i to krótko przed jego śmiercią. Odciski jej palców były bardzo wyraźne. Znalaziono je na biurku i na kieliszku.

Podziękował Wolniakowi, wyszedł i rozejrzał się za taksówką. Dopiero jednak na Willowej znalazł granatową warszawę. Postanowił raz jeszcze odwiedzić dozorcę Boreckiego.

Wójkikowa fartuchem wytarła taboret i podsunęła go gościowi.

- Proszę, niech pan usiądzie. Ale męża nie ma w domu. Poszedł do administracji.

- Nie szkodzi - powiedział Downar. - Porozmawiam sobie z panią.

Na pucołowatej twarzy dozorczyńi odmalował się niepokój.

- Cóż ja...? Ja nic nie wiem, proszę pana.

- Słyszałem, że pani sprzątała u kapitana Boreckiego.

- Ano tak, sprzątałam.

- Czy codziennie?

- Zwykle codziennie, jak wychodził do pracy, ale zdarzało się, że co drugi dzień. Bywało, że nie miałam czasu. Wie pan jak to w gospodarstwie. Pranie, to, owo.

- Wiem, wiem - zapewnił pospiesznie Downar, obawiając się, żeby pogawędka na tematy gospodarskie nie trwała zbyt długo. - Niech mi pani powie, czy trzeciego lipca sprzątała pani u kapitana? Proszę sobie przypomnieć. To był ostatni dzień, w którym go pani mogła widzieć żywym. Nazajutrz znaleziono jego trupa.

Dozorczyńni oparła brodę na dłoni i podtrzymując łokieć drugą ręką, zadumała się głęboko. Pod wpływem wysiłku myślowego tłuste, czerwone policzki jakby się nieco wydłużyły.

- Pamiętam, pamiętam! - wykrzyknęła tryumfalnie. - Tak, tak, sprzątałam wtedy u pana Boreckiego. Poprzedniego wieczoru miał gości i było kupę naczyń do zmywania. Bawili się prawie do rana. Nawet pani Jabłońska, taka stara z pierwszego piętra, trochę się awanturowała, że hałasowali i spać jej nie dawali. Ale takich znowu wielkich hałasów nie było. Przesada. Jak się ten kuśnierz Banas z parteru żenił, to dopiero były awantury. Dwa razy musieli wzywać milicję, a raz pogotowie przyjeżdżało. Nikt w całej kamienicy oka nie zmrużył. Huczne wyprawili wesele, nie ma co mówić. Ale pan kapitan Borecki był człowiekiem na miejscu. Nie można narzekać. A że się czasem lubił zabawić...

Downar już od jakiegoś czasu chciał przerwać ten potok słów, ale nie było to możliwe. Cekał więc z podziwu godną cierpliwością, aż pani Wójcikowa zobrazuje życie kamienicy z ostatnich paru tygodni. Wreszcie zdołał dojść do głosu.

- Więc pani dokładnie sobie przypomina, że w przeddzień znalezienia trupa kapitana Boreckiego sprzątała pani jego mieszkanie?

154

- No pewnie. Jakże sobie miałabym nie przypomnieć, kiedy wyносиłam całe wiadro pustych butelek, a jeszcze schody musiałam sprzątać po gościach. Pamiętam doskonale.

- A kurze pani wtedy starannie starła?

Twarz dozorczyńni wyrażała najwyższe oburzenie.

- Co pan sobie wyobraża? Jak biorę pieniądze za sprzątanie, to chyba muszę kurze porządnie pościierać. Brudno było przecie jak w chlewie. Popiół, papierosy, porozlewali wódkę. Powiedziałam nawet panu Boreckiemu, że ja się do takiego sprzątanania nie godziłam i że jak chce urządzać przyjęcia, to niech sobie najmie specjalną posługaczkę. No bo, proszę pana... za te głupie parę złotych...

Downar wyjął z kieszeni fotografię Anny.

- Czy pani poznaje tę kobietę? Bywała tu u kapitana Boreckiego? Widziała ją pani?

Wójcikowa dokładnie przyjrzała się zdjęciu.

- A bo ja wiem... Może i widziałam...

- Może czy na pewno? Wzruszyła ramionami.

- Na pewno to nigdy nic człowiek nie wie. Czasem się wydaje tak, a akuratnie jest inaczej. Podobna do jednej, co tu chodziła. Ale czyja wiem. Tyle ich tu przytaziło. Różnego kalibru się kręciły. Grube, chude, starsze, młodsze. Pan Borecki lubił kobiece towarzystwo. No cóż... mężczyzna był jak róża, niestary... Szkoda takiego człowieka. - Westchnęła ciężko i pociągnęła nosem. - Ano... wola boska.

Downar zadał jeszcze parę pytań, a następnie pożegnał rozmowną dozorczyńnię i pojechał do komendy. W

drodze zastanawiał się nad dotychczasowymi rezultatami śledztwa. Niestety, rezultaty te były bardzo mizerne. Ciągłe jeszcze nie mógł wyjść poza granice mętnych domysłów, niepodbudowanych należycie hipotez. Nic właściwie nie rzucało jaśniejszego światła na tajemnicze zabójstwo Boreckiego. Można było przypuszczać, że morderca po dokonaniu zbrodni ukrył się na strychu, gdzie koszulą pana Wróblewskiego przewiązał sobie ranę. Czyżby Borecki się bronił i postrzelił tego człowieka? Czy była to kobieta, czy mężczyzna? Rola Anny w tej całej sprawie rysowała się niezbyt wyraźnie. Ale czy rzeczywiście miała ona coś wspólnego

155

z morderstwem? Nie ulegało wątpliwości, że utrzymywała stosunki z Boreckim. Niekoniecznie jednak musiała być jego kochanką. Twierdziła, że ową noc spędziła u adwokata Waliszewskiego. Należało sprawdzić to alibi. Można jednak było mieć pewność, że jeżeli Anna przyznała się do tego, że była kochanką mecenasa, to Waliszewski potwierdzi jej słowa. Czy to była prawda? Chyba tak. Właściwie to, że znaleziono odciski jej palców u Boreckiego, niczego jeszcze nie dowodzi, a raczej owszem, dowodzi tego, że Anna u niego bywała, że utrzymywała z nim jakiś kontakt. Jeżeli natomiast nie byłajego kochanką, to po co przychodziła do kawalerskiego mieszkania, po co narażała się na ewentualne plotki? Niejasne, bardzo niejasne. To prawda, że oboje Szymańscy byli zaprzyjaźnieni z Boreckim, ale czy Szymański wiedział o tym, że jego żona odwiedzała tego zdobywcę serc?

Przez parę następnych dni Downar zbierał dokładne wiadomości dotyczące osoby mecenasa Waliszewskiego. Rezultatem tej działalności była następująca notatka:

„Karol Waliszewski, urodzony w Poznaniu dnia 17 stycznia 1916 roku. Ukończył studia prawnicze w Warszawie, gdzie następnie aplikował w kancelarii adwokackiej Aleksandra Ple-szyńskiego. W czerwcu 1939 roku wyjeżdża w sprawach handlowych do Szwecji, gdzie zastaje go wojna. Z zagranicy powrócił do kraju w roku 1950. Ze względu na swoje wysokie kwalifikacje i znajomość języków zajmował odpowiedzialne stanowiska. Obecnie prowadzi kancelarię adwokacką, a jednocześnie jest radcą prawnym Ministerstwa Handlu Zagranicznego oraz centrali eksportowo-importowej Motor-Eksport. Człowiek cieszący się doskonałą opinią i zaufaniem władz. Wielokrotnie był delegowany za granicę w sprawie międzynarodowych traktatów handlowych”.

Zdobywszy te wiadomości, Downar postanowił zobaczyć się z mecenasem, przedtem jednak odbył wyczerpującą rozmowę z Szymańskim. Miał nadzieję, że może coś się od niego dowie o Annie.

Szymański przyjął go z dużą serdecznością. Wyciągnął z biurka bułgarskie papierosy, kazał przynieść kawę i usadowiwszy się wygodnie w fotelu, spytał:

156

- No i co słychać, poruczniku? Jak tam posuwa się śledztwo? Downar zrobił nieokreślony ruch ręką.

- Niestety, nie mogę pochwalić się jeszcze żadnym sukcesem. Pracuję bardzo systematycznie, ale przyznać muszę, że jak dotychczas rezultaty mojej działalności są nikłe.

- Macie jakąś koncepcję? - spytał Szymański.

- Hm. Przypuszczenia można snuć w nieskończoność. Mnie się wydaje, że cała ta historia może mieć tło romantyczne. Borecki był wielkim kobieciarzem. Trochę nawet przesadzał pod tym względem. Każda mu się podobała. Na pewno miał na sumieniu niejedno złamane serce. Można więc przypuścić, że morderstwa dokonała jakaś zrozpaczona dziewczyna albo... albo zdradzony mąż. - Ostatnie słowa Downar mocno

zaakcentował. Wydawało mu się, że przez twarz Szymańskiego przesunął się cień. Zapalił papierosa i po chwili mówił dalej: - Borecki został zastrzelony z pistoletu dużego kalibru. To może, chociaż nie musi, wskazywać na to, że zbrodni dokonał mężczyzna. Kobiety niechętnie posługują się taką ciężką i niewygodną bronią. Ponieważ Borecki utrzymywał także bliskie stosunki z mężatkami, więc... Co o tym myślicie, towarzyszu majorze?

Szymański najwidoczniej nie miał ochoty mówić na temat zdradzanych mężów. Odpowiedział pytaniem:

- Czy nie sądzicie, że śmierć Boreckiego wiąże się jednak z tą bandą, którą rozpracowywał w Szczecinie Stasiak?

- Oczywiście. To jest druga prawdopodobna hipoteza, ale nie widzę tu jakoś uzasadnionych motywów zbrodni. No bo powiedzmy, że nawet Borecki zszedł na śliską drogę i miał jakieś powiązania z tymi bandziorami. Po co mieliby go likwidować? Przecież byłby to dla nich niezwykle cenny człowiek, a w takim wypadku mieliby go całkowicie w ręku. W każdej chwili mogli mu zagrozić zdemaskowaniem go. Prowadząc taką podwójną grę, byłby całkowicie od nich zależny.

- Stasiak twierdzi stanowczo, że go ktoś sygnął - wtrącił Szymański. - O jego akcji wiedziałem tylko ja i Borecki. A poza tym ta stuzłotówka znaleziona przy Boreckim...

Downar skinął głową.

- No tak. Niewątpliwie. To są pewne poszlaki, ale... Stasiak sam mógł popełnić jakąś nieostrożność i wzbudzić podejrzenie

157

tamtych, a jeśli chodzi o stuzłotówkę, to mógł ją Borecki dostać, zmieniając pięćset złotych, a poza tym mógł Stasiak niedokładnie zapisać numer. Szkoda, że przy wstępnym śledztwie nie zostało dokładnie określone położenie znalezionej łuski. -Bo...?

- Bo można się było pokusić o to, żeby ustalić skąd padł strzał.

- Przecież Borecki został zastrzelony z pistoletu innego kalibru. Kula, od której zginął, pochodziła z kolta, dwunastki, a łuska z szóstką, więc...

- A nie sądzicie, że Borecki mógł strzelać? Szymański potrząsnął głową.

- Nie znaleziono u niego broni.

- Wiem o tym, ale to tylko potwierdza moją teorię. Morderca musiał zabrać pistolet Boreckiego. A Borecki właśnie miał szóstkę.

- No cóż... wszystko jest możliwe - mruknął Szymański. Wyglądało na to, że już miał dość tej rozmowy. Downar zaczął się zęgnąć.

Na wieszaku wisiały dwa identyczne prochowce. Dopiero na ulicy Downar zorientował się, że wziął płaszcz Szymańskiego. Zawrócił. Idąc po schodach, machinalnie wsunął rękę do kieszeni. I nagle przystanął. Z prochowca majora wyjął mankiet oddarty od białej koszuli.

Tajemnicze zniknięcie Stasiaka stało się sensacją dnia. W Komendzie Głównej o niczym innym nie mówiono, komentując na różne sposoby niezwykle wydarzenie. Wstępne dochodzenie wykazało, że Stasiak piątego

sierpnia zjadł kolację w towarzystwie pani Nowickiej i jej córki i że na drugi dzień rano wyjechał do Gdańska, gdzie kupił bilet do Olsztyna. Kasjer doskonale przypominał sobie kłótliwego pasażera, z którym miał scysję na temat ceny biletu. Tutaj, to znaczy przy okienku kasy kolejowej, ślad się urwał. W Olsztynie nikt nie potrafił udzielić jakichkolwiek informacji o zaginionym. Nie widzieli go ani kolejarze, ani szoferzy, ani milicjanci, ani kelnerzy, na próżno wywiadowcy z Warszawy kręcili się przez dwa dni po mieście.

O Stasiaku nikt nie słyszał ani nikt nie widział mężczyzny, którego rysopis mógłby się pokrywać z wyglądem poszukiwanego kapitana. Komisariaty w całym kraju otrzymały fotografie Stasiaka i rozpoczęły energiczną akcję. Nie dawało to jednak żadnego rezultatu. Jak to w takich wypadkach często bywa, parokrotnie zawiadamiano Komendę Główną, że znaleziono trupa zaginionego, następnie zaś nadchodziły sprostowania. Spodziewano się jednak, że lada dzień nadejdzie wiadomość o zamordowaniu Stasiaka. Inaczej trudno było sobie wytłumaczyć jego zniknięcie. Kojarzono tę sprawę z zabójstwem Boreckiego. Obaj przecież prowadzili śledztwo w sprawie tej bandy grasującej w Szczecinie i na Wybrzeżu. Zabili Boreckiego, a teraz przyszła kolej na Stasiaka.

Downar poprosił o pozwolenie przeprowadzenia rewizji w mieszkaniu Stasiaka. Szymański zgodził się bez wahania i dał mu klucze.

Było ciepłe sierpniowe popołudnie. Zmęczone upalnymi

159

dniami miasto pokrywała gruba warstwa kurzu. Zieleń drzew utraciła swą świeżość i nabrała szarej, matowej barwy. Na brudnych, wyludnionych ulicach ruch zamierał. Kto mógł, uciekał z nagranych murów, szukając schronienia w parkach, nad Wisłą lub w podmiejskich okolicach.

Downar zaopatrzył się w przybory potrzebne do zdejmowania odcisków palców i pojechał na Częstochowską. Miał nadzieję, że w mieszkaniu Stasiaka znajdzie coś ciekawego, coś, co pozwoliłoby mu na mocniejsze podbudowanie jego domysłów.

Zabrał się metodycznie do roboty. Najpierw więc bardzo starannie zdjął odciski palców z mebli, ze szklanek, z kieliszków, a nawet z szyby okiennej. Uporawszy się z tą czynnością, przystąpił do przeprowadzenia szczegółowej rewizji. Nie był jednak zadowolony. Nic specjalnie ciekawego nie znalazł. Jedyne przerzucając książki stojące na półce, natrafił na dużą fotografię Anny. Schował ją do portfela i wyszedł, zamykając starannie drzwi za sobą.

Nie tracąc czasu, wsiadł w taksówkę i kazał się zawieźć do Zakładu Kryminalistyki. Tutaj porównał odciski palców i stwierdził bez trudu, że Anna odwiedzała Stasiaka i piła z nim wino.

Poczuł zmęczenie. Cały dzień bardzo intensywnie pracował. Należało mu się wypoczynek. Postanowił pójść do kina. Wolnym krokiem ruszył przez Narbutta w kierunku Stolicy. Kino było dla niego doskonałym odprężeniem nerwowym. Niestety, bardzo rzadko można było znaleźć w Warszawie dobry film.

Seans zaczynał się dopiero za godzinę. Downar kupił bilet i usiadł na skwerku, na ławce. Przez chwilę patrzył bezmyślnie na bawiące się obok dzieci. Zaraz jednak mózg podjął przerwana pracę. Anna, ciągle Anna. Nieustannie napotykał na ślad tej kobiety. Odwiedzała Boreckiego, była w mieszkaniu Stasiaka, sama przyznała się do tego, że mecenas Waliszewski jest jej kochankiem. Borecki został zamordowany, Stasiak zniknął w tajemniczych okolicznościach. Zostawił wszystkie rzeczy w Grand Hotelu i zapłacił z góry za pokój. Nie miał więc zamiaru nigdzie na dłużej wyjeżdżać. Kto wie, czy niebawem milicja nie znajdzie jego trupa. Czy Anna miała rzeczywiście z tym wszystkim coś wspólnego? Instynktownie czuł, że tak, ale właściwie nie

miał nic konkretnego, nic takiego, co by w jakiś sposób

160

ugruntowywało te mgliste podejrzenia. Zdradzała męża? Małoz to kobiet zdradza męża? Szymański był wątłego zdrowia, inwalida, już nie pierwszej młodości. A Anna? Pełna temperamentu, młoda dziewczyna. Jeżeli nawet miała kochanków, to właściwie nie można się było tak bardzo dziwić. To, że nawet odwiedzała Boreckiego i Stasiaka, nie dowodziło jeszcze niczego. Zresztą kobieta mająca paru kochanków raczej nie popełnia zbrodni z zazdrości... A Szymański? Jaką on rolę gra w tym wszystkim? Co oznaczał ten mankiet od koszuli Wróblewskiego znaleziony w jego płaszczu? Porównanie mankietu z podartą koszulą rozwiąło wszelkie wątpliwości. To był ten sam gatunek popeli-ny, a i stopień zniszczenia materiału był identyczny. Czy Szymański przewiązywał swą własną ranę, czy też schował ten mankiet, aby za kimś zatrzeć ślady? A jeżeli tak było w istocie, to kogo chciał osłonić? Annę? Od kogo by się można czegoś dowiedzieć o Annie?

Downar wstał z ławki, zgasił papierosa i ruszył w kierunku alei Niepodległości. Zrezygnował z kina. Wiedział, że i tak nic by nie zrozumiał z filmu. Dopędził trolejbus pięćdziesiąt osiem, który właśnie ruszał z przystanku. Wysiadł na rogu Traugutta i Krakowskiego Przedmieścia.

Drzwi otworzyła mu starsza, siwa kobieta ubrana na czarno.

- Czy zastałem pana mecenasa Waliszewskiego?
- Pan mecenas o tej porze nie przyjmuje klientów.
- Sądzę, że mnie przyjmie. Proszę powiedzieć, że jestem z milicji.

Downar wszedł do przedpokoju i rozejrzał się ciekawie. Zaledwie jednak zdążył zatrzymać wzrok na lustrze w złoconych ramach, gdy w bocznych drzwiach ukazał się elegancki mężczyzna w średnim wieku. Gładko wygolona twarz, szpakowata czupryna, szare, przenikliwe oczy spoglądające zza dużych okularów w ciemnej oprawie. W całej postaci wyczuwało się tę pewność siebie, jaką dają pieniądze i pozycja społeczna.

- Pan chciał ze mną mówić? - Głos zabrzmiał sucho, urzędowo.

Downar przedstawił się i pokazał swoją służbową legitymację.

- Przepraszam, że pana niepokoję o tej porze, panie mecenasie, ale jestem zmuszony prosić pana o chwilę rozmowy.

161

- Może przejdziemy do gabinetu, proszę bardzo.

Pokój utrzymany był w ciemnej tonacji. Brązowa tapeta. Dwie ciężkie szafy biblioteczne wypełnione książkami. Duże, czarne biurko. Na podłodze puszysty dywan, a na ścianach portrety w starych, szerokich ramach.

Mecenas wskazał gościowi fotel, a następnie sięgnął do kieszeni i wyjął srebrną papierošnicę. Był zupełnie spokojny i zachowywał się z chłodną uprzejmošcią. Wcale nie wyglądał na człowieka speszonego nieoczekiwaną wizytą oficera milicji.

- Proszę, może pan zapali.

Downar wziął camela i poszukał zapatek.

- Więc czym mogę służyć, panie poruczniku?
- Przychodzę do pana w nieco delikatnej sprawie. Waliszewski podniósł brwi do góry.
- W delikatnej sprawie? Nie rozumiem.
- Chodzi o panią Annę Szymańską.
- O panią Szymańską?
- Pan ją zna, panie mecenasie, prawda?
- Owszem, znam panią Szymańską, ale w dalszym ciągu nie rozumiem, o co chodzi.
- Pani Anna Szymańska oświadczyła mi, że pan jest jej kochankiem - powiedział po prostu Downar.

Mecenas zmrużył oczy. Zaraz jednak twarz jego rozjaśnił uśmiech. Ruchem pełnym bezradności rozłożył ręce.

- No cóż... Skoro pani Szymańska sama tak powiedziała...
- Więc pan nie zaprzecza?

Waliszewski zdjął okulary, przetarł je bardzo dokładnie i wolno wsunął chusteczkę do wewnętrznej kieszeni marynarki. Końcem języka zwilżył wargi.

- Czy nie uważa pan, panie poruczniku, że pańska indagacja jest trochę dziwna, a nawet, śmiem twierdzić, dosyć obcesowa. Nie rozumiem dotychczas, co pana upoważnia do zadawania mi tego rodzaju pytań.

Downar zmieszał się. W tej chwili uświadomił sobie, że mecenas miał rację. Powinien był inaczej zacząć tę rozmowę.

- Proszę mi wybaczyć, panie mecenasie. Być może, że nie zachowałem niezbędnej kolejności w rozmowie. Otóż powinienem był panu na początku wyjaśnić, iż prowadzę śledztwo

w sprawie zamordowania kapitana milicji Kazimierza Boreckiego. W związku z tym ustalam alibi osób, które były u zamordowanego. Chodzi o noc z trzeciego na czwarty lipca. Pani Anna Szymańska podała początkowo fałszywe alibi, twierdząc, że miała nocny dyżur w redakcji. Jak pan się zapewne domyśla, nie było to trudne do sprawdzenia. Następnie zeznała, że noc tę spędziła u pana. Przyszedłem więc po to, aby z pańskich ust posłyszeć potwierdzenie tego zeznania.

Waliszewski włożył okulary i bystro spojrzał na swego rozmówcę.

- To oczywiście zmienia postać rzeczy. W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak potwierdzić oświadczenie pani Szymańskiej. Tak, noc z trzeciego na czwarty lipca spędziła u mnie. Liczę, oczywiście, na pańską dyskrecję, panie poruczniku. Chodzi mi o jej męża... Pan rozumie...?
- Rozumiem doskonale. Może być pan zupełnie spokojny.
- Dziękuję. Czy mogę panu jeszcze służyć jakimiś wyjaśnieniami?
- Pan oczywiście znał kapitana Boreckiego? - spytał Downar.

Waliszewski rzucił mu szybkie spojrzenie.

- Myli się pan. Kapitana Boreckiego nie znałem. Słyszałem tylko to nazwisko.

- Od Anny Szymańskiej? -Tak.

- Czy nie przypomina pan sobie, panie mecenasie, przy jakiej okazji Szymańska wymieniła nazwisko Boreckiego?

- Och, za duże pan ma wymagania, poruczniku. Nie potrafię panu tego powiedzieć. O ile sobie przypominam, kapitan Borecki był zaprzyjaźniony z Szymańskimi.

Downar zapalił papierosa i przez chwilę puszczał kółka z dymu. Nie patrząc na mecenasa, spytał:

- Jak pan sądzi, czy Boreckiego łączyło z Anną coś więcej aniżeli przyjacielskie stosunki?

Waliszewski lekko wzruszył ramionami.

- Doprawdy, zadaje mi pan trochę dziwne pytania. Skądże ja mogę wiedzieć takie rzeczy? Nie sądzi pan chyba, że...

- Wszystko to, o co pytam, ma duże znaczenie dla śledztwa

162

163

- powiedział z naciskiem Downar. - Inaczej nie prowadziłbym z panem tej drastycznej rozmowy. Chyba pan rozumie?

- Ależ oczywiście. Rozumiem doskonale i nie mam tego panu za złe. Spełnia pan swój obowiązek. Mogę pana jednak zapewnić, że nic nie wiem na temat pani Szymańskiej i kapitana Boreckiego.

Downar wstał.

- Dziękuję panu, panie mecenasie. Sądzę, że nie ma celu, żebym panu dłużej zabierał czas.

Waliszewski uprzejmie wyprowadził gościa do przedpokoju.

- Do widzenia, panie poruczniku. Zawsze chętnie służę wszelkimi informacjami. W miarę możliwości oczywiście.

Downar zatrzymał się w otwartych drzwiach, jakby sobie coś nagle przypomniał.

-Jeszcze jedno pytanie, panie mecenasie. Czy ma pan własny samochód?

Waliszewski spojrzał na niego wyraźnie zaskoczony.

- Tak. Mam wartburga.

- To dobry wóz - uśmiechnął się Downar.

- Niezły, tylko delikatny.

- Do widzenia, panie mecenasie.

Downar pospiesznie zbiegł ze schodów i dopadł budki milicyjnej na rogu Nowego Świata i Świętokrzyskiej.



Połączył się z komendą. Polecił natychmiast wziąć na podsłuch aparat mecenasa Waliszewskiego.

Letni wieczór zabłysnął światłami ulicznych latarni. Zapach rozgrzanego asfaltu mieszał się z kulinarnymi zapachami wydobywającymi się z baru Pod Kuchcikiem. Powietrze było suche, wypełnione kurzem i miało smak piasku.

Waliszewski potwierdził słowa Anny. Przyznał się do tego, że jest jej kochankiem i że tamtą noc ona spędziła u niego. Mógł oczywiście kłamać, ale co by miało na celu tego rodzaju kłamstwo? Stworzenie alibi Annie? Alibi za wszelką cenę. W takim wypadku należałoby założyć, że i Waliszewski był zamieszany w zabójstwo Boreckiego. Czy to już nie są za daleko posunięte domysły? Ale dlaczego Stasiak powiedział wtedy, że należy wziąć pod uwagę osobę mecenasa Waliszewskiego? Z czym kojarzył to nazwisko? Musiał mieć jakieś podstawy. Waliszewski robił wraże-

164

nie dobrze porośłego w piórka burżuja. Był sprytny, bardzo sprytny, to nie ulegało wątpliwości. Ale czy rzeczywiście miał coś wspólnego z tą sprawą? Może po prostu był tylko kochankiem Anny i na tym koniec. Ostatecznie to prawdopodobne, że Anna poleciała na takiego wytwornego, inteligentnego faceta z grubą forszą. Mecenas musiał zarabiać ciężkie pieniądze. Ciekawe, jak zareaguje na to pytanie o samochodzie. Czy Szymański wiedział o tym, że żona go zdradza? Czy z rezygnacją akceptował ten stan rzeczy? Kto sobie przewiązywał ranę koszulą pana Wróblewskiego? Szymański, Anna czy jeszcze ktoś trzeci? Co się stało ze Stasiakiem? Czy jeszcze żyje?

Pogrążony w tego rodzaju rozmyśleniach Downar minął plac Trzech Krzyży. Nie warto już było czekać na autobus. Do Koszykowej miał tylko dwa przystanki. Z wszystkich ulic Warszawy najbardziej lubił Aleje Ujazdowskie, szczególnie wieczorem.

Nazajutrz była niedziela. Downar wstał trochę później niż zwykle i zaraz zadzwonił do komendy. Dowiedział się, że mecenas odbył wczoraj wieczorem tylko jedną rozmowę telefoniczną w nieznanym języku. Nie był to ani angielski, ani francuski, ani niemiecki, ani włoski, ani hiszpański. Numer, z którym Waliszewski się połączył, zarejestrowany był na nazwisko niejakiej Eweliny Szrederowej mieszkającej na Saskiej Kępie, na Francuskiej. To wszystko.

Należało teraz nawiązać kontakt z panią Szrederową. Ale jak? Nie było to łatwe. Downar nie chciał przeprowadzać z nią oficjalnej rozmowy, poza tym nie miał właściwie absolutnie żadnych podstaw do tego, żeby ją przesłuchiwać. Wiedział o niej tylko tyle, że była znajomą mecenasa Waliszewskiego i że rozmawiała z nim przez telefon w jakimś obcym języku. To stanowczo za mało. Nie można jej było na tej podstawie wezwać do komendy i przesłuchać w sprawie Boreckiego. Nonsens. Zresztą zawsze więcej można się dowiedzieć przy kieliszku wódki, aniżeli prowadząc oficjalną rozmowę zza urzędowego biurka.

Downar ogolił się bardzo starannie, włożył świeżo odprasowany jasnopopielaty garnitur i zadzwonił do majora Leśniewskiego. Wolął nie kontaktować się w tej sprawie z Szymańskim. Umówili się za godzinę.

Leśniewski mieszkał na Muranowie. Wprowadził gościa do nowocześnie urządzonego pokoju i wyjął z biurka papierosy.

165

- Cóż was do mnie sprowadza, poruczniku? Jakież to sprawy nie dają wam spokoju nawet w niedzielę?

-Jak wam wiadomo, towarzyszu majorze, prowadzę śledztwo w sprawie Boreckiego. Leśniewski skinął

głową.

- Tak, wiem. Ale przecież tą sprawą opiekuje się major Szymański.

- Wolę nie rozmawiać na ten temat z majorem Szymańskim.

Leśniewski spojrzał zdziwiony.

- Nie rozumiem.

- Podejrzewam, że żonę Szymańskiego łączyły bliskie stosunki z Boreckim - powiedział Downar. -I dlatego niezręcznie mi jest mówić o tym wszystkim z Szymańskim.

-Jesteście pewni, że Anna Szymańska...? - spytał Leśniewski.

- Zupełnej pewności nie mam, ale istnieją poszlaki. -Jednym słowem wolelibyście ze mną prowadzić sprawę?  
-Tak.

- Dobrze. Spróbuję to załatwić. Trochę mi to nie na rękę. Ano zobaczymy... Jak wam idzie śledztwo?

Downar opowiedział o rozmowie z mecenasem Waliszewskim i o Ewelinie Szrederowej.

- Właśnie w tej sprawie chciałem was prosić, towarzyszu majorze. Uważam, że Waliszewskiego trzeba wziąć pod obserwację, a jeśli chodzi o Szrederową, to także potrzebna mi jest pomoc. Sam nie dam rady.

-Jak żeście trafili do tego mecenasa?

-Anna Szymańska oświadczyła mi wręcz, że to jej kochanek i że u niego spędziła noc, kiedy to zamordowano Boreckiego.

- I Waliszewski potwierdził to alibi? -Tak.

- Zgoda. Będziemy mieli na oku tego faceta. A jeżeli chodzi o tę niewiastę z Saskiej Kępy, to przedstawcie swój plan. Dostaniecie, oczywiście, pomoc.

Po tej niedzielnej rozmowie w mieszkaniu pani Szrederowej pojawił się funkcjonariusz gazowni w celu sprawdzenia instalacji, a na Francuskiej począł się kręcić uliczny fotograf, który dość natarczywie fotografował przechodniów.

166

W wyniku tej akcji Downar otrzymał zdjęcie pięknej brunetki oraz został poinformowany, że Ewelina Szrederowa prawie codziennie bywa na basenie Legii. To był dobry teren do zawarcia przypadkowej znajomości.

Zanim jednak amatorzy kąpieli mieli możliwość podziwiać klasycznego krawla, woźny Ministerstwa Handlu Zagranicznego odbył następującą rozmowę z nieznanym sobie klientem:

- A pan szanowny na kogo czeka?

- Na pana mecenasa Waliszewskiego, ale zdaje się, że go nie ma w biurze.

-Jest, jest. Przecież sam mu przed dziesięcioma minutami zaniósłem herbatę.

- Nie zauważyłem przed ministerstwem wartburga pana mecenasa, więc dlatego myślałem, że...

- Aaa, bo pan mecenas nie jeździ teraz swoim wozem. Miał wypadek.

- Wypadek?

- Ano tak. Jakaś ciężarówka trochę go stuknęła. A bo teraz to takich młodziaków sadzają za kierownicę. Jeszcze sobie jeden z drugim kieliszka rąbnie, to i o wypadek nietrudno. Za niskie karyznaczają, proszę pana, ot co... Ale jeżeli pan ma interes do pana mecenas, to w tym korytarzu drugie drzwi na lewo.

- Dziękuję. Najpierw załatwię jeszcze coś na pierwszym piętrze.

Downar zbiegł na dół i na ulicy wdał się w pogawędkę z szoferami, od których dowiedział się w sposób oględny, że mecenas Waliszewski oddał swój wóz do prywatnego warsztatu na Szustra.

- Niewielkie rzeczy, trochę karoseria wgięta i lakier w paru miejscach zdrapany, ale pan mecenas lubi mieć wózek na sto dwa.

Z Frascati najlepiej się można dostać na Mokotów trolejbusem pięćdziesiąt pięć.

Downar wysiadł na rogu Szustra i alei Niepodległości. Bez trudu odnalazł prywatny warsztat samochodowy.

Tęgi, przysadzisty mężczyzna spojrzał na niego pytająco:

- Pan sobie życzy?

- Chciałem się dowiedzieć, czy moglibyście przemalować wóz? Osobowy oczywiście.

167

-A dlaczego nie. Wszystko można zrobić. Tylko jeżeli to pilne, to na razie nie mamy czasu. Zawaleni jesteśmy robotą.

- A ile by to potrwało?

-Jakie trzy, cztery tygodnie. Prędzej nie damy rady.

- Ale robota będzie dobrze zrobiona?

- Pewnie. W deseczkach. Właśnie teraz przemalowujemy wartburga.

- Można zobaczyć.

- Dlaczego nie. Proszę.

Wiśniowy wartburg był już do połowy przemalowany na ciemny granat. Downar zapamiętał numer rejestracyjny. Poczęstował mechanika papierosem i powiedział:

-Ja bym tam wołał wiśniowy kolor.

- Rzecz gustu. Robimy, jak sobie klient życzy. Karoseria już była ciut porysowana.

- A ile to kosztuje taka przyjemność?

- Zgodzimy się. Niech pan przyprowadzi wóz.

- Dobra. Do widzenia.

Wyszedłszy z warsztatu, Downar postanowił pojechać na Legię.

Szrederowej nie spotkał. Przez następnych parę dni chodził wytrwale na basen, ciągle jednak bez rezultatu. Opalił się na ciemny brąz, trenował kraula, ale pięknej brunetki, której fotografię nosił w portfelu, nie widział ani razu. Aż nagle, kiedy już poczynił tracić nadzieję, że w chlorowanej wodzie nawiąże tę znajomość, spotkał ciemnoką piękność na Nowym Świecie.

Głęboko wycięta, koloru dojrzałego słonecznika suknia odsłaniała czekoladowe plecy i ramiona. Ruchy miała gibkie, harmonijne, z godną podziwu zręcznością utrzymywała równowagę na nieprawdopodobnie wysokich i cieniutkich obcasach. Niecierpliwym ruchem głowy odrzucała do tyłu pukle gęstych włosów połyskujących w słońcu intensywną czernią. Śmiejąc się do swego towarzysza, pokazywała białe jak u Murzynki zęby. Swą egzotyczną urodą wzbudzała sensację. Przechodnie oglądali się za nią ciekawie. Spojrzenia mężczyzn wyrażały podziw, spojrzenia kobiet zawiść.

Weszli do klubu prasy i usiedli przy stoliku. Downarowi bardzo to było nie na rękę, że towarzyszył jej ten barczysty, wysoki

168

blondyn o wyglądzie sportowca. Miał jednak nadzieję, że się wkrótce rozstaną.

Przeszedł na drugą stronę Alei Jerozolimskich i stanąwszy na przystanku tramwajowym, uważnie obserwował klub prasy. Uzbroił się w cierpliwość i czekał. Postanowił przetrzymać przystojnego blondyna.

Po upływie pół godziny znowu zobaczył ich na ulicy. Przecięli Aleje i szli w kierunku placu Trzech Krzyży. Ostrożnie ruszył za nimi, zachowując dużą odległość. Nie mógł dopuścić do tego, żeby się spostrzegli, iż są śledzeni.

Na rogu Konopnickiej zatrzymali się przy wolnej taksówce. Szrederowa podała swemu towarzyszowi rękę na pożegnanie i wsiadła do wozu.

Downar widział, jak jechała Alejami Ujazdowskimi. Wydało mu się, że taksówka skręciła w Górnośląską. Nie miał jednak pewności.

Doszedł do Pięknej i zaczekał na trolejbus. Szrederowa miała ze sobą dużą kolorową torbę. Można było przypuszczać, że pojechała na basen.

Nie omylił się. Zaledwie wyszedł z kabiny na zalaną słońcem przestrzeń, spostrzegł ją na trampolinie. „Do licha, wspaniała babka” - pomyślał. Wyglądała jak posąg odlany z brązu. Jasnozielony elastyczny kostium podkreślał jej kształty, których mogła pozazdrościć grecka bogini. Przyrzekł sobie solennie, że tym razem nie da się wciągnąć w romantyczną przygodę, ale czuł, że nie będzie to takie proste.

Skoczyła. Gładka powierzchnia wody przecięta gwałtownie trysnęła w górę fontanną mieniących się w słońcu kropel. Wynurzyła się dopiero w połowie basenu i mocnymi, rytmicznymi ruchami poczęła rozgarniać wodę. Pływała doskonale.

Po piętnastu minutach zbliżyła się do żelaznej drabinki i wyszła z basenu. Przez chwilę siedziała na rozgrzanym słońcem betonie, oddychając głęboko. Następnie zdjęła gumowy czepek, potrząsnęła włosami, wstała i przeniosła się na poźółkłą, mocno już wydeptaną trawę. Rozłożyła koc. Ułożyła się na nim wygodnie twarzą do słońca.

Wtedy Downar postanowił działać. Usiadł obok na trawie i powiedział:

- Przepraszam. Czy można pani przerwać ten flirt ze słońcem?

- Nie można - mruknęła niechętnie, nie zmieniając pozycji i nie otwierając oczu. - Niech pan nie traci na próżno czasu i energii. Ja nie zawieram przygodnych znajomości.

- Pani zapewne sądzi, że oczarowała mnie pani swą urodą i że dlatego chcę się z panią zapoznać. Otóż myli się pani. Nie przeczę, że jest pani doskonale zbudowana, ale nie jest pani w moim typie.

Uśmiechnęła się leciutko. Ciągle jeszcze miała zamknięte oczy.

- Więc po co w takim razie usiłuje pan ze mną nawiązać rozmowę?

- Ponieważ interesuje mnie pani bardzo ze względów zawodowych.

Przewróciła się na brzuch i spojrzała na niego z zainteresowaniem.

- Ze względów zawodowych? Nie rozumiem. Czyżby był pan handlarzem żywym towarem?

- Prawie pani zgadła. Jestem reżyserem filmowym.

- Ach, tak...

- Czyżby pani była uprzedzona do reżyserów filmowych?

- Jeśli chodzi o polskich reżyserów, to przyznaję, że tak. Kręcą okropne filmy. Bardzo rzadko udaje mi się wytrzymać do końca seansu.

- Może zdołam zerwać z tą smutną tradycją - uśmiechnął się Downar. - Mam bardzo interesujący scenariusz. Sądzę, że zrobię dobry film. Przy pomocy pani oczywiście.

- Przy mojej pomocy? Nie znam się na kręceniu filmu.

- Na tym nie potrzebuje się pani znać. Chodzi zupełnie o co innego.

- O co mianowicie?

- Od szeregu miesięcy poszukuję aktorki, która by miała takie warunki zewnętrzne jak pani. Nie mogę znaleźć nikogo odpowiedniego. Więc kiedy zobaczyłem panią na mieście...

- To pan mnie już widział?

- Tak. Przed godziną na Nowym Świecie. Chciałem do pani od razu podejść, ale była pani w towarzystwie, więc...

- A skąd pan wiedział, że mnie pan znajdzie na basenie? Zaśmiał się.

- Metoda dedukcji. Szedłem za panią, widziałem, jak pani wsiadła do taksówki i jak pani pojechała w kierunku Dolnośląskiej. Dzień jest upalny, a pani miała ze sobą dużą torbę, w której z łatwością może się znaleźć kostium kąpielowy, czepeczek i różne inne przybory, a nawet wielki, wełniany koc, na którym pani w tej chwili leży.

- Widzę, że jest pan wspaniałym detektywem.
- Cóż robić... Zawód reżysera w pewnym sensie zmusza mnie do tego. Ciągłe muszę być na tropie nowych gwiazd.

Patrzyła na niego ubawiona. W jej oczach migotały wesołe błyski.

- Jakąż to rolę chciałby mi pan zaproponować?

- Rolę pięknej Włoszki, w której zakochuje się polski oficer, andersowiec.

- No to nic z tego.

- Dlaczego?

- Boja nie umiem po włosku. Znam różne języki, ale włoskiego akurat nie.

- A jakie pani zna języki?

- Francuski, angielski, niemiecki, nawet szwedzki. „Rozmawiała z Waliszewskim po szwedzku” - pomyślał Downar, głośno zaś powiedział:

- Damy sobie z tym jakoś radę. Po pierwsze, bez trudu nauczy się pani tych kilku niezbędnych zdań, a poza tym nasz bohater ma nie znać włoskiego i będziecie mówić po francusku. Można również podłożyć tekst, ale tego wolałbym uniknąć. Mamy zawsze duże trudności z synchronizacją. To nigdy naprawdę dobrze nie wychodzi.

- No tak... ale czy pan jest pewny, że ja bym zaakceptowała

taką propozycję?

- Sądzę, że propozycja taka dla każdego jest interesująca.

- Niech pan sobie wyobrazi, że dla mnie nie. Nie mam zamiaru grać w filmie.

- Nie wierzę.

- A jednak to prawda. Bardzo lubię chodzić do kina, ale samej grać... Nie, nie, to nie dla mnie.

171

Downar przysunął się do niej bliżej.

- Ależ... niechże pani pomyśli... Rozgłos, sława, zarobi pani kupę forsy.

Potrząsnęła głową.

- Nie interesują mnie ani sława, ani pieniądze.

- Musi pani być bardzo bogata?

- Nie, nie bardzo. Ale to, co mam, to mi wystarcza. Lubię spokój.

- I naprawdę nie nęci panią kariera gwiazdy filmowej? Wyjęła z torby grzebień i poczęła przeczesywać włosy.

- Gdzież pan widział w Polsce te gwiazdy? Gdzież te kariery artystyczne? Gdyby mi pan zaproponował

engagement do Hollywood, to może bym się zastanowiła, ale tutaj...

- Zawsze trzeba od czegoś zacząć - powiedział Downar. - Nigdy nic nie wiadomo. A nuż zrobi pani furorę na jakimś międzynarodowym festiwalu i zagraniczni producenci filmowi zainteresują się panią. To są zupełnie możliwe rzeczy. Sądzę, że jednak pani się namyśli.

- Bardzo wątpię, a zresztą cała ta pańska propozycja przyszła tak nagle, że doprawdy... Chodźmy trochę popływać.

Downar wstał. Był szczupły, zgrabny, ładnie opalony. Dobrze wyrobione mięśnie rysowały się wyraźnie pod ciemną skórą.

- My się oficjalnie jeszcze nie znamy. Pani pozwoli, że się przedstawię. Lipczyński.

- Szrederowa. Bardzo mi miło.

Poszli do basenu i Downar miał okazję zademonstrować w całej pełni swój klasyczny kraul. Lubił popisywać się pływaniem. Kiedy wyszli z basenu, Szrederowa powiedziała z uznaniem:

- Świetnie pan pływa. Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Mam nadzieję, że pani przekona się również i o moich filmowych uzdolnieniach. Dołożę wszelkich starań, aby pani nabrała do mnie zaufania.

Rzuciła mu zalotne spojrzenie.

- Zobaczymy. Pan jest w gorącej wodzie kąpany. Nie można wymagać od kobiety, żeby się tak od razu decydowała.

- W epoce atomowej decyzja kobiety powinna być odrzutowa - powiedział Downar.

172

- Toteż odrzuciłam pańską propozycję. Roześmieli się oboje.

- Widzę, że z panią nie taka łatwa sprawa.

- Czy wyglądam na łatwą kobietę?

- Niechże mnie pani nie łapie za słowa.

Wrócili na trawę i Szrederowa odstąpiła Downarowi kawałek swojego koca. Spoglądała już na niego o wiele życzliwszym okiem.

Leżeli jeszcze w słońcu przeszło godzinę. Gawędzili wesoło, żartowali, przekomarzali się. Gdy wychodzili z basenu, byli już na dobre zaprzyjaźnieni.

- W którym pani jedzie kierunku?

- Kierunek: dom. To znaczy Saska Kępa. A pan?

- Mam zamiar coś zjeść, a potem...

- A potem...?

- Sądzę, że potem zobaczę się z panią.
- Taki pan tego pewny?
- Jestem raczej człowiekiem upartym. Niełatwo rezygnuję ze swych planów.
- Filmowych.
- Oczywiście. Chociaż...
- Chociaż?...
- Chociaż gdyby pani nawet nie zdecydowała się wystąpić w filmie, to i tak pragnąłbym kontynuować naszą znajomość.
- Mam wrażenie, że to chyba jest bezprzedmiotowe. Spojrzał na nią z niekłamany z dumieniem.
- Dlaczego?
- Przecież pan powiedział zupełnie wyraźnie, że nie jestem w pańskim typie, więc...
- Och, to było bardzo, bardzo dawno, a poza tym nieprawda.
- Skłamał pan? To nieładnie.
- Musiałem przecież coś wymyślić, inaczej byłaby mnie pani z miejsca spławiła.

Wyglądała na zatroskaną.

- I co teraz będzie?...
- Z czym?
- No... nie będę miała teraz do pana zaufania. Bo jeżeli już raz pan skłamał, to... No to skąd mogę mieć pewność, że znowu pan mnie nie oszuka?

173

Downar uroczystym gestem podniósł rękę do góry.

- Przysięgam, że to się już nie powtórzy. Od tej chwili z ust moich płynąć będzie tylko szczerą prawdą.

Poważnie skinęła głową.

- Przyjmuję pańską przysięgę i wierzę, że pan jej dotrzyma.
- Widzę, że lubi pani mieć do czynienia z prawdomównymi mężczyznami.
- Tak. Pod warunkiem oczywiście że mówią mi miłe rzeczy. Wykorzystując zaś pańską przysięgę, chciałabym się dowiedzieć, czy całą opowieść o filmie mam traktować poważnie, czy też był to z pańskiej strony zręczny chwyt reżyserski.
- Nigdy bym się na coś podobnego nie odważył - powiedział energicznie Downar. - Mówiłem zupełnie poważnie. Koniecznie chcę panią zaangażować do tej roli.

Nadjechał trolejbus. Downar zapłacił za przejazd i pochylając się nad Szrederową, która usiadła na przodzie



wozu, spytał:

- Kiedy panią zobaczę?
- Czy naprawdę panu na tym zależy?
- Bardzo.
- Co pan robi dzisiaj wieczorem?
- Nie mam żadnych specjalnych planów.
- Może pan w takim razie wpadnie do mnie na herbatę?
- Z przyjemnością.
- O wpół do ósmej, dobrze?
- Doskonale.

Podał jej notes i poprosił o zapisanie adresu. Na wszelki wypadek chciał znać jej charakter pisma. Wysiedli na rogu Alei Ujazdowskich i tutaj się rozstali.

- Więc o wpół do ósmej.
- Przyjdę na pewno. Dziękuję.

Pożegnawszy się ze Szrederową, Downar wskoczył do sto dwadzieścia pięć, a następnie przy Madalińskiego przesiadł się w osiemnastkę. „Stanowczo za dużo czasu tracę na komunikację - myślał. - Już dawno powinienem sobie kupić przynajmniej motocykl.”

W komendzie od razu poszedł do Leśniewskiego.

- Co tam słychać? - spytał major. - Sądząc po waszej minie, to same sukcesy.

174

Downar nie ukrywał zadowolenia.

- Poznałem się z tą babką, towarzyszu majorze. Zaprosiła mnie dziś wieczór do siebie na kolację.
- Ładna kobieta?
- Bardzo. Pierwsza klasa. Filmowa uroda. Leśniewski przyjrzał mu się uważnie.
- Słuchajcie, poruczniku, tylko bardzo was proszę, bez żadnych erotycznych komplikacji.
- Zrobię tylko to, co będzie niezbędne dla dobra śledztwa - powiedział z przekonaniem Downar.
- Jeśli chodzi o te sprawy, to wolałbym, żebyście nie okazywali nadmiernej gorliwości w swych służbowych obowiązkach. Downar się roześmiał.
- Zaręczam wam, towarzyszu majorze, że nie mam absolutnie żadnych zamiarów w stosunku do tej babki. Natomiast jest taka sprawa, że przedstawiłem jej się jako reżyser filmowy. Powiedziałem jej, że chcę ją koniecznie zaangażować do filmu, który kręcę. Jeśliby się zgodziła, to trzeba by jakoś przeprowadzić

podpisanie umowy w urzędzie kinematografii. Cała ta historia musi mieć wszelkie cechy prawdopodobieństwa.

- To oczywiście będzie można zorganizować - powiedział Leśniewski. - Ale czy ona rzeczywiście uwierzyła w tę waszą legendę o filmie?

- Na sto procent nie jestem pewny. Zorientuję się dzisiaj wieczorem.

- Nie zapominajcie o tym, że jest to niewątpliwie bardzo sprytna osoba. Jeżeli ona rzeczywiście ma coś wspólnego z tą sprawą, to radziłbym wam mieć się na baczności i wszystko dobrze przemyśleć.

- Tak też i zrobię, towarzyszu majorze. Chciałem was tylko prosić o pomoc w zorganizowaniu ewentualnej rozmowy na terenie kinematografii.

- Czy macie jeszcze coś do mnie?

- Na razie to chyba byłoby wszystko.

- Nie sądzicie, że przydałaby się wam na dziś wieczór jakaś obstawa?

- Nie, nie sądzę. To mogłoby tylko popsuć.

- No to życzę powodzenia.

175

- Aha - przypomniał sobie Downar. - Chciałem wam jeszcze to powiedzieć, że Waliszewski rozmawiał z nią prawdopodobnie po szwedzku.

Wyszedłszy od Leśniewskiego, Downar załatwił jeszcze parę spraw w komendzie, a następnie zjadł obiad w stołówce i pojechał do siebie na Koszykową. Postanowił wypocząć, żeby wieczorem być w dobrej formie. Dużo sobie obiecywał po tym spotkaniu.

Spał do wpół do szóstej. Obudził się, spojrzął na zegarek i zaczął się ubierać. Ogolił się bardzo starannie, natarł twarz kremem i zabrał się do prasowania spodni. Manipulując żelazkiem, układał sobie w myśli rozmowę z panią Szrederową. Wiedział, że major miał rację. Pod żadnym pozorem nie wolno mu było ulec czarowi tej pięknej kobiety. Westchnął głęboko. Co za szkoda. Taką miał ochotę na maleńki romansik. Jeżeli zaprosiła go do siebie na herbatkę, to jednak oznaczało, że miałby ewentualnie pewne szanse. Chyba... Chyba że przejrzała jego grę i chce się od niego czegoś dowiedzieć. Tak czy inaczej, należało mieć się na baczności.

Kiedy już kanty spodni przypominały ostrze szabli, Downar wyłączył żelazko i poszedł pod prysznic. Odświeżony, pachnący wodą kolońską, włożył jasnokremową koszulę i popielaty garnitur, w którym tak mu było do twarzy.

Zawiązał ciemnozielony jedwabny krawat i z zadowoleniem przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze. Wyglądał doskonale. Wziął pistolet ze stołu i zważył go w dłoni. „Psiakrew, ciężka ta spluwa - pomyślał. - Paskudnie wypchnie mi marynarkę. Nie ma sensu. Przecież nie idę do bandyckiej meliny.” Schował visa do szuflady i spojrzął na zegarek. Dochodziła siódma. Wyszedł i szybko zbiegł po schodach. Nie miał dużo czasu, a chciał być punktualny.

Otworzyła mu drzwi i z czarującym uśmiechem wyciągnęła rękę na powitanie.

- Dobry wieczór. Jak to ładnie, że pan się nie spóźnił. Miała na sobie suknię-worek koloru dojrzałej wiśni. Czarne

włosy upięła wysoko. Wyglądała jak wschodnia księżniczka. Miękkim, jakby trochę leniwym ruchem ręki zaprosiła go do pokoju.

176

Niski, bardzo szeroki tapczan nakryty ciężką barwną narzutą. Głębokie, wygodne fotele. Stojąca lampa z szerokim, złotym abażurem. Na ścianach kilimy, a na podłodze gruby, puszysty dywan.

Przysunęła stolik na kółkach, na którym poustawiane były butelki i talerz z maleńkimi kolorowymi kanapkami.

- Czego się pan napije? Może kieliszek wermutu na początek?

- Proszę.

Nalała wermutu i przysiadłszy na brzegu tapczanu, spojrzała na niego wesoło.

- Co pan taki milczący? Na basenie był pan przecież niezwykle elokwentny, pewny siebie. Co się stało?

Downar uśmiechnął się.

- Nie wiem. Być może, że onieśmiela mnie kobieta ubrana. A poza tym słońce, woda stwarzają o wiele bardziej bezpośredni nastrój.

- Czy nie sądzi pan, że nastrój można także stworzyć przy pomocy dobrze dobranego oświetlenia i odrobiny alkoholu?

- Wierzy pani w takie sztuczne nastroje?

- Oczywiście. Nieraz są przyjemniejsze od tych, które może nam dać słońce, woda czy trawa. Zresztą tyle tu wchodzi w grę rozmaitych elementów, że można by chyba na ten temat napisać traktat filozoficzny. Ale czy pan nie uważa, że lato nie jest odpowiednią porą roku do snucia filozoficznych rozważań? Stanowczo jest za ciepło.

- Całkowicie się z panią zgadzam. A poza tym mieliśmy przecież mówić zupełnie o czym innym. Chcę nakłonić panią jednak do wystąpienia w moim filmie.

- I jak pan ma zamiar zabrać się do tego?

- Jeszcze nie wiem. Chciałbym właśnie poradzić się pani w tej sprawie.

Umoczyła wargi w wermucie.

- Wydaje mi się, że przede wszystkim reżyser powinien zrobić miłe wrażenie na przyszłej gwiazdce filmowej, zdobyć jej sympatię.

- A czy już zdobył?

- Niezupełnie. Artystka lubi, żeby ją adorowano.

- Czy nie sądzi pani, że są to nieco archaiczne wyobrażenia.

Przyznam się, że nie mam pojęcia, jak to się robi, jak się adoruje kobietę.

Zrobiła zafrasowaną minę.

- I z takimi brakami w wykształceniu chce pan być reżyserem filmowym? Adorować kobietę to znaczy stworzyć taką sytuację, w której ona by się czuła podziwiana, pożądana i uwielbiana. Mogę pana zapewnić, że pod tym względem kobiety nie zmieniły się od czasów Kleopatry i Messaliny. Mogą sobie, ile chcą, wymyślać bomb atomowych, wodorowych, odrzutowców, sztucznych słońc i księżyców. Kobieta zawsze pozostanie kobietą i jej natura jest niezmienna.

- Widzę, że pani naprawdę jest dzisiaj w filozoficznym nastroju.

- A ja widzę, że pan stracił jakoś cały swój temperament. Stanowczo wolałam pana w kostiumie kąpielowym aniżeli w tym popielatym garniturze.

- Czy mam zdjąć garnitur?

- Na razie jeszcze nie. Natomiast proponuję, żeby pan wypił kieliszek wermutu. Jak panu na imię?

- Stefan.

- To zabawne. Ostatnio mam szczęście do Stefanów. Ten gentleman, w którego towarzystwie widział mnie pan dzisiaj, także ma na imię Stefan.

- Czy muszę być przygotowany na scenę zazdrości?

- To nie jest wykluczone. Chociaż nie sądzę, żeby mnie dzisiaj odwiedził. Jutro wyjeżdża za granicę. Musi się przygotować.

- Wycieczka orbisowska? - spytał Downar, nie zdradzając większego zainteresowania.

- Nie, podróż służbowa. Mój znajomy pracuje w jednej z centrali handlu zagranicznego i często wyjeżdża w sprawach umów międzynarodowych. Ciekawą ma pracę.

- Chciałaby pani podróżować?

- Bardzo. To moja pasja.

- Niedługo świat stanie przed panią otworem. Niech tylko pani zagra w moim filmie.

- A pan ciągle, uparcie o tym filmie. -Jestem konsekwentny i wytrwały.

- A jeżeli odmówię kategorycznie?

- To i w tym wypadku nie zrezygnuję. Będę się starał panią przekonać.

- I sądzi pan, że to się panu uda?

- Nie wiem. Nie umiem czytać w przyszłości.

- A ja umiem. Jestem trochę Cyganką. Proszę, niech pan tu usiądzie koło mnie. Powrózę panu z ręki.

Przesiadł się na tapczan. Przysunęła się do niego bardzo blisko i wzięła go za rękę. Czuł ciepło jej ciała. Dotknięcie długich, delikatnych palców sprawiało mu przyjemność. W tej chwili pomyślał o Leśniewskim, ale postać majora była dziwnie mgławicowa i zaraz zniknęła.

- Czeka pana długa, niebezpieczna podróż. Ale przezwycięży pan wszystkie przeciwności. Na drodze pana życia stanie jakaś kobieta, która pana pokocha. Ma pan dużo wrogów. Powinien się pan szczególnie strzec jednego bruneta. Zdobędzie pan duże pieniądze i powodzenie.

Mówiła monotonnym, trochę śpiewnym głosem, naśladując Cygankę. Słuchał z roztargnieniem. Jej bliskość działała na niego coraz silniej.

Zajrzała mu w oczy.

- Cygance należy się zapłata.

Chwytał ją mocno w pól i przyciągnął do siebie. I zapewne na nic by się zdały wszystkie postanowienia, gdyby... Zadzwoił telefon. Szarpnęła się.

- Puść! Telefon...!

- Do diabła z telefonem!

- Puść! Puść! Może to coś ważnego. Wyrwała mu się z objęć i podniosła słuchawkę.

- Halo? Tak, to ja. Co takiego? Dobrze, dobrze, oczywiście. Zaraz do ciebie przyjeżdżam. Co? Nie słyszę. Mów głośniej. Na miłość boską mów głośniej. Anno! Anno! Czy ty mnie słyszysz? Czy mnie słyszysz?

- Co się stało?! - zawołał Downar.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi z przerażenia oczami. Nie mogła wydobyć słowa.

- Co się stało?

- Chodźmy! - krzyknęła piskliwie, zrywając się z tapczanu.

- Prędko, prędko! Boję się, że stało się coś strasznego.

179

Wybiegli na ulicę. Dopiero przy rondzie Waszyngtona złapali taksówkę.

Kiedy skręcili w aleję Niepodległości, Downar wiedział już, o jaką Annę chodzi. Poczuł, że ogarnia go chłód.

Mieszkanie było otwarte. Pod oknem w kałuży krwi ujrzeni Annę. Niedaleko drzwi leżał służbowy pistolet Szymańskiego. Downar wyjął chusteczkę i ostrożnie podniósł go z podłogi.

10

Po upalnych dniach przyszło nagłe ochłodzenie. Wieczorem nad miastem rozszalała się burza. Huragan zrywał dachy i łamał drzewa, a ulice zamieniały się w rwące potoki. Przez całą noc strażacy byli w akcji. Od piorunów zapaliło się na przedmieściach parę domów. Z piwnic trzeba było wypompowywać wodę. Ranek był mglisty i chłodny. W powietrzu unosiła się parująca wilgoć, która delikatną, mleczną pajęczyną

przesłaniała barwne szyldy sklepów i ciemne, gładkie płaszczyzny szyb okiennych. Budząca się do życia ulica zdawała się być oddzielona od reszty realnego świata przezroczystą, muślinową kurtyną.

Tylko napis: „Rönnebergstrasse” rysował się wyraźnie na tle jasnej ściany narożnego domu.

Przed trzypiętrową kamienicą oznaczoną numerem dwa zatrzymał się lśniący, czarny cadillac, z którego wysiadło dwóch mężczyzn. Niższy ubrany był z nieco przesadną elegancją. Jego towarzysz natomiast miał na sobie brudny, pomięty płaszcz oraz zakurzony granatowy beret. Śniada twarz pokryta ciemnym zarostem zdradzała zmęczenie.

Poszli na pierwsze piętro i elegant szerokim uśmiechem powitał tęgą, przysadziłą blondynę.

- Guten Morgen, Fräulein. Herr Rösner is da? -Jawohl, Herr Hauptmann.

Zastukali do wysokich, masywnych drzwi.

— Herein.

Pokój był bardzo duży i przypominał raczej salę balową aniżeli gabinet. Wrażenie to potęgował jeszcze zupełny brak mebli. Tylko w samym końcu stało ogromne mahoniowe biurko zarzucone papierami. Od drzwi dzieliło je przeszło dwadzieścia metrów starannie wyfroterowanej posadzki. Było dość czasu,

181

aby dokładnie przyjrzeć się ludziom, którzy tu wchodzili. Przebycie tej dwudziestometrowej przestrzeni stanowiło wstępny etap w karierze szpiega. Jasnoniebieskie, pozbawione źrenic oczy uważnie śledziły każdy ruch, dokonując pierwszej ogólnej klasyfikacji kandydata na tajnego agenta.

Pułkownik Wilhelm Rosner był niskiego wzrostu. Okrągła, tłusta twarz o niezdrowej, ziemistej cerze przypominała twarz gumowej lalki, nie zdradzała żadnych uczuć. Tylko od czasu do czasu pojawiał się na niej konwencjonalny, nic niemówiący uśmiech, który natychmiast znikał. Okulary w cienkiej złotej oprawie zakrywały jasne, wyblakłe oczy bez wyrazu. Nie sposób było odgadnąć uczuć i myśli tego człowieka. Pulchna, trochę wilgotna dłoń wyciągnęła się na powitanie.

- Sprechen Sie deutsch?

- Niezbyt dobrze mówię po niemiecku - odparł Stasiak. -Wolałbym rozmawiać po angielsku albo po francusku.

- A może po polsku? - uśmiechnął się Rosner.

- To byłoby, oczywiście, dla mnie najwygodniejsze.

- No to mówmy po polsku. - Akcent miał twardy, gardłowy, ale nie robił błędów gramatycznych.

Zapraszającym ruchem wskazał dwa krzesła stojące przed biurkiem i wyjął z szuflady pudełko z cygarami.

- Proszę, siadajcie panowie, i może cygarko. Niezmiernie jestem rad, panie kapitanie, z pańskiego przybycia. Baron Boyst dużo mówił mi o panu. Nie chciałbym pana psuć komplementami, ale wyrażał się o panu w samych superlatywach. Doprawdy, ogromnie nas cieszy pańska decyzja i mam nadzieję, że nasza współpraca rozwinie się ku obopólnemu zadowoleniu.

- Nie jestem o tym przekonany - powiedział Stasiak. Nieruchoma twarz drgnęła.

- Nie rozumiem pana, panie kapitanie.

Stasiak uśmiechnął się. W uśmiechu tym było trochę sztubackiej wesołości, a trochę ironii.

-Widzi pan, panie pułkowniku, ja lubię solidną robotę, dobrą organizację. A wy tak po partacku prowadzicie to wszystko, że doprawdy nie wiem, czy mi to będzie odpowiadać.

Pułkownik Rosner nie był człowiekiem, którego łatwo można wyprowadzić z równowagi, tym razem jednak nie potrafił

182

ukryć zdziwienia i gniewu. Apoplektyczny kark nabiegł krwią, a oczy zwężyły się i pociemniały.

- Dlaczego to pan jest tak złego mniemania o naszej organizacji? - spytał, usiłując nadać swemu głosowi obojętne brzmienie.

Stasiak udał, że nie zauważył wrażenia, jakie wywarły jego słowa. Powolnym ruchem wyjął z kieszeni marynarki niewielką paczuszkę i powiedział:

- Czy można by tutaj u was przegrać taśmę magnetofonową?

- Oczywiście. Ale może najpierw dokończymy naszą rozmowę?

- To nagranie właśnie dotyczy ściśle naszej rozmowy.

Rosner podniósł słuchawkę i wydał polecenie. Po chwili weszła ta sama korpulentna blondyna i ustawiła na małym stoliczku aparat.

Stasiak założył taśmę.

- Może pani zastenografuje ten tekst? - powiedział po niemiecku.

W ciszy ogromnego pokoju zabrzmiały słowa Buldoga i Jasińskiego. Kiedy taśma się skończyła, przez dłuższą chwilę nikt nie przerywał milczenia. Twarze obydwu oficerów nabiegły krwią. Na czerwonym karku pułkownika nabrzmiały grube jak postronki żyły. Spoglądali to na siebie, to na magnetofon.

Stasiak, nasyciwszy się wrażeniem, jakie uczynił, zdjął taśmę z magnetofonu, zawinął ją starannie i wsunął do kieszeni. Następnie wyjął z niebieskiej koperty parę zdjęć i położył je na biurku.

- A to są ilustracje do rozmowy, którą panowie przed chwilą postyszeli. Wasz domniemany agent jest niezwykle fotogeniczny. Nie uważa pan, panie pułkowniku? Sądzę, że teraz nie będzie się pan już upierał przy twierdzeniu, że wasza organizacja jest dobrze postawiona. Jeżeli w grupie Suchego mieliście aż dwie obce wtyczki, to chyba fakt ten mówi sam za siebie, nie wymaga komentarzy. Słabo, bardzo słabo... najwyraźniej brakuje wam Canarisa.

- Czy mógłbym otrzymać od pana tę taśmę? - spytał Rosner, którego dławiała wściekłość.

Stasiak uśmiechnął się. Powiedział niezwykle uprzejmym głosem:

183

- Pan wybaczy, panie pułkowniku, ale pragnąłbym, żeby pan baron Boyst posłyszał osobiście tę rozmowę. Nie wątpię, że go ona zainteresuje.

- Gdzie miało miejsce spotkanie tych ludzi?

- Na Wybrzeżu, niedaleko Jastrzębiej Góry, w starej, opuszczonej chacie.

Rosner ochłonął już z pierwszego wrażenia.

- Nie chcę pana dłużej zatrzymywać. Sądzę, że musi pan być zmęczony po podróży. Sprawa tego mikrofilmu, o którym miałem z panem pomówić, została już wyjaśniona. Wprawdzie wyobrażaliśmy sobie to wszystko nieco inaczej, ale trudno - errare humanum est. Proponuję, żeby pan obecnie pojechał z kapitanem Hauffe na Katherinenstrasse, do swojej nowej kwatery. Myślę, że będzie pan zadowolony. Zehlendorf to piękna dzielnica. Trzeba, żeby pan należycie odpoczął, a następnie rozpoczniemy dalsze rozmowy. Gratuluję panu nagrania tej taśmy i zrobienia tych zdjęć.

Stasiak pożegnał pana Rosnera i wraz z milczącym kapitanem wyszedł z domu przy Rónnebergstrasse dwa. Wsiadli do tego samego czarnego cadillaca.

„Nowa kwatery” Stasiaka okazała się piękną willą w ogrodzie. Wysoki, potężnej budowy mężczyzna o wyglądzie ekszapa-śnika otworzył żelazną bramę.

- Gutten Tag, Herr Hauptmann.

Poprzez ciemną zieleń drzew połyskiwały jasne ściany budynku.

Willi była piętrowa, z pięknym tarasem ozdobionym kolorowymi kwiatami. Wnętrze, urządzone z wielkim przepychem, robiło wrażenie jakiejś hrabiowskiej rezydencji. Na pierwszym piętrze znajdowały się dwie sypialnie, ubieralnia i ogromna łazienka. Na parterze był salon, jadalny, gabinet, pokój brydżowy oraz duży hall. Kuchnię i pokoje służbowe umieszczono w wysokich, widnych suterrenach. Obszerny salon mógł pomieścić z łatwością trzy samochody.

Obsługa była wyłącznie męska: kucharz, ogrodnik pełniący jednocześnie funkcję odźwiernego, szofer i lokaj - stary wysoki mężczyzna z okazałymi bokobrodami a la Franciszek Józef. Do pomocy miał młodego, może osiemnastoletniego chłopaka o czarnej, zwichrzonej czuprynie i szelmowskiej gębie.

Kapitan Hauffe oprowadził Stasiaka po całej willi, pokazał mu niezwykle starannie utrzymany ogród, którego strzegł przeszło dwumetrowy mur, a następnie przedstawił mu służbę.

- Ze wszystkimi sprawami gospodarczo-domowymi zechce się pan łaskawie zwracać do lokaja, Emila. On w pewnym stopniu pełni tu rolę zarządzającego. Mam nadzieję, że kuchnia przypadnie panu do gustu. A zresztą każe pan sobie przyrządzać takie potrawy, jakie pan lubi. Proszę się absolutnie nie krępować. Jutro, a najdalej pojutrze ktoś od nas zapewne pana odwiedzi. Życzę panu dobrego wypoczynku, panie kapitanie.

Zostawszy sam, Stasiak począł się rozglądać po swej nowej rezydencji. Był zaskoczony tym przepychem, którym nagle został otoczony. Najwyraźniej baron Boyst postanowił go oszołomić.

Raz jeszcze obszedł ogród i wrócił do willi. W hallu zbliżył się do niego kamerdyner Emil.

- Czy życzy pan sobie zjeść teraz jakąś przekąskę? - spytał po francusku. Zauważył widocznie, że Stasiak z pewnym trudem porozumiewa się po niemiecku.



- Przede wszystkim chciałbym się wykąpać i włożyć czystą koszulę - powiedział Stasiak. - Chętnie bym się przebrał, ale niestety nie mogłem zabrać walizki z moimi rzeczami.

- Znajdzie pan wszystko, co potrzeba, na górze, w ubieralni - uśmiechnął się uprzejmie Emil. Mówił wolno, bardzo wyraźnie i zachowywał się z pełną godności rezerwą. Najprawdopodobniej służył kiedyś w wielce arystokratycznych domach i obecne stanowisko uważał za degradację społeczną.

Stasiak zmrużył oczy, wytwornie skinął głową i poszedł na pierwsze piętro. Rzeczywiście, znalazł w bieliźniarce kilka zmian bielizny, krawaty, skarpetki i chustki do nosa. W szafie zaś wisało parę nowiutkich garniturów ze znakomitej wełny i trzy płaszcze. Na dole stało kilka par butów, a na półce leżały dwa filcowe kapelusze. Nie brakowało też szalików, podwiązek, szelek, spinek do mankietów, kremów do golenia, żyletek, szczotek, grzebieni. Pamiętano o każdym drobiazgu.

Poszedł do łazienki, puścił wodę, a następnie wrócił do ubieralni i począł przymierzać garnitury, buty i kapelusze. Wszystko pasowało znakomicie, zupełnie tak, jakby było na nie-

184

185

go robione. Baron Boyst naprawdę mu imponował, znał nawet numer jego kapelusza.

Ciepła, pachnąca kąpiel znakomicie uspokaja nerwy i łagodzi zmęczenie. Stasiak, wyszedłszy z wanny, narzucił kosmaty szlafrok kąpielowy i zabrał się do golenia. Kiedy uporał się z gęstym zarostem, skropił całe ciało angielską lawendą i zaczął się ubierać. Poczował, że jest porządnie głodny. Nacisnął dzwonek. Po chwili pojawił się ów młody chłopak o cwaniackiej gębie.

- Was wünschen Sie, Herr Hauptmann ?

- Chciałbym teraz coś zjeść.

- Czy życzy pan sobie śniadanie w jadalni, czy przynieść na górę?

- Zejdę do jadalni.

Śniadanie było raczej wykwintnym obiadem. Znakomite przekąski, parę gatunków ryb, pieczone perliczki, a do tego wysokogatunkowe wina reńskie i burgundzkie. Na deser lody, tort, czarna kawa i likiery. Usługiwał osobiście Emil z miną kardynała celebrującego uroczystą mszę. Wszystko było podane na starej porcelanie. Na srebrnych sztuccach widniał herb jakiegoś grafa.

„Chcą mi zaimponować te szwaby - myślał Stasiak. - Przyjmują mnie tu jak udzielnego księcia." Po skończonym obiedzie Emil zapytał:

- Czy życzy pan sobie teraz obejrzeć program telewizyjny, czy też posłuchać radia?

- Życzę sobie pójść spać - powiedział Stasiak.

Leżąc w ogromnym łóżku, w którym bez trudu mogłyby się zmieścić trzy osoby, począł rozmyślać nad wydarzeniami ostatnich godzin. Przypomniał sobie rozmowę z pułkownikiem Rosnerem i uśmiechnął się z zadowoleniem. Dał niezłą szkołę temu „asowi" wywiadu. Trzeba było przyznać, że start był dobry. Nielicho się po nich przejechał. Nabrali dla niego szacunku. Był bardzo ciekaw, jak potoczą się wypadki w najbliższej

przyszłości. Właściwie przecież nie wiedział, jakie naprawdę miał w stosunku do niego zamiary pan baron Boyst. Na razie nie mógł narzekać. Zjadł znakomity obiad, a teraz leżał sobie wygodnie na łące królewskich piernatach. Zapowiadało się to wszystko wcale nieźle.

186

Spał do wieczora. Kiedy się obudził, było już zupełnie ciemno. Zjadł kolację nie gorszą od obiadu i znowu poszedł do łóżka. Chciał coś sobie poczytać, ale począł tak potężnie ziewać, że musiał zrezygnować z lektury.

Nazajutrz spał do dziewiątej. Zjadł śniadanie w łóżku, po-leżał jeszcze godzinę, a następnie wykąpał się i zabrał się do porannej toalety. O jedenastej, gładko ogolony, ubrany w ja-snopiaskowy garnitur z angielskiej flaneli, wyszedł na spacer do ogrodu. Obszedł kwietne klomby, pogawędził przyjacielsko z ogrodnikiem, który rzeczywiście uprawiał kiedyś zawodowo wolnoamerykanke, i usiadł w cieniu rozłożystego platanu. Dzień był słoneczny i wczorajsze ochłodzenie minęło bez śladu.

Około południa przyjechał pułkownik Sibel. Był wysoki, szczupły, bardzo przystojny. Pociągła, śniada twarz, regularne rysy i duże, brązowe oczy spoglądające z uprzejmą łagodnością. Mógł mieć czterdzieści parę lat.

Odnalazł Stasiaka pod platanem, przedstawił się i poprosił o chwilę rozmowy. Przeszli więc do gabinetu, gdzie Emil podał aperitif.

Kiedy drzwi się za kamerdynerem zamknęły, pułkownik umoczył wargi w alkoholu i patrząc badawczo na Stasiaka, spytał:

- Czy jest pan zadowolony ze swego mieszkania, panie kapitanie?

- Nie mogę narzekać - odparł Stasiak.

- A czy nie ma pan jakichś specjalnych życzeń? Czy garderoba pasuje na pana?

- Znakomicie. Troszeczkę mnie cisną lakierki, ale mam nadzieję, że się rozchodzą. Pan będzie łaskaw w moim imieniu podziękować za wszystko panu baronowi Boystowi. Sam to uczynię z przyjemnością przy najbliższej okazji, ale nie wiem, kiedy będę się mógł z nim zobaczyć.

Pułkownik Sibel wyjął cygaro i zapalił.

- Na to będzie jeszcze dość czasu. Na razie ja zostałem upoważniony do tego, aby z panem przeprowadzić wstępne rozmowy i, w razie potrzeby, dotrzymać panu towarzystwa.

- Jestem niezmiernie zobowiązany - skłonił się Stasiak. - Pańskie towarzystwo będzie dla mnie prawdziwą przyjemno-

187

ścią. - Zaczynał go bawić ten wersal, ale postanowił utrzymać się konsekwentnie na wyżynach high life'u.

- Chcemy panu przedstawić naszą propozycję - powiedział Sibel.

- Słucham uważnie.

- Otóż moi mocodawcy pragną panu zaproponować pracę dla nas na terenie Egiptu. Co pan o tym sądzi?

Stasiak nie od razu odpowiedział. Zgasił papierosa i wypił swój aperitif. Zastanawiał się nad tym, co się kryje za tą propozycją.

- No cóż... właściwie to by mi odpowiadało. Znam trochę stosunki egipskie, bo w czasie wojny...
- Tak, tak, wiem. Pracował pan na tamtym terenie z ramienia Intelligence Service.
- Widzę, że macie dobre informacje. Sibel uśmiechnął się.
- Cieszę się, panie kapitanie, że chociaż coś z naszej organizacji znajduje uznanie w pańskich oczach.

Stasiak zaczął się śmiać.

-Widzę, że odbył pan wyczerpującą rozmowę na mój temat z pułkownikiem Rosnerem. Przykro mi, że mu wczoraj tak fatalnie popsuła humor.

- Tak — przyznał Sibel. - Po pańskiej wizycie nie był w najlepszym nastroju. Podobno nawet miał atak wątrobiany. Suchy to jeden z jego asów. Prawdę mówiąc, to bardzo zdolny agent. Miał wyjątkowego pecha tym razem. Ale wróćmy do naszej sprawy. Więc byłby pan skłonny wyjechać do Egiptu?

-Jak najbardziej. Kiedy miałyby to nastąpić?

- Sądzę, że nie wcześniej jak za kilka tygodni, dwa miesiące. Musi pan przejść pewien rodzaj szkolenia.

- Mam nadzieję, że nie poślecie mnie do freblówki -uśmiechnął się Stasiak.

- Może pan być spokojny. Orientujemy się przecież, że mamy z fachowcem do czynienia. Chcemy przede wszystkim, żeby się pan trochę podciągnął w języku niemieckim, a następnie powinien się pan dobrze zapoznać z obecną sytuacją na Bliskim Wschodzie. Zdaje pan sobie przecież sprawę z tego, że tamtejsze stosunki uległy w ostatnich latach dość poważnym

188

zmianom. - Sądzę - mówił dalej Sibel - iż dwa miesiące powinny panu w zupełności wystarczyć. Będzie odwiedzał pana nauczyciel języka niemieckiego oraz doskonały spec od zagadnień Bliskiego Wschodu, a w szczególności Egiptu. Nie może pan tu oczywiście siedzieć w tej willi w charakterze pustelnika. Musi się pan poruszać trochę po terenie, poznać miasto, zabawić się, rozerwać. Jak by się pan zapatrywał na to, żeby pańska dawna przyjaciółka dotrzymała panu od czasu do czasu towarzystwa?

- Moja przyjaciółka? - zdziwił się Stasiak.

- No tak. Berta Müller, czyli Ruth...

- Ach, tak. Przecież ona jest w Berlinie. Mówił mi baron Boyst. Zupełnie o tym zapomniałem. Bardzo chętnie ją zobaczę. Troszkę żeśmy się oboje zestarzelili od tamtych londyńskich czasów, no, ale trudno. Tempus fugit. Na to nie ma rady.

Sibel był zadowolony.

- Bardzo się cieszę, że będzie pan miał miłe, kobiece towarzystwo. Mogę pana zapewnić, że miss Ruth jest piękna tak, jak dawniej. Nie wiem, jak ona to robi, ale zupełnie na niej nie znaczą upływających lat.

-Widocznie posłużył jej klimat Wielkiej Brytanii. Gdzie ona teraz mieszka?

- Na Gerichtstrasse. Może odwiedzimy ją przy okazji, ale sądzą, że lepiej będzie, jeśli ona odwiedzi pana tutaj.

- Czy wie, że jestem w Berlinie?

-Jeszcze nie. Nie chciałem jej o tym mówić, dopóki nie porozumiem się z panem. Nie byłem pewny, czy będzie pan miał ochotę odnawiać dawne znajomości.

Stasiak wyjął złotą papierośnicę i przez chwilę przyglądał jej się w zamyśleniu. Ruth, złotowłosa Ruth... Ileż to wspomnień?... Jakie to wszystko odległe, nierealne. Tamte lata miały w sobie coś z dawno zasłyszanej opowieści. Nieraz trudno mu było po prostu uwierzyć, że wszystko to naprawdę się kiedyś zdarzyło i że on był głównym bohaterem tej dziwnej historii.

- Bardzo chętnie zobaczę miss Ruth, pardon, chciałem powiedzieć: Fräulein Bertę.

Pułkownik Sibel wstał.

- Sądzę, że omówiliśmy wszystko w ogólnych zarysach. Nie

189

będzie mi pan miał za złe, że go teraz pożegnám. Mam ważną konferencję. Przed wieczorem zajrzę do pana.

- Chciałbym jeszcze pana o coś zapytać - powiedział Stasiak.

- Słucham?

-Jak się przedstawia strona materialna tej pańskiej propozycji? Bo oczywiście jestem pełen zapału dla sprawy, ale dla porządku chciałbym znać wasze walutowe zamiary w stosunku do mnie.

Sibel uśmiechnął się.

- Niech pan będzie spokojny, panie kapitanie. Nie jestem wprawdzie jeszcze upoważniony do tego, aby precyzować sumę, ale mogę pana zapewnić, że uposażenie agentów pańskiego typu jest bardzo wysokie. Na pewno nie będzie pan się skarżył na brak pieniędzy.

Po odejściu pułkownika Stasiak pozostał sam ze swymi myślami. Propozycja, którą posłyszał, nie zaskoczyła go specjalnie. Wiedział, że baron Boyst nie będzie go chciał przerzucić na teren Polski. Przynajmniej na razie. Egipt... No cóż?... To mogło być interesujące. Oficjalnie, prawdopodobnie, wysłaliby go jako przedstawiciela jakiejś poważnej firmy handlowej. To był dobry, wypróbowany i zawsze niezawodny sposób.

Zapalił papierosa i wyszedł przed dom. Ogrodnik Franz starannie przycinał róże. Ogromny płowy dog wygrzewał się w słońcu, zmrużywszy ślepią. „Więc to jest sceneria mającej się rozegrać akcji - pomyślał Stasiak. - Więc tutaj rozpoczyna się nowy rozdział opowieści.” Zielony, błyszczący trawnik przypominał mu morze. Obrazy przeżytych na Wybrzeżu chwil oddalały się i ciemniały bardzo szybko. Grand Hotel, Jola, Silvana, nocna wyprawa do rybackiej chaty, to wszystko już należało do przeszłości.

Na drugi dzień po rozmowie z pułkownikiem Sibelem pojawił się w willi zapowiadany nauczyciel języka niemieckiego oraz spec od zagadnień Bliskiego Wschodu. Stasiak, rad nie-rad, musiał zabrać się do nauki. W niemieckim zaczął od razu robić duże postępy ku zadowoleniu sumiennego pedagoga. Miał duże zdolności językowe, a zresztą mówił przecież trochę po niemiecku, chodziło tylko o pogłębienie wiadomości z za-

190

kresu germanistyki. Sibel odwiedzał go bardzo często i prowadził z nim długie rozmowy na tematy polityczne, gospodarcze, kulturalne i filozoficzne. Był to człowiek bardzo wykształcony i posiadający

olbrzymią erudycję. Nieraz wyruszyli razem na miasto, chodzili do kin, nocnych lokali i kabaretów. Poza tym Stasiak, żeby nie stracić fizycznej kondycji, gimnastykował się systematycznie co rano oraz boksował się i walczył na francuską walkę z Franzem, nad którym górował szybkością ruchów i zwinnością. Były zapaśnik niejednokrotnie wpadał we wściekłość i walka zaczynała tracić swój treningowy charakter. Podczas jednego z takich treningów Franz powiedział:

- Pan musiał być chyba bokserem, panie kapitanie. Stasiak roześmiał się.

- Nie. Byłem tylko komandosem.

- O, ja. Sie sind sehr gefährlich Mann.

Po upływie kilku dni pięknym sportowym wozem przyjechała Fräulein Berta Müller.

- My darling, my darling! My Johnny!

Rzuciła się Stasiakowi na szyję i radośnie zaczęła go całować.

- O, Johnny, jak się cieszę, jak bardzo się cieszę, że cię widzę.

Uwolnił się wreszcie z jej objęć. Popatrzył na nią z uśmiechem. Pułkownik Sibel miał rację. Ciągle jeszcze była bardzo ładna. Zachowała świeżą, delikatną, różową cerę, która czyniła ją podobną do porcelanowej lalki. Włosy miała złociste i gęste jak dawniej. Przytyła tylko trochę, zaokrągliła się, tracąc wysmukłą, dziewczęcą linię, z której kiedyś była taka dumna.

- Wspaniale wyglądasz - powiedział ze szczerym uznaniem. - Nic się nie zmieniłaś. Zupełnie, mam takie wrażenie, jakbyśmy się wczoraj rozstali. Zawsze jesteś bardzo piękna.

Uszczypnęła go w policzek.

- Wiem, że umiesz mówić kobietom miłe rzeczy. I ty także się nic nie zmieniłeś.

- Zestarzałem się.

- Ależ skądże znowu. Wyglądasz wspaniale. Jak młodzieniec. Gdzie żeś się tak pięknie opalił?

- Nad morzem. Ściśle mówiąc nad Bałtykiem. Tak Ruth... Och, przepraszam, chciałem powiedzieć... Berto.

Dotknęła palcami jego ust.

191

- Nazywaj mnie Ruth, jak dawniej. Sprawisz mi przyjemność. Bardzo proszę. Tyle przecież z tym imieniem mamy oboje wspomnień.

- Bardzo różnych wspomnień - powiedział z intencją w głosie Stasiak.

Spojrzała na niego zbита z tropu. -Jeszcze mi tego nie przebaczyłeś?

- ...że zrobiłaś ze mnie durnia?

- Och, nigdy nie używam takich mocnych określeń. Myślałam, że już zapomniałeś o tym. To przecież takie dawne czasy.

- O twojej roli na terenie Anglii dowiedziałem się stosunkowo nie tak dawno.

- Zapewne od barona Boysta.

- Zgadłaś. No cóż... właściwie mogę tylko podziwiać twój spryt. Przyznaję, że przez cały czas ani mi przez myśl nie przeszło, że jesteś Niemką i że pracujesz dla wywiadu niemieckiego.

Znowu objęła go za szyję i przysunęła twarz bardzo blisko do jego twarzy.

- Nie mówmy już o przykrych rzeczach, darling. Dobrze? Bądź miły, bądź kochany. Taka jestem szczęśliwa, że już nie muszę nic przed tobą udawać.

- Czy jesteś tego pewna? Spojrzała na niego zaskoczona.

- Nie rozumiem cię. Czy jestem pewna czego?

- Że nie musisz już nic przede mną udawać.

- Przecież nie jesteśmy w Anglii. Jestem zdekonspirowana. Cóż miałabym przed tobą udawać?

- Oczywiście, oczywiście - powiedział prędko Stasiak. - Zostaniesz u mnie na obiedzie?

-Jeżeli mnie zaprosisz, to bardzo chętnie.

Wydał polecenie Emilowi i napełnił wermutem kieliszki.

- Prosił. Zaśmiała się.

- Słyszałam, że się uczysz języka niemieckiego.

- To prawda. Postanowiłem zgłębić tajniki twojej mowy oj czystej.

Dlaczegoż mnie nie zaangażowałaś jako nauczycielki? Najwidoczniej pułkownik Sibel jest zdania, że kobiety ma-

192

ją na mnie zły wpływ. Nie ma tu nawet pokojówki, a wszyscy moi preceptorzy są rodzaju męskiego.

- Biedaku - powiedziała tkliwie. - Musiałeś się bardzo stęsknić za kobiecym towarzystwem. Ale nic się nie martw, ja cię pocieszę w twojej samotności.

- Dziękuję ci za dobre chęci. Widzę, że zawsze łatwo się wzruszasz cudzą niedolą.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Ale może ty sobie nie życzysz? Powiedz zupełnie szczerze. Może nie masz ochoty, żebym ja... No cóż... nie widzieliśmy się tyle lat, że to byłoby zupełnie zrozumiałe. Nie miałabym ci tego przecież za złe.

Stasiak ujął jej dłoni i delikatnie pocałował końce palców.

- Jesteś zawsze tak samo piękna. Bardzo mi się podobasz i będę szczęśliwy, jeśli zechcesz dotrzymać mi towarzystwa. Przyznaję, że wolę pójść na dancing z tobą aniżeli z pułkownikiem Sibelem.

Roześmiała się i pociągnęła go za ucho. -Jesteś szelma! Nic się nie zmieniłeś.

Wszedł Emil i z uroczystą miną mistrza ceremonii oznajmił, że podano do stołu. Poderwali się ochoczo, oboje

byli głodni.

Obiad upłynął w niezwykle wesołym nastroju. Ruth była rozmowna, opowiadała dowcipy, plotki z życia wyższych sfer towarzyskich i różne swoje przygody. Piła chętnie wino i rozmarzonymi oczami patrzyła na Stasiaka. Zapewne przypominała sobie dawne, londyńskie czasy. Kiedy Emil napełnił filiżanki aromatyczną kawą, Stasiak pochylił się konfidencjonalnie ku swej towarzyszce i powiedział:

- Myślę, że mogłabyś tu ze mną trochę pomieszkać. Zrobiła wielce zgorzowaną minę.
- Czy mam to uważać za nieprzyzwoitą propozycję?
- Ale skądże znowu. Wydaje mi się tylko, że zajmuję tu stanowczo za duży metraż. Pomyślałem więc sobie, że racjonalna gospodarka lokalami wymaga tego, żeby kogoś dokwaterować do tej willi. Mam wrażenie, że ty byłabyś odpowiednim lokatorem.

Dotknęła jego dłoni.

- Trzeba się będzie nad tym poważnie zastanowić. Po obie-

193

dzie nie jestem skłonna myśleć o problemach związanych z gospodarką komunalną. Czuję się ociążała.

- Może masz ochotę na małą drzemkę?
- Wiesz, że chętnie. Zaprowadził ją na górę.
- Tu jest moja sypialnia - powiedział. - A ty może zajmiesz tamtą po drugiej stronie łazienki?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Zupełnie cię nie rozumiem, darling. Przed chwilą troszczyłeś się o racjonalną gospodarkę lokalami, a teraz chcesz, żebym sama zajmowała taki duży pokój. Czyż nie zmieścimy się oboje w twojej sypialni? W tym łóżku mogą z powodzeniem spać trzy osoby.

Zaśmiał się.

- Masz rację, kochanie. To z mojej strony nie było konsekwentne.

Zamknęła drzwi na klucz i poczęła go całować. Pachniała winem i mocnymi perfumami.

Dopiero około północy odwiózł ją na Gerichtstrasse. Była w nim zakochana. Parę razy zatrzymywała wóz, żeby go całować.

- Ich liebe dich, ich Hebe dich. I love you - powtarzała, tuląc się do niego i szukając jego ust.

Zaprosiła go do siebie na kolację. Został u niej do rana.

Po upływie dwóch dni Ruth zdecydowała się jednak przenieść do willi na Katherinenstrasse. Nie było sensu kursować bez przerwy między Zahlendorfem a dzielnicą Wedding.

Stasiak żałował trochę swej inicjatywy. Wspólne mieszkanie mogło się stać w pewnym momencie niezbyt wygodne. Za późno się jednak zorientował.

Dni i noce upływały mu teraz na miłości i na studiach lingwistycznych. Nie był jednak pewien, czy większe

postępy robił w gramatyce niemieckiej, czy też w sztuce kochania. Ciało pedagogiczne było bardzo zadowolone ze swego ucznia. Ze wszystkich przedmiotów otrzymywał stopnie celujące. Zaniedbywał natomiast treningi atletyczne i coraz rzadziej wyzywał Franza na ubitą ziemię. Jak wiadomo Amor nie chadza w parze z Marsem.

Pułkownik Sibel odwiedzał go, ale nie tak często jak daw-

194

niej. Widocznie uważał, że jego pupil znajduje się w dobrych rękach i nie potrzebuje już tak troskliwej opieki.

Stasiak ani się spostrzegł, jak przywykł do luksusu i zbytku. Piękna willa, służba, znakomite jedzenie, drogie wina, samochód do dyspozycji, urocza kochanka, wycieczki za miasto, dansingi, zabawy, towarzystwo wytwornych ludzi, wszystko to stawało się z biegiem czasujakimś naturalnym tłem dla jego egzystencji. Tamto dawne, warszawskie życie już po paru tygodniach wydawało mu się tak bardzo dalekie, nierealne. Sam nie mógł zrozumieć, jak to się dzieje, że tak prędko zapomniał

o tym, co było. Miał takie usposobienie, że to wszystko, co go otaczało w danej chwili, odsuwało w mrok przeszłość, choćby nawet niedawną. Tylko czasem sprawiało mu dotkliwy ból wspomnienie Anny. Ale i to wspomnienie stawało się coraz bardziej szare, coraz bardziej odległe. Parokrotnie jednak musiał w sobie tłumić uczucie przerażenia. Annie grozi niebezpieczeństwo! Annie grozi niebezpieczeństwo! Musi biec! Musi ją ratować! Zrywał się z łóżka i zapalał światło. Ruth pytała sennie:

- Co ci jest, darling? Co się z tobą dzieje?

Brała go w ramiona, całowała, uspokajała. Nie mógł potem zasnąć do rana.

Któregoś wieczora Ruth powiedziała:

- Może poszlibyśmy gdzieś potańczyć?

Zgodził się chętnie. Nie wiadomo dlaczego był zdenerwowany. Czuł, że gwar ludzki dobrze mu zrobi.

- Gdzie pójdziemy?

- Tutaj na Zehlendorfie jest taka miła dziura Caffee Segel. Jeszcześmy tu nie byli.

- Dobra. Może być Caffee Segel. Weźmiemy wóz?

- Chyba tak. Wprawdzie to dosyć blisko, ale może będziemy mieli ochotę pojechać gdzieś dalej.

Ruth wyprowadziła z garażu swój sportowy kabriolet

i sprawdziła światła.

- Chcesz prowadzić, darling?

- Nie, prowadź ty. Lepiej znasz miasto. Wyjechali za bramę. Stasiak spytał:

- Nie wiesz, gdzie jest ten sklep Brennismeyera?

- Chodzi ci o magazyn z konfekcją męską?

. 195



- Właśnie.

- To jest na Wilmersdorferstrasse. Trzeba jechać na Char-lottenburg. A co chcesz kupować?

- Nic, głupstwo. Chciałem sobie wybrać parę ładnych krawatów. Przecież muszę ci się podobać. Chcę zostawić po sobie miłe wspomnienie.

Posmutniała.

- Niedługo wyjeżdżasz?

- Chyba tak. Dienst ist Dienst.

- O, darling, dlaczego zawsze musimy się rozstawać?!

- C'est la vie.

- Nie chcę, nie chcę cię znowu utracić. Taka jestem z tobą szczęśliwa. Pojadę z tobą do Egiptu, chcesz?

- Wątpię, żeby to było możliwe.

- Pomówię z Siblem. Myślę, że mogłabym się przydać. Przecież musisz mieć kogoś do pomocy.

-Jeszcze nie wiem dokładnie, jak to wszystko będzie wyglądać - powiedział wymijająco Stasiak. Nie miał ochoty angażować się w tej chwili.

Nacisnęła hamulec.

- Otóż i Caffee Segel.

Stasiak nagle kichnął i zakrył sobie twarz chustką.

- Wiesz, co? Wolę jednak bar Rossi. Tutaj jakoś to nieciekawie wygląda.

Była zdziwiona.

-Jeszcze nawet nie wszedłeś do środka i już mówisz, że ci się nie podoba.

- Wolę bar Rossi - upierał się Stasiak. Wzruszyła ramionami.

-Jak chcesz. Jesteś dzisiaj strasznie kapryśny.

- Widocznie czasem zdarza się to i mężczyznom. Włączyła bieg.

- Rozpieszczam cię - powiedziała z uśmiechem. - Jesteś najmiłsza.

Zatrzymała wóz i pocałowała go w usta.

- O, darling, I love you.

Gładząc jej włosy, myślał o tym, co widział przed chwilą. Pułkownik Rosner pod rękę z inżynierem Czarnowskim. Poszli się

196

zabawić do Caffee Segel. Więc jednak nie zawiodła go intuicja. Przyjaciel pięknej pani Eweliny posiadał

bardzo interesujące koneksje. Co on tu robił w Berlinie Zachodnim?

- Jesteś jakiś dziwnie roztargniony, darling - powiedziała niezadowolona Ruth.

- Możliwe. Trochę mnie boli głowa.

- To może wolisz wrócić do domu?

- Nie, nie. Jedźmy do baru Rossi. To mi przejdzie. Otarła się twarzą o jego ramię.

- Przemęczasz się, kochany. Teraz znowu zacząłeś się uczyć arabskiego.

Stasiak pomyślał, że nauka tak by go może nie męczyła, gdyby miał spokojniejsze noce. Nie zdradził się jednak z tą refleksją.

Spocony oberkelner rozjaśnił twarz w uprzejmym uśmiechu. Nie było już wprawdzie wolnego stolika, ale obiecał, że coś dla stałych gości wykombinuje. Musieli chwilę poczekać.

Orkiestra grała tango. Poszli tańczyć.

- Kocham cię, bardzo cię kocham - powiedziała Ruth. - Nie chcę cię stracić. Nie chcę, żebyś odjechał. Z nikim mi nie jest tak dobrze jak z tobą.

Całował jej włosy. Myślał o Czarnowskim.

Kiedy zeszli z parkietu i kelner zaprowadził ich do stolika, który przed chwilą zwolniło jakieś towarzystwo, Stasiak zamówił przekąski i wódkę. Zaczął uwodzić i emablować Ruth. Starał się być dla niej tak miły, jak tylko potrafił. Poddawała się jego słowom, patrzyła na niego rozkochanymi oczami. Wiedział, jak te rozkochane oczy potrafią kłamać.

- Zabierz mnie ze sobą do Egiptu - powiedziała prosząco. Uśmiechnął się i napełnił kieliszki.

- Zobaczymy, kochanie. Nie wiem, jak się to wszystko ułoży. Pijemy. Twoje zdrowie, darling.

Po zakończonej kolacji Stasiak kazał podać butelkę szampana i migdały. Tańczyli dużo, pili Veuve Clicquot, oboje byli w doskonałych nastrojach.

Około drugiej w nocy postanowili wracać do domu. Ruth była pijana. Zauważył, że teraz miała o wiele słabszą głowę. Dawniej, za londyńskich czasów, mogła pić jak marynarz.

197

- Zalałam się - powiedziała, opierając się ciężko najego ramieniu. - Nie mogę prowadzić wozu.

- Nie martw się. Ja poprowadzę.

Wsadził ją do kabrioletu i usiadł za kierownicą. Znowu przypomniał mu się Czarnowski i pułkownik Rosner.

Franz otworzył im bramę. Gdy zatrzymali się przed garażem, powiedział:

- Dzwonił do pana pan baron Boyst.

- Baron Boyst? - zdziwił się Stasiak.

- Tak. Kazał panu powiedzieć, że zatelefonuje z rana.

- Dziękuję. Dobranoc.

- Gute Nacht, Herr Hauptmann.

Noc nie była jednak zbyt dobra. Obfita kolacja oraz duża ilość spożytego alkoholu nie wpłynęły dodatnio na spokojny sen. Ruth biegła do łazienki. Stasiak, postępując, przewracał się z boku na bok. Oprócz niestrawności spać mu nie dawały natrętne myśli, z którymi jednak łatwiej by sobie poradził niż z przepełnionym żołądkiem.

Wstał przed ósmą. Narzucił szlafrok i szedł do jadalni. Miał ołowiany smak w ustach i zdrętwiały język. Czuł, że musi się napić czegoś ciepłego.

Pełen troskliwego zrozumienia Emil przyniósł mu mocną herbatę z cytryną.

Stasiak, osowiały i niezadowolony, usiadł ze szklanką w ręku koło radia. Pokręcił gałką. Warszawa na długich falach nadawała wiadomości. Ziewnął szeroko i siorbnął duży łyk gorącej herbaty. Czuł się fatalnie. Był niewyspany, miał kaca, bolały go wszystkie gnaty.

Nagle przestał ziewać i odstawił na stolik szklankę z herbatą.

- Bawiąca od kilku dni na terenie Niemieckiej Republiki Federalnej nasza delegacja handlowa przeprowadza końcowe rozmowy dotyczące rozszerzenia traktatu handlowego pomiędzy Polską a Niemcami Zachodnimi. Powrót delegacji do Warszawy przewidywany jest w przyszłym tygodniu.

- Aha - mruknął Stasiak i zamknął radio. Dopił herbaty, zapalił papierosa i przeszedł się po pokoju. Ciągle jednak nie miał pewności, czyjego podejrzenia były słuszne. „Powiedzmy, że Czarnowski przyjechał z tą delegacją - myślał. - No to cóż te-

198

go? Prawdopodobnie pracuje w którejś z centrali handlu zagranicznego albo w ministerstwie."

Widział go w towarzystwie pułkownika Rosnera. Czego to dowodzi? Czy można na tej podstawie twierdzić, że Czarnowski prowadzi robotę szpiegowską? Nie. To tylko domysły. Bardzo prawdopodobne, że Rosner bierze udział w handlowych pertraktacjach, występując w roli specja od handlu zagranicznego. Zrozumiałe, że przy tej okazji pragnie załatwić swoje interesy i że zaprosił przedstawiciela polskiej delegacji na wino. Teraz delegacje polskie wyjeżdżające za granicę mają przecież o wiele większą swobodę ruchu. Tak, to jeszcze może niczego nie dowodzić. A zresztą... Machnął ręką i wrócił na górę. Postanowił się wykąpać.

Ruth także już wstała. Miała żółtawą cerę i podkrążone oczy.

- Dlaczego pozwoliłeś mi tyle pić - powiedziała z wyrzutem. - Widzisz, jak teraz wyglądam.

- Uroczo. Jakbyś była zrobiona z kości słoniowej. Uśmiechnęła się kwaśno.

-Już nigdy nie pozwolę wlać w siebie tyle wódki.

Przez parę najbliższych godzin doprowadzali się do formy. Ruth zamówiła sobie telefonicznie masażystę, fryzjera, manicuru-rzyszkę i kosmetyczkę. Stasiak gimnastykował się, biegł w spodenkach kąpielowych po ogrodzie, odbył z Franzem dwie rundy bokserskie, parę razy wziął zimny prysznic i wreszcie poczuł się dobrze.

O pierwszej zatelefonował baron Boyst.

- Guten Tag, Herr Stasiak. Jak się panu powodzi?
- Dziękuję, znakomicie.
- Czy nie miałby pan ochoty mnie odwiedzić?
- Z największą przyjemnością. Już dawno bym to zrobił, gdyby nie to, iż nie znam pańskiego adresu.
- Proponuję, żeby pan przyjechał do mnie jutro na herbatę z pułkownikiem Siblem. Co pan na to?
- Bardzo chętnie, panie baronie. O której?
- O piątej pułkownik Sibel przyjedzie po pana swoim wozem. Do zobaczenia, panie kapitanie.
- Do widzenia, panie baronie. Dziękuję za zaproszenie.
- Rozmawiałeś z baronem? - spytała Ruth. - Tak.

199

- Czego chciał?
- Zaprosił mnie na jutro na herbatę.

Objęła go za szyję. Pachniała dobrym mydłem i wodą kolońską. Znowu wyglądała młodo i świeżo. Twarz nabrała rumieńców, oczy blasku. Z porannego kaca nie zostało ani śladu.

- Powiedz baronowi, że chcesz mnie ze sobą zabrać - szepnęła. - Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

Pocałował ją w zaróżowione ucho.

- Zobaczymy. Nie wiem, najaki temat będziemy rozmawiać z baronem.
- No, chyba o twoim wyjeździe do Egiptu.

- Sądzę, że tak. Nie wiem jednak, czy będę miał okazję wspomnieć o tobie. Taką rzecz trzeba załatwić zręcznie. Chyba rozumiesz?

Wszedł Emil i poruszywszy bokobrodami, zaanonsował posiłek.

Kucharz okazał się człowiekiem doświadczonym. Obiad był właściwie pomyślany. Barszcz w filiżankach, a na drugie sztuka mięsa z kartoflami i kiszzone ogórki. Żadnego deseru. Zamiast czarnej kawy - mocna herbata z cytryną.

Wieczorem poszli do kina na jakiś western. Przez dwie godziny przeżywali wstrząsające przygody kowbojów na Dzikim Zachodzie. W najbardziej emocjonujących momentach Ruth szczypała swego towarzysza w rękę. Zawsze bardzo się przejmowała perypetiami filmowych bohaterów.

Po kinie wrócili cnotliwie do domu, zjedli wczesną, bardzo dietetyczną kolację i od razu poszli spać. Oboje byli zmęczeni.

Nazajutrz Stasiak wrócił do swego normalnego trybu życia. Rano gimnastykował się, walczył z Franzem, a następnie do obiadu oddawał się studiom pod kierunkiem troskliwych preceptorów. Po niemiecku zaczynał już mówić jak rodowity berlińczyk, a w arabskim robił duże postępy.

O czwartej po południu zielonym fordem przyjechał pułkownik Sibel. Miał na sobie świetnie skrojony wizytowy garnitur. W krawacie błyszczała brylantowa szpilka. Przywitał się i wszyscy troje usiedli na tarasie. Emil przyniósł po chwili chłodzące napoje. Dzień był upalny, ale wyczuwało się już nadchodzący jesień.

200

Rozmowa toczyła się na tematy obojętne. Mecze sportowe, ostatnie konkursy hippiczne, repertuar teatralny, najnowsze filmy, ploteczki z życia towarzyskiego. W pewnym momencie Ruth, zwracając się do pułkownika, powiedziała:

- Jak by się pan zapatrywał na to, żebym i ja pojechała do Egiptu?

Stasiakowi wydało się, że Sibel był przygotowany na to pytanie. „A może oni oboje grają przede mną komedię? - pomyślał. - Może chcą, żeby ona miała mnie w Egipcie przez pewien czas na oku?” To było bardzo prawdopodobne. Ostatecznie powierzali mu bardzo odpowiedzialną misję. Ufali mu. Przez cały czas pobytu w Berlinie zachowywał się przecież bez zarzutu. Ale być może, że woleli się jednak asekurować.

Sibel popatrzył na Ruth, wyjął z kieszeni fajkę i począł ją starannie nabijać. Spytał:

- W jakim charakterze chciałaby pani wyruszyć do Egiptu? Uśmiechnęła się.

- Nie wiem. Ale wyobrażam sobie, że kapitan Stasiak będzie potrzebował w swej pracy jakiejś pomocy, więc...

- Trzeba się będzie nad tym zastanowić. Pomówię z baronem Boystem. Czy pani mówi po arabsku?

- Biegle.

- O, to bardzo interesujące. Nie wiedziałem o tym. „Jeżeli się zgrywają, to robią to świetnie” - myślał Stasiak, popijając sok owocowy.

- No, panie kapitanie, musimy ruszać. Pan baron lubi ludzi punktualnych. Pani nam wybaczy, prawda?

- Ależ oczywiście.

Stasiak ubrany był w ciemny garnitur. Na nogach miał te lakierki, które go trochę cisnęły, szczególnie lewy.

Szofer z ukłonem otworzył drzwiczki samochodu. Stasiak z satysfakcją spojrzął na najnowszy model forda.

- Piękny wóz — powiedział. Sibel uśmiechnął się.

- Będzie pan miał jeszcze piękniejszy.

- Czy pan baron daleko mieszka?

- Kilkanaście kilometrów stąd. Musimy się spieszyć.

Willa barona Boysta leżała za miastem, przy zachodniej szo-

201

sie. Piętrowy budynek ukryty był wśród drzew. Wiśniowy sad ciągnął się wzdłuż wysokiego muru uzbrojonego w górze potrójnym drutem kolczastym. Dwa roste wilczury pilnowały bramy z żelaznych sztachet.

Opony zielonego forda zachręściły na żwirze. Wysoki, bardzo chudy lokaj, przypominający swym wyglądem skłopotaną czapkę, wyszedł na ganek, by powitać gości.

- Pan baron polecił mi panów najuprzejmiej przeprosić. Zaraz będzie gotów. Kończy się ubierać.

Weszli do obszernego hallu ozdobionego jelenimi łbami. Lokaj zaprowadził ich do biblioteki, gdzie pan baron zwykł przyjmować mniej oficjalnych gości.

Łagodny blask kolorowego żyrandola oświetlał duży, poważny pokój. Ciężkie, rzeźbione biurko, klubowe fotele, ciemnowiśniowy dywan i tegoż koloru portiery, zakrywające przeciwległe drzwi. Na ścianach, od podłogi aż do sufitu, półki z książkami.

Stasiakowi przypomniał się pokój, w którym odbył pierwszą swą rozmowę z baronem. Zaledwie jednak zdołał się rozejrzeć, gdy wiśniowa kotara poruszyła się gwałtownie i wszedł baron Boyst.

Miał na sobie bardzo piękny szlafrok z ciemnowiśniowego chińskiego jedwabiu przyozdobiony ręcznie haftowanymi czarnymi smokami.

- Wybaczcie, moi drodzy, ale tak byłem pochłonięty pracą, że straciłem rachubę czasu. Siadajcie, proszę. Zaraz wam służę.

Uścisnął im dłonie i wrócił, by dokończyć toalety.

Po paru minutach zjawił się znowu. Ubrany był w ciemnoszary, dwurzędowy garnitur, którego jednostajną płaszczyznę ożywił krawat koloru wiśniowego.

Przez chwilę z wesołym uśmiechem przyglądał się Stasiakowi.

- Widzę, że pan jest w znakomitej formie, panie kapitanie. Niezmiernie jestem rad, że tutejszy klimat panu służy.

- Nie mogę narzekać - powiedział Stasiak.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł ten sam chudy lokaj, popychając przed sobą stolik, na którym stała maszynka do kawy, filiżanki, kieliszki i butelka francuskiego koniaku.

Pan baron ruchem ręki odprawił służącego i osobiście napełnił kieliszki.

202

- Piję pańskie zdrowie, panie kapitanie, i za powodzenie pańskiej misji.

Stasiak skłonił się z powściągliwą uprzejmością.

- Bardzo dziękuję, panie baronie. Nigdy nie zapomnę, ile mam panu do zawdzięczenia. Zdaję sobie przecież sprawę z tego, że to, iż w obecnej chwili znajduję się tutaj, i że otwierają się przede mną piękne perspektywy na przyszłość, zawdzięczam wyłącznie panu.

Na pociągłej twarzy barona Boysta odmalowało się zadowolenie. Protekcyjnym ruchem troskliwego opiekuna poklepał Stasiaka po ramieniu.

- Wierzę, że zawsze pozostaniemy serdecznymi i lojalnymi przyjaciółmi - powiedział z naciskiem. - Ale siadajcie, panowie, proszę bardzo - dodał pospiesznie.

Zagłębili się w ogromnych fotelach i popijali koniak. Przez dłuższą chwilę trwało milczenie. Wreszcie Stasiak powiedział:

- O ile mi wiadomo, mam niedługo wyjechać do Egiptu. Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby pan, panie baronie, zechciał mi udzielić bliższych informacji dotyczących mojej roli na Bliskim Wschodzie.

- A właśnie - podjął z ożywieniem Boyst. - A propos pańskiego wyjazdu. Chciałbym, żeby został on nieco przyspieszony. Jak by się pan zapatrywał na to, żeby za tydzień wyruszyć w drogę?

- Nie widzę żadnych przeszkód - uśmiechnął się Stasiak. - Mogę jechać choćby jutro.

- Doskonale. Wobec tego proponuję, żebyśmy zafiksowali pański wyjazd na piątek przyszłego tygodnia. Sądzę, że najwłaściwszą będzie droga morska, choćby ze względu na dużą ilość bagaży, którą pan musi ze sobą zabrać. Tych wszystkich waliz i kufrów nie zabierze samolot. A osobiście wolałbym, żeby pan jechał razem ze swoimi rzeczami.

- To zrozumiałe - przytaknął Stasiak. - Zresztą nie mam żadnych zastrzeżeń co do tego, żeby jechać statkiem.

- Zna pan Hamburg? - zapytał Boyst.

- Nie. Nigdy nie byłem w Hamburgu.

- No właśnie. Będzie pan miał znakomitą okazję, żeby poznać to ciekawe miasto. Pojedzie pan sobie do Hamburga na parę dni przed odejściem statku. A jeśli chodzi o tę pańską egipską

203

wyprawę, no to cóż... Udaje się pan na tamtejszy teren w charakterze przedstawiciela naszego przemysłu maszynowego. Handlowa misja. Mam wrażenie, że zagadnienia techniczne nie są panu obce.

- Studiowałem na Politechnice Londyńskiej.

- Właśnie. Więc ma pan jakie takie pojęcie o tych sprawach. W kraju faraonów wystąpi pan w charakterze specja od handlu zagranicznego, a że przy okazji będzie pan obserwował, jak przebiega rozwój wydarzeń na Bliskim Wschodzie, to nikogo przecież nie będzie obchodziło. Zapewne zainteresują pana stosunki egipsko-sowieckie. Zorientuje się pan w charakterze pomocy udzielanej Egiptowi przez Związek Radziecki. Jako były wojskowy zwróci pan niewątpliwie uwagę na transporty broni przychodzącej do Egiptu, jak również na obiekty militarne, w pracy swej spotka się pan zapewne z przedstawicielami wywiadu angielskiego i amerykańskiego. A propos, zapomniałem panu pogratulować. Znakomicie pan rozpracował tego agenta zwanego Buldogiem. Moje uznanie. Z tej całej historii wynika, że pan jednak nie był na usługach brytyjskiego wywiadu, że ja miałem nieścisłe informacje. Czy tak, panie kapitanie?

Stasiak nie miał zamiaru zaspokoić pod tym względem ciekawości barona. Odpowiedział pytaniem.

- Czy życzy pan sobie posłyszeć głos Buldoga? Mam przy sobie tę taśmę. Więc jeżeli znajdzie się u pana magnetofon...?

- Och, to zbyteczne - uśmiechnął się Boyst. - Czytałem stenogram tej rozmowy, widziałem zdjęcia. Jestem dla pana z całym uznaniem. To była naprawdę dobra robota.

- Zbyt pan na mnie łaskaw - skłonił się z galanterią Stasiak. - Musiałem wyjaśnić sprawę tego mikrofilmu. Przecież podejrzewaliście mnie o to...

Boyst udał, że nie usłyszał ostatniego zdania.

- Jak już mówiłem, w działalności swej może pan się zetknąć z agentami wywiadu brytyjskiego i amerykańskiego. Nie muszę panu mówić, że nikt nie powinien wiedzieć o pańskiej roli. Nawet nasi sojusznicy. Aha, i jeszcze jedno. Nie może pan oczywiście postąpić się swoim nazwiskiem. Kazałem panu przygotować nowe dokumenty. Czy Erik Fischer odpowiada panu?

- Nie mam żadnych uprzedzeń, jeśli chodzi o nazwiska. Może być Fischer. Ganz égal.

204

Do rozmowy wtrącił się pułkownik Sibel.

- Wie pan, panie baronie, że istnieje pewna propozycja w związku z wyjazdem kapitana Stasiaka do Egiptu.

Boyst spojrział na niego wyczekująco.

- Propozycja? Słucham? Cóż to za propozycja?

- Miss Ruth... to znaczy Fräulein Müller wyraziła gotowość towarzyszenia kapitanowi w jego podróży. Sądzę, że nasze przedstawicielstwo handlowe w Egipcie będzie potrzebowało paru osób personelu biurowego, więc...

- To zupełnie niezła myśl - powiedział Boyst. - Pani Müller jest niezwykle zdolną osobą. Co pan o tym sądzi, panie kapitanie?

Od dłuższego już czasu Stasiak cierpiał. Lakierki cisnęły go niemiłosiernie. Jak na złość akurat na lewej nodze zrobił mu się ogromny odcisk, który właśnie w tej chwili dźgnął go jak nożem. Skrzywił się boleśnie.

Baron Boyst spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Nie ma pan ochoty, żeby pani Müller towarzyszyła panu?

- Ależ owszem. Będę bardzo rad - zapewnił Stasiak.

- Bo zdawało mi się...

- Zapewniam pana, panie baronie, iż będę bardzo rad, jeśli miss Ruth... to znaczy Fräulein Müller pojedzie ze mną.

- Mnie się wydaje - wtrącił się pułkownik Sibel - że Fräulein Müller może panu oddać nieocenione usługi. A poza tym przecie jesteście państwo zżyci ze sobą. To także ma znaczenie.

Stasiak skwapliwie skinął głową. Bał się, żeby jakoś mylnie nie interpretowali jego zachowania. Teraz dopiero zrozumiał, jak doniosłe znaczenie dla dyplomatycznych posunięć mają wygodne buty.

- Więc jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu - powiedział baron - a pani Müller wyraziła swą zgodę, to właściwie nie widzę przeszkód. - Sięgnął po butelkę i napełnił kieliszki.

Odcisk trochę złagodniał. Stasiak przyszedł już do siebie po przeżytym ataku i powiedział:

- Chciałbym pana o coś zapytać, panie baronie.

- Słucham?



- W jaki sposób będę przekazywał panu materiały informacyjne? Czy ma pan pod tym względem jakieś sugestie, czy też ja sam mam opracować swój system?

205

Boyst uśmiechnął się z uznaniem.

- Bardzo słuszne pytanie, panie kapitanie. Powiedziałbym nawet: pytanie zasadnicze. Jeśli chodzi o te sprawy, to coś panu zaproponuję. - Sięgnął do kieszeni, wyjął mały, ciemny przedmiot i podał go Stasiakowi. Był to żelazny walec, pusty w środku, wysokości kilku centymetrów, a średnicy około dwóch centymetrów. Wieczko walca było zdejmowane.

- Wygląda to trochę jak łuska od ogromnego rewolweru - powiedział Stasiak. - Przyznaję, że nie bardzo wiem, do czego to może służyć.

Baron Boyst wyjął z klapy marynarki szpilkę.

- Niech pan się tym trochę pobawi. Proszę dotknąć szpilką denka.

- Magnes - zdziwił się Stasiak. - Zaraz, zaraz. Coś mi już zaczyna świtać. Przecież do takiego walca z łatwością wejdzie rolka mikrofilmowa, a potem...

- Brawo! - zawołał Boyst. - Coraz bardziej przekonuję się do pańskich talentów. No oczywiście. Wkłada pan mikrofilm do tego walca, zamyka pan szczelnie. Niektóre z nich mają nasadki gwintowane. Następnie namagnesowanym denkiem przyczepia pan walec wewnątrz eksportowanej maszyny. Powiedzmy obrabiarki. Niektóre z maszyn, które będziemy na pańskie zamówienie wysyłać do Egiptu, będą miały jakieś usterki techniczne. Taką maszynę odeśle pan z powrotem do Niemiec, a wewnątrz niej znajdziemy maleńki walec z mikrofilmem, który będzie dowodem pańskiej aktywności na Bliskim Wschodzie. Co pan na to?

Baron Boyst popełnił w tej chwili ogromny błąd, ale o tym miał się przekonać o wiele później. Stasiak był rozentuzjowany.

- Och, widzę, że i panu także naplotkował na mnie pułkownik Rosner - powiedział wesoło Stasiak.

- Tak, Rosner jest na pana bardzo rozżalony. W rozmowie z nim nie oszczędzał pan gorzkich słów pod naszym adresem. Przyznaję jednak, że miał pan po temu wszelkie prawo. Ta historia z Suchym i z Buldogiem była dla nas rzeczywiście kompromitująca. No cóż, w tego rodzaju pracy zawsze zdarzają się potknięcia. A la guerre comme la guerre. Ale spu-

206

śćmy na to zasłonę. Mówmy raczej o panu i o przyszłych naszych planach.

- Oczywiście.

- A więc ustaliśmy tak: za tydzień odpływa pan z Hamburga do Egiptu. Zabiera pan ze sobą cały ekwipunek potrzebny panu zarówno do pracy handlowej, jak i do działalności bardziej intymnej. Będzie pan miał do swej dyspozycji najnowocześniejsze wyposażenie. Aha.. .jeszcze jedna sprawa... Czy widział pan mój szlafrok? Miałem go na sobie, kiedy panowie przyjechali.

Stasiak był wyraźnie zaskoczony. „Chce, żebym podziwiał jego szlafrok?” - pomyślał. Głośno zaś powiedział:

- Od razu zwróciłem uwagę na szlafrok pana barona. Piękna rzecz. Wyjątkowo piękna. Mam wrażenie, że to

chyba import z Dalekiego Wschodu.

Baron skinął głową.

- Tak. Przywiózł mi go z Chin jeden z moich przyjaciół. Ale nie chodzi mi w tej chwili o to, żeby pan się zachwycał moją garderobą. Miałem zupełnie co innego na myśli. Otóż łatwo może się zdarzyć, że podczas swej pracy zetknie się pan z naszymi agentami, których pan oczywiście nie zna. Mogą to być ludzie działający na terenie Turcji, Palestyny czy Jordanii, a nawet na terenie samego Egiptu. Musicie mieć wspólne hasło, które ułatwi wam wzajemne rozpoznanie się. Tym hasłem jest mój szlafrok.

- Szlafrok?

- Tak - uśmiechnął się Boyst. - Właśnie szlafrok. Może się panu wyda dziwaczny ten pomysł, aleja lubię dziwaczne pomysły. Jak pan zapewne zdążył zauważyć, szlafrok jest ciemnowiśniowego koloru, a na nim wyhaftowane są czarne smoki. W praktyce powinno to wyglądać w ten sposób, że jeśli pański rozmówca w bliskim kontakcie użyje słów: szlafrok, kolor wiśniowy oraz czarne smoki, to będzie pan wiedział, że ma pan do czynienia z naszym agentem. Na przykład: „W jednym sklepie w Kairze widziałem na wystawie piękny szlafrok, był jednak bardzo drogi”. Następne zdanie: „Jeśli miałbym przemalować mój wóz, to tylko na kolor wiśniowy”. I wreszcie: „Nie wiem, czy czytał pan ciekawą powieść kryminalną pod tytułem Czarne smoki”. Wariantów oczywiście może być mnóstwo. Nie wiem, czy mnie pan należycie zrozumiał?

207

Stasiak zgasił papierosa i dopił koniaku.

- Ma pan dar niezwykle przejrzystego wyjaśniania każdej sprawy, panie baronie. Nie mogłem tego nie zrozumieć. A poza tym doskonale mi jest znany ten system złożonych haseł. Nie jest to system nowy, ale oddający zawsze cenne usługi. Przyznaję, że pomysł ze szlafrokiem jest oryginalny i bardzo mi się podoba. Szlafrok barona Boysta. To brzmi interesująco i trochę tajemniczo.

Boyst patrzył na niego spod oka i uśmiechał się jakby trochę drwiąco.

- Być może, że to się panu wydaje trochę pretensjonalne. Ale cóż robić... wszyscy mamy swoje słabości. Ja jestem starym efekciarzem i lubię moje efekciarstwo. To mnie bawi. Tak mało w życiu mamy powodów do radości, że jeżeli coś nas bawi... Czyż nie mam racji, panie kapitanie?

- Najzupełniej się z panem zgadzam. I nie mógłbym nawet tego nazwać efekciarstwem. Stwierdzam tylko, że posiada pan, panie baronie, pewien polot literacki, a to przy pańskiej pracy jest właściwie niezbędne i w każdym razie bardzo pożądane.

Baron sięgnął po papierosa i powiedział zamyślony:

- Polot literacki... No cóż... Kto wie... Może właśnie w tej chwili poddał mi pan dobrą myśl. Wydaje mi się, że moich wspomnień wystarczyłoby na kilkadziesiąt powieści sensacyjnych.

- Nie wiem tylko, czy byłyby one cenzuralne - zauważył Sibel.

- Tak - zgodził się Boyst. - Cenzura mogłaby mieć pewne zastrzeżenia, i nie tylko cenzura. Zdaje się, że będę musiał zrezygnować z kariery literackiej - dodał z uśmiechem.

- A szkoda - powiedział Stasiak. - Byłaby to niewątpliwie pasjonująca lektura.

Rozmowa weszła w końcowe stadium. Baron stracił nagle swą swadę i robił wrażenie zmęczonego. Pułkownik Sibel parokrotnie dyskretnie spojrzął na zegarek.

Poruszono jeszcze parę ogólnych tematów. Nie obeszło się oczywiście bez wymiany zdań na tematy polityczne. Baron Boyst opowiedział parę aktualnych kawałów. Wreszcie Stasiak uznał, że nadeszła chwila rozstania. Wstał i zaczął się żegnać z gościnnym gospodarzem. Sibel z widocznym entuzjazmem poszedł zajęgo przykładem.

208

- Myślę, że jeszcze pana zobaczę przed wyjazdem, panie kapitanie - powiedział baron.

- Oczywiście. Przyjdę się pożegnać.

- Gdyby mi się dodatkowo coś przypomniało, to do pana zadzwonię.

- Proszę uprzejmie. Zawsze jestem do pańskiej dyspozycji, panie baronie.

Kiedy siedzieli znowu w zielonym fordzie, Sibel spytał:

- No i jak się panu podobało u barona?

- Bardzo - powiedział Stasiak. - To niezwykle uroczy człowiek.

- Tak. Przyjemnie się z nim pracuje. Duża kultura.

- Czy wpadnie pan jeszcze do nas na chwilę, panie pułkowniku?

Sibel potrząsnął głową.

- Niestety. Bardzo mi przykro, ale jestem umówiony. Już od pół godziny na mnie czekają. Więc musi mi pan wybaczyć. Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, to odwiedzę pana jutro po południu.

- Będę niezmiernie rad. Pańskie odwiedziny zawsze są dla mnie prawdziwą przyjemnością.

Franz otworzył bramę, ale Stasiak pożegnał się z pułkownikiem i wyskoczył z wozu.

- Nie warto wjeżdżać - powiedział. Ruth czekała na niego.

- Och, darling. Co tak długo? Myślałam już, że będziecie tam nocować. - Objęła go za szyję i ugryzła delikatnie w ucho. - Stęskniłam się za tobą. Nie lubię, jak tak długo cię nie widzę.

Stasiak z uśmiechem pogłaskał ją po włosach. -No, no, nie udawaj takiej zakochanej. Spojrzała na niego z wyrzutem.

-Ja wcale nie udaję. Jestem w tobie zakochana. Nie wierzysz mi?

- Ludzie zazwyczaj wierzą w to, w co chcą wierzyć, więc ja ci wierzę.

Przytuliła policzek do jego twarzy.

- Czujesz?

- Tak. Czuję, że jesteś bardzo rozpalona. Może masz gorączkę? Zaczyna panować grypa.

Dała mu klapsa po rękę.

- Jesteś nieznośny. Zawsze starasz się mnie zbić z tropu.

- Nie zawsze. Tylko...

- Tylko kiedy...?

- Kiedy jestem tak głodny, jak w tej chwili.

- Och, mój biedaku. To baron nic wam nie dał?

- Dał doskonały koniak, który mi wspaniale zaostrzył apetyt. Nacisnęła dzwonek.

- Zaraz powiem Emilowi, żeby przyspieszył kolację. Ja także jestem przy apetycie. Obiad był lekkostrawny.

Przy stole Ruth zapytała:

- Czy rozmawiałeś z baronem na mój temat?

- Tak. Poruszył tę sprawę Sibel. Fatalnie się zachowałem.

- Ty się fatalnie zachowałeś?

Stasiak opowiedział o rozmowie z baronem i o swych bolesnych przejściach z odciskiem. Śmieli się oboje do łez.

- Cha, cha, cha... to znakomicie. To baron myślał, że ty się tak krzywisz na wspomnienie o mnie?...

- Właśnie. Czułem się bardzo głupio. Nie mogłem mu przecież tłumaczyć, że mnie pieką odciski. Wypadłoby to jeszcze gorzej.

- Ale w rezultacie baron zgodził się na mój wyjazd?

- Tak, kochanie. Jedziesz z mną do kraju piramid.

- Och, darling... Jakżeż się cieszę. Jak bardzo się cieszę. Jestem naprawdę szczęśliwa. To będzie cudowne. Pomyśl tylko... konne wycieczki w głąb pustyni, romantyczne noce, tajemnice Wschodu. Wspaniałe... wspaniałe... - Usiadła mu na kolanach i zaczęła go pieścić.

- Daj spokój - powiedział. - Nie tutaj. Zaraz może wejść Emil. Wiesz, że tego nie lubię.

Po kolacji słuchali trochę radia i snuli plany na przyszłość. Wcześniej poszli do sypialni. Noc spędzili na miłości.

Dnie, które teraz nadeszły, wypełnione zostały przygotowaniem do podróży. Kompletowali swą garderobę. Od rana do wieczora kręcili się po domu krawcy, szewcy i modystki. Poza luksusową garderobą Stasiak otrzymał znakomity aparat radiowy nadawczo-odbiorczy, kilka aparatów fotograficznych, magnetofon, aparaty podsłuchowe różnego typu, słowem wszystko to, co jest niezbędne do pracy nowoczesnie wyposażonego agenta.

Na zapytanie, co powiedzą egipscy celnicy na cały ten bagaż, pułkownik Siebel odparł z uśmiechem, że wszystko będzie załatwione all right i że nie ma żadnego powodu do jakichkolwiek niepokoi.

W przeddzień wyjazdu Stasiak odwiedził barona Boysta, który przyjął go z serdeczną wylewnością, udzielił ostatnich rad i wskazówek, a na zakończenie powiedział:

- Ogromnie się cieszę, panie kapitanie, z rozpoczęcia naszej współpracy. Wierzę, że potoczy się ona ku obopólnemu zadowoleniu. Im bliżej pana poznaję, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że jest pan człowiekiem naprawdę na wysokim poziomie i że czeka pana wspaniała kariera. Nie wątpię też ani przez chwilę w pańską lojalność. Proszę przyjąć ode mnie najserdeczniejsze życzenia owocnej pracy i powodzenia na nowej drodze życia. Ale... ale... nie wiem, czy panu wspomniałem, że jedzie pan do Egiptu, aby przejąć funkcje naszego byłego agenta, którego niestety byliśmy zmuszeni zlikwidować. Był to bardzo lekkomyślny człowiek i w pewnym momencie zaczął prowadzić podwójną grę. Osierocił biedaczysko żonę i troje dzieci. No cóż... wdowa po nim nie otrzyma nawet żadnego odszkodowania. Przykre, bardzo przykre.

Stasiak skłonił się.

- Serdecznie dziękuję, panie baronie, za niezwykle cenną informację. Wprawdzie nie jestem żonaty, ale lubię mieć jasny pogląd na każdą sprawę. Mogę pana zapewnić, iż nie zawiodę pokładanego we mnie zaufania. Pomijając już moralną stronę zagadnienia, jestem człowiekiem trzeźwo myślącym i wiem, co leży w moim interesie. Dziękuję panu za wszystko i do zobaczenia. Mam nadzieję, że odwiedzi mnie pan przy okazji w Egipcie.

Baron Boyst mocno uścisnął wyciągniętą dłoń.

- Do widzenia, kapitanie, i powodzenia.

Wreszcie nadszedł dzień odjazdu. Nie bez pewnej melancholii Stasiak żegnał luksusową willę, pieczone perliczki i wysokogatunkowe wina. Nie można było zaprzeczyć, że tych kilka tygodni żył tu sobie jak król.

Pułkownik Sibel odprowadził ich na dworzec, życzył szczęśliwej podróży i dopilnował wszystkich formalności. Był, jak zwykle, uprzedzająco grzeczny, wytworny, uważający na każdy szczegół.

211

Stasiak, stojąc w oknie wagonu, patrzył na znikające w szarej mgłę domy. W tej chwili pomyślał, że w taki sam mglisty poranek przyjechał do tego miasta. Co go czeka na końcu tej drogi, którą co jakiś czas przesłania nieprzenikniony, gęsty tuman mgły? Jak to się wszystko ułoży?

- Zamknij okno, darling. Wieje.

Podniósł szybę, usadowił się wygodnie i spojrzął na Ruth.

- Czemuś taka smutna? - spytał. Uśmiechnęła się blado.

- Nie, nie jestem smutna. Zdaje ci się, kochanie. Może to po prostu pewne odprężenie nerwowe. Te ostatnie dni były takie gorączkowe, męczące. Zapewniam cię, że jestem bardzo szczęśliwa, że jadę z tobą - dodała pośpiesznie, widząc wyraz niedowierzania na jego twarzy. - Naprawdę, jestem bardzo, bardzo szczęśliwa. Możesz mi wierzyć.

Pogładził z czułością jej rękę, ale nie wierzył. Miał nieomal zupełną pewność, że wyjazd Ruth był inspirowany przez barona i że wszyscy oni odegrali wobec niego zręczną komedię. To musiało być z góry zaplanowane.

Nie dziwił się zresztą. Na miejscu tych ludzi postąpiłby tak samo. Ostatecznie powierzali mu nie byle jaką misję. To było zupełnie naturalne, że na wszelki wypadek woleli mieć przy nim swojego zaufanego człowieka, choćby tylko przez pierwszy okres. A Ruth nadawała się do tej roli znakomicie. Mężczyzna nigdy i nigdzie nie jest tak skłonny do zwierzeń jak właśnie w łóżku. To przecież truizm znany od początku istnienia ludzkiego na ziemi.

Przeglądając „Die Woche”, Ruth myślała o tym samym, chociaż trochę inaczej. Poczła się nagle zmęczona i stara. Miała już dosyć, dosyć tego życia opartego od lat na kłamstwie i zdradzie. Od dwudziestu lat, od długich, beznadziejnie długich dwudziestu lat była na usługach ludzi w rodzaju barona Boysta. Bezustannie grała komedię, bezustannie musiała coś udawać. Nigdy nie mogła być naprawdę sobą, nigdy. Jak długo to miało trwać? Czyjuż na zawsze? Czyjuż do końca życia? Czyż nigdy nie przestanie być tajnym agentem? Dopóki była bardzo młoda, bawiło ją to, podniecało, dawało dreszcz sensacji, niepokoju, smak wielkiej, niebezpiecznej przygody. Ale z biegiem lat, wraz ze wzrastającą rutyną przyszło zniechęcenie, nuda, znie-

212

cierpliwienie i obrzydzenie do tego wszystkiego. Niedokładnie zdawała sobie sprawę ze swego stanu psychicznego, nie chciała sobie pewnych rzeczy uświadamiać. Bała się, że jeżeli raz sobie pozwoli na głębszą analizę tych spraw, to już nie będzie dla niej powrotu, to już nie będzie mogła tak żyć. A przecież wiedziała, że zerwać z tym wszystkim, to nie było takie proste. Aż nazbyt dobrze znała swych chlebodawców, aż nazbyt dobrze wiedziała, co czeka agenta, który się wyłamie z obowiązującej dyscypliny, który się zbuntuje i odmówi posłuszeństwa. Ileż widziała w swej karierze takich wypadków, na iluż ludzi sama podpisała wyrok śmierci. Nie chciała umierać. Minął kryzys i poczyniała się już godzić ze swym losem, kiedy nagle... Nagle zjawił się on, piękny kochanek z mglistego Londynu, jej wielka namiętność z dawnych lat. Ale wtedy to była tylko namiętność. A teraz...? Teraz czuła, że nie potrafi się oprzeć rosnącej z każdym dniem miłości, że nie potrafi kłamać. Ani baron Boyst, ani pułkownik Sibel nie domyślali się oczywiście, co się z nią działo. Inaczej nie wysłaliby jej do Egiptu. Kobieta, która kocha, traci swą wartość jako agent, staje się nawet niebezpieczna. Ale przecież nie mogli przypuszczać, że ta czterdziestoletnia, kuta na cztery nogi babka zadurzy się naprawdę w swym dawnym przyjacielu. To było tak mało prawdopodobne. I co dalej... Co dalej...? Nie czuła się na siłach ciągle go okłamywać, grać wobec niego komedię, udawać. Pragnęła wreszcie być sobą. Przecież tak już niewiele pozostało jej czasu, tak niewiele tych lat, w których mogła się jeszcze uważać za piękną, godną pożądania kobietę. Ajakby tak uciec z nim razem? Zabrać trochę pieniędzy i wyjechać, wyjechać choćby do Ameryki... Albo do Australii... Czy on by na to poszedł? Czy mogłaby z nim w ogóle zacząć rozmowę na ten temat? Czy uwierzyłby w jej szczerość? Czy nie bałby się, że zastawia na niego jakąś pułapkę i chce go na polecenie barona wypróbować? Przekleństwo! Nigdy nie będzie jej ufał naprawdę. Na pewno się domyśla, że to pan baron Boyst kazał jej z nim jechać i że było to ukartowane już od dawna.

— Was denken Sie, meine Dame? Uśmiechnęła się.

- Rozmyślałam o naszej podróży. Mam nadzieję, że będziemy mieli dobrą pogodę.

213

- Boisz się choroby morskiej?

- Nie, raczej dobrze znoszę jazdę statkiem. Chyba że jakiś straszliwy sztorm...

- O tej porze roku to się może zdarzyć.

- Chcesz mnie nastraszyć?

- Nie sądzę, żeby to było takie łatwe. O ile cię znam, nie tak prędko wpadasz w panikę.

Umilkli. Oboje byli zbyt leniwi na to, aby rozmawiać. Patrzyli na płynący za oknem krajobraz. Nie wiadomo dlaczego poczuli się nagle jacyś dziwnie skrępowani, stracili tę beztroską swobodę, która towarzyszyła im przez cały czas w Berlinie. Żadne z nich nie potrafiłoby tego wytłumaczyć. Może nagła zmiana sytuacji na to wpłynęła, a może co innego...

W Hamburgu była mgła. Lepka, gęsta wilgoć ciągnąca od Wysp Brytyjskich zakryła miasto. Samochody z trudem poruszały się po ulicach. Ludzie wyłaniający się z tej szarej chmury wyglądali jak tajemnicze zjawy. O parę kroków nic nie było widać.

Oddali cały bagaż na statek, sami zaś tylko z podręcznymi walizkami poszli do hotelu. Wprawdzie mogli się od zaraz rozkwaterować w kajutach, ale Ruth nie miała na to ochoty.

-Jeszcze się nasiedzimy w kajutach - powiedziała. - Nie lubię mieszkać na stojącym w porcie statku.

- Dobrze - zgodził się Stasiak. - Dzisiaj mamy środę. Przenocujemy w hotelu, a jutro przed wieczorem przeniesiemy się na statek. Jeżeli się nie mylę, to w piątek o siódmej rano podnosimy kotwicę.

Zjedli obiad w hotelowej restauracji, a następnie wyruszyli na miasto. Po południu mgła trochę zrzędła i chodzenie po ulicach nie było już takie przykre.

Stasiak w zamyśleniu patrzył na wystawy sklepowe. Widać było, że zwiedzanie miasta wcale go nie interesuje. Z roztargnieniem odpowiadał swej towarzyszce. Co chwilę popadał w głęboką zadumę, z której wyrwał go jej głos. Wreszcie Ruth spytała:

- Co się z tobą dzieje, darling? Wcale nie słuchasz, co do ciebie mówię.

- Ależ słucham, kochanie. Wszystko słyszę.

- Co ci jest? Powiedz. Taki jesteś dziwny.

- Nie wiem. Tak jakoś. Może jestem trochę zdenerwowany.

214

- Boisz się tego Egiptu?

- No wiesz... zawsze to jest poważne przedsięwzięcie. Przytuliła się mocno do jego ramienia.

- Dasz sobie radę, najdroższy. Ja ci pomogę. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

- Miejmy nadzieję.

- Wiesz co? Chodźmy do kina. Chcesz? Rozerwiesz się trochę. Nie będziesz taki smutny. Pójdziemy na jakąś wesołą komedię.

Ogromna twarz Fernandezego śmiała się do nich z kolorowego afisza.

Seans już się zaczął. Kiedy usiedli w ciemnej sali, przywarła mocno ustami do jego dłoni.

- Kocham cię, bardzo cię kocham - szepnęła.

Po kinie zjedli kolację w tej samej restauracji i poszli spać. Zajmowali dwa oddzielne pokoje. Była to sugestia pułkownika Sibla.

W nocy wiatr rozpedził mgłę i dzień wstał jasny. Poprzez postrzępione chmury przebłyskiwały nawet kawały niebieskiego nieba.

Stasiak wstał w lepszym nastroju, a Ruth starała się ten jego nastrój podtrzymać. Mówiła dużo, z ożywieniem, śmiała się i żartowała. Była podniecona. Miała już Reisefieber.

Po południu przenieśli się z hotelu na statek. Stasiak zauważył w porcie polskich marynarzy. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Roztasowali się w swych kabinach, a wieczorem poszli na kolację do jakiejś portowej tawerny pełnej marynarzy z całego świata. W kłębach tytoniowego dymu połyskiwały czerwone, podniecone alkoholem twarze. Na niewielkim podwyższeniu stała dziewczyna w krótkiej czarnej spódnicy i kolorowej bluzce. Schrypniętym, niskim głosem śpiewała melancholijną piosenkę. Wtórował jej na harmonii barczysty mężczyzna o szerokiej, pokrytej krostami twarzy. W kącie mięsistych warg przyklejony miał niedopałek papierosa.

- Nie boisz się, że się tu udusisz? - skrzywił się Stasiak.

- Tu jest wspaniale! - zawołała rozentuzjasmowana Ruth. Właściciel knajpyjuż ich dojrzał i w podskokach biegł powitać rzadko spotykanych w jego lokalu gości.

215

- Bitte sehr, bitte sehr- powtarzał z uśmiechem, wycierając zachlapany piwem stolik.

Ruth zamówiła wódkę, chleb i wędzone ryby. Pociągnęła Stasiaka za rękę.

- Siadaj, kochanie. No, zobacz tylko jak tu wspaniale. Co za typy. Jestem zachwycona tą spelunką.

- Nie boisz się jakiejś awantury? W takim towarzystwie o to nietrudno.

Zaśmiała się wesoło.

- Z tobą miałabym się bać? Przecież ty z nimi wszystkimi dałbyś sobie radę.

Ta jej ufność w jego siłę pochlebiała mu. Rozchmurzył się.

- No, to pijemy dzisiaj za powodzenie naszej wyprawy. I żegnamy stały ląd. Jutro już będziemy na pełnym morzu.

Pocałowała go w usta.

- I love you, I love you, my darling.

Oczy jej błyszczały. Sięgnęła po butelkę i znowu napełniła kieliszki.

- Ostrożnie - powiedział Stasiak. - Upijesz się. Za ostre tempo.

- No to co, że się upiję. Właśnie że chcę się dzisiaj upić. Adieu, Vaterland. Żegnaj, kochana ojczyzno! Wyruszamy na zdobycie piramid.

Wypiła i nalała znowu. Już nie protestował. Orkiestra złożona z pięciu ponurych drabów zaczęła grać fokstrota.



- Chodź tańczyć.

Poszedł za nią niechętnie. Wmieszali się w podrygujący tłum, cuchnący tanim tytoniem i mdłymi wzywami alkoholu. Ruth była pijana i spocona. Tuliła się do niego. Nie sprawiało mu to przyjemności.

Po skończonym tańcu wrócili do stolika i znowu zabrali się do wódki. Tym razem Stasiak zaczął dolewać.

Około północy Ruth ledwo trzymała się na nogach.

- Nie myśl - powiedziała bełkotliwie - nie myśl, że jestem pijaczka. Nie myśl tak o mnie, darling. - Czknęła głośno i objęła go za szyję. - Ale widzisz... widzisz... ja... ja już dłużej tak nie mogę. Mam dosyć tego parszywego życia, dosyć... dosyć... dosyć... - Umilkła i teraz wpatrywała się w stolik. - Uciekajmy!

216

Uciekajmy! - krzyknęła nagle. - Słuchaj, słuchaj... Uciekniemy razem do Ameryki. Nikt nas tam nie znajdzie. Zmienimy nazwiska. Wszystko będzie inaczej. Nareszcie... nareszcie... będę wolna... wolna... Czy ty rozumiesz, co to znaczy wolność?! - Mówiła prędko, gorączkowo, szarpiąc go za rękę.

- Dobra, dobra - powiedział Stasiak. - Pogadamy o tym wszystkim. Na razie chodź spać. - Zapłacił i z trudem wyprowadził kompletnie pijaną Ruth na ulicę. Świeże powietrze rozebrało ją do reszty. Zwiśla mu na ramieniu. Zawołał taksówkę i siłą wepchnął ją do wozu.

Kiedy przyjechali do portu, musiał prosić dyżurnego marynarza o pomoc. Była zupełnie bezwładna. We dwóch wnieśli ją do kajuty.

Spała twardym, pijackim snem kilka godzin. Obudziła się około szóstej. Czuła się fatalnie. Stasiak troskliwie położył jej na głowę zimny okład.

- No jak tam, kochanie? Lepiej ci? Jęknęła i usiadła na pościeli.

- Och, jakja się okropnie czuję. Niedobrze mi. Duszno. Duszę się. Muszę wyjść na powietrze.

- No to chodź.

Pomógł jej się ubrać i wyprowadził na pokład.

- Prędko odpływamy? - spytała.

- Za godzinę.

- To zdążymy jeszcze przejść się trochę po molo. Chodź. Po trapie zeszli na dół.

- Niech się państwo nie spóźnią! - krzyknął za nimi marynarz. - Odpływamy punktualnie o siódmej.

Chłodne powietrze mglistego poranku szybko doprowadzało Ruth do przytomności. Krok miała pewniejszy, bardziej elastyczny. Nie wisała już bezwładnie na ramieniu Stasiaka.

- Znowu się urzęnęłam - mruknęła z niezadowoleniem. - Prosiłam cię przecież, żebyś mi nie pozwalał tyle pić.

Wzruszył ramionami.

- Sama chciałaś. Nie jesteś w końcu małym dzieckiem.

- Ale ty powinieneś trochę na mnie uważać i nie pozwalać mi. Czasami mnie coś tak napadnie. A później mi

wstyd. Przysięgam ci, że to się już nigdy więcej nie powtórzy.

217

- Dobrze, dobrze. Nie mówmy już na ten temat. Wracajmy na statek.

W tej chwili otoczyło ich kilku rosyjskich marynarzy. Jeden bezczelnie zajrzał Stasiakowi w twarz.

- Jeżeli się nie mylę, to kapitan Stasiak? - powiedział drwiąco.

- Was wollen Sie? - zachnął się Stasiak i chciał go wyminąć.

- Chwileczkę, panie Stasiak. Nie tak ostro. Mamy czas.

- Raus!

- Brać tego łobuza! - krzyknął ktoś z tyłu.

Stasiak szarpnął się rozpaczliwie. Muskularne ręce trzymały go mocno.

- Uciekaj, Ruth! Uciekaj!

Przerażona Ruth poczęła ze wszystkich sił biec wzdłuż mola.

- Hilfe! Hilfe! Polizei! Polizei!

11

Mrok gęstniał. Od rzeki szły ciężkie, kudłate chmury. Niewyraźne kształty drzew wtapiały się coraz bardziej w ciemną ścianę lasu. W powietrzu czuć było wilgoć i ostrą woń gnijących roślin.

Niespokojnie spojrzała ku oknu.

- Gdzie on tak długo siedzi? - powiedziała zatroskana. - Dołóż no trochę do pieca.

Dziewczyna przeciągnęła się leniwie i otworzyła żelazne drzwiczki. Żar rozpalonych głowni buchnął na izbę. W czerwonym blasku jej duże, pucołowate policzki błyszcząły jak pomalowane olejną farbą. Wsunęła w ogień trzy polana.

- Spać mi się chce - ziewnęła. - Czy muszę czekać? Stara spojrzała na nią prosząco.

- Posiedź jeszcze chwilę. Czegoś mi dzisiaj straszno. Nie chcę być sama.

- Niech sobie mama nie uraja byle czego.

- Słyszysz jaki wiatr?

- Słyszę. No i co z tego?

- W taką noc Wołodia się powiesił. Pamiętasz?

- Co mam nie pamiętać. Dobrze zrobił. Mieli go ubowcy rozwalić, to lepiej, że sam ze sobą skończył.

Mówiłam mu, żeby uciekał. Po zabiciu Świerczewskiego było wiadomo, że ich rozbiją. Tyle wojska nastali, że...

- Oj, tak, tak, ciężkie czasy. Człowiek dnia ani godziny niepewny. Ostatnio ciągle drzę, że coś się stanie. Taki

mnie lęk ogarnia, że spać po nocach nie mogę. Niech tylko pies zaszczeka, to już mi się zdaje, że idą, że po nas idą...

- Niech mama da spokój. Kto ma tu przyjść? Tyle lat siedzimy w tej dziurze i dalej będziemy siedzieć. Nie ma się co straszyć.

- Żeby chociaż Kola i Sasza byli z nami.

219

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Muszą przecież coś robić. Nie możemy wszyscy na kupie tu siedzieć. Dwóch takich młodych, zdrowych chłopów. To by dopiero mogło zwrócić uwagę.

- Pewnie, pewnie. Masz rację, detyno.

Za oknem rozległy się ciężkie, człapiące kroki.

- O, słyszy mama? Ojciec wraca.

Drzwi się otworzyły. Powiało wilgotnym chłodem.

- Chwała Bogu, że jesteś. Niepokoiliam się.

- Nie było czego - mruknął Wasilczuk. - Musiałem załatwić. To kawał drogi. A już nie mam dwudziestu lat.

- A bo dałbyś sobie raz z tym wszystkim spokój. Za stary już jesteś. Zostaw to. I bez tego damy sobie radę. Chłopaki coś przyślą, trochę dorobimy. Jakoś to będzie.

Wasilczuk cisnął w kąt czapkę i usiadł przy stole.

- Potem o tym pogadamy. Na razie dawajcie jeść. Głodnym.

- Zaraz, zaraz. Kolacja ciepła. Cały czas trzymamy na ogniu. Może ci jaja usmażyć?

- A co masz?

- Kapuśniak z kartoflami i kluski.

- No to rób jajecznicę do tych klusek.

Wasilczukowa zakrzętnęła się koło komina. Tania ziewnęła głośno. Powiedziała:

- Mamo, to może ja już pójde spać.

- A idź, idź, ty śpiochu. Skaranie boskie z tą dziewczyną, nic tylko by spała.

- A co mam robić? Przecie noc.

- Noc czy dzień ty zawsze chodzisz śpiąca. No idź już, idź. Tania wzruszyła ramionami i wyszła, kołysząc się lekko

w biodrach.

- Trzeba jej chłopca - powiedziała Wasilczukowa. - Ale gdzie tu na tym odludziu szukać męża? Przecie nie

wydam jej za któregoś z tych żołdatów.

Usiadła po drugiej stronie stołu i patrzyła na starego. Przez chwilę słychać było tylko siorbanie gorącego kapuśniaku.

Zaszczekał pies. Najpierw niechętnie, ospale, później coraz głośniejsze, natarczywiej. Wreszcie poszczekiwanie przeszło w gwałtowne gorączkowe ujadanie.

220

Oboje podnieśli głowy i spojrzeli ku oknu. Łyżka z kapuśniakiem zawisła w powietrzu.

- Kto to może być o tej porze?

Wasilczuk otarł wąsy i sięgnął po dubeltówkę. W tej chwili drzwi się z hałasem otworzyły i do izby wpadł rostry mężczyzna z pistoletem w ręku.

- Stać! Ręce do góry!

Cofnęli się przerażeni, spełniając bez słowa rozkaz. Patrzyli na niego szeroko otwartymi oczami.

Twarz miał wpadniętą, bladą, pokrytą gęstym, kilkudniowym zarostem. Rozbiegane oczy błyszczały gorączkowo. Zniszczone, uwalane w błocie ubranie świadczyło o tym, że jego właściciel od bardzo dawna się nie rozbierał. Brudna, flanelowa koszula odsłaniała owłosioną pierś. Buty miał podarte i zabłocone.

Zatrzasnął drzwi, podszedł bliżej i wyjął strzelbę z rąk osłupiałego Wasilczuka. Ciągle trzymał gotowy do strzału pistolet.

- Jestem głodny - powiedział schrypniętym głosem.

Wasilczukowa skwapliwie wskazała garnek z kapuśniakiem.

- Zaraz panu naleję, ukroję chleba. Czy mogę opuścić ręce? Wsunął pistolet do kieszeni.

- Siadajcie. Tylko żadnych kawałów, bo was tu powystrzelam. Ja nie żartuję.

- My też wcale nie myślimy, żeby pan żartował - uśmiechnęła się niewyraźnie Wasilczukowa. - Ani nam to w głowie. Zaraz panu naleję kapuśniaku. O, proszę bardzo. Smaczny, na wędzonce. Proszę łyżkę.

Włóczęga usiadł i zabrał się łapczywie do jedzenia. Prawą rękę trzymał w kieszeni i nie spuszczał ich z oczu ani na chwilę. Widać było, że jest bardzo wygłodzony.

Wasilczuk, który już ochłonął z pierwszego wrażenia, skończył jeść swój kapuśniak i spytał:

- Coś ty za jeden?

Tamten rzucił mu szybkie spojrzenie.

- Nic ci do tego.

- Z Niemiec idziesz?

- Powiedziałem już, że nic ci do tego. Przyszedłem tu coś zjeść i przespać się. Jestem głodny i zmęczony. Cztery dni nie jadłem i cztery noce nie spałem. Nie zrobię wam nic złego. Mo-

żęcie się mnie nie bać. Nie radzę wam tylko żadnych kombinacji. Żadnych kombinacji, rozumiecie?!! - wrzasnął nagle z całych sił i wyszarpnął z kieszeni pistolet. - Bo powystrzelam! Powystrzelam jak psy!!

Wasilczuk wzruszył ramionami.

- Schowaj tę pukawkę. Kto tu myśli o jakichś kombinacjach? Jesteś głodny, no to dostaniesz jeść. A chcesz spać, to możesz iść spać do szopy, na siano... Nikt cię tu nie myśli krzywdzić.

Obdartus dyszał ciężko z podniecenia. Uspokajał się z wolna. Wyjął z kieszeni gruby plik pięćsetek.

- Mam pieniądze. Widzicie? Mam dużo pieniędzy. Zapłacę. Za wszystko dobrze zapłacę. Zarobicie na mnie kupę forsy. Tylko pozwólcie mi trochę odpocząć, pozwólcie mi odpocząć.

- My tam nie lecimy na pańskie pieniądze - mruknęła Wasilczukowa. - Głodnego nakarmimy. Strudzonemu pozwolimy się wyspać. Jak Pan Bóg przykazał. My skromni, spokojni ludzie. Nie trzeba nam bogactw.

Ale staremu oczy rozbłyły. Był pewien, że w tej paczce musi być co najmniej pół miliona złotych. Niezła forsa. Z takimi pieniędzmi to już można by coś zrobić, ruszyć się z tej dziury, zacząć inaczej żyć.

- Możesz wypoczywać, ile ci się żywnie podoba - powiedział przyjaźnie. - Miejsca jest dosyć, a i jeść się coś znajdzie. Jakże mam właściwie do ciebie mówić?

- Możecie mnie nazywać Zenonem. Zenkiem. Nazwiska wam nie powiem.

- Bo i nie potrzeba. Co nas to obchodzi. A dokumenty jakie posiadasz?

- Żadnych.

Wasilczuk pokręcił głową zafrasowany.

- To niedobrze, to bardzo niedobrze. Bez dokumentów nie można się tu ruszyć. Teren przygraniczny. Zaraz by cię wzięli. A wyglądasz tak, że by cię chyba prędko nie puścili. Trzeba będzie podumać o jakichś papierach dla ciebie.

- Pozwolicie mi u siebie zostać przez parę dni?

- A dlaczegoż by nie? Tutaj będziesz bezpieczny.

Nagle Zenon poderwał się i błyskawicznym ruchem wyrwał pistolet z kieszeni.

- Ktoś tam jest - powiedział, wskazując sąsiednią izbę.

- A pewnie, że jest. -Kto?

- Nasza córka, Tania.

Nie wierzył. Z pistoletem w ręku podkradł się cicho do drzwi i otworzył je silnym kopnięciem.

Pod ścianą w długiej, płóciennej koszuli stała Tania i szeroko otwartymi z przerażenia oczami wpatrywała się w napastnika.

- Niech mnie pan nie zabija! Niech mnie nie zabija! - prosiła.

Pchnął ją w kierunku łóżka.

- Idź spać, głupia, nikt cię nie ma zamiaru zabijać. Wrócił do stołu i kończył jeść kapuśniak. Wasilczukowa wybijała na patelnię jaja.

- Przestraszył pan dziewczynę - powiedziała z niezadowoleniem.

W uśmiechu odsłonił białe, ostre zęby.

- Strachliwa ta wasza córka, co? Może się mnie nie bać. Ja tam na nią nie polecę. Spokojna głowa.

Odstawił talerz po kapuśniaku i zabrał się do jajecznicy.

- A może byś kropnął sobie kielicha? - zaproponował Wasilczuk.

Potrząsnął głową.

- Nie, dziękuję. Chętnie bym wypił, ale za bardzo jestem zmęczony. Od razu bym się wlał. Tego mi nie wolno zrobić.

- Nie ufasz nam?

- A dlaczego niby mam ufać? Dajecie mi jeść, bo mam w kieszeniach dwa nabite gnaty i kilka pełnych magazynków, pozwolicie mi się przespać, bo mam harmonię pięćsetek i chętnie weźmiecie ode mnie parę takich papierków. Co tu gadać o zaufaniu?

Wasilczuk wyjął pudełko z tytoniem, skręcił grubego papierosa i końcem języka zwilżył bibułkę.

- Nieźleś się gdzie obłowił. Gadaj, jak to było. Możesz mówić śmiało. Nikt cię tu nie sypnie.

Człowiek, który kazał się nazywać Zenonem, przysunął się blisko do mówiącego i wsunął rękę do kieszeni, przez którą rysował się wyraźnie masywny kształt ciężkiego pistoletu.

223

- Słuchaj no, stary - powiedział z naciskiem, zniżając głos prawie do szeptu. - Ty mi się do moich spraw nie wtrącaj i nie próbuj mnie wypytywać. Zrozumiano? Będę siedział u ciebie, ile mi się będzie podobać. Zapłacę dobrze. Radzę ci też nie myśleć o żadnych kombinacjach. Bo albo cię kropnę, albo wysypię cię przed tymi żołdatami z WOP.

- Cóż ty mnie możesz wysypać? - wzruszył ramionami Wasilczuk. - Ja tam nic nie mam na sumieniu. Pracuję uczciwie. Jestem tu gajowym. Wszyscy mnie znają. Mam dobrą opinię.

Zenon parsknął krótkim, nieprzyjemnym śmiechem.

- Bajki to możesz opowiadać swojej babci, a nie mnie. Jeżeli myślisz, że ja uwierzę w to, że ty tu nad samą granicą grzecznie sobie siedzisz i ryby w Odrze łowisz, to się grubo mylisz. Owszem łowisz ryby w mętnej, i to w bardzo mętnej wodzie. A że cię tu znają z dobrej strony, to cię mogą poznać z tej drugiej, trochę gorszej. Nie wiem, z jakimi frajerami miałeś w życiu do czynienia, ale mogę cię zapewnić, że ja nie z tych, co to wierzą w bajki.

Wasilczuk patrzył na niego osowiałym wzrokiem. Długą chwilę milczał, ćmiąc papierosa. Wreszcie spytał

wolno, jakby się ociągając.

- Czego ty właściwie chcesz ode mnie?

- Żebyś mnie przerzucił przez granicę. Dobrze zapłacę. Widziałeś, że mam czym. Ja tu dłużej nie mogę siedzieć. Muszę pryskać. Rozumiesz? Przeczekam, aż trochę ucichnie, i noga. Ty mi pomożesz. Chciałbym też coś kupić za tę forszę. Nie ma sensu tyle złotych do Niemiec taszczyć.

Wasilczuk nic nie odpowiedział. Był chmurny i zamyślony. Podniósł się ociężale ze swego miejsca i powiedział do żony:

- Matka, a daj no naszemu gościowi poduszkę i baranicę. Noce już chłodne. Mógłby zmarznąć w szopie. No to idziemy. Pokażę ci, gdzie będziesz spał. Tylko nie pal i nie zaprósz mi ognia.

- Nie ma obawy.

Poszli do szopy i stary pomógł ułożyć poślanie. Łakomie popatrywał na kieszeń Zenona wypchaną pięćsetkami. Myślał zapewne o tym, że człowiek tak zmęczony będzie spał jak kamień.

Zmęczony człowiek miał widocznie bardzo podobne myśli,

224

bo gdy Wasilczuk oddalił się, życząc mu dobrej nocy, wyszedł cicho z szopy, znalazł na podwórzu stare, dziurawe wiadro i trochę zardzewiałego żelastwa, a następnie z sąga drzewa wyciągnął trzy polana i kilka drobniejszych gałęzi. Ze wszystkim tym wrócił do swej kwatery, zamknął starannie drzwi i ustawił na nich coś w rodzaju wątłej barykady w ten sposób, że gdyby ktoś próbował dostać się do wnętrza, wszystko to zwałoby się natychmiast z ogłuszającym hałasem. Tak zabezpieczywszy się przed ewentualnymi niespodziankami, zdjął buty i wyciągnąwszy się na sianie, przykrył się baranicą, od której szedł mocny zapach źle wyprawionej skóry.

Przez następnych kilka dni Downar wypoczywał w chacie Wasilczuka. Ogolił się, wyczyścił i odprasował ubranie, wyprał koszulę, słowem doprowadził się do jakiego takiego wyglądu. Potrawy przyrządzane przez starą Wasilczukową i jej córkę niezbyt mu smakowały, ale nie miał innego wyboru. Jadł więc barszcz małosyjski, pierogi z razowej mąki nadziewane fasolą tartą z makiem, pierogi z serem i kartoflami, prażoną mąkę polewaną suto roztopioną słoniną, pampuszki i temu podobne przysmaki, które nieraz wprawiały go w zakłopotanie. Musiał udawać, że mu to wszystko ogromnie smakuje, ponieważ obie kobiety obserwowały go bacznie przy jedzeniu, nakładając mu potężne porcje na talerz. Nic więc dziwnego, że już po tygodniu przytył i że wypełniły mu się zapadnięte policzki.

Początkowo rodzina Wasilczuków patrzyła na niego nieufnie i nieomal bez przerwy czuła na sobie czyjeś badawcze, podejrzliwe spojrzenie. Nie podejmował też absolutnie żadnej akcji, o nic nie pytał, okazywał całkowity brak zainteresowania dla spraw, które właśnie mogłyby go interesować. Rąbał drzewo, nosił wodę, pomagał w gospodarstwie. Powoli zaczęto go uważać za swojego człowieka i przestano wreszcie zwracać na niego uwagę. Stał się jednym z domowników. Starzy go nawet polubili, bo był uczynny, wesoły i chętny do roboty. Tania spoglądała na niego coraz bardziej rozmarzonymi oczami. Trochę go to niepokoiło. Bał się jakichś niepotrzebnych komplikacji. Dziewczyna żyjąca w zupełnym odosobnieniu na tym odludziu mogła stać się niebezpieczna.

Któregoś poranku zbudziły go podniesione głosy kobiet.

Przetarł oczy i przysunął się po sianie do ściany szopy. Przez szeroką szparę w deskach zobaczył matkę i córkę kłócące się przy studni.

- A ja ci mówię - krzyczała stara Wasilczukowa - żebyś do niego tak nie przewracała gałami. Chłop jest zawsze chłopem. Zrobi swoje i pójdzie w czorty, a ty się z dzieckiem zostaniesz. I kto cię wtedy weźmie?

- Niech mi mama da spokój - powiedziała czerwona z gniewu dziewczyna. - Co to ja nie wiem, czy jak? Mamie się zdaje, że ja zawsze mam dziesięć lat.

- Rób, jak uważasz. Jak się sama nie upilnujesz, to ja cię nie upilnuję. Ale żebyś potem nie żałowała.

- Co mama chce ode mnie? Co to ja lize do niego na siano, czyjak? A zresztą przecie on tu nie będzie wiekował. Pójdzie do Niemiec i tyle go będziemy widzieli.

- Oj, żeby to się jak najprędzej stało - westchnęła Wasilczukowa.

Downar zsunął się na dół po sianie. Zeskakując na klepisko, poczuł pod nogami miękki grunt. To go zdziwiło. Klepisko było twarde, mocno ubite. A pod samą ścianą... Pod samą ścianą ziemia była niedawno poruszona. Ktoś tu musiał kopać. Należało to zbadać.

Zaczekał do wieczora. Kiedy w chacie zgasło światło, wyszedł ostrożnie z szopy i z małej komórki przyniósł najostrzejszą łopatę. Wrócił i ostrożnie, bardzo ostrożnie zaczął kopać, przyświecając sobie latarką. Kopał dość długo. Wreszcie na prawie metrowej głębokości łopata szcęknęła o metal. Wsunął rękę i wyjął żelazną puszkę. Otworzył ją bez trudu. W grubą, przesyconą tłuszczem szmatę owinięty był ciężki rewolwer bębnekowy dużego kalibru. Obejrzał go uważnie, wytarł chustką z oliwy i wsunął do kieszeni.

Następnie wrzucił do puszek kilka kamieni i zakopał ją w tym samym miejscu, zacierając starannie wszystkie ślady. Skończywszy z tą robotą, otrzepał ubranie i wdrapał się na górę, na siano.

Leżąc z podłożonymi pod głowę rękami, patrzył w ciemność. Niepokojne, gorączkowe myśli nie dawały mu zasnąć. Co chwila miał ochotę zerwać się z postania i jechać do Warsza-

wy, żeby sprawdzić swoje domysły, które właściwie były dość fantastyczne. Jak wykazała ekspertyza pocisków, Borecki i Anna zostali zabici z tego samego rewolweru kalibru jedenaście milimetrów. Że morderca strzelał z broni bębnekowej, potwierdzał to jeszcze fakt, iż w obydwóch wypadkach nie znaleziono łuski. Do Anny strzelał z tego rewolweru i z pistoletu Szymańskiego kalibru siedem sześćdziesiąt dwa. Dlaczego użył i rewolweru, i pistoletu? Trudno było odgadnąć. Być może, że w ten bardzo prymitywny zresztą sposób chciał rzucić podejrzenie na Szymańskiego. Wykopany w tej budzie rewolwer to austriacki jede-nastomilimetrowy gasser. Ciekawe byłoby sprawdzić, czy Borecki i Anna nie zginęli właśnie z tego rewolweru. Ale kto mógł być mordercą? Stary Wasilczuk? Wykluczone. On był dobry do przerzucania ludzi przez granicę, ale nie do takiej roboty. Po lesie poruszał się swobodnie. W Warszawie zgubiłby się i straciłby głowę. Nie, nie, to nie miało sensu.

Sen nie przychodził. Zeskoczył na klepisko i wyszedł przed szopę. Sięgnął po papierosy. Bał się palić na suchym sianie. Spodziewał się tutaj znaleźć jakiś trop Stasiaka. Zupełnie przypadkowo wykopał ten rewolwer, który skierował jego myśli w inną stronę. Już teraz wiedział, że stary Wasilczuk przeprawia ludzi przez Odrę. A jeżeli trudni się tym zawodowo, to z łatwością może mieć jakieś powiązanie z organizacją



szpiegowską. Któryś z bandy mógł zakopać u niego ten kompromitujący rewolwer, licząc na to, że kiedyś jeszcze się przyda. Rozumowanie było ostatecznie prawdopodobne, chociaż niezbyt przekonujące.

Downar skończył papierosa i wrócił na siano.

Przy śniadaniu Wasilczuk stwierdził:

- Będziesz musiał jeszcze zaczekać kilka dni.

- A bo co?

- Bo przygotowują dla ciebie dokumenty, kosztować będą pięć patyków.

- Mniejsza o to. Niech kosztują. A jak z przerzutem? Stary poskrobał się za uchem. Właściwie pozbył się już wszystkich obaw i podejrzeń co do tego faceta, ale ciągle jeszcze trudno mu było się zdecydować.

- To ty naprawdę chcesz iść na tamtą stronę?

- No pewnie. A co tu wysiedzę? Mam już dosyć.

227

- Tak ci tu u nas źle?

- Źle nie jest. Ale trzeba się do czegoś zabrać. Nie mogę przecież całe życie leżeć na tym sianie.

Wasilczuk umoczył chleb w gorącym mleku i dmuchnął, wydymając wargi.

- No dobrze. A ile byś chciał za to dać?

- Boja wiem. Dam pięćdziesiątaka.

- Hm. No to pomyślimy o tym. Ale czy tak, czy owak, musimy poczekać na twoje dokumenty. W Berlinie Zachodnim także będą chcieli obejrzeć jakieś papiery. Tak bez niczego nie możesz się ruszyć.

- A długo to jeszcze może potrwać?

- Myślę, że nie dłużej jak jakiś tydzień.

- Dobra. Tylko ich tam trochę poganiaj.

- Dobra, dobra. Każdemu się śpieszy zarobić parę złotych.

- Oprócz forsy mam trochę ładnych kamyków - powiedział Downar. - Starczy na wszystko.

Od tej rozmowy upłynęło parę dni. Wczesnym rankiem stary poszedł do lasu. Wasilczukowa krzątała się po kuchni, a Downar z Tanią piłowali drzewo. Powietrze było chłodne i rześkie.

- Zdałby się wam jakiś młody chłop w chałupie - powiedział Downar. - Dlaczego nie wychodzisz za mąż?

Wzruszyła ramionami i rękawem koszuli otarła pot z czoła.

- A za kogo nam wyjść za mąż? Może za ciebie?

- Eee, za mnie to nie. Ja niedługo stąd pryskam. Westchnęła ciężko i znowu chwyciła piłę.

- Smutno tu będzie bez ciebie.
- Nie żartuj.
- Naprawdę. Bardzo smutno.

Pociągnęła nosem i energicznie zabrała się do piłowania.

Downar przyglądał się jej spod oka. Do tej pory nie odważył się wypytywać Wasilczuków o stosunki rodzinne. Zdecydował, że teraz nadeszła odpowiednia chwila.

- Starzy już coraz słabsi. Starzeją się. Cóż to, nie masz siostry czy brata, żeby ci trochę w gospodarstwie pomogli? Przecie by tu można jaką hodowlę założyć, kilka świń utuczyć. Nie ma tylko komu robić.

- A bo to raz mówiłam Koli, żeby tu przyszedł gospodaro-

228

wać. Ale gdzie tam. Woli siedzieć w tej fabryce, bo do Szczecina niedaleko.

- A ten Kola to kto? Twój brat?

- Pewnie że brat. Pracuje pod Szczecinem w fabryce obrabiarek. Zarabia nawet nieźle.

- I często go widzisz?

- Gdzie tam. Bardzo rzadko. Był tu kilka tygodni temu. Ale normalnie widuję go raz na pół roku, a nawet rzadziej.

- Masz tylko jednego brata?

- Dwóch. Sasza mieszka we Wrocławiu.

- A ty do nich nie jeździsz?

- Skądże. A kto by się tu gospodarką zajął? Mama sama nie da rady. Narzeka na nogi.

- Pewnie reumatyzm. Wilgotna tu trochę okolica. -Jeszcze jak. Bagna dookoła.

Umilkli i piłowali drzewo. Wreszcie Tania puściła piłę i odgarnęła spadające jej na oczy włosy.

- Zmęczyłam się. Mam dosyć. Starczy ci na razie do rąbania. Downar splunął w dłonie i chwycił ciężką siekierę stojącą

pod płotem.

Od tego dnia postanowił działać energiczniej. Czekał tylko sposobnej chwili, aby przeprowadzić w chacie Wasilczuków dyskretną rewizję i zdobyć możliwie jak najwięcej materiału. Od razu skojarzył sobie z całą sprawą tego młodego Kola Wa-silczuka z fabryki obrabiarek pod Szczecinem. Przecież Stasiak razem z Boreckim prowadzili śledztwo związane z działalnością bandy rabunkowej grasującej na terenie województwa szczecińskiego. Kto wie, czy brat Tani nie brał udziału w tym wszystkim. A może to właśnie on zakopał rewolwer w szopie? Trzeba było to zbadać, i to możliwie jak najprędzej.

Wasilczukowa zachorowała. Przeziębła się, dostała gorączki i leżała w łóżku, narzekając na dreszcze i ból nóg. Tania wsiadła na konia i pojechała do Godkowa po lekarstwa. Stary Wasilczuk miał z kimś umówione

spotkanie i o świcie ruszył do lasu.

Downar miał swobodę działania. Przygrzał chorej mleka i krzątał się po mieszkaniu, przeszukując każdy kąt, każde pudełko, ostukując ściany i podłogi, zajrzał nawet na strych i do piwnicy. Nic jednakże godnego uwagi nie znalazł. Nie mógł

229

oczywiście działać w izbie, w której leżała Wasilczukowa. I tym razem przyszedł mu z pomocą przypadek.

- Panie Zenonie. Jest pan tam?

- Słucham. Czy pani coś trzeba?

- Niech pan będzie taki dobry i poda mi nożyczki. Muszę sobie zadziore uciąć, bo mnie boli.

- A gdzie te nożyczki?

- Może pan tu pozwoli. Znajdzie pan w szafie. Otworzył szafę i zaczął w niej szperać bez przekonania.

- Nigdzie nie widzę nożyczek.

- Powinny tam być przecież - zniecierpliwiła się. - Niech pan dobrze poszuka. W takim żelaznym pudełku.

Żelazne pudełko rzeczywiście stało w szafie. Było duże, wypełnione najrozmaitszymi drobiazgami. Guziki, nici, igły, szpilki, sprzączki i małe, mocno już wysłużone nożyczki. Wyjął je i już miał odstawić na miejsce pudełko, gdy uwagę jego zwrócił mały przedmiot zawinięty w papier. Był to klips, zgrabny, zielony klips. Szybko wsunął go do kieszeni i podał starej nożyczki.

- Dziękuję, panie Zenonie. Bardzo dziękuję.

Downar wrócił do kuchni i usiadłszy koło stołu, wyjął klips i rozwinął go z papieru. Zamyślił się głęboko. To zaczynało być interesujące. Klips, jeden zielony klips zawinięty w kawałek papieru. Hm. Ani stara Wasilczukowa, ani jej córka nie należały do kobiet noszących w uszach klipsy, zielony klips... zielony klips... U kogo on widział zielone klipsy? Ewelina? Nie. Ona nie nosiła klipsów. Przynajmniej nie przy nim. Więc...? Aha... prawda... Przecież Anna Szymańska... No tak, oczywiście. Anna Szymańska nosiła zielone klipsy. Czyżby?... Czyżby jeden z tych klipsów zawędrował aż tutaj? Czyżby Anna odwiedzała Wasilczuków...? Czy to prawdopodobne?

Pogrążony w głębokiej zadumie obracał wolno w palcach zielony klips. Nagle wzrok jego padł na brudny kawałek papieru, który trzymał w drugim ręku. Był zapisany czarnym atramentem. Pojedyncze litery i urywki zdań. Nic z tego nie można było zrozumieć. Rekonstrukcja pierwotnego tekstu była zupełnie niemożliwa. Ale nie to było ważne dla Downara. Miał świetną pamięć wzrokową. Bez trudu poznał charakter pisma Szymańskiego. Pocztał, że krew zaczyna mu żywiej krążyć w żyłach.

230

Nazajutrz lokator Wasilczuków zniknął bez śladu, opuszczając swe wygodne legowisko na sianie. Cała rodzina zachodziła w głowę, co się mogło stać z sympatycznym Zenonem. Stary kręcił głowę z niedowierzaniem. Tania popłakiwała po kątach.

Tymczasem Downar dotarł przez las do placówki WOP, polecił wziąć pod ścisłą obserwację dom Wasilczuków, a następnie wsiadł w samochód i pognął do Warszawy. Wiedział, że nie ma chwili do stracenia

i że każda niepotrzebna zwłoka może grozić porażką.

W Warszawie oddał natychmiast wykopany w szopie rewolwer do zbadania oraz porównał dokładnie pismo Szymańskiego z kartką, w którą był zawinięty zielony klips. Czekał niecierpliwie na wynik analizy. Wreszcie go otrzymał. Jego przypuszczenia okazały się słuszne. Kule, które przyniosły śmierć Boreckiemu i Annie, pochodziły z tego jedenastomilimetrowego gassera. Nie tracąc czasu na żadne rozmowy, wsiadł w samolot i poleciał do Szczecina, gdzie porozumiał się natychmiast z Komendą Wojewódzką i samochodem udał się do fabryki obrabiarek Bodzierzyce.

Dochodziła trzecia, kiedy starszy majster zawołał:

- Wasilczuk!

Szerokie, ciężkie ręce pokryte rudawym włosom zatrzymały się nad maszyną.

- Co się stało?

- Personalny cię wzywa.

- Dobra. Zajdę do niego po robocie.

W sekretariacie dyrektora kadr czekało parę osób. Młoda, gładko uczesana dziewczyna podniosła głowę znad gazety i spojrzała na wchodzącego:

- Wejdźcie. Dyrektor na was czeka. Wasilczuk pchnął drzwi obite skórą.

Za biurkiem siedział szczupły mężczyzna w średnim wieku. Prawie pół drobnej twarzy zajmowały ogromne okulary w grubej, czarnej oprawie.

- Siadajcie, Wasilczuk. Mam z wami do pogadania.

- Czy coś się stało, panie dyrektorze?

- Nie, nie, nic się nie stało. Chciałem was tylko zapytać, czy jesteście zadowoleni z pracy.

231

Wasilczuk spojrzał zdziwiony.

- A dlaczego miałbym nie być zadowolony? - Położył swe duże, muskularne dłonie na lśniącym blacie biurka i patrzył wyczekująco.

- Bo widzicie, jest taka sprawa, że zwrócił się do mnie Michalski, prosząc, żebym was przeniósł do jego brygady. Twierdzi, że potrzebny mu taki człowiek jak wy. Chciałem się więc z wami porozumieć. Co wy o tym myślicie?

- No cóż, panie dyrektorze. Zrobię oczywiście tak, jak pan każe, ale prawdę mówiąc, to wolałbym zostać tam, gdzie jestem. Przyzwyczailem się. Nabrałem wprawy. Robota dobrze mi idzie. Specjalnie nie mam chęci na zmianę. Ale jak koniecznie będzie trzeba...

Dyrektor pokiwał głową.

- Tak, tak, rozumiem. Zastanowię się jeszcze nad tym. Pomówię z Michalskim. Może przerzuciłbym do niego Krzysiaka. Zobaczymy. Na razie dziękuję wam. Ale... ale... Jeszcze jedna sprawa. Przynieście mi dwie

fotografie do legitymacji. Nie zapomnijcie.

- Dobrze, panie dyrektorze. Do widzenia.

- Do widzenia.

Po wyjściu Wasilczuka do gabinetu dyrektora wszedł następny interesant, który jakoby ubiegał się o posadę pracownika umysłowego w fabryce. Był niskiego wzrostu, szczupły. Nosił małe, krótko strzyżone wąsiki, które sterczały mu pod nosem jak dwie czarne szczoteczki do zębów. Wyglądał na typowego urzędnika niższej kategorii.

Przywitał się pośpiesznie i spojrzał pytająco na dyrektora, który ruchem ręki wskazał mu biurko. Wtedy rzekomy kandydat na referenta zaczął się trochę dziwnie zachowywać. Zamiast rozpocząć rozmowę na temat swoich kwalifikacji zawodowych, szybko zdjął z biurka wszystkie stojące na nim przedmioty, wydobyl z teczki jakieś przybory i począł z pedantyczną dokładnością posypywać blat biurka mialkim, bialym proszkiem.

W parę godzin później Downar wiedzial już, że Kola Wasilczuk był mordercą. To jego odciski palców znaleziono na pistolecie Szymańskiego i na poręczy krzesła w mieszkaniu Boreckiego.

232

- Na co czekamy, poruczniku - powiedzial kapitan Kalicz z Komendy Wojewódzkiej. - Musimy natychmiast arestowac tego bandziora.

Downar pokręcił przecząco głową.

- Na arestowanie zawsze jest czas. Nie zapominajcie o tym, że z chwilą arestowania faceta wszystko się kończy, ucina się od razu wszystkie nici. Musimy wyciągnąć z niego, co się da, i dopiero wtedy...

- A jak nam pryśnie...?

- Nasza głowa w tym, żeby nie prysnął. Zresztą wydaje mi się, że nic nie podejrzewa.

- Ten personalny w dechę.

- Tak. Bardzo dobrze z tego wybrnął.

- No więc co proponujecie?

Downar poczęstował kolegów papierosami i pomyślał chwilę.

- Dajcie mi obstawę. Trzech łebskich chłopaków, w cywilnych ubraniach oczywiście, i do niego też przydzielcie paru ludzi. Ani na chwilę nie wolno nam spuszczać go z oka. Robota musi być prowadzona bardzo ostrożnie. Wywiadowców trzeba często zmieniać. Ciągłe muszą być nowe twarze. Inaczej zaraz się kapnie. To cwaniak kuty na cztery nogi. Musicie pilnować i mnie, i jego. Nie wiem, kiedy będę miał możliwość skomunikować się z wami.

- Możecie być spokojni, towarzyszu - powiedział Kalicz. - Załatwimy wszystko na sto dwa.

Nazajutrz po tej rozmowie, kiedy robotnicy wychodzili z fabryki, do Wasilczuka podszedł wysoki mężczyzna w skórzanej, zniszczonej kurtce.

- Czy mogę prosić o ogień?

Wasilczuk przystanął i wyjął z ust papierosa. Tamten powiedział prędkim, nerwowym szeptem:

- Mam wiadomości od starego. Bądź dzisiaj o dziewiątej na placu Batorego, koło PTTK. Sprawa pilna. -  
Przypalił papierosa i oddalił się szybko.

Punktualnie o dziewiątej spotkali się w oznaczonym miejscu. Wasilczuk przyjechał autobusem do Szczecina. Był zdenerwowany. Ciemne, rozbiegane oczy błyszczały niespokojnie.

- O co chodzi? Czegoś chciał ode mnie?

233

Downar spojrzął na niego z ukosa i splunął na jezdnię.

- Smród jak cholera - powiedział półgłosem. - Twojego starego wzięli.

- A ty skąd wiesz? - zapytał podejrzliwie Wasilczuk.

- Bo siedziałem u twoich rodziców ze dwa tygodnie. Melinowałem się u nich.

-No i...?

- No i milicja zrobiła nalot. Przyszli razem z wopistami. Roz-bebeszyli całą chałupę od góry do dołu. Znaleźli nawet twoją spluwę.

-Jaką spluwę? - próbował udawać Wasilczuk.

- Nie zgrywaj się. Po co ci to? Te spluwę, którąś zakopał w szopie pod ścianą.

Oczy Wasilczuka zwięzły się. Spojrzął drwiąco na swego rozmówcę.

- A jak to się stało, że ciebie nie wzięli? - spytał.

- Po prostu zdążyłem uciec do lasu.

- No to skąd wiesz, że tego gnata wykopali?

- Tania mi powiedziała. Także jej się udało uciec. Spotkaliśmy się w lesie. A starych zabrali na posterunek. Nie wiem, co z nimi dalej zrobili.

Wasilczuk ciągle był nieufny.

- Słuchaj no. A może ty mnie bierzesz na kawał, co? Downar wzruszył ramionami.

- Nie chcesz wierzyć, to nie wierz. Twoja rzecz. Przyszedłem cię ostrzec. A ty rób, jak chcesz. Co mi zresztą do tego. Tania prosiła mnie na wszystko, żeby cię odnaleźć i powiedzieć, co się stało. Mówiłem jej, że mi nie uwierzysz. No to dała mi ten drobiazg, żeby ci pokazać, żebyś uwierzył, że to ona mnie do ciebie przysłała.

Wyjął zielony klips i podał go Wasilczukowi.

- A poza tym wydaje mi się, że warto by ostrzec Suchego. Nie wiem tylko, gdzie go szukać.

Kola spojrzął na niego przenikliwie.

- A ty co wiesz o Suchym? Znasz go?

- Jakże go nie mam znać, kiedy to właśnie on mnie wysłał do twoich starych, żebym się tam zamelinował.

- To ciebie milicja gania?

234

- Nie. Tylko tak się trochę bawię z milicjantami w chowanego. Taka gra towarzyska!

- Cóżżeś przeskrobał?

- Właściwie nic. Doszedłem tylko do przekonania, że w Bydgoszczy pewna instytucja państwowa ma za dużo forsy. No, to rozumiesz. Gnata w garść i spełniłem czyn obywatelski.

- I co z tą forszą? - spytał z zainteresowaniem Wasilczuk.

- A co ma być? Już chciałem się dostać do Berlina Zachodniego. No to mnie Suchy posłał do twojego starego: „Ten cię przetrzuci na tamtą stronę fachowo. Możesz być spokojny” - powiedział. Ale się nie udało. Mówi się trudno. Trzeba będzie pokombinować co innego.

Wasilczuk zapalił papierosa i przez dłuższą chwilę patrzył w zamyśleniu przed siebie, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał. Wreszcie powiedział.

- Słuchaj no ty... Jak ci właściwie na imię?

- Zenon.

- No to słuchaj, Zenek. A tej forsy to dużo?

- A ciebie co to obchodzi?

- Nic. Tak pytam. Bo jeżeli parę patyków, to nie ma o czym gadać. A jeżeli trochę więcej, to można coś pokombinować razem. Ja także potrafię cię przetrzucić na tamtą stronę. Nie tylko ojciec.

Downar zsunął beret na tył głowy.

- Mam chyba z pięćset patyków. Nie chciało mi się rachować. A prócz tego trochę ładnych kamieni i złota z pół kilo.

- Fiuuu - gwizdnął przeciągle Kola. - Toć chyba sklep jubilerski obrobił?

- Może i zgadłeś. Ale nie o to chodzi. Powiedz, co z tym Suchym zrobić. Nie można zostawić bez wiadomości. Pojechałbym do niego, tylko nie wiem, gdzie go teraz szukać.

- Ty się do tego nie wtrącaj - mruknął Wasilczuk. - Ja to sam załatwię. Suchego trzeba ostrzec, bo gotów kogoś do ojca wysłać na przerzut.

- No, to jak zrobimy? - spytał Downar.

- Chodź, Zenuś. Wstąpimy gdzie na kielicha. Pogadamy. Chciałbym rzucić okiem na tę twoją forszę. Chodź. Znam tu taką jedną zaciszną knajpę, gdzie nam nikt nie przeszkodzi.

235

Buchnęło na nich gorącym i wódką. Duża sala zasnuta szarą mgłą dymu robiła wrażenie raczej łaźni parowej aniżeli restauracji. Poprzez nikotynową zasłonę z trudem przedzierało się wątłe światło żarówek. Powietrze

przesycone alkoholowymi oparami i ostrą wonią taniego tytoniu było lepkie od ludzkiego potu. Przy ciężkich, masywnych stolikach zachlapanych piwem i wódką siedzieli marynarze, robotnicy portowi, sutene-rzy, złodzieje i wszelkiego rodzaju podejrzane typy. Jaskrawo umalowane dziewczęta, zalotne i wyzywające, kręciły się w poszukiwaniu klientów.

Właśnie dwóch drabów wynosiło pijanego do nieprzytomności kompana.

- Chodź, zwolnił się stolik - powiedział Wasilczuk, pociągając za sobą Downara.

Usiedli pod ścianą, niedaleko drzwi prowadzących do kuchni. Od razu podszedł do nich barczysty kelner, którego czerwona twarz błyszczała od potu. Zamówili wódkę i kiełbasę na gorąco.

- No i jak ci się tu podoba? - spytał Wasilczuk.

- Lepsza mordownia - mruknął Downar. - Ale tak zacisznie to tu nie jest.

Kola parsknął śmiechem.

- Faktycznie. Ruch dzisiaj jak cholera. Musiało przyjść parę statków. Widać cudzoziemców.

W tej chwili Downar zobaczył po przeciwległej stronie sali dwóch wywiadowców. Usiedli przy stoliku i kiwnęli na kelnera. Widocznie Wasilczuk zauważył, że coś jest nie w porządku, bo pośpiesznie przełknął duży kęs kiełbasy i pochylając się nad stolikiem, powiedział.

- Te, Zenek. Smród się tu zaczyna robić.

- Że nie pachnie, to fakt - przyznał obojętnie Downar.

- Nie o tym mówię. Glina na sali. Downar poruszył się niespokojnie.

- Nie gadaj.

-Jak pragnę Boga. Znam tu przecie wszystkich tych tajniaków.

- Myślisz, że cię wyniuchali...?

- Zaraz będziemy wiedzieć. Zaczekaj tu chwilę. Przejdę się do toalety. Zaraz wracam. W razie czego pryskaj przez kuchnię. Ale wygląda na to, że oni dopiero zaczynają macać teren.

236

Wstał i począł się przeciskać pomiędzy stolikami. Downar zauważył, że pochylił się nad jakimś drabem i szepnął mu coś do ucha. Tamten, nie odwracając się, kiwnął głową. Nie bardzo mu się to wszystko zaczęło podobać. Wyczuwał intuicyjnie, że Wasilczuk ma ochotę po prostu obrabować go. Dotknął bocznej kieszeni marynarki. Z zadowoleniem wyczuł swego visa. Wiedział, że kula była w lufie.

Wasilczuk wrócił. Nalał wódkę i sięgnął po papierosy.

- Kończ jeść. Splywamy.

W tej chwili od sąsiedniego stolika podniósł się ogromny mężczyzna i podszedł do nich ciężkim, kołyszającym się krokiem. Głowę miał dużą, kwadratową, zupełnie łysą, przyozdobioną paroma porośniętymi rzadką szczecinią guzami. Wąskie, zmrużone oczy wydawały się dziwnie małe na szerokiej sfałdo-wanej twarzy. Stanął i oparłszy długie jak u goryla ręce o blat stolika, począł patrzeć wyzywająco na Downara.



- A ty czego mi się tak przyglądasz? - spytał schrypniętym, przepitym głosem.

Downar wzruszył ramionami.

- Wcale ci się nie przyglądam. Odczep się!

- A ja ci mówię, że ty mi się przyglądasz. Ja bardzo nie lubię, jak mi się kto przygląda. Rozumiesz, gówniarzu? I jak do mnie mówisz, to wstań! A jak nie, to ja cię postawię! Słyszysz, łajzo, ja cię postawię?! - Ryknął tak, że wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Prawą ręką odtrącił stolik, lewą zaś chwycił swą ofiarę za klapy marynarki. Downar, który widocznie uważał towarzyską pogawędkę za skończoną, trzasnął podbródkowym napastnika z taką siłą, że aż rozległ się chrzęst łamanej szczęki.

Wtedy w „zacisznej” knajpcie zawrzało. Poszły w ruch pięści, butelki, krzesła i stoliki. Walono, gdzie popadnie, choć nikt właściwie nie wiedział, kogo bije i dlaczego. Zaciśnięte pięści i czerwone, krwią nabiegłe twarze stłoczyły się wokół Downara i Wasilczuka. Nagle zgasło światło i ciemności zapanowały nad wyjąca salą. Rozległy się przekleństwa i wołania o pomoc. Ktoś strzelił z pistoletu. Ktoś wrzasnął nieludzkim głosem i zaraz umilkł.

Downar poczuł, jak czyjeś mocne ręce popychają go poprzez tłum.

237

- Prędeż, prędeż - przynaglał Wasilczuk.

Przez kuchenne drzwi wydostali się na podwórze. W świetle księżycy widać było stosy butelek, powyginane kształty starego żelastwa i puste skrzynie.

Kola pchnął Downara ku beczce stojącej pod murem.

- Przetóż - warknął niecierpliwie.

Downar usłuchał. Kiedy znalazł się po drugiej stronie, dotknął kieszeni, w której miał pistolet. Była pusta. Nim jednak zdążył pomyśleć o tym, kiedy to się mogło stać, Wasilczuk już był przy nim.

- Biegiem! - skomenderował.

Downar miał wielką ochotę pozbyć się już swego towarzysza i zawrócić w kierunku ulicy. Nie mógł jednak tego zrobić. Nie mógł wypuścić z rąk mordercy.

Pędem minęli jakieś ruiny, opuszczone podwórza, składy bezużytecznie leżącego drzewa i żelastwa. Wreszcie zatrzymali się przed wpadniętą w ziemię rudera, która być może kiedyś służyła jako garaż. Wasilczuk otworzył skrzypiące, zardzewiałe drzwi i wepchnął Downara do środka.

- No, tutaj nas nikt nie znajdzie - powiedział.

Downar przyznał mu w duchu rację, ale nie był zachwycony tym stanem rzeczy. Rozejrzał się.

Przez pozbawione szyby okno wpadał blask księżycy. W tym słabym świetle można było rozróżnić kształt stołu, przy którym stały dwa drewniane taborety. W głębi, pod ścianą leżała słoma wyglądająca jak legowisko.

Downar stanął po drugiej stronie stołu i uważnie obserwował swego towarzysza. Zimne promienie księżycy padały na skupioną, zaciętą twarz młodego Ukraińca. Tak, to była twarz mordercy.

Przez dłuższą chwilę stali naprzeciw siebie czujni, gotowi do skoku. Downar był bezbronny. Nie wiedział, czy tamten ma pistolet.

- No, dalej... pokazuj te swoje skarby - powiedział Wasilczuk.

- A bo co? - spytał Downar.

- Bo chcę zobaczyć. No, ruszaj się.

- Ty mi tu nie rozkazuj.

238

- Ty ścierwo - syknął Wasilczuk. Rozległ się trzask sprężynowego noża.

W tej chwili skrzypaneły drzwi i za plecami Wasilczuka zamajaczyły jakieś dwie postacie.

- To ty, Kola? - spytał nieznany głos. - Jak ci idzie? „Jestem ugotowany - pomyślał Downar. - Trzem nie dam rady." Cofnął się, chwytając mocno taboret.

Rzucili się na niego. Odparował cios. Nóż zgrzytnął po drzewie. Napastnika z prawej strony trzasnął pięścią między oczy. W następnej jednak chwili otrzymał potężne uderzenie w szczękę. Zachwiał się. Poczł smak krwi. Znowu zasłonił się taborem.

Nagle postłyszał głos przy drzwiach:

- Nie daj się, Stefan.

Tak to się wszystko błyskawicznie stało, że nie zdążył się nawet zdziwić. Rozległy się suche uderzenia, stuk padających ciał. Zabłysty latarki. Milicjanci nakładali kajdanki bandytom.

Downar skoczył do swego wybawcy i nagle zaniemówił. Przed nim stał Stasiak i rozcierał sobie kostki u prawej ręki.

- Stasiak! Janek!

- Nie mylisz się. To właśnie ja. Daj pyska. Padli sobie w objęcia.

- Na miły Bóg, skądżeś się tutaj wziął?! Wydaje mi się, że śnię.

-Nie, nie śnisz. Chociaż mało brakowało, a byliby cię uśpili tym majchrem - powiedział wesoło Stasiak, podnosząc nóż z betonowej podłogi.

- Prędeż bym się tu królowej angielskiej spodziewał anizeli ciebie! - zawołał Downar. - Skądżeś się tu wziął?

- Wolnego, wolnego - uśmiechnął się Stasiak. - Chodźmy do wozu. Po drodze pogadamy.

- Dokąd chcesz jechać?

- Do komendy wojewódzkiej oczywiście. Musimy natychmiast przestuchać tych ludzi. Nie mamy czasu do stracenia.

Kiedy siedzieli już w samochodzie, Downar znowu zaczął nalegać.

- No, może mi wreszcie powiesz. Przecież ja od tygodni nic innego nie robię, tylko cię szukam, łączę po bagnach, śpię na sianie, jem mamałygę i temu podobne paskudztwa. Jakżeś mnie tu znalazł?

239

- Zwyczajnie. Byłem w komendzie i właśnie wywiadowcy dali znać, że siedzisz w tej knajpie. Przyjechałem już po awanturze.

- Ale jak żeś tutaj trafił? - niecierpliwiał się Downar.

- Nie zapominaj, że ja przez szereg tygodni pracowałem z Suchym. Znam te wszystkie meliny jak własną kieszeń. Od razu wiedziałem, gdzie cię szukać. Ten garaż to najbliższa meta z tamtej knajpy.

- Ale co się z tobą działo? Gdzie byłeś tyle czasu?

- Podróżowałem trochę - uśmiechnął się Stasiak. - Siedziałem w Berlinie Zachodnim. Miałem jechać do Egiptu, ale w Hamburgu udało mi się wsiąść na nasz statek i wróciłem do kraju.

- Niewiele z tego wszystkiego rozumiem - powiedział Downar.

- Bo to długa i dosyć skomplikowana historia. Trudno to w paru słowach opowiedzieć.

- Dawno wróciłeś z Berlina?

-Już kilka dni kręcę się po terenie.

- Czy wiesz, że Anna nie żyje?

- Tak. Kontaktowałem się z Konarzem.

- To ten Wasilczuk zabił Boreckiego i Annę. Znalazłem rewolwer, z którego strzelał. Zostawił odciski palców w mieszkaniu Boreckiego i na pistolecie Szymańskiego.

- Znam tego bandziora - powiedział Stasiak. - To z grupy Suchego. Występował pod pseudonimem Roman. Dobrze prowadzi wóz. Jeszcze lepiej strzela z rewolweru. Miał takiego starego bębenkowca.

- Nie pamiętasz, czy to był pięciostrzałowy gasser?

- Tak. Stary grat. Ciągle go czyścił i oliwił.

- To się zgadza. Właśnie odkopałem ten rewolwer w szopie starego Wasilczuka. Ale wyobraź sobie, że tam także znalazłem między rupieciami zielony klips Anny zawinięty w kawałek papieru zapisany ręką Szymańskiego. Nie mogę tego zrozumieć.

Stasiak zwrócił ku niemu smutną twarz. - - To proste. Ludzie Suchego przeprowadzali u mnie w mieszkaniu rewizję. Wśród nich musiał się znajdować także i Roman, czyli młody Wasilczuk. Zabrał klips i zawinął go w kawałek jakiegoś listu, który Adam do mnie pisał.

240

- A skąd ten klips znalazł się u ciebie i dlaczego tym bandziorom na nim tak zależało?

- O tym opowiem ci może innym razem. Zresztą to nieważne. Zatrzymali się przed gmachem komendy.

Kapitan Kalicz czekał na nich. Bez straty czasu przystąpiono do przesłuchania Wasilczuka. Stasiak się śpieszył.

Miał do załatwienia w Warszawie pilną sprawę.

We trzech usiedli za stołem. Sierżant Wawrzyniak przygotował papier i maszynę do pisania. Po chwili wprowadzono skutego Wasilczuka.

Nie wyglądał na przestraszonego. Stał hardo przed oficerami i uśmiechał się pogardliwie.

- Siadajcie, Wasilczuk - powiedział Stasiak. - My się znamy, prawda? Nazywaliście się wtedy Roman.

Bandyta przymrużył łobuzersko lewe oko.

- Cześć, Jasiu. Dawnośmy się nie widzieli.

- Prowadź przesłuchanie - szepnął Stasiak.

Downar poprawił się na krześle i utkwiał twarde spojrzenie w twarzy Wasilczuka.

- Radzę wam mówić prawdę. Wszelkie kręctwa pogorszą jeszcze waszą sytuację.

Kola wzruszył ramionami. Nie odezwał się ani słowem.

- Czy przyznajecie się do tego, że zastrzeliliście kapitana Boreckiego i Annę Szymańską?

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Macie krótką pamięć. Pomogę wam przypomnieć sobie. U waszego ojca w szopie znalazłem zakopany przez was rewolwer, stary austriacki bębenkowiec typu gasser, kaliber jednaście. Kule, które zabiły Boreckiego i Annę Szymańską, pochodzą właśnie z tej broni. Znalaziono również odciski waszych palców w mieszkaniu kapitana Boreckiego, na poręczy krzesła i na kolbie pistoletu kapitana Szymańskiego. Czy nie sądzicie, że to wystarczy?

Wasilczuk milczał. Przeszał się uśmiechać. Twarz mu nagle poszarzała, jakby mu ją ktoś posypał popiołem.

- No więc jak? - spytał niecierpliwie Downar. - Przyznajecie się? Wasilczuk z trudem przełknął ślinę. Widać było, że z wysiłkiem próbuje odzyskać początkową pewność siebie.

241

- Nie wiem, o jakim rewolwerze pan mówi. Możliwe, że ojciec coś tam w szopie zakopał. Nic o tym nie słyszałem. U kapitana Boreckiego, owszem, bywałem, ale nie miałem zamiaru go zabijać. Kto strzelał z tego rewolweru, nie wiem. Na oczy takiego gnata nie widziałem.

- Aja doskonale pamiętam - wtrącił Stasiak - jakżeś stale go czyścił i oliwił. Nawet tego wieczoru, kiedy żeśmy się ostatni raz widzieli. Nie ma sensu się wypierać. Powiedz nam lepiej, gdzie jest w tej chwili Suchy?

- Nie wiem.

- Pomyśl trochę i przypomnij sobie. Radzę ci. Wasilczuk wzruszył ramionami.

- Powiedziałem, że nie wiem.

- I nie przypomnisz sobie?

- Nie wiem.

Stasiak zwrócił się do Downara.

- Masz jeszcze jakieś pytania?

- Na razie nie. Wyprowadzić aresztowanego.

Kiedy drzwi się za Wasilczukiem zamknęły, sierżant Wawrzyniak nie wytrzymał i wybuchnął:

-Jakbym draniowi skuł mordę, to on by tu inaczej gadał. Co to się bawić w takie ceregiele z takim oprychem?

- Spokojnie, sierżancie - uśmiechnął się Stasiak. - Myślę, że stać nas na inteligentniejsze metody aniżeli bicie po mordzie. Mam pewien pomysł. Znam tu jednego cwaniaka, tak zwanego Rudego Leona.

- Wiem, wiem - powiedział sierżant Wawrzyniak - to lepszy bandzior. Cholernie sprytny. Nie możemy go nigdy złapać na gorącym uczynku.

- Właśnie. Ja natomiast mam dosyć materiałów na to, żeby go posadzić przynajmniej na pięć lat. Musimy go zaraz znaleźć. Postawię go wobec alternatywy: albo pójdzie na współpracę z nami, albo nie wyrzy prędko z kryminału. Miałem z nim do czynienia i wiem, że chyba się zgodzi.

- O jakiej współpracy mówisz? - spytał Downar.

- Wsadzimy go do celi, gdzie będzie udawał więźnia, który odsiedział wyrok i za dwa dni ma wyjść na wolność. W tej samej celi umieścimy Wasilczuka, który go zna i na pewno skorzysta

242

z okazji, żeby przesłać wiadomość Suchemu. Musimy działać szybko. Suchy w każdej chwili może zwąchać, co się święci, i prysnąć za granicę. Nie wolno nam do tego dopuścić. Co o tym myślicie?

- Uważam, że plan jest dobry - powiedział Downar. - Nie wiem tylko, czy tak na poczekaniu znajdziemy tego draba.

Sierżant Wawrzyniak zapalił się do tego projektu.

- Spokojna głowa. To już ja biorę na siebie. Rudego Leona wykopię choćby spod ziemi.

12

Tego dnia Czarnowski wcześniej wyszedł z biura. Czuł zmęczenie i bolała go głowa. Może to grypa. Zapiął starannie płaszcz i poprawił szalik. Idąc wolno Alejami Ujazdowskimi, patrzył osowiałym wzrokiem na opadające z drzew liście. Skończyło się lato. Skończyły się upalne, słoneczne dni. Wszystko się kończy. Wzdrygnął się i wsunął ręce głęboko w kieszenie jesionki. Miał dreszcze. A może rzeczywiście grypa? Albo... albo nerwy...

Od jakiegoś czasu coraz częściej popadał w niczym nieuzasadnione rozdrażnienie. Źle sypiał, był niespokojny, dręczyły go makabryczne sny. Poszedł nawet do lekarza. Starszy, siwy pan w okularach powiedział: „Skrajne wyczerpanie nerwowe. Trzeba się leczyć. Trzeba pojechać na kurację”. Wzruszył ramionami. Leczyć się? Czy to co pomoże? Wiedział, co mogłoby mu pomóc. Skończyć z tym, skończyć z tym wszystkim jak najprędzej. Uciec gdzieś bardzo daleko, zacząć inaczej żyć. Już od roku chciał się wyzwolić, chciał wyjechać. Nie pozwalali mu, zwlekali. Parę razy obiecywali, że jeszcze tylko trzy miesiące, że jeszcze tylko miesiąc i zabiorą go na stałe do Berlina Zachodniego, wycofają go z terenu Polski. A teraz...? A teraz ustalili już ostatecznie, że nastąpi to zaraz po Nowym Roku, że jeszcze tylko do stycznia... Właściwie nic się nie działo, nie było jakichś

specjalnych powodów do obaw. Wszystko szło jak dawniej. Dlaczego więc nagle zaczynał się niepokoić...? Widocznie lekarz miał rację. Wyczerpanie nerwowe. Tak, to tylko wyczerpanie nerwowe, nic więcej. Cóż zresztą dziwnego? Taka robota zjada nerwy, nawet najmocniejsze. Początkowo grę prowadzi się spokojnie, z całym opanowaniem. Z biegiem czasu jednak spojrzenie każdego napotkanego człowieka wydaje się podejrzane, każdy stojący na ulicy milicjant budzi niepokój. Człowiek zaczyna bać się

244

własnego cienia. Boi się pić, żeby nie wygadać się z czymś niepotrzebnym. Boi się zasnąć w wagonie sypialnym, żeby przez sen nie zdradzić jakiejś tajemnicy. Nieustannie trzeba się mieć na baczności, nieustannie trzeba być czujnym, uważać na każdy szczegół, na każdy krok. Najmniejsze potknięcie grozi zgubą.

Zjadł w SPATiF-ie obiad i wypił dwa kieliszki wódki. To mu dobrze zrobiło. Poczł się o wiele lepiej. Już go tak nie trzęsło.

Przeszedł się jeszcze kawatek. Dopiero na Litewskiej wsiadł do taksówki i pojechał do siebie na Filtrową. „Zdrzemnę się trochę, a potem zadzwonię do którejś dziewczynki” - myślał. Miał ochotę wieczorem trochę się rozerwać. Samotne siedzenie w domu nie wpływało na polepszenie samopoczucia.

Zajmował trzypokojowe mieszkanie na drugim piętrze. Gospoia otworzyła mu drzwi.

- Dobrze, że pan przyszedł - powiedziała zadowolona. - Obiad gotowy.
- Dziękuję. Jadłem już na mieście. Nie jestem głodny. Wzruszyła ramionami.
- To po co ja gotuję, jak pan chodzi po restauracjach? Tylko wyrzucone pieniądze. Przecie ja tego wszystkiego nie zjem, choćbym chciała.
- Dobrze, dobrze - powiedział prędko Czarnowski. - Niech już gospoia nie gderze. Jutro zjem obiad w domu.
- Czyja będę teraz panu potrzebna? Bo chciałabym pójść na nabożeństwo, a przedtem jeszcze muszę coś kupić na kolację. I może bym zaszła do tej krawcowej odebrać pana koszule?
- Dobrze. Niech gospoia idzie.

Po wyjściu Wiktorii Czarnowski przejrzał gazety, załatwił parę telefonów i postanowił się położyć. Kiedy zdjął marynarkę, zadzwieczał dzwonek. Zdziwiony spojrzał ku drzwiom. Kto to mógł być? Nie spodziewał się nikogo. Po chwili dzwonek znowu się odezwał. Może listonosz? Poszedł do przedpokoju i odsunął zasuwę.

W progu stał wysoki, barczysty mężczyzna w doskonale skrojonym gabardynowym płaszczu i w brązowym pilśniowym kapeluszu.

- Czy mam przyjemność z panem inżynierem Czarnowskim?
- Tak. Jestem Czarnowski. Słucham pana.
- Chciałbym z panem porozmawiać w poufnej sprawie.

245

Czarnowski cofnął się, wpuszczając niespodziewanego gościa do przedpokoju.

- Proszę. Może się pan rozbierze.

Weszli do pokoju. Obaj patrzyli na siebie badawczo.

- Czym mogę panu służyć?

Przybysz ruchem ręki przygładził lekko szpakowatą czuprynę i skłoniwszy się uprzejmie, powiedział:

- Przede wszystkim pozwoli pan, panie inżynierze, że się przedstawię. Nazywam się Fischer, Erik Fischer.

- Bardzo mi miło. Moje nazwisko już pan zna. Uścisnęli sobie dłonie.

- Proszę bardzo. Może pan zechce usiąść.

Pan Erik Fischer rozsiadł się wygodnie w fotelu, zapalił papierosa i wyjął z kieszeni portfel.

- Ponieważ przychodzę do pana w pewnej dość delikatnej sprawie, przeto uważam za stosowne pokazać panu moje dokumenty. Proszę.

Czarnowski wziął paszport do ręki i spojrzał na niego obojętnie.

- Przyznaję, że nie bardzo rozumiem. Nie ma powodu, dla którego miałbym kwestionować autentyczność pańskiego nazwiska. Jestem trochę zdziwiony.

Fischer przyglądał mu się w milczeniu. Wreszcie uśmiechnął się kordialnie i powiedział:

- Wie pan co, mam kłopot. Niech pan sobie wyobrazi, że zapomniałem zapakować w Berlinie szlafrok. Nie wiem, gdzie mógłbym dostać coś odpowiedniego w Warszawie. Oczywiście takiego samego, ciemnowiśniowego, nie znajduję tu. Więc chciałbym chociaż coś zastępczego. Chodziłem trochę po mieście, ale nic ciekawego nie widziałem w tych waszych sklepach. Udało mi się tylko kupić dość ładną wazę porcelanową, malowaną w czarne, chińskie smoki. Naprawdę gustowna rzecz. Aha... Byłbym zapomniał, mam dla pana pozdrowienia od barona Boysta.

W miarę jak mówił, twarz Czarnowskiego zzieleniała.

- Czy coś się stało? - spytał nerwowo, zniżając głos do szeptu.

- Nie, nie. Niech pan będzie spokojny. Nic złego się nie stało. Wszystko w jak najlepszym porządku. Widzę, że pan jest trochę wyczerpany nerwowo.

246

- Mam już tego wszystkiego dosyć! - wybuchnął nagle Czarnowski. - Rozumie pan? Dosyć! Nie chcę ani tych pieniędzy, ani tej kariery! Nie zniosę tego dłużej! Słyszysz pan? Nie zniosę!

Fischer patrzył na niego z uśmiechem. Zgasił papierosa.

- Dlaczegoż mnie pan to wszystko mówi? Mnie to nie interesuje. Niech pan się porozumie z baronem Boystem. Przecież, o ile się nie mylę, był pan nie tak dawno w Berlinie?

- Mówiłem z nim. Kazał mi czekać do stycznia. Fischer rozłożył bezradnie ręce.

- No, na to ja nic panu nie poradzę.

Czarnowski poderwał się ze swego miejsca i począł nerwowymi krokami przemierzać pokój.

- Dosyć mam już, do jasnej cholery, tych wszystkich baronów. Siedzą tam bezpieczni w Berlinie, a ja tu muszę

karku nadstawiać. Czy pan wie, w co ten Boyst mnie ostatnio wrobił? Kazał mi uwodzić jedną babkę. Szrederową. Twierdził, że ona jest z tutejszego kontrwywiadu. A ona ma akurat tyle wspólnego z kontrwywiadem, co ja z Marsjanami. Chodziłem z nią ładnych parę miesięcy. Wydałem na nią kilka tysięcy złotych. Wszystko niepotrzebnie.

- Taka brzydka? Czarnowski spojrzał zaskoczony.

- No nie. Brzydka nie jest. Nawet bardzo ładna. Ale nie w moim typie. Nie podoba mi się. A zresztą to nie o to chodzi. Obmierzło mi już to wszystko.

Fischer wstał i poklepał go przyjacielsko po ramieniu.

- Niepotrzebnie się pan denerwuje. Przy tego rodzaju pracy trzeba umieć trzymać nerwy na wodzy. Przetrwaj pan jeszcze te parę miesięcy i zostanie pan na stałe przeniesiony do Berlina. Mogę panu w zaufaniu powiedzieć, że byłem obecny przy rozmowie na ten temat.

- Naprawdę?!

- Po cóż miałbym pana w błąd wprowadzać? Rozmawiał pułkownik Rosner z baronem Boystem.

- I mówili o mnie?

- Tak. Właśnie mówili o tym, że trzeba pana zabrać z terenu Polski. Uważają, że już pan dosyć tutaj zdziałał.

-Ja myślę.

247

Fischer usiadł z powrotem na fotelu i wyjął papierośnicę.

- Ale ja właściwie przyszedłem do pana w zupełnie innej sprawie.

- Widzi pan... Już po pańskim wyjeździe z Berlina zaszły pewne fakty, które zmuszają barona Boysta do zmiany taktyki. - Wyjął z kieszeni metalowy walec z namagnesowanym dnem i począł się nim bawić. - Nie będziemy już przekazywać mikrofilmów w tych maszynach. Trzeba obmyślić coś innego. Baron Boyst polecił mi skontaktować się z panem oraz z Suchym i jego ludźmi. Należy natychmiast przerwać przekazywanie materiałów tą drogą.

Czarnowski wzruszył ramionami.

- Na to nie trzeba szukać Suchego. Wystarczy porozumieć się z Romanem w Bodzierzycach.

- Nie jest na urlopie?

- Ale skądże. Pilnuje interesu.

- A gdzie można w tej chwili znaleźć Suchego?

- Nie wiem. A zresztą ta informacja nie jest panu potrzebna.

- Może potrzebna.

Było coś takiego w głosie wysłannika barona Boysta, że Czarnowski zatrzymał w połowie drogi zapaloną zapałkę i spojrzał niespokojnie. Wątył płomień sparzył mu palce. Rzucił na podłogę resztki zwęglonej zapałki



i wyjął z ust papierosa. Wstał, zbliżył się do biurka. Jego skupiona twarz była czujna.

- Czy ma pan do mnie jeszcze jakieś sprawy? - spytał. Tamten podniósł się również i szybkim spojrzeniem zmierzył odległość dzielącą go od biurka, za którym stał Czarnowski.

- Tak. Mam jeszcze do pana jedną sprawę.

- Mianowicie.

- Jestem zmuszony pana aresztować.

Czarnowski błyskawicznym ruchem szarpnął szufladę. Stasiak był szybszy. Jednym susem przesadził biurko i silnym uderzeniem pięści rzucił go o ścianę. Trzasnęły zamykane na przegubach rąk kajdanki.

W tej chwili do pokoju wszedł niski, szczupły mężczyzna.

- Dobra robota, panie kapitanie - powiedział. - Stenogram gotowy.

248

13

Na biurku stała lampa z zielonym abażurem. Duży pokój tonął w łagodnym półmroku. Niewyraźne kształty mebli zacierały się na ciemnym tle ścian. Za oknem padał deszcz i wiatr z szumem kołysał mokrymi gałęziami drzew.

Waliszewski zapalił papierosa.

- Powtarzam ci, że stanowczo wycofuję się z tego wszystkiego. To nie dla mnie. Jesteście bandą morderców. Jeśli sądzicie, że tego rodzaju metody prowadzą do czegoś, to się grubo mylicie. Owszem prowadzą, ale do kryminału.

Suchy wzruszył ramionami i napełnił koniakiem kieliszki.

- Czego ty chcesz ode mnie? To nie była moja decyzja. Wiesz o tym doskonale. Boreckiego musieliśmy zlikwidować.

- No dobrze... Powiedzmy, że Boreckiego. Ale Anna...

- Załamała się. Nie wytrzymała nerwowo. Jeszcze dzień, dwa, a byłaby o wszystkim powiedziała mężowi.

Waliszewski wypił koniak, wstał i począł chodzić po pokoju.

- To wszystko było zupełnie niepotrzebne, zupełnie niepotrzebne - powiedział stanowczo. - Trzeba było od razu przestawić całą robotę. I zamiast mordować, zreorganizować wszystko tak, żeby ani Borecki, ani Anna nie mogli szkodzić.

- To nie takie proste. Zapominasz o tym, że znali nas wszystkich. Nieustannie bylibyśmy zagrożeni.

- W takich wypadkach likwiduje się ludzi z terenu i daje się nową obsadę. Trudno, to są konsekwencje popełnianych błędów. Ale nie... Wyście woleli mordować. No i macie teraz rezultaty. Całą milicję zmobilizowaliście przeciwko nam. Ten Downar już mi dobrze depta po piętach. Mam tego dosyć. W przyszłym tygodniu służbowo wyjeżdżam do Kopenhagi i tyle mnie będziecie widzieli. Dla pięknych oczu pana barona nie będę siedział w kryminale.

Suchy zaniepokoił się.

- Słuchaj no. Ale mam nadzieję, że ten milicjant nie wie, dokąd pojechałeś.
- Bądź spokojny. Od jakiegoś czasu odczepił się ode mnie. Napuściłem go na tę Szrederową. Myślę, że się nią zajmie.
- To ta, z którą się prowadzał Stefan?
- Ta sama. Baronowi się ubrdało, że ona musi być z kontrwywiadu i kazał ją Stefanowi rozpracować. A w rezultacie okazało się, że babka jest Bogu ducha winna. Ale a propos... Czy umówiłeś się jakoś ze Stefanem?
- Oczywiście. Ma tu być u mnie. Spodziewam się go lada chwila.

Waliszewski zgasił papierosa w dużej kryształowej popielniczce i stanął przed Suchym.

- Boję się, że może dojść ze Stefanem do ostrego starcia. Nie zapominaj, że to była jego siostra. Jak mu wytłumaczysz?

Suchy wyciągnął przed siebie nogi i przez chwilę przyglądał się swym błyszczącym butom.

- No cóż... Powiem mu, że Anna popełniła samobójstwo, że po śmierci Boreckiego załamała się.
- Przecież Stefan wie, że to nie była jakaś wielka miłość, że zrobiła to tylko po to, żeby jego ochraniać.
- Będę się starał w niego wmówić, że to było samobójstwo -powiedział Suchy.
- A jeżeli ci nie uwierzy?
- Nic na to nie poradzę. Tym gorzej dla niego.
- Chyba nie masz zamiaru...?
- Nie wiem. Nie mogę za nic ręczyć. To będzie zależało od niego.

Waliszewski ruszył ku drzwiom.

- Do widzenia. Wychodzę. Nie chcę być świadkiem nowego morderstwa.

Suchy poderwał się i przytrzymał go za ramię.

- Zwariowałeś, Karol? Uspokój się i siadaj. Nalać ci jeszcze koniaku?
- Nalej.
- Wiesz co - powiedział po chwili Suchy. - Myślałem o tym, że trzeba by się pozbyć tego wartburga, którego dostałeś od ba-

rona. Stefan za bardzo się nim rozbijał. Mógł ten wóz wpaść komuś w oko.

- Kazałem go przemalować.

- To dobrze. Ale mimo to chętnie bym się go pozbył. W tych sprawach czasem drobiazgi decydują.
- Dobrze - zgodził się Waliszewski - sprzedam go. Kupię sobie może fiata. A właściwie to mi i tak wóz niepotrzebny. Wyjeżdżam przecież.
- Poważnie o tym myślisz?
- Najzupełniej poważnie.
- A co powie na to baron?
- Niech mówi, co chce. To mnie zupełnie nie obchodzi. Suchy znowu nalał koniak i popatrzył pod światło na swój kieliszek.
- No, no, ostrożnie. Mam wrażenie, że cię to będzie obchodzić. Nie zapominaj o tym, że jesteś agentem barona i że bez jego zgody nie możesz rezygnować z roboty.
- Wyjeżdżam do Kopenhagi i nie mam zamiaru tu wracać - powiedział stanowczo Waliszewski.
- W Kopenhadze także zdarzają się nieszczęśliwe wypadki - uśmiechnął się Suchy.
- Myślisz, że ośmieliliby się mnie zamordować?
- Nie udawaj naiwnego. Wiesz tak samo dobrze jak i ja, że tego rodzaju robota wymaga żelaznej dyscypliny. Cóż by to był za szef wywiadu, który by swoim agentom pozwalał robić, co im się żywnie podoba? Jakaż by to była organizacja?
- No, to porozumiem się z baronem.
- Tak to co innego.

Waliszewski, jakby trochę uspokojony, usiadł w fotelu i zapalił nowego papierosa.

- Będę musiał niedługo jechać. Chyba nie doczekam się Stefana.

Suchy spojrzął na zegarek.

- Powinien już tu być. Może spóźniła się kolejka. Zaczekaj jeszcze chwilę. Wolę, żebyś był przy tej rozmowie.
- A ja bym wolał nie być - skrzywił się Waliszewski.
- To trudno. Czasami trzeba być przygotowanym na przykrą rozmowę.

251

Skrzypnęły drzwi.

- Czy to ty Stefan? - spytał Suchy, nie ruszając się z miejsca.
- Tak, Stefan, ale chyba nie ten, na którego czekacie. Zerwali się na równe nogi. Suchy sięgnął do kieszeni. Huknął strzał i kula roztrzaskała butelkę z koniakiem.
- Ręce do góry! Najmniejszy ruch, a strzelam w łeb. Odwróćcie się twarzą do ściany.

Downar podbiegł do Suchego i wyjął mu z marynarki pistolet. Stasiak nałożył kajdanki Waliszewskiemu.

14

Wszystko już zostało powiedziane. Konarz zapalił papierosa i zaciągnąwszy się głęboko dymem, patrzył wyczekująco. Właściwie należało wstać i pożegnać się, Stasiak jednak nie ruszał się ze swego miejsca. Siedział nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym w kałamarz. Widać było, że chce coś powiedzieć, ale nie może znaleźć odpowiednich słów. Konarz przyglądał mu się przez chwilę ze zdziwieniem. Wreszcie spytał:

- Czy macie jeszcze, towarzyszu, do mnie jakąś sprawę? -Tak.

- Słucham was.

Stasiak począł ścisnąć palcami brzeg biurka.

- Widzicie, towarzyszu pułkowniku, ja nie mogę przyjąć tego odznaczenia.

-Jak to nie możecie przyjąć odznaczenia? Przecież zasłużyliście na to. Dzięki wam rozpracowaliśmy jedną z największych afer szpiegowskich. Doprawdy, nie rozumiem.

- Bo to trudno zrozumieć, towarzyszu. Ja... ja nadużyłem waszego zaufania.

- Mówcie wyraźnie, o co chodzi - zniecierpliwiał się Konarz. - Nie mam pojęcia, o czym mówicie.

Stasiak opowiedział o swojej pierwszej rozmowie z baronem Boystem w podwarszawskiej willi.

Konarz zerwał się i począł nerwowo chodzić po gabinecie. Nikt jeszcze nie widział go tak wzburzonym.

-Jak to? I wyście mi o tym nie powiedzieli ani słowa?! - krzyczał. - Taką rzecz zatailiście przede mną? Czy wiecie, że za to należy wam się degradacja, usunięcie z milicji i kryminał?!!

- Wiem. Właśnie dlatego mówię, że nie mogę przyjąć tego odznaczenia.

253

Konarz nie przestawał biegać po pokoju.

- To jest skandal. To jest skandal! I to zrobił człowiek, którego ja obdarzyłem takim zaufaniem. Do wszystkich diabłów, dlaczego żeście to zrobili?!!

Stasiak nieznacznie wzruszył ramionami.

- No cóż... towarzyszu pułkowniku, ponieważ zdecydowałem się na tę rozmowę, to już będę mówił szczerze do końca. Wchodziły tu w grę różne rzeczy. Przede wszystkim bałem się, że stracę wasze zaufanie, że odsuniecie mnie od tej roboty.

—Jak to? Nie rozumiem.

- Nie zapominajcie, że ja w czasie wojny siedziałem w Anglii i że po powrocie do kraju bardzo podejrzliwie mi się przyglądano. Nie pozwolono mi pracować w kontrwywiadzie, chociaż mam do tej roboty pełne kwalifikacje. Sami przyznacie, że gdybym wtedy ujawnił propozycję uczynioną mi przez barona Boysta, to nie wiadomo, jak by się moje władze do tego ustosunkowały. Zaraz by się zaczęło zastanawiać nad tym, czy można powierzyć taką robotę facetowi mającemu tego rodzaju możliwości. A poza tym... poza tym chciałem samodzielnie rozpracować tę sprawę. Przyznaję, że może to była głupia ambicja, ale... Wchodziły tu w grę

także sprawy czysto osobiste. Kochałem się w Annie Szymańskiej. Jak wiecie, Adam jest moim przyjacielem. To wszystko było bardzo skomplikowane. Nie ukrywam, że myślałem o tym, żeby uciec, zapomnieć, zniknąć z terenu Warszawy, zlikwidować to wszystko. A prócz tego...

- Prócz tego nęciła was perspektywa szerokiego świata -uzupełnił Konarz.

Stasiak uśmiechnął się blado.

- No cóż... towarzyszu, człowiek jest tylko człowiekiem. Każdy z nas miewa różne myśli. Wydaje mi się, że ważne są czyny.

Konarz uspokajał się z wolna. Usiadł znowu za biurkiem i sięgnął po papierosy. Zastanawiał się.

- Słuchajcie, towarzyszu - powiedział po chwili. - Sytuacja jest rzeczywiście dość skomplikowana. Wasze zasługi są bardzo duże i bezsporne. Wszyscy o tym wiemy. Dopuściliście się bardzo poważnego nadużycia i dobrze zdajecie sobie z tego sprawę. Moja propozycja jest następująca: wszystko to zostanie między nami. Złóżcie mi uroczyste przyrzeczenie, że taka sy-

254

tuacja nigdy już nie zaistnieje i nie będziemy więcej mówić na ten temat.

Stasiak wstał i mocno uścisnął dłoń pułkownika.

- Dziękuję wam, towarzyszu. Macie moje słowo. Rozległo się stukanie do drzwi. Wszedł Jasiński.

- A, dobrze, że was spotykam - powiedział, witając się serdecznie ze Stasiakiem. - Chciałem was zapytać, czy macie jeszcze tę taśmę magnetofonową z moją rozmową z Buldogiem?

- Oczywiście. Zabrałem ją ze sobą. Przyznaję, że wasza rozmowa zaskoczyła mnie wtedy niewąsko. Nigdy bym się nie spodziewał, że Buldog... Robił na mnie wrażenie zupełnie prymitywnego bandziora.

- Tak - powiedział Jasiński. - To był agent dużej klasy. Doskonale grał swoją rolę. Ale wiecie, towarzyszu pułkownika -dodał, zwracając się do Konarza. - Mam wrażenie, że nam wszystkim należy się od was pewne wyjaśnienie. Do tej pory nie wiemy przecież, co zawierał ten sławny mikrofilm, o który tak żeśmy walczyli.

Konarz skinął głową.

- Macie rację. Niestety, szczegółów nie potrafię wam podać. Chodziło o doniosły wynalazek z dziedziny techniki atomowej, którego poszczególne fazy zostały zarejestrowane na tym mikrofilmie.

- No dobrze... a co z tym facetem, który zrobił te zdjęcia? -spytał Jasiński.

- To już załatwione. Siedzi. Stasiak zaczął się żegnać.

- Jakie macie plany na najbliższą przyszłość, kapitanie? -spytał Konarz. - Po tym wszystkim powinniście trochę odpocząć.

- Wybieram się do Krynicy. Chciałbym tam pocieszyć Adama Szymańskiego. Biedaczysko musi być zupełnie złamany.

Po wyjściu z ministerstwa Stasiak pojechał do Europy. Downar już na niego czekał.

- Wyszedziałeś się u Konarza - powiedział.

- Musiałem mu wszystko od początku opowiadać. A tobie jak idzie?

- Nieźle. Przesłuchiwałem już Czarnowskiego i mecenasa.

255

Wiesz, myślałem dużo o tej całej twojej historii. Doszedłem do wniosku, że jesteś genialny facet.

- Daj spokój. Nie żartuj - skrzywił się Stasiak.

- Jak Boga kocham. Żeby tak rozpracować taką aferę, to trzeba mieć głowę nie od parady. Powiedz mi tylko, skądże ty wpadł na to, że mikrofilmy są od nas również przekazywane w tych walcach z namagnesowanym dnem?

Stasiak postodził kawę, zapalił papierosa i powiedział:

- Wywiad niemiecki, jeszcze od czasu pierwszej wojny światowej, z pewnym uporem popełnia ten sam błąd. Jeżeli wpadną na jakiś dobry pomysł, to nie potrafią z niego w porę zrezygnować i eksploatują to w nieskończoność nawet wtedy, kiedy już dany system został rozszyfrowany. To przywiązanie do metody było przyczyną śmierci już niejednego agenta niemieckiego. Znam trochę te sprawy i jak tylko baron Boyst zaproponował mi przekazywanie wiadomości z Egiptu tą drogą, to od razu przyszło mi na myśl, że i od nas przekazywane są wiadomości w analogiczny sposób. I nie omyliłem się. Nie wiedziałem tylko, że w danym wypadku chodzi o fabrykę Bodzierzyce pod Szczecinem. Powiedział mi to dopiero Czarnowski. Sprawa była prosta. Wystarczyło w obrabiarce odkręcić cztery śrubki, podnieść pokrywę osłaniającą paski klinowe i wsunąć do wewnątrz walec z mikrofilmem, przyczepiając go magnesem do bocznej ścianki. Następnie znaczone w sposób umówiony skrzynię, w której znajdowała się ta maszyna i mikrofilm wędrował naszym statkiem do Hamburga, gdzie go odpowiedni ludzie wyjmowali z obrabiarki. Tylko przypadkiem można było na to wpaść. Pomyślane znakomicie.

Downar pokiwał głową.

- Tak. To rzeczywiście dobrze było pomyślane. Chciałbym jeszcze wiedzieć, co byś ty zrobił, gdyby ta twoja Niemka nie była się wtedy upiła w Hamburgu? Jak byś się porozumiał z kapitanem naszego statku? Przecież ona cię na krok od siebie nie puszczała.

Stasiak wzruszył ramionami.

- Boja wiem. To trudno przewidzieć. Prawdopodobnie dałbym jej jakiś środek nasenny.

- A nasi marynarze nie poturbowali cię za bardzo z nadmiaru gorliwości?

256

- Nie. Obeszli się ze mną dosyć ostrożnie. Nasobaczyli mi tylko, ile wlażło. Musiało to przecież robić wrażenie autentycznego porwania.

- To był świetny numer. Gdybyś po prostu zwiął z tego niemieckiego statku, to ten baron zaalarmowałby Suchego i wszystkich swoich ludzi działających na naszym terenie. A tak jest przekonany, że siedzisz u nas pod kluczem.

- Myślę, że już ma poważne wątpliwości co do tego -uśmiechnął się Stasiak.

Przez chwilę w milczeniu palili papierosy. Kawa stygła. Stasiak dotknął ręki Downara.

- Słuchaj, Stefan, powiedz mi jak to właściwie było z Anną?
- Czy ci to teraz nie wszystko jedno?
- Chcę wiedzieć.
- No dobrze. Jeżeli chcesz koniecznie... Prawdę mówiąc, wolałbym już nie wracać do tej sprawy. Wiesz, że Czarnowski to przyrodni brat Anny?
- Tak, wiem.
- Bardzo go kochała. Wiedziała o tym, że jest zamieszany w jakieś nieczyste kombinacje. Borecki dostał to śledztwo i po jakimś czasie wyszedł na bandę Suchego i na Czarnowskiego. Wtedy Anna została jego przyjaciółką. Chciała bronić brata, wiedzieć o przebiegu śledztwa. Nie jest wykluczone, że ją w jakiś sposób także szantażowali. Borecki od dawna się w niej kochał. Zaczął kombinować. Usiłował zatuszować sprawę i zepchnąć śledztwo z właściwej drogi. Robił to jednak dopóty, dopóki nie przekonał się, że Suchy i jego ludzie to nie jest zwykła banda rabunkowa. Z chwilą, kiedy zorientował się, iż chodzi o działalność szpiegowską, odmówił kategorycznie współpracy i wtedy...
- I wtedy go kropnęli - uzupełnił Stasiak.
- Właśnie. Stał się dla nich niebezpieczny. Wiedział zbyt wiele...
- Mogli go przecież szantażować.
- Oczywiście. Widocznie jednak woleli mieć zupełną pewność, że ich nie sypnie.
- A co to było z Adamem Szymańskim?
- Wyobraź sobie, że przez chwilę sądziłem, że jest on zamie-

257

szany w morderstwo Boreckiego. Ale to był tylko zbieg okoliczności. Szymański podejrzewał, że Anna zdradza go z Boreckim. Na kilka godzin przed zbrodnią poszedł do Boreckiego i doszło między nimi do ostrej wymiany zdań. Borecki był trochę na gazie. W pewnej chwili Szymański, doprowadzony do wściekłości, wyjął pistolet. Borecki strzelił, raniąc go w rękę. Wtedy Szymański uciekł z jego mieszkania, pobiegł na strych i tam pierwszą lepszą koszulą zabandażował sobie ranę. Mankiet od tej koszuli znalazłem potem przypadkowo w kieszeni jego płaszcza. Przysnaję, że byłem zupełnie zdezorientowany.

- Skąd wiesz to wszystko?

— Z zeznań samego Szymańskiego. Po śmierci Anny musiałem go przesłuchać.

Stasiak ukrył twarz w dłoniach i przez chwilę siedział nieruchomo, oparłszy łokcie o stół. Następnie wstał i pożegnał się z Downarem.

Na ulicy było zimno. Północny wiatr zaciął drobnym, jesiennym deszczem. Plac Warecki, jak zwykle o tej porze roku, zamieniał się z wolna w rozległe grzęzawisko napętniające zdumieniem cudzoziemców mieszkających tutaj w reprezentacyjnym hotelu.

Stasiak zapiął szczelnie jesionkę, postawił kołnierz i szybko ruszył w kierunku Marszałkowskiej. Postanowił pojechać do domu. Czuł ogarniające go zmęczenie.

W mieszkaniu na Częstochoowskiej nic się nie zmieniło. Te same meble, ten sam dywan, ta sama zasłona, te same obrazki na ścianach. A przecież wszystko to było jakieś inne, obce, nie takie jak wtedy. Z uczuciem zdziwienia patrzył na ten pokój pusty i zimny. I nie mógł uwierzyć w to, że właśnie tutaj żył, kochał i cierpiał. Potrzącił krzesło, które przewróciło się z hałasem na podłogę. Podeszedł do okna. Szyba była brudna, zalana deszczem. Słabe światła ulicy błyskały niewyraźnie poprzez mokre szkło. Wtedy Anna stała przy tym oknie, słuchając jego słów. Zupełnie tak, jakby całe lata minęły od tamtej chwili. A przecież to tylko kilka miesięcy. Jakież długie były te miesiące, ileż rzeczy zdarzyło się przez ten czas. I co dalej? Dalej potoczy się życie, w którym już nie będzie Anny. Nie zobaczy jej włosów, nie posłyszysz jej głosu. Już nigdy...

258

Z zadumy wyrwał go ostry dźwięk dzwonka. Drgnął i spojrzał niepewnie w kierunku drzwi. Przypomniał sobie tamten wieczór, kiedy do niego przyszła Anna. Nie, nie... to przecież idiotyczne.

Znowu dzwonek. Poszedł do przedpokoju i otworzył drzwi.

- Czy tutaj mieszka pan kapitan Stasiak?

Spojrzał ze zdziwieniem na młodego człowieka w jasnej, szarej jesionce.

- To ja jestem, o co chodzi?

- Przyniosłem dla pana paczkę.

- Paczkę?

- Tak. Proszę. I do widzenia.

Młodzieniec zniknął. Stasiak zaskoczony przyglądał się eleganckiej paczce. Było to płaskie pudło zawinięte w ładny, kolorowy papier.

Rozerwał sznurek i zdumiał się. W pudle, bardzo starannie złożony, leżał szlafrok haftowany w czarne chińskie smoki, szlafrok barona Boysta. Do kołnierza przyczepiony był bilet wizytowy, na którym wykalfigrafowano starannie tylko jedno słowo: „Gratulacje”.

Koniec.

POLECAMY KSIĄŻKI Z SERII F"

Tadeusz KostECKI

(W.T. Christine)

Tadeusz KostECKI

Kaliber 6,35

Trzymający w napięciu do samego końca kryminał, którego treścią jest śledztwo prowadzone przez płk.



Penthama w sprawie podwójnego zabójstwa. Szybka akcja, nagłe zwroty akcji i... nieoczekiwane zakończenie.

Tadeusz KostECKI

Smuga grozy

Daleka leśniczówka, gdzie dzieje się akcja, szybko zostaje odcięta od świata przez powódź, następuje seria dramatycznych wydarzeń, a zabójca jest jednym z domowników. Paradoksalnie wszelkie dowody zdają się wskazywać na Kostrzewę. Czy zdoła on oczyścić się z zarzutów?

Zygmunt Zeydler-Zborowski

Wernisaż

Główny bohater próbuje rozszyfrować zagadkę tajemniczej śmierci brata. Nie chodzi tylko o zabójstwo malarza, ale i o przemyt narkotyków na skalę światową. Jednak narkotykowa mafia pilnie strzeże swych tajemnic i szybko likwiduje niepotrzebnych świadków. Czy Zwoliński przyczyni się do rozgromienia potężnej siatki przestępczej? Czy dowie się, dlaczego zginął jego brat?